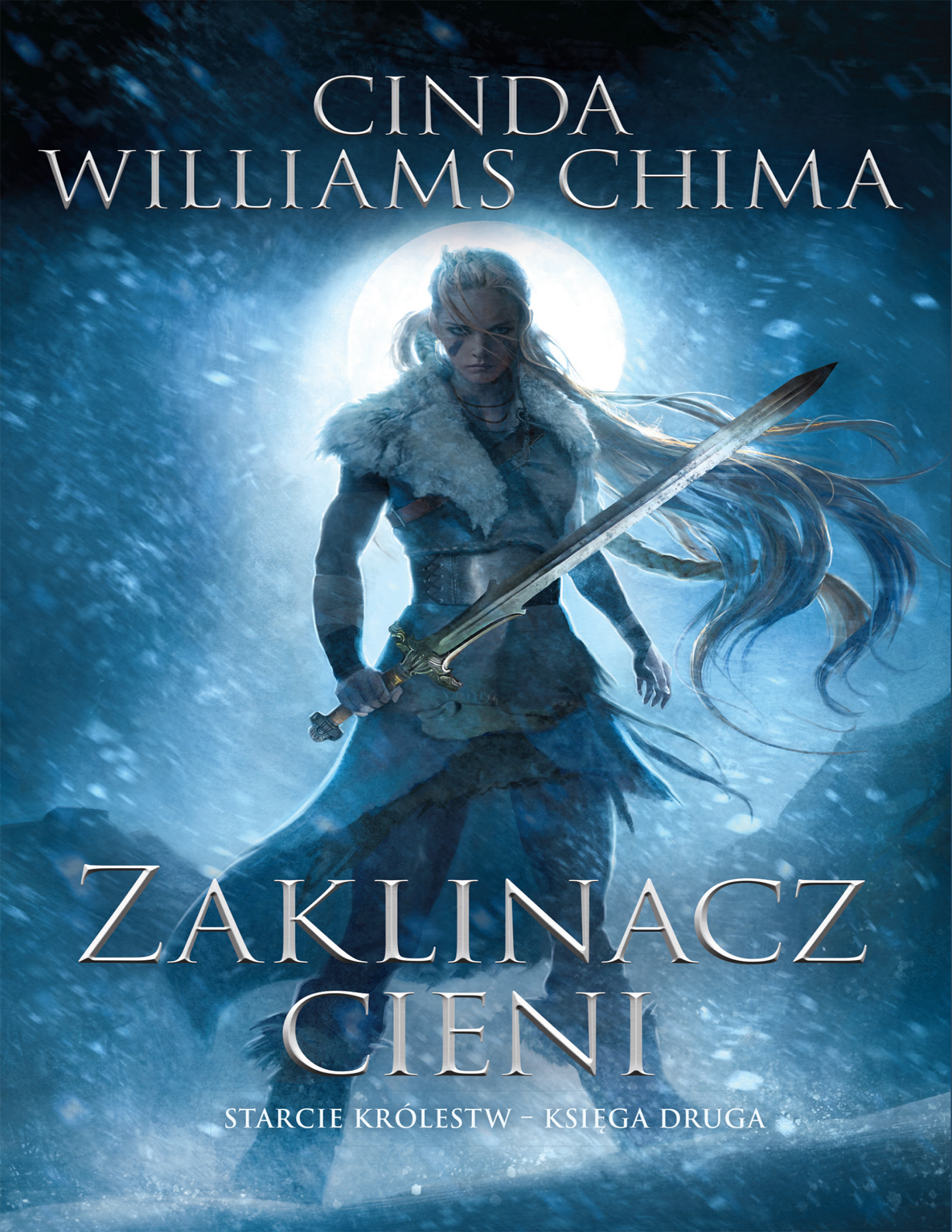


CINDA
WILLIAMS CHIMA



ZAKLINACZ
CIENI

STARCIE KRÓLESTW – KSIĘGA DRUGA

CINDA
WILLIAMS
CHIMA

ZAKLINACZ CIENI

PRZEŁOŻYŁA DOROTA DZIEWOŃSKA

WYDAWNICTWO GALERIA KSIĄŻKI • KRAKÓW 2022

Tytuł oryginału: *Shadowcaster*

Copyright © 2017 by Cinda Williams Chima

Cover art by Alessandro Taini

Cover design by Erin Fitzsimmons

Copyright © for the Polish translation by Dorota Dziewońska, 2022

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Galeria Książki, 2022

Opracowanie graficzne okładki na podstawie oryginału d2d.pl

Redakcja techniczna i skład Robert Oleś

Redakcja językowa i korekta d2d.pl

Fotografia autorki: Augusten Burroughs

Opracowanie wersji elektronicznej / **mobi**sfera

Wydanie I

ISBN EPUB: 978-83-67071-44-4

ISBN MOBI: 978-83-67071-45-1

Wydawca: WYDAWNICTWO GALERIA KSIĄŻKI

www.galeriaksiazki.pl

biuro@galeriaksiazki.pl

SPIS TREŚCI

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

1. Sadyba Uciekinierów

2. Płaczący Strumień

3. Matelon

4. Dolina Królowych

5. Szary Wilk

6. Taniec dobiegł końca

7. Znowu w Kotle

8. Trening

9. Breon

10. Okpiona

11. Klient

12. Gracze wchodzą na scenę

13. Debiut sceniczny

14. Uwodzenie

15. Bis w Łachmantargu

16. Rozmyślenia po zamachu

17. Akt końcowy

18. Narada wojenna

19. W królewskim ogrodzie

20. Za południową granicą

21. Przesilenie w Delphi

22. W samym środku zimy

23. Zaklinacz Ognia
 24. Droga donikąd
 25. Forteczne Skały
 26. Trudna droga na wybrzeże
 27. Pojedynek na miecze
 28. Pojedynek na słowa
 29. Przesłuchanie
 30. Dobra i zła wiadomość
 31. Zła i dobra wiadomość
 32. W drodze do Kredowych Klifów
 33. W ruinach
 34. Konflikt interesów
 35. Uliczny grajek
 36. Łądem i morzem
 37. Drugie przesłuchanie
 38. Ponowne spotkanie
 39. Życie na krawędzi
 40. Pojedynek
 41. Smok
 42. Od snów do koszmarów
 43. Za mało, za późno
 44. Nocna przeprawa
 45. Rozbitkowie
 46. Muzyka na plaży
 47. Szerokie wody
- Podziękowania

*Tym, którzy kochają książki – nauczycielom, bibliotekarzom,
księgarzom, rodzinie i przyjaciołom, którzy mi pokazali,
że książki są bramą do marzeń.
A marzenia czasem się spełniają.*



SADYBA UCIEKINIERÓW

Pierzasta muszka zamigotała w blasku słońca, zanim lekko opadła na wzburzoną powierzchnię Płaczącego Strumienia. Lyss zaparła się stopami i pociągnęła za wędkę.

– Nie szarp – szepnął jej brat Adrian. – Niech się zbliży do ciebie z prądem. Jętki nie pływają.

– Może moje pływają – odparła.

– Jak chcesz ciągnąć, powinnaś użyć sztucznej muchy – powiedział, sięgając do swojej torby. – Mam tu jedną, która może ci...

– Przestań mną dyrygować.

Adrian miał trzynaście lat – ledwie o dwa lata więcej niż Lyss – więc nie musiał się zachowywać, jakby znał się na wszystkim. Nawet jeśli tak było.

– To ty przestań krzyczeć, bo przepłosisz ryby – odpowiedział i sięgnął po jej wędkę.

Chcąc uniknąć dotyku jego dłoni, Lyss gwałtownie odsunęła się od brzegu, nagle poślizgnęła się na luźnym kamieniu i upadła na pośladki.

– Na krew i kości! – zaklęła i pomasowała się po kości ogonowej.

Adrian parsknął śmiechem i usiadł na brzegu obok niej. Lyss już miała mu przyłożyć, ale wtedy zdała sobie sprawę, że słyszy jego śmiech po raz pierwszy od śmierci ich siostry Hany.

Śmiech mimo wszystko. Ona też potrzebowała powodu do śmiechu. Wepchnęła go więc do strumienia. Wynurzył się, kaszłąc, lecz wciąż rozbawiony, z głową moką jak u wydry. Kilka wymachów ramion (był też ekspertem w pływaniu) i znalazł się przy brzegu.

– Właściwie – powiedział – to możemy sobie darować łowienie ryb. Na razie i tak w promieniu kilku kilometrów nie ma ani jednego pstrąga.

– Czy to znaczy, że znowu będziemy musieli jeść suszoną sarninę?

– To nie ja przepłoszyłem wszystkie ryby.

Lyss ledwie panowała nad emocjami. Zawsze przychodziło jej to z trudem. Jej matka, królowa, nieustannie ją upominała, żeby najpierw myśleć, a potem mówić, ale dziewczynka zwykle działała bez zastanowienia.

Jej starszy brat był inny. Prawie niemożliwe wydawało się wciągnięcie go w kłótnię. Ich ojciec mawiał, że Adrian długo się rozgrzewa. Za to jak już się rozgrzeje, nie da się go ostudzić. Żadnym sposobem.

Leżeli na plecach obok siebie, mrużąc oczy w słońcu późnego lata, które przesierało przez drżące liście topoli nad ich głowami. Adrian także drżał i Lyss wyczuwała jego wyrzuty sumienia. To nie on ponosił winę za to, że Hana nie żyła, a życie Lyss było w rozsypce.

– Nie chcę wracać – powiedziała.

Adrian chrząknął znacząco.

– Mówię poważnie. Moglibyśmy tu zostać i utrzymywać się z ziemi.

– To chyba musiałyby być tylko ziemia. Raczej nie wyżylibyśmy z rybołówstwa.

– Dobrze sobie radzę z łukiem – zauważyła. – Tata tak mówi. A ty znasz się na roślinach. Moglibyśmy zbudować własną sadybę, zanim spadnie śnieg. Albo wprowadzić się do tych ruin. – Wskazała na Dolinę Królowych. – Nazwalibyśmy ją Sadybą Uciekinierów.

Adrian zamknął oczy i spazmatycznie wypuścił powietrze z ust. Lyss dostrzegła na jego twarzy ból. Oboje potrzebowali odpoczynku – musiała go tylko o tym przekonać.

Usiadła i wyjęła z torby zeszyt. Zapisała nazwę. Sadyba Uciekinierów. Potem ją narysowała: niezdarny szkic zniszczonego pałacu letniego, dym wydobywający się z dwóch kominów i ich dwoje wyglądających z okien.

Skinęła na brata i wyciągnęła notes w jego stronę. Zwykle podziwiał jej historie i rysunki, ale tym razem pokręcił głową.

– Ile, według ciebie, zajęłoby klanom odnalezienie nas?

– Zanim to się stanie, ktoś inny będzie musiał być królową.

– Ktoś inny już *jest* królową. Nasza mama nigdzie się nie wybiera. Ty do szesnastego dnia imienia nie będziesz nawet nazywana księżniczką następczynią tronu. A do tego momentu jeszcze pięć lat.

– Ale gdy już wejdę na tę ścieżkę, nie będzie możliwości powrotu ani zejścia na bok. – Popatrzyła na niego. – Czemu przez jakiś czas nie moglibyśmy mieć króla?

– Jeżeli myślisz o mnie, moja odpowiedź brzmi nie – odrzekł Adrian. Przestał tym samym ją ignorować. Usiadł i oparł się plecami o pień topoli.

– A Finn?

– Finn? – Przewrócił oczami. – Wiem, że czujesz do niego miętę, ale...

– Nie czuję do niego mięty! – odparowała.

– Słuchaj, nikt nie chce króla, a już na pewno nie króla czarownika. Klany wszczęłyby wojnę, a Arden natychmiast zajęłoby nasze królestwo. – Zerknął na siostrę. – A skoro mowa o Ardenie, to król Gerard... on tylko czeka na okazję.

– Nie o nim myślałam – odpowiedziała Lyss głosem drżącym ze złości. – On nigdy, przenigdy nie zdobędzie tronu Szarych Wilków. W jakiś sposób kiedyś każe mu zapłacić za zamordowanie Hany. – Ich siostra zginęła w potyczce z żołnierzami z Południa na pograniczu. Chociaż król Ardeny sam nie machnął mieczem, to byli jego żołnierze, jego rozkazy, jego wina.

– Nie sądzisz, że łatwiej byłoby to zrobić, gdybyś była królową? – spytał Adrian. Miał w zwyczaju mówić jej to, co sama w głębi duszy wiedziała, tylko nie chciała wydobywać tego na światło dzienne.

Lyss zamknęła oczy, ale było za późno. Spod jej powiek już wypływały łzy, które powoli toczyły się po policzkach.

– To nie w porządku – szepnęła i jej ciałem wstrząsnął szloch. – Nigdy nie miałam być królową.

Adrian chwycił jej dłoń.

Lyss, czując magię przepływającą jej przez palce, wyszarpnęła rękę z jego uścisku.

– Przestań! – burknęła. – Nie uspokajaj mnie!

– Nie nosisz swojego talizmanu? – zapytał Adrian zdziwiony. – Czy Tancerz Ognia nie mówił ci, że nie powinnaś go nigdy zdejmować?

– Nie przypuszczałam, że będę potrzebowała ochrony przed własnym bratem.

– Nieważne, z kim jesteś, masz nosić talizman – oznajmił, znowu przyjmując rozkazujący ton. Kiedy nie odpowiadała, dodał łagodniej: – O co chodzi, Lyss? Czego naprawdę się boisz?

– Wszyscy kochali Hanę – powiedziała smutno. – Ona byłaby wspaniałą królową. Ja się do tego nie nadaję.

– Nieprawda. To, że nie jesteś Haną, nie znaczy, że nie będziesz wspaniałą królową – stwierdził Adrian. – Ty masz swoje mocne strony.

– Jakiś przykład?

Chwilę potrwało, nim przywołał dowód na potwierdzenie swoich słów.

– Mówisz prawdę.

– Może i tak, ale przez to tylko pakuję się w kłopoty.

– Nie znosisz oszustwa.

– A królowe muszą to znosić całymi dniami. I jeszcze same wciskać kit innym.

Roześmiał się.

– Widzisz? Dużo wiesz o byciu królową.

Lyss tylko burknęła. Nie widziała nic śmiesznego w swojej sytuacji – wcale a wcale.

Po chwili Adrian wrócił do przerwanej rozmowy.

– Jesteś bystrą obserwatorką... nic się przed tobą nie ukryje. Świetnie tropisz zwierzynę, dobrze jeździsz konno i celnie strzelasz z łuku. I znakomicie piszesz, rysujesz i grasz na bazylce. Twoje piosenki trafiają prosto w serce.

To była prawda. Kiedy pisała, miała czas na zastanowienie się i poprawki. Inaczej niż gdy otwierała usta.

– Może napiszę do króla Gerarda krytyczny list – powiedziała Lyss, przewracając oczami. – To go powinno przywołać do porządku. Mogą mi wyryć na nagrobku: „Lepiej radziła sobie na piśmie”.

– Czy tego właśnie się boisz? Co ludzie o tobie powiedzą?

– Częściowo. Królestwo istnieje od ponad tysiąca lat. Nie chcę zostać zapamiętana jako królowa, która je zniszczyła.

– Jeżeli zostanie zniszczone, to nie z twojej winy – stwierdził Adrian, zaciskając szczęki.

– Wina spadnie na mnie. Powinnam być królową w spokojnych czasach, a nie kiedy jesteśmy w stanie wojny.

– Tutaj nigdy nie ma spokoju. Nie było go dwadzieścia pięć lat temu, kiedy nasza matka przejmowała tron. I nie ma teraz. – Poczekał, a kiedy nie odpowiadała, mówił dalej: – Ta wojna nie może trwać wiecznie. I tak musisz to zrobić, nie ma nikogo innego.

– A Julianna? Ona przynajmniej *wygląda* jak królowa.

Julianna była jej kuzynką, córką ciotki Mellony. Szczupła, pełna wdzięku, zawsze zdawała się mówić to, co należało. Ludzie ją kochali.

Adrian parsknął.

– Naprawdę myślisz, że byłaby lepsza od ciebie? Ona nie ma twojej siły charakteru. Ani serca.

Każdy byłby lepszy ode mnie, chciała powiedzieć Lyss, ale wiedziała, że to nieprawda. Może i nie pragnęła tej funkcji, lecz nie było nikogo, kto mógłby ją zastąpić.

– Nie bądź dla siebie taka surowa. Dopiero co minął twój jedenasty dzień imienia, a Hana zginęła w wieku dwudziestu lat. Musisz przestać się z nią porównywać.

– Kiedy wszyscy mnie z nią porównują – mruknęła.

– Prawdopodobnie będziesz już starą kobietą, gdy przejmiesz tron – zauważył. – Masz jeszcze dużo czasu, żeby się wszystkiego nauczyć.

– Tobie łatwo tak mówić – stwierdziła Lyss, chociaż wiedziała, że to nieprawda. – Ty możesz sobie robić, co chcesz. Wyjedziesz do Oden's Ford i zapomnisz o naszym istnieniu.

Adrian sięgnął po płaski kamień i puścił kaczkę na wodę.

– Nie wiem, czy tak będzie.

Lyss podniosła na niego zdumiony wzrok.

– Jak to? Wiem, że jeszcze jesteś za młody, żeby iść do Mystwerku, ale...

– Chciałbym już teraz uczyć się z uzdrowicielami – oznajmił.

– Czarownik w jednej szkole z uzdrowicielami? To nie do pomyslenia.

– Wszyscy tak mówią, gdy o tym wspominam. A teraz, kiedy Hana nie żyje, mama nawet nie chce słyszeć o Oden's Ford.

Lyss też znalazła kamień i rzuciła na wodę, ale podskoczył tylko dwa razy, nim zniknął w głębinie.

– Zmieni zdanie.

– Dlaczego zawsze łatwiej jest o optymizm, kiedy chodzi o cudze kłopoty? – zauważył Adrian z goryczą. – W każdym razie nie przyszliśmy tu rozmawiać o mnie i moich problemach.

Lyss przygryzła wargę, czując wyrzuty sumienia.

– Ale możemy, jeśli chcesz.

Pokręcił głową, jego niebieskozielone oczy skupiły się na jej twarzy.

– Nie przyprowadziłem cię tutaj, żebyś uciekła przed kłopotami. Sprowadziłem cię do starej stolicy, bo pochodzisz z rodu, który rządził stąd całym kontynentem. Czasami trzeba się na chwilę oderwać, by sobie przypomnieć, kim się jest. Uwierz w siebie, Lyss. Jesteś na tyle silna i bystra, żeby podołać

temu zadaniu. Nie pozwól sobie wmówić, że jest inaczej. Kochasz te góry i ich mieszkańców. Jesteś uczciwa, wiesz, co słuszne, i potrafisz tego bronić. Jesteś twarda i nie jesteś zarozumiała. Takiej właśnie królowej potrzebujemy. Wolałbym jedną ciebie niż piętnaście Juliann. Albo pięciuset Finnów.

Lyss poczuła iskierkę nadziei, która szybko rozbłysła i równie szybko zgasła.

– Ciągle mam te sny, w których wszyscy są martwi, a ja stoję sama na szczycie Hanalei, tylko ja i wilki.

– Nie będziesz sama. Mama cię nauczy, tata będzie ci pomagał, i będziesz miała związanego przysięgą kapitana, takiego jak Byrne. Ja też będę cię wspierał, jak tylko będę mógł, w czym będziesz chciała. Nawet jeśli dostanę się do Oden's Ford, to przecież po skończeniu szkoły wrócę.

Wolałabym pomagać królowej, niż być królową, pomyślała Lyss. Jednak świadomość, że będzie miała brata po swojej stronie, wiele dla niej znaczyła. Uklękła na wprost niego.

– Obiecujesz? – Chwyciła go za obie dłonie. – Obiecujesz, że nie zostawisz mnie samej?

– Obiecuje – odparł, patrząc jej w oczy. – Napiszesz własną historię jako królowa, a ja odegram w niej każdą rolę, jaką mi przydzielisz.

To było jak złożenie ślubów. Pozostali tak na klęczkach jeszcze przez kilka sekund, aż w końcu Adrian powiedział:

– Teraz powinniśmy się rozejrzeć za dobrym miejscem na biwak, zanim zajdzie słońce.



PŁACZĄCY STRUMIEN

Lyss zaczerpnęła wody z Płaczącego Strumienia i popiła suchy kęs sera i chleb podróżny. Chciałaby tak samo łatwo spłukać swoje wspomnienia.

Reszta jej szwadronu, porozrzucana wzdłuż brzegów strumienia, korzystała z krótkiego postoju, by się pożywić, odpocząć i napoić konie.

Po chlebie przełknęła kilka pasków łykowatej sarniny oraz garść suszonych owoców i orzechów. Te żołnierskie racje żywnościowe już wychodziły jej bokiem. Wojsko w drodze nie miało czasu na polowanie czy pieczenie świeżego mięsa.

Ledwie cztery lata temu Lyss i jej brat Adrian biwakowali nad brzegiem tego strumienia po śmierci Hany. Cztery lata temu brat złożył jej solenną obietnicę.

Nie będziesz sama.

Później, zaledwie po kilku miesiącach, podczas Przesilenia, jej ojciec i brat wpadli w zasadzkę na ulicy Fellsmarchu. Ojciec został zamordowany, a brat zniknął bez wieści. Pozostała po nim tylko umazana krwią torba.

Pochowały ojca obok Hany w Świątyni Katedralnej, a potem w napięciu czekały na wiadomości o Adrianie. Spodziewały się żądań ogromnego okupu lub jakiegoś przerażającego dowodu śmierci od króla Ardeny. Otrzymały zaś... nic. Po czterech latach milczenia Adrian został uznany za zmarłego – przez

prawie wszystkich oprócz Lyss. Wbrew wszelkim dowodom ona wciąż wierzyła w cuda. Mimo wszystko miała nadzieję, że brat żyje – może w niewoli, gdzieś w lochach na Południu, chociaż zdrowy rozsądek mówił, że lepiej dla niego byłoby nie żyć, niż być więźniem Ardeny.

Gdyby nie żył, wiedziałabym o tym.

Na początku wprost rozsadzała ją chęć szukania brata. Matka stanowczo zabroniła jej podejmowania jakichkolwiek prób w tym kierunku, a nawet przydzieliła jej całodobową ochronę, żeby Lyss nie myślała o ucieczce.

W końcu, mimo oporów Lyss, odbył się pogrzeb Adriana, a ona sama dorosła na tyle, by zrozumieć, że nawet jeśli jej brat żyje, ona i tak nie ma pojęcia, gdzie go szukać.

Wciąż miewała sny, w których stawał w drzwiach i pytał, dlaczego nikt go nie szukał.

To jest ziemia złamanych obietnic, pomyślała. Przyzwyczaj się. Miałam sporo na głowie, odkąd zniknąłeś.

Rzuciła kamień, który miał dotrzeć na drugi brzeg, lecz wcześniej wpadł do wody. Obok niej Sasha grzebała w torbie, zapewne poszukując czegoś, co pozostało do zjedzenia. Nikt w tej grupie żołnierzy nie miał ani grama tłuszczu, ale Sasha była duża i jej apetyt odpowiadał jej gabarytom.

– Łap – powiedział Cam, rzucając jej woreczek suszonych jagód. – Ja już się najadłem.

Sasha odrzuciła mu owoce.

– Zjedz, żołnierzu. Ja mam dużo więcej mięsa na kościach niż ty.

To była prawda. Cam zawsze wyglądał na niedożywionego – chudy jak szczapa, z kończynami, które jakby wyrosły mu w jeden dzień.

Sasha Talbot i Cam Staunton należeli do gwardii królewskiej Szarych Wilków, przydzielonej Lyss na porę kampanii wojennych. Chociaż nosili mundury regularnej armii, mieli tylko jedno zadanie: utrzymać przy życiu następczynię tronu Szarych Wilków. To stawało się coraz trudniejsze, w miarę jak wojna się przeciągała i cierpliwość Lyss się kurczyła.

Staunton służył w gwardii od niedawna. Jego matka była kapralem w szwadronie Lyss. Zginęła na Trzęsawiskach w zeszłym roku i Cam został jedynym opiekunem dwóch młodszych braci.

Jeszcze dobrze nie zgasły ogniska pogrzebowe, kiedy dwunastoletni Cam przyszedł do Lyss, by się zaciągnąć do piechoty górskiej.

– Chciałbym dla was walczyć, pani – powiedział, unosząc głowę i prężąc sylwetkę. – Wszyscy mówią, że przy was będę brał udział w prawdziwych walkach.

– Zostań jeszcze w domu, Cam – odparła. Choć była od niego tylko dwa lata starsza, miała wrażenie, że dzielą ich dekady.

– Wy walczyliście na wojnie w wieku dwunastu lat – zauważył chłopak. – Mama mi opowiadała. Jako trzynastolatka wyciągnęliście sztandar Szarych Wilków z martwych rąk swego dowódcy i poprowadziliście atak, który wyparł Południowców do Świętej Wody. A w zeszłym roku...

Lyss uniosła rękę.

– Nie wierz we wszystko, co słyszysz – powiedziała. – Opowieści lubią się rozrastać. I nie mówią całej prawdy.

Cam zacisnął szczęki.

– Wielu moich rówieśników jest w wojsku. Ja się nie zaciągnąłem tylko dlatego, że mama mi nie pozwalała. Zawsze mówiła, że muszę się opiekować braćmi.

Lyss wiedziała, że każdy inny komendant przyjąłby go od razu. Był bardziej obiecujący jako rekrut niż wielu z tych, którzy już brali udział w walkach. Gdyby mu odmówiła, nic by go nie powstrzymało przed pójściem do innej formacji.

– Kto zajmie się twoimi braćmi, kiedy pójdziesz na wojnę?

– Mam starszych kuzynów w pobliżu Ściany Zachodniej – odparł Cam. – Mogą u nich zostać na czas kampanii.

– A szkoła?

– Już prawie skończyłem Szkołę Świątynną. Ale będę się pilnie uczył, jak wrócę do domu.

Lyss westchnęła. Wiedziała, co się dzieje z takimi obietnicami.

– Dlaczego chcesz iść na wojnę? Zostań czeladnikiem. Znajdź zawód, który będziesz mógł wykonywać po wojnie.

– Po wojnie? – Cam wyglądał na zaskoczonego. – Czy naprawdę myślicie, że to się niedługo skończy?

Nie mogła okłamać tego chłopca, który już tak wiele stracił.

– Nie wiem – powiedziała.

– No to ja chcę pomóc – oświadczył. – Chcę ścigać tych, którzy zabili mi matkę.

W końcu porozmawiała z kapitanem Byrne'em i Cam został przyjęty do Szarych Wilków. To miało go utrzymać poza polem bitwy i umożliwić mu stacjonowanie blisko domu. Tego lata jednak został przydzielony do Lyss, więc ostatecznie i tak trafił na front.

Czy można właściwie powiedzieć, że w Dolinie jest bezpieczniej? – pomyślała Lyss.

Królowe Fells były związane krwią i historią z Górą Duchów. Ich przodkowie z rodu Szarych Wilków pełnili straż w lasach i na górskich przełęczach. Te szczyty zawsze stanowiły nieprzebytą barierę, która od południa osłaniała królestwo przed wrogami. Dwadzieścia pięć lat temu, kiedy jej matka Raisa była młodą królową, potworny Gerard Montaigne, król Ardeny, przedarł się przez te góry. Jego wojska dotarły aż do bram Fellsmarchu i zażądały kapitulacji.

Wówczas najeźdźców odparto, umocniono granice i od tamtej pory przez dwadzieścia pięć lat wojny udawało się utrzymywać wrogów poza granicami kraju. Niespodziewanie cztery lata temu zaczęły się zabójstwa. W pierwszym Lyss straciła ojca i brata, ale na rodzinie królewskiej się nie skończyło. Najczęściej ofiarami padali czarownicy, lecz ginęli także oficerowie armii, wojownicy klanowi, przedstawiciele rządu i arystokraci. Tym, co ich łączyło, był wkład w wysiłek wojenny lub bliski kontakt z królową.

Jak bronić się przed wrogiem, który mógł być wszędzie i uderzyć w każdej chwili?

Lyss zanurzyła bukłak w lodowatym strumieniu, by nabrać wody na dalszą podróż. Potoki spływające ze szczytu Alyssy

zawsze były zimne – zasilane topniejącym śniegiem, który spływał od wiosny do późnego lata, kiedy to stoki zaczynał okrywać świeży biały puch. Południowcy nazywali ten szczyt inaczej – Nierządnicą, bo była to góra, która łamała męskie serca.

Może serca Ardeńczyków, pomyślała Lyss.

W ciągu kilku ostatnich dni oddalali się od Przydrożnej Kolonii, by dołączyć do reszty salwonu w Dolinie Królowych, która rozpościerała się przed nimi – szachownica małych gospodarstw w środku pory żniw.

– Ktoś się zbliża – powiedziała Sasha, spoglądając ponad ramieniem Lyss. Z niedowierzaniem zmrużyła oczy. – Wygląda na Tancerza Cieni.

– Co? – zdziwiła się Lyss. – Myślałam, że jeszcze jest w kolonii Demonai. – Obróciła się i przymrużyła oczy, oślepiona porannym słońcem. Zobaczyła jeźdźca pokonującego dolinę od strony namiotu sztabowego. – Masz rację. To on. Ciekawe, co go tu sprowadza.

Cień zatrzymał się obok Lyss, zsalutował, zsiadł z konia i zamaszystym gestem podał jej tubę z depeszą.

– Od generała Dunedain – oznajmił.

Lyss objęła go na powitanie, na chwilę ignorując depeszę. Zapach topnika, węgla i metalu świadczył o tym, że Cień nie oddalał się na długo od kuźni.

– Co ty tu robisz?

– Przywiozłem nowy ładunek sprzętu waszemu kwatermistrzowi – powiedział.

To miało sens. W wieku szesnastu lat Cień był już jednym z najbardziej utalentowanych wytwórców magicznych artefaktów w całym królestwie. Tacy jak on klanowi rzemieślnicy produkowali broń i magiczne narzędzia wspierające wysiłek wojenny Północy.

To jednak nie wyjaśniało, dlaczego dostarczał depesze.

– Od kiedy jesteś posłańcem?

– Słyszałem, że dzisiaj może się trafić okazja zabicia kilku Południowców, więc postanowiłem przedłużyć swoją wizytę. –

Liczne warkoczyki w jego włosach świadczyły o tym, że rzadko rezygnował z okazji do walki i że zwykle wychodził z nich zwycięsko. Chociaż jego działalność miała istotne znaczenie dla przebiegu wojny i z racji tego nie powinno się go narażać na śmierć, utrzymanie go z dala od pola bitwy było prawie niemożliwe. Cień był najgroźniejszym kowalem w królestwie.

Nosił na szyi szalik szeregowca, i to stanowiło cały jego mundur. Talent do tworzenia magicznych artefaktów prawdopodobnie odziedziczył po pochodzącym z klanu ojcu, który był obdarzony mocą, lecz wygląd i zuchwałego, niezależnego ducha zawdzięczał matce z Wysp Południowych.

Matka Cienia, Cat Tyburn, dowodziła siatką szpiegowską królestwa do momentu, kiedy dwa lata temu ktoś poderżnął jej gardło i wrzucił jej ciało do Dyrny. Była sprytna i zaprawiona w walkach ulicznych jak mało kto, dlatego Lyss nie mogła zrozumieć, jak mogło do tego dojść.

Cat odeszła, ale pozostawiła po sobie upartego i temperamentnego syna. Lyss i Cień w dzieciństwie byli nierozłączni, lecz ostatnio rzadko się widywali w porze kampanii wojennych. A teraz...

– Myślałam, że masz ważniejsze rzeczy na głowie – powiedziała Lyss. – Słyszałam, że planujesz ślub.

Cień potaknął, na jego policzki wypłynął rumieniec.

– Widać, że wieści docierają szybciej niż ja.

– Ustaliliście już datę?

Pokręcił głową.

– Mój ojciec chce, żebyśmy poczekali jeszcze rok albo dwa. Topola i ja i tak mamy mnóstwo pracy, więc prawdopodobnie byłoby to dopiero jakoś w przyszłym roku. Nie martw się... dostaniesz zaproszenie, jak tylko będę wiedział, kiedy i gdzie to się odbędzie.

Lyss już kilka razy spotkała narzeczoną Cienia, Topolę Srebrny Liść, na targach klanowych. Jej warsztat znajdował się w Fortecznych Skałach, średniej wielkości miasteczku na północnym wschodzie, gdzie opiekowała się czworgiem rodzeństwa.

Jesteśmy krajem sierot, pomyślała Lyss, robimy to, czym powinni się zajmować nasi nieżyjący rodzice.

Topola była spokojna, praktyczna i bardzo rozsądna. Odpowiednia dla Cienia. Odkąd byli razem, bardziej na siebie uważał.

Mimo to Lyss trudno było się pogodzić z myślą, że Cień się ożeni i ustatkuje, nawet jeżeli miałyby to przedłużyć mu życie. Przez wiele lat, nawet pozostając z dala od siebie, byli przyjaciółmi skupionymi na jednym: powstrzymać armię króla Ardeny przed najazdem na ich ojczyznę. Czy zakładanie rodziny w sytuacji, gdy wciąż trwa wojna, nie jest kuszeniem losu?

– Gdzie będziecie mieszkać? Jak już się pobierzecie. – Jeśli on przeniesie się do Fortecznych Skał, już go więcej nie zobaczę, pomyślała. Wiedziała, że ten żal jest przejawem egoizmu.

– Wszystko w swoim czasie – roześmiał się Cień. – Dopiero się przyzwyczajam do myśli o ożenku. – Pomachał jej depeszą przed nosem. – Nie chcesz tego przeczytać, skoro przebyłem z tym taką drogę?

Lyss wydobyła papier ze środka, rozwinęła, przejrzała i zmięła w garści.

– Co jest? – zapytała Sasha, natychmiast zaniepokojona.

– Ci przekłeci błotniści podjęli decyzję – odparła Lyss. – Zmierzają ku przełęczy. Mason i Littlefield spotkają się tam z nami.

Sasha wyjęła lunetę i spojrzała na góry.

– Ilu?

– Nie pisze, ale na pewno mają ze sobą zniewolonych magów. Wysyłają nam Finna.

– Sul'Mander też tu jest? – Cień przerzucił wzrok z Sashy na Lyss, a z jego twarzy nie dało się niczego odczytać. – Ostatnio słyszałem, że był z królową na pograniczu.

– Był. Wiosną został ranny i od tamtej pory przebywał w szpitalu. Właśnie wrócił ze stolicy. Widocznie myślą, że przyda nam się trochę więcej obdarzonych mocą.

Chociaż Cień i Finn byli dalekimi krewnymi (dziadek Cienia pochodził z rodu Bayarów), Lyss zawsze miała wrażenie, że ten pierwszy w jakiś sposób Finna odtrącał. Jej zdaniem nie chodziło o istniejący od wieków brak zaufania między klanowcami a czarownikami – w końcu ojciec Cienia był czarownikiem.

Może powodem było to, że obaj żyli bardzo intensywnie, choć w zupełnie inny sposób.

– Ja mogę z wami pojechać – powiedział Cień, poprawiając łuk przy siodle. – Jestem obdarzony mocą.

– Wiem – Lyss przewróciła oczami – ale czy umiesz się podporządkowywać rozkazom?

– Umiem wykonywać rozkazy tak samo jak każdy Demonai – rzekł, co ustawiało poprzeczkę raczej nisko. – Zresztą generał Dunedain już się zgodziła.

– Dobrze – odparła Lyss, poirytowana, że załatwił to za jej plecami. – Tylko pamiętaj... nie chcę słyszeć narzekań, kiedy pojawią się kłopoty.

Nie powiedziała na głos tego, co jeszcze pomyślała: że ta ardeńska ofensywa musi być groźniejsza, niż myśleli, skoro Dunedain postanowiła zrekrutować dostawcę czaromiotów.

– Ruszajmy! – zawołała, by poderwać resztę szwadronu. – Szykować się do drogi!

Nim załadowała swój sprzęt, zobaczyła kolejnego samotnego jeźdźca galopującego w ich stronę. Jego jasne włosy błyszcząły w porannym słońcu.

Finn. Żołądek Lyss wykonał zwyczajowe salto. Miała słabość do Finna sul'Mandera, odkąd skończyła jedenaście lat. Często widywała go z Adrianem i jego kolegami w czasach, kiedy jej uwielbienie dla brata rozciągało się na wszystkich z jego otoczenia.

W tamtym czasie w nieporadny sposób próbowała wyciągać z Adriana informacje. „Czy on naprawdę jest twoim przyjacielem?” – pytała.

„Jasne, że tak – odpowiadał zdziwiony. – Nie spędzałbym z nim tyle czasu, gdybyśmy nie byli przyjaciółmi”.

„Ale to przecież Bayar – mawiała. – Tata powtarza, że nie powinniśmy ufać Bayarom, prawda?”

„On jest z Manderów – brzmiała odpowiedź jej brata. – Zresztą on jest inny. Nie taki jak oni wszyscy”.

Lyss nie wiedziała, co właściwie miał na myśli, ale to wystarczyło, by ją uspokoić. Zawsze uważała Finna za poważnego, tajemniczego, o głębokim wnętrzu. To się nie zmieniło. W czasie wojny wielu jej rówieśników rzucało się intensywnie w wir życia: walczyło, kochało i umierało w młodym wieku. Jakby próbowali przeżyć całe życie przed osiągnięciem dwudziestki. Mimo licznych okazji Finn zdawał się nie grać w te romantyczne gry, które tak pociągały innych. Jeżeli nawet miał w przeszłości jakąś ukochaną, to był to pilnie strzeżony sekret.

Może dlatego Lyss go lubiła. Zaloty i romantyczne słówka też nie były w jej stylu. Jak tylko się w kimś zakochujemy, ten ktoś wyrusza na wojnę i zostaje zabity. Kiedy przyjdzie pora wyjść za mąż, znajdę kogoś z armią, statkami wojennymi i dużym workiem pieniędzy, myślała. Wtedy wykonam swój taniec wojenny.

W ciągu ostatnich czterech lat Finn rzadko bywał w okolicy – albo przebywał w akademii w Oden’s Ford, albo walczył na pograniczu. Opowieści, które docierały do Lyss, o odwadze, jaką się wykazywał pod ogniem nieprzyjaciela, jeszcze zwiększały jego atrakcyjność w jej oczach.

Gdy miała jedenaście lat, podobało jej się wielu chłopców. Z tych wszystkich zauroczeń przetrwało tylko to jedno.

– Porucznik Gray – odezwał się Finn, pociągając za wodze i salutując. – Jak zawsze do waszych usług.

Lyss na chwilę oniemiała. Finn nadal był przystojny, ale czas spędzony w infirmerii zmienił go. Był chudy i wymizerowany, w jego podkrążonych czarnych oczach widać było zmęczenie i ból, skórę miał niemal tak bladą jak włosy.

Zaniepokojona, pochyliła się, by przyjrzeć mu się bliżej.

– Wszystko w porządku? Słyszałam, że byłeś ranny.

Finn pociągnął za wodze, aż jego koń zrobił kilka kroków w tył.

– Tak. Nic mi nie jest – odparł tonem, który kazał jej się wycofać.

– To dobrze. – Hardo uniosła głowę. – Cieszę się.

Skrzywił się i dodał delikatniej:

– Czy nie takiej odpowiedzi oczekuje się od żołnierzy? Nieważne, czy to prawda czy nie. – Westchnął. – Ja tylko... tyłu z nas zginęło, i po co? Możemy wygrać każdą bitwę, a i tak przegrać tę wojnę. To ogromna strata.

– Czy według ciebie powinniśmy coś robić inaczej? – zapytała Lyss.

– Wszystko – odparł. – Jestem gotów oddać życie za to królestwo, ale nie widzę, żeby to coś dało. – Odwrócił wzrok. – Nieważne. Nie powinienem tego mówić.

– Cieszę się, że to powiedziałaś. Mój ojciec mawiał: „Jeśli będziesz nadal robił to, co do tej pory, dostaniesz to, co do tej pory”. W naszym wypadku... nieustającą wojnę.

Finn ponownie zwrócił się w jej stronę i spojrzał na nią uważnie.

– Naprawdę to rozumiesz – powiedział.

– Nie tylko rozumiem – stwierdziła. – Zgadzam się z tym.

Uśmiechnął się, a Lyss poczuła, że topnieje od tego uśmiechu. Znała wiele dziewcząt, które oddałyby wszystko za jeden uśmiech Finna sul'Mandera, lecz on nie był pod tym względem rozrzutny.

– Musimy jechać – oznajmiła. – Mason i Littlefield spotkają się z nami przy przełęczy.

Obróciła konia, a Finn ustawił się obok niej, tak że jechali ramię w ramię. Sasha i Cam zajęli swoje pozycje, jedno przed Lyss, drugie zaraz za nią.

Kiedy jechali na wschód, słońce zniknęło za wielką górą i powietrze wyraźnie się ochłodziło. Lyss czuła zimny powiew na karku.

– Powinienem ci coś powiedzieć – rzucił Finn, przysuwając się do niej. – Nie wracam w tym roku do akademii.

– Nie? – Czy dlatego był taki markotny? – Czemu?
– Chcę zostać w domu. Postanowiłem uczyć się pod okiem lorda Vegi w infirmerii.

– Ale... zawsze mówiłeś, że uwielbiasz Oden's Ford.

– Owszem – przyznał. – Ale już czas przestać być egoistą i zrobić coś dla królestwa.

– Finn... jesteś nieoceniony na polu bitwy. Zostałeś poważnie ranny w walce o królestwo. Nie widzę w tym nic egoistycznego.

Z był to wzruszeniem ramion.

– Po prostu myślę, że powinienem w inny sposób wnieść swój wkład w tę wojnę. Po miesiącach spędzonych w infirmerii, po tym, jak zobaczyłem, jaką ważną pracę tam wykonują, zrozumiałem, że to jest moje miejsce. Lord Vega jest dla mnie prawdziwym mentorem.

To było tak samo zaskakujące jak decyzja Finna o tym, że nie wróci do akademii. Lyss przypomniała sobie narzekania Adriana na lorda Vegę, które zresztą były podobne do opinii jego przyjaciela Tya Gryphona. Ich zdaniem ten czarownik zdecydowanie nie był typem mentora.

No cóż, pomyślała, niech im obu to wyjdzie na dobre. Vega od lat utyskiwał na brak młodych chętnych do pracy w infirmerii. Albo zdał sobie sprawę, że problemem jest jego zachowanie, albo natrafił na kogoś, kto jest w stanie z nim wytrzymać.

Starła się nie mieć uprzedzeń do Harrimana Vegi, ale szczerze mówiąc, nie znosiła go. Miała nadzieję, że nie chodziło tu o to, że nie mogła mu wybaczyć, iż nie uratował życia jej ojcu. To on ogłosił zgon jej taty jeszcze na ulicy.

– Czy generał Dunedain wie? Że chcesz odejść z armii?

Finn zaprzeczył ruchem głowy.

– Zamierzam jej powiedzieć, kiedy wrócimy do stolicy jesienią.

– Chyba nie muszę mówić, że będzie nam cię brakowało – rzekła Lyss.

Finn się uśmiechnął.

– Ale i tak możesz to powiedzieć. Śmiało.

Porucznicy Mason i Littlefield spotkali się z nimi przy przełęczy. Towarzyszył im kapitan Starborn, dowódca salwonu. Był jednym z nielicznych wojowników z klanu Demonai, którzy zaciągnęli się do regularnej armii.

– Dobre wieści! – zawołał z szerokim uśmiechem. – Mamy dzisiaj wielu nizinnych do zabicia.

– Prawdziwy Demonai – mruknęła Sasha, patrząc z niepokojem na Lyss.

– Ilu? – zapytała Lyss.

Starborn machnął ręką, pokazując, że mówi o przybliżonych liczbach.

– Nasi zwiadowcy uważają, że to może być cała brygada.

– Brygada! – Littlefield zrobił się nienaturalnie blady.

Starborn skinął głową.

– A więc – zatarł dłonie z zadowoleniem – będziemy mieli sporo pracy.

– Chyba powinniśmy poczekać na wsparcie – nalegał Littlefield.

– Nie mamy czasu do stracenia – oznajmił Starborn. – Musimy ich utrzymać na przełęczy... tym sposobem będziemy walczyć tylko z kilkoma naraz. Jeśli rozjadą się w dolinę, będą mogli wykorzystać swoją liczebność.

Lyss nachyliła się, Pudding poruszył się pod nią, wyczuwając jej niepokój.

– W takim razie ruszamy? Mój szwadron może zająć pozycje na przedzie, gdzie Finn będzie mógł najlepiej wykazać swoją skuteczność.

Starborn spojrział na nią z uznaniem i skinął głową.

– Naprzód, porucznik Gray. Będziemy zaraz za wami.

Lyss dała sygnał swoim żołnierzom, a sama wysunęła się na czoło. Sasha i Cam jechali po obu jej stronach, Finn i Cień zaraz za nimi.

– Czy zawsze musisz jechać na czele? – syknęła Sasha. – Nie mogłabyś czasami przypomnieć sobie, kim jesteś?

– Ja nigdy nie zapominam, kim jestem – odparła Lyss. – Właśnie dlatego jadę na czele.



3

MATELON

Halston Matelon nigdy by nie przyznał, że nie może się doczekać bitwy – ale tak było. Po frustrującym okresie wypatrywania wrogów w Delphi perspektywa poprowadzenia wojsk do walki wydawała się bardzo kusząca. Chociaż nie była to walka, którą chciałby toczyć.

Żołnierz nie wybiera sobie bitew – powtarzał jego ojciec. *Ma za zadanie wygrać tę bitwę, która jest przed nim.* Jeśli stosować taką miarę, Hal był dobrym żołnierzem. Szybko awansował w armii imperium. W wieku siedemnastu lat był już kapitanem. Jego ludzie byli dobrymi, lojalnymi żołnierzami i wygrywał z nimi więcej bitew, niż przegrywał. Nagle jednak właśnie to stało się problemem.

Dziewięć miesięcy temu, podczas Przesilenia, otrzymał nowe rozkazy – król Gerard zwolnił go ze służby wojskowej i wysłał do podbitego miasta Delphi, gdzie miał pilnować przestrzegania praw stanu wojennego.

– Czemu to robi? – zapytał ojca przy drugim kuflu piwa. – Przecież jestem dobrym żołnierzem. Czemu wysłała mnie na stanowisko, do którego nie mam przygotowania?

– W tym momencie królowi nie są na rękę twoje wojskowe sukcesy – stwierdził lord Matelon. Potarł podbródek nasadą dłoni. – To chyba moja wina. Zbyt otwarcie krytykowałem tę wojnę.

– Ale... jeśli chce wygrać, po co miałyby robić taki głupi ruch? – Hal rozejrzał się, by sprawdzić, czy nikt ich nie podsłuchuje, chociaż siedzieli na tarasie w Białych Dębach, dobrze chronionej wiejskiej posiadłości Matelona.

– Król Gerard nie chce, żebyś stał na czele armii, kiedy wykona ruch przeciwko mnie – powiedział jego ojciec z gorzkim uśmiechem.

– Myślisz, że to możliwe? – Hal mimo wszystko ściszył głos.

– Dla króla to ważne – stwierdził lord. – Królowi Gerardowi zawsze brakuje pieniędzy, zwłaszcza teraz, gdy rada ograniczyła mu dopływ funduszy. Jednym z rozwiązań, przynajmniej tymczasowych, jest uznanie kogoś z nas za zdrajcę i zagarnięcie jego majątku. Akurat teraz prawdopodobnie ja znajduję się na szczycie listy kandydatów.

Hal popatrzył na zielone wzgórza i lasy rodzinnej posiadłości. W dole widział matkę i siostrę – poruszające się kolorowe punkciki – zajęte zbieraniem kwiatów w ogrodzie. Musiał je chronić, musiał bronić tego miejsca, tego azylu.

– Jeśli przyjdzie po ciebie, sprawię, że tego pożałuje – oświadczył ponuro.

– Mam nadzieję – odrzekł lord Matelon i roześmiał się chrapliwie. – Ale właśnie tego boi się król Gerard. – Po chwili milczenia nachylił się nad stołem. – Musimy też wziąć pod uwagę możliwość, że jego celem jest, żebyś nie wrócił z Delphi żywy.

Hal uderzył dłońmi w stół.

– I nadal twierdzisz, że powinienem jechać? – Hal pozostawiał politykę tym, którzy byli za starzy, by móc się przydać na polu bitwy. Musiał jednak przyznać, że jego ojciec zawsze dobrze sobie radził na obu polach.

– Musisz jechać. Nie możesz dać królowi pretekstu do aresztowania i przetrzymywania cię jako zakładnika dla wymuszenia mojego posłuszeństwa. Delphi to paskudne miejsce, ale cel króla jest jeszcze paskudniejszy. Dlatego myślę, że powinieneś jechać i mieć oczy i uszy otwarte. To nie jest pole bitwy, do jakiego przywykłeś. Nie ufaj Gwardii Królewskiej, ona

służy królowi. Zabierz ze sobą sześciu swoich najlepszych żołnierzy i nie ufaj nikomu innemu. W Delphi codziennie ktoś umiera, uważaj, byś nie znalazł się wśród nich.

Hal wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem, gotując się z oburzenia.

– Czy twoim zdaniem istnieje możliwość, że król się zorientuje, że wysłanie mnie do Delphi było błędem?

– Tak, istnieje taka możliwość. Zawsze jest możliwe, że pochłonie go trzęsienie ziemi. Tylko nie próbuj tego przyspieszać przez zaniedbywanie swoich obowiązków. Nawet gdy przydzielone zadanie ci nie odpowiada, Matelon zawsze robi, co do niego należy.

Oczywiście. Hal słyszał to całe życie. Po tylu latach to zdanie prawdopodobnie miał już wryte w szpik kości.

– Czy masz jakieś inne rady w kwestii przetrwania w Delphi poza tą, żeby się pilnować?

– Jako dowódca wojskowy sprawujący pieczę nad całym dystryktem musisz być widoczny i dostępny. Słuchaj, co ludzie mają do powiedzenia. Jasno przedstaw im zasady, a potem konsekwentnie je egzekwuj. Bądź surowy, kiedy musisz, ale sprawiedliwy. Nie będą cię lubić, ale będą cię szanować. A to najlepszy sposób na zapobieganie kłopotom.

Teraz, po dziewięciu miesiącach na tym posterunku, Hal wiedział, że rady ojca były z gatunku tych, o których mówi się, że łatwo powiedzieć, trudno zrobić. Miał wrażenie, że gdy tylko osiągnął niewielki postęp w stosunkach z mieszkańcami, król Gerard natychmiast to niszczył swoją okrutną, mściwą i arbitralną polityką. Jako siły policyjne podkomendni Hala stanowili dla większości mieszkańców twarz Ardeny, i była to bardzo brzydka twarz.

W ciągu pierwszych czterech miesięcy w tym mieście Hal przeżył trzy próby zamachu na swoje życie. Raz była to trucizna, raz zasadzka na ulicy, a raz ktoś starannie naciął popręg jego siodła. Nie wiedział, czy sprawcami byli delphiańscy partyzanci z organizacji o nazwie Patrioci czy agenci króla, bo gawronce nikogo nie schwytali.

Po tych zdarzeniach przeniósł swoją siedzibę do rezydencji na północ od miasta. Tłumaczył to tym, że chce obserwować kopalnie i północną granicę. Owszem, to była prawda, ale niecała. W ten sposób mógł utrzymywać żołnierzy z dala od centrum i dzięki temu unikać zatargów z mieszkańcami. Można by powiedzieć, że to przejaw tchórzostwa, ale Hal nie miał sumienia znęcać się nad ludźmi. Poza tym nie zamierzał tu zginąć, a jego szanse na przeżycie znacznie wzrastały, kiedy nie musiał chodzić po zatłoczonych ulicach tego miasta.

Czemu tak jest, że kiedy człowiek odnosi sukcesy na polu bitwy, ktoś musi zniszczyć mu życie, powierzając mu stanowisko zarządcy?

Teraz jednak dziwnym zrządzeniem losu wojna przyszła do niego. Generał Karn ulokował całą brygadę przy Bramie Duchów, licząc na to, że zamieni letni impas w drobne zwycięstwo. Karnowi bardzo zależało na zdobyciu choćby niewielkiego terenu, by udobruchać Radę Tanów. Ojciec Hala nie był jedynym, który stracił zainteresowanie finansowaniem krucjaty króla Gerarda przeciwko królowej wiedźmie z Fells.

Plan polegał na przejściu przez Płaskowyż Alyssy i obejściu Nierządniczy, by wkroczyć prosto w Dolinę Królowych. Karn potrzebował doświadczonego dowódcy, który znał teren. Takie przynajmniej uzasadnienie usłyszał Hal, kiedy otrzymał rozkaz dołączenia do tej późnoletniej ofensywy.

Podchodził do tego z ostrożnym optymizmem. To mogło znaczyć, że król zrozumiał, iż nie stać go na wysyłanie dobrych żołnierzy na śmierć w mokradłach Delphi. Tym samym Hal zyskiwał możliwość udowodnienia swojej wartości dla imperium.

Dołączył do armii przy Bramie Duchów. Karn powierzył mu dowództwo nad całym batalionem – jedną trzecią brygady. Hal sprowadził ze sobą pół tuzina zaprawionych w bojach żołnierzy, jednak wkrótce miał się przekonać, że reszta jego podkomendnych to surowi rekruci z podbitych królestw, mężczyźni, spośród których mało kto umiał napiąć kuszę. Byli

kompletnie nieprzygotowani, a do wymarszu pozostawał niecały tydzień.

Hal wezwał swoich weteranów i oznajmił:

– Mam dobre wieści. Wszyscy otrzymaliście awans na poruczników.

Zacząli spoglądać po sobie, szurając nogami i mrucząc niewyraźne podziękowania w oczekiwaniu na to, co nastąpi dalej.

– Zamierzam podzielić ten batalion na pięć kolumn po dwadzieścia cztery osoby. Każdy z was stanie na czele jednej kolumny. Będziecie z nimi maszerować, jadać, spać, poznacie ich i wyłowicie wszystkich uzdolnionych. Zanim ruszymy do walki, macie ich ostro przećwiczyć. Skupcie się na strzelaniu z kuszy, pięciu standardowych komendach, formacjach bitewnych i obchodzeniu się z bronią. Podczas walki będziecie odpowiedzialni za to, by wszyscy wasi podwładni przeżyli.

– Ale, kapitanie – zaprotestował świeżo mianowany porucznik Cousineau – a co z wami? Kto będzie was ochraniał, jeśli...?

– Wykonać – powiedział Hal i odszedł.

Kiedy przyspieszony obóz szkoleniowy się rozpoczął, jego ludzie dzień w dzień wstawali o świcie i intensywnie ćwiczyli, podczas gdy inne bataliony jeszcze spały.

Część zadania polegała na tym, aby zniwelować szkody wyrządzone do tej pory rekrutom. Nasłuchali się oni opowieści starszych żołnierzy – bajek o krainie czarowników na Północy, o królowej wiedźmie i jej dwóch przerażających córkach bliźniaczkach, które piją krew wierzących i jeżdżą nago na szablozębnych koniach po nieboskłonie. O wojowniku, którego nazywali Szarym Wilkiem. Niezniszczalny, w ferworze walki zamieniał się w ogromnego szarego wilka, gotowego rozszarpać każdego, kto wejdzie mu w drogę.

Hal nie zamierzał niczego wykluczać, ale miał już za sobą kilka kampanii na Północy i z niczym takim się nie zetknął. Owszem, w górach były wilki – widział je i słyszał. Uznał, że

kiedy takie zwierzę atakuje, może wyglądać na olbrzyma, a potem, w opowieściach, jeszcze się powiększa.

– Wojownicy z Północy to zwykli mężczyźni – mówił swoim podkomendnym. – I kobiety – dodawał. – Zranieni krwawią tak samo jak my.

Prawdą było, że kobiety z Północy walczyły tak samo zązarcie jak mężczyźni – tak zaciekle, że na polu bitwy trudno je było odróżnić. Kilka razy w przeszłości Hal odkrył, że człowiek, którego przed chwilą zabił, był kobietą. Jakoś nie mógł do tego przywyknąć. Może stąd wzięły się te plotki – łatwiej było myśleć, że zabiło się wiedźmę lub ducha wojownika niż kobietę.

Opuścili Bramę Duchów tydzień po przybyciu Hala. Tereny, przez które przechodzili, były ogołoczone z żywności i wszystkiego, co mogłoby być przydatne. Wiele gospodarstw i wiosek zostało zniszczonych i opuszczonych wskutek działań wojennych. Mieszkańcy Północy mimo wszystko nie przestawali stawiać oporu. Według kapłanów działo się tak, ponieważ zostali zniewoleni przez królową wiedźmę. Zgodnie z tą logiką synowie Malthusa mieli być witani jako wyzwoliciele.

Hal wciąż na to czekał.

Napotykali niewielki opór, jeśli nie liczyć normalnych działań zaczepnych ze strony miedzianolicych. Karn nie próbował ścigać sprawców; najwyraźniej uważał, że strata kilku żołnierzy tu i tam jest ceną za szybkie tempo marszu.

Wciąż bardziej prawdopodobne było, że żołnierze z batalionu Hala pozabijają się nawzajem, niż że przysporzą zmartwień tym z Północy. Ta sytuacja zaś przysparzała zmartwień Halowi.

Jego żołnierze byli młodzi – wielu z nich jeszcze nie osiągnęło wieku dojrzałości. Niektórzy nawet nie mówili w mowie powszechnej. Hal postanowił nauczyć się ich imion. Ty. Bakshi. Raynaud. Skye.

Jedynymi weteranami przydzielonymi do tego batalionu – oprócz tych, których sam sprowadził – byli czterej magowie z obręczami na szyjach. Wśród nich znajdował się mężczyzna o pociągłej twarzy zwany Pitts. Za każdym razem, gdy obrzucał

Hala spojrzeniem spod opadających powiek, ten czuł, jak przeszywa go dreszcz. Magowie nie mieli Halowi wiele do powiedzenia, chociaż on starał się wciągać ich w rozmowę. Nie było w tym nic dziwnego. Magowie z obręczami często byli markotni, bo przecież wcielano ich do armii siłą. Hal zwykle utrzymywał z nimi dobre stosunki, gdy już ich do siebie przekonał – ale na to trzeba było czasu, którego teraz nie miał.

Mimo woli zastanawiał się, czemu wysłano tych mężczyzn do walki zaraz po zrekrutowaniu, dlaczego przydzielono ich jemu i dlaczego kazano im maszerować przed doświadczonym wojskiem.

Niczego nie był pewien, ale miał kilka teorii.

Dotarli już do wschodniego końca przełęczy, zanim Hal zdołał zmusić generała Karna do rozmowy.

– Panie generale. Dokonałem oceny ludzi ze swojego batalionu i obawiam się, że ich brak doświadczenia może narazić na niebezpieczeństwo całą brygadę i zaszkodzić misji – powiedział szybko, żeby przełożony nie zdążył go odprawić.

– A więc obawiacie się, kapitanie Matelon – odparł Karn, kładąc dłonie na biodrach. – Mam nadzieję, że to nie spędza wam snu z powiek. Jak zapewne wiecie, niełatwo nam zdobyć rekruta. Musicie radzić sobie z tym, co macie. Jak my wszyscy.

– Ależ, generale – zaprotestował Hal – ja nie narzekam na jakość ludzi pod moją komendą. Wierzę, że z czasem staną się dobrymi żołnierzami. Martwi mnie ich młody wiek i...

– Sami jeszcze macie mleko pod nosem, a dobrze sobie radzicie – stwierdził generał.

– Walczę w służbie imperium, odkąd skończyłem jedenaście lat – odparł. – Tym, co najbardziej mnie niepokoi, jest ich brak przeszkolenia i doświadczenia, a także zgromadzenie tylu z nich w jednej jednostce. Wydaje mi się, że gdyby ich wymieszać z bardziej doświadczonymi oddziałami we wszystkich trzech batalionach, mogliby się uczyć od swoich kompanów, a weterani pomagiliby im przetrwać, póki nie nabędą potrzebnych umiejętności.

– Czy podważacie moje rozkazy, kapitanie?

Tak, pomyślał Hal, zdecydowanie tak.

– Nie, generale. Tylko sugeruję, że...

– Potrzebuję weteranów do walki, a nie do niańczenia rekrutów – oświadczył Karn. – Zaplanowałem bitwę tak, żeby jak najlepiej wykorzystać swoje zasoby. Wszyscy mi mówią, że jesteście wyśmienitym oficerem polowym. Dlatego przydzieliłem tych rekrutów pod waszą komendę. Wasz batalion ma ważne zadanie do wykonania.

– Jakże?

– Pójdzie jako pierwszy do ataku na Dolinę Królowych – wyznał Karn.

Gdyby jego rozmówcą był ktoś inny, Hal pomyślałby, że coś źle zrozumiał. Gdy jednak spojrzał na twarz dowódcy, gdy ujrzał na niej poczucie triumfu wymieszane z szyderstwem, wiedział, że się nie przesłyszał.

– Czy możecie... to wyjaśnić? – zapytał. Udało mu się mówić spokojnie i rzeczowo.

– Przebijecie się przez przełęcz – stwierdził Karn takim tonem, jakby Hal był zbyt głupi, żeby zrozumieć sens tych słów. – Jak już się przedrzecie, oczyścicie dolinę z cywilów, ograbicie miasto ze wszystkiego, co cenne, i spalicie wszystko do szczytu. – Urwał, jakby oczekiwał na serdeczne podziękowanie za tę samobójczą misję.

Hal się wyprężył, stanął w rozkroku i spojrzał generałowi w oczy.

– A co potem? – zapytał spokojnie.

Karn przez chwilę wyglądał na zbitego z tropu. Hal wiedział, że nie było żadnego planu na potem, bo on i jego batalion nie mieli przeżyć.

– Potem... będziecie czekać na dalsze rozkazy – padła w końcu odpowiedź.

– Jeśli mogę zapytać, generale: co będą w tym czasie robić pozostałe dwa bataliony?

– Będziemy zaraz za wami – odparł Karn z uśmiechem drapieżnika – będziemy uzupełniać straty w miarę potrzeb. – Zamilkł na chwilę, by jego słowa mogły zapaść w pamięć. –

A teraz, kapitanie, chyba powinniście odpocząć. – Po tych słowach odwrócił się i odszedł, nie czekając na salut. I dobrze, bo Hal nie miał zamiaru oddawać mu honorów.

Przypomniał sobie przestrogi ojca. *W tym momencie królowi Gerardowi nie są na rękę twoje wojskowe sukcesy.*

Hal dodał do tego własny wniosek: *Ale jest mu na rękę twoja śmierć.*

Był w potrzasku. Jeśli odmówi wykonania rozkazu, zostanie postawiony przed sądem i skazany na śmierć. Jeśli zdezerteruje, zostanie schwytany i skazany na śmierć. Mógłby przejść na stronę wroga i zdać się na wątpliwą łaskę wiedźmiej królowej. Każda z tych możliwości okryłaby jego ojca hańbą i pomogła królowi zbudować oskarżenie przeciwko niemu.

Czy gdyby Hal rzucił się z klifu, byłaby to szlachetna śmierć?

Co wtedy stałoby się z jego batalionem? Czy Karn wcieliłby go do innych oddziałów, czy wysłałby na rzeź bez dowódcy? Prawdę mówiąc, Hal chciał żyć i chciał uratować ilu się da w swoim batalionie. Dopiero zaczął się uczyć ich imion.

Nawet gdy przydzielone zadanie ci nie odpowiada, Matelon zawsze robi, co do niego należy.

Rozważył swoje możliwości. Dysponował zaledwie garstką kawalerzystów – większość jego żołnierzy to była piechota. A w wąskiej przełęczy warunki naturalne stanowiły broń obosieczną. Dawały osłonę, ale też uniemożliwiały wykorzystanie przewagi liczebnej, która była jedyną jego mocną kartą. Mógł się zdać tylko na element zaskoczenia. Musiał przeprowadzić batalion przez przełęcz i wyjść na otwartą przestrzeń, zanim przeciwnicy zablokują im drogę. Wtedy mógłby przewagą liczebną nadrobić brak doświadczenia i umiejętności.

– Generale! – krzyknął za odchodzącym Karnem.

Dowódca zeszytniał i się obrócił.

– Słucham, kapitanie.

– Proszę o pozwolenie na natychmiastowy wymarsz.

Karn zamrugał zdumiony. Spojrzał na Hala podejrzliwie. Po chwili się uśmiechnął.

– Kapitanie – powiedział – możecie wyruszyć, kiedy tylko chcecie.



DOLINA KRÓLOWYCH

Szwadron Lyss napotkał armię Ardeny w połowie przełęczy, gdzie strome górskie zbocza niemal się stykały, a wróg musiał się przedzierać po dwie–trzy osoby. Lyss i jej żołnierze stanęli na wprost najeźdźców, tworząc kolczasty las mieczy, toporków, włócznie i magii. Wysłała najlepszych łuczników – wśród nich Cienia – na stanowiska wyżej na stokach, skąd mieli ostrzeliwać przełęcz z góry.

Trudno było określić liczebność wojsk wroga, bo były rozciągnięte w linię. To bez znaczenia, pomyślała Lyss, skoro i tak stawiamy czoło tylko kilku z nich naraz. Błotniści byli znani z precyzyjnych formacji bojowych, ale ci tutaj wydawali się niezbyt zorganizowani.

Naliczyła czterech zniewolonych magów, podczas gdy w jej szwadronie był jeden czarownik. Widziała ich wyraźnie – ich obręcze lśniły w słońcu południa, zaraz za pierwszą linią natarcia. Finn miał ręce pełne roboty – wznosił osłony przed magią atakującą i powstrzymywał wrogich czarowników, którzy próbowali się wspinać na skały, by zdobyć lepszą pozycję do ataku. Przez to nie mógł wspierać działań ofensywnych. Dlatego to szeregowcy musieli sprawić, by Południowcy drogo zapłacili za każdą piędź tej ziemi.

I faktycznie płacili. Tracili po trzech żołnierzy za każdego poległego z Północy, ale błotniści wciąż napływali – poległych

zastępowali inni, którzy przynosili nową broń i zabierali ciała. Lyss wyobraziła sobie długi rząd błotnistych, sięgający aż do wybrzeża. Jedynymi stałymi punktami byli czterej magowie i młody oficer o kruczoczarnych włosach. Wydawało się, że ten ostatni jest wszędzie – na bułanym koniu krążył między żołnierzami, poprawiał szyk, kierował nowych na miejsce poległych i zagrzewał do walki. W pewnym momencie Lyss zobaczyła, jak przechylił się na koniu i sięgnął po żołnierza z krwawiącą głową, który słańiał się na nogach. Zawiózł go na tyły i natychmiast – w zbroczonej krwi tunice – wrócił na linię frontu.

Gdy nadeszło popołudnie, Lyss, skupiona na najeźdźcach przed sobą, miała wrażenie, że kakofonia wokół niej zamieniła się w jednostajny ryk. Miecz coraz bardziej jej ciążył, ramiona bolały. Wyglądało na to, że znaleźli się w impasie – nie widać było końca walki i szala zwycięstwa nie przechylała się na żadną stronę. Uzdrowiciele przychodzili i odchodzili, unosząc rannych i poległych. Lyss dodawała otuchy zmęczonym żołnierzom, odsyłała niektórych na tyły i zastępowała ich osobami z innych szwadronów. Jedynie ona, Finn, Cień, Sasha i Cam niezmiennie pozostawali na linii frontu.

Starła się nie słuchać tego głosu w głowie, który szeptał jej, że wkrótce zabraknie im ludzi i broni, a wtedy zostaną pokonani.

– Uwaga, pani porucznik!

Cam tak mocno zderzył się swoim koniem z jej wierzchowcem, że omal nie spadła. Wycelowana w nią strzała przemknęła nad jej ramieniem, nie wyrządzając jej szkody, ale trafiła w kogoś z tyłu.

– Mander dostał! – krzyknął Cień ze swojego punktu obserwacyjnego na wzgórzu.

Lynn rozejrzała się, ale nie zobaczyła Finna.

Jeżeli został zestrzelony, to nie można już liczyć na jego magiczne osłony, pomyślała. Kiedy ich magowie się zorientują, będziemy w prawdziwych tarapatach.

Sasha widocznie doszła do takiego samego wniosku, bo ustawiła się pomiędzy księżniczką a ardeńskimi magami, krzycząc:

– Szybko! Lyss! Wycofaj się stąd!

Lyss obróciła konia w stronę przeciwników i zobaczyła ich wszystkich czterech, z wyciągniętymi prawymi rękami, z amuletami w lewych dłoniach, gotowych do strzału. Z tej odległości nie mogli chybić.

Nosiła klanowy talizman ojca, który chronił ją przed bezpośrednim ciosem magii atakującej. O ile wiedziała, tylko ona spośród obecnych miała taką ochronę. Pudding był bezbronny, a gdyby magowie okazali się na tyle sprytni, by celować w niego, mogliby zabić ich oboje.

Magowie najwyraźniej jeszcze jej nie zauważyli. Właściwie wydawali się zdezorientowani i mierzyli gdzieś w bok.

Niech więc będzie, pomyślała.

– Za królową Północy! – krzyknęła i spięła konia. Usłyszała za sobą krzyki Sashy i Cama, a potem tętent kopyt, gdy oboje ruszyli za nią.

Magowie wciąż jej nie widzieli. Pudding uderzył w najbliższego z nich, tak że ten upadł na plecy niemal pod końskie kopyta. Lyss wychyliła się z siodła i wykończyła go toporkiem, a potem zwinnie uchyliła się przed ciosem jednego z błotnistych. Czowała syk talizmanu, który pochłaniał magiczne ataki jeden po drugim. W końcu przestały ją nękać.

Rozejrzała się i zobaczyła, że Sasha i Cam rozprawili się z dwoma kolejnymi magami, lecz ostatni uciekł za linię błotnistych i rzucał płomienie i zaklęcia ponad ich głowami. Gdy na to patrzyła, jeden z jego ciosów omal nie trafił tego młodego ardeńskiego oficera.

Wtedy zrozumiała: ten mag wcale nie celował w nią – on mierzył w swojego własnego dowódcę.

Sasha chwyciła jednego z błotnistych za bluzę i spodnie i osłaniając się nim jak tarczą, ruszyła prosto na Południowców. Szereg został złamany i czwarty mag odsłonięty. Pierwsza

strzała Lyss odbiła się od srebrnej obręczy, ale druga trafiła w cel i mężczyzna upadł na plecy.

Czterej magowie załatwieni, pomyślała, lecz po chwili jej radość zgasła, gdy rozejrzała się i zobaczyła wokół siebie morze błotnistych oraz młodego oficera z kuszą wycelowaną w jej serce.



SZARY WILK

Mimo iż Hal próbował jak najszybciej przedostać się przez przełęcz, armia Północy powitała ich, zanim dotarli do doliny. Zderzyli się w najważniejszym punkcie przełęcz. Ich łucznicy ulokowali się na stokach, skąd mogli strzelać do ludzi Hala jak do kaczek.

Zgodnie z planem jego weterani rozdzielili się i każdy przejął dowództwo nad jedną kolumną. Sześciu oficerów, którzy wiedzą, co robią, może zdziałać dużo więcej niż jeden. To także pozwoliło Halowi czuwać nad przebiegiem bitwy i mieć oko na swoich magów.

Północni najwyraźniej mieli co najmniej jednego maga, bo ktoś szybko wznosił bariery osłaniające ich łuczników. Hal przeszukiwał wzrokiem szeregi wroga, aż w końcu go wypatrzył – był to młody mężczyzna o jasnych włosach, które czyniły z niego łatwy cel. Magowie po stronie Hala brali udział w bitwie nie pierwszy raz – powinni więc wiedzieć, co robić. Tymczasem budowali magiczne bariery wokół siebie samych, lecz nie stawiali żadnej obrony.

– Pitts! – krzyknął Hal. – Jest czterech na jednego. Możesz coś zrobić z tym ich magiem?

Pitts zastosował się do tego, jakby chciał, a nie mógł.

– Daję złotą koronę temu, kto zdejmie tego maga! – zawołał Hal do swoich kuszników.

Robili co mogli, chociaż przydałoby im się jeszcze kilka lat szkolenia. Po każdym wystrzeleniu bełtu załadunek kolejnego zdawał się trwać wieki. Północni natomiast używali łuków i wykazywali się przy tym niezwykłą celnością. Żołnierze na pierwszej linii walczyli z zaciekłością, z jaką Hal dotąd się nie spotkał. I każdy z nich pod względem szkolenia był wart więcej niż czterech podkomendnych Hala.

Walczą na własnej ziemi, pomyślał, i to widać.

Podczas walk tracił dwóch lub trzech ludzi na każdego z zabitych nieprzyjaciół. Zanosilo się na to, że niedługo przewaga liczebna imperium zniknie. Kiedy spojrzal na tyły, nie zobaczył pozostałych dwóch batalionów.

Skazali mnie na porażkę, pomyślał, gdy jego straty rosły. Ale i tak nie przegram. Muszę znaleźć sposób, żeby zwyciężyć.

Poszukał wzrokiem fellsjańskiego dowódcy i w końcu go zauważył: z złotym szalikiem porucznika, na jabłkowitym koniu. Gdy jeździł wzdłuż linii frontu, nie odstępowało go dwóch żołnierzy, jakby byli z nim połączeni niewidoczną nicią. On też ma osobistą ochronę, pomyślał Hal zdumiony.

Strażnicy (jeśli taką pełnili funkcję) mieli niezwykle trudne zadanie. Ten porucznik bez najmniejszych oporów sam rzucał się do walki. Zupełnie jakby miał oczy wokół głowy. Gdyby udało mi się wyeliminować ich dowódcę, pomyślał Hal, moglibyśmy zyskać przewagę.

– Pitts! – krzyknął. – Weź na cel tego oficera!

Mag spojrzal we wskazanym kierunku, a potem pokręcił głową i uczynił znak Malthusa.

– To nic nie da – odparł. – To Szary Wilk!

W szeregach żołnierzy rozległy się pomruki przerażenia. *Szary Wilk! To Szary Wilk!*

Hal spojrzal jeszcze raz. Porucznik był co prawda daleko, ale Hal nie widział w nim nic wilczego.

– Dlaczego myślisz, że to on?

– Już go widziałem, na pograniczu i na Trzęsawiskach. Zawsze ma dwóch strażników u boku. To demon. Gdy ktoś próbuje go zabić, zamienia się w wilka.

Hal starał się zachować spokój.

– Widziałeś to na własne oczy?

Pitts pokręcił głową.

– Jeśli ktoś to widział, to nie przeżył, żeby o tym opowiedzieć.

Hal poczuł przypływ paniki, która rosła w nim jak wzbierająca fala. Musiał to powstrzymać.

– Nie wiem jak ty – powiedział – ale ja wolałbym stawić czoło wilkowi niż demonowi.

Spiął konia i podjechał do przeciwnika, jak najbliżej miał odwagę. Zsunął łuk z ramion, sięgnął do juków, wyciągnął strzałę, nałożył i wypuścił.

Hal nie był najlepszym łucznikiem w królewskiej armii, ale z tej odległości miał szansę trafić do celu, gdyby strażnik Szarego Wilka nie odepchnął go na bok, tak że strzała przeleciała mu nad ramieniem. Hal, licząc na następny strzał, obrócił konia. Wtedy kątem oka zauważył Pittsa, który z dłonią na amulecie wysyłał wiązkę ognia prosto w niego.

Trafiła w jego wałacha. Koń zakwiczał i upadł, ale Hal zdążył z niego zeskoczyć. Podniósł się akurat w porę, by dostrzec innego z magów, który w niego celował. Ten także spudłował, lecz Hal wiedział, że jego szczęście nie może trwać wiecznie.

Ruszył slalomem w stronę magów, modląc się w duchu i mając świadomość, że nie jest w stanie dopaść ich wszystkich, zanim któryś w końcu go trafi. Już wyobrażał sobie wiadomość, jaką dostaną jego rodzice – że poległ w przegranej bitwie. Czy ojciec domyśli się prawdy?

Jego modlitwy zostały wysłuchane w dość dziwny sposób, gdy magów zaatakowali trzej nakrapiani.

Byli to Szary Wilk i jego dwaj strażnicy.

Hal znieruchomiał, patrząc, jak szybko rozprawiają się z trzema magami. Pitts jednak cofnął się nieco, przyjął pozycję do strzału i wysyłał jedną po drugiej wiązkę płomieni w oficera nazywanego Szarym Wilkiem. Porucznik nie zamienił się w wilka. W zasadzie jakby w ogóle nie zauważał tych ataków. Czy to znaczyło, że mag miał rację, twierdząc, iż ten fellsjański oficer jest jakimś demonem lub wiedźmą?

Niezależnie od wszystkiego Pitts musiał dostrzec Hala, bo posłał prosto w niego wiązkę ognia, która o mały włos nie zwęgliła go na popiół.

To wyrwało Hala z odrętwienia i pobudziło do działania. Wyszarpnął łuk i garść strzał z uścisku jakiegoś martwego żołnierza, wskoczył na konia bez jeźdźca i ruszył na Pittsa. Wtedy dostrzegł, że mag upada ze strzałą wbitą w szyję.

Hal zmienił kierunek, napiął cięciwę i nagle znalazł się twarzą w twarz z tym porucznikiem, który przed chwilą strzelał. W jednej chwili kilka faktów ułożyło się w całość.

Po pierwsze, demon czy nie, ten oficer oparł się falom magicznych ataków i nie poniósł najmniejszego uszczerbku.

Po drugie, ten porucznik był kobietą. Chociaż wzrostem mogła się równać z mężczyznami, rysy twarzy miała zdecydowanie kobiece, podobnie jak długie włosy splecione w gruby warkocz koloru pszenicy. Jej skóra była ciemniejsza niż u większości mieszkańców Północy, spojrzenie brązowych oczu dzikie i dumne jak u drapieżnika.

Po trzecie, ona i jej kompani właśnie uratowali mu życie, zabijając czterech magów, którzy powinni stać po jego stronie.

Po czwarte, wystarczyło, by wypuścił strzałę, a byłoby po tak zwanym Szarym Wilku – zakładając, że strzały działały na nią skuteczniej niż magia.

Nie mógł jednak tego zrobić. Siedzieli na koniach, wpatrzeni w siebie nawzajem, chyba całą wieczność. Dwoje żołnierzy z przeciwnych stron, każdy pragnący przeżyć. Hal zdał sobie sprawę, że ma dużo więcej wspólnego z tą zażartą porucznik niż z po trzykroć przeklętym królem Ardeny. I że więcej niż królowi zawdzięcza swoim podkomendnym, tak zawzięcie walczącym w służbie człowieka, który ich zdradził.

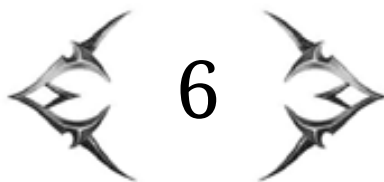
Opuścił łuk. Bitwa i tak jest przegrana, pomyślał. Ci martwi magowie byli naszym jedynym atutem.

Porucznik uśmiechnęła się, w jej oczach zalśniły ogniki rozbawienia.

– Miej się na baczności, niziny – powiedziała.

Zawróciła konia i pogalopowała na tyły.

Hal zarządził odwrót z nadzieją, że jego zdziesiątkowane oddziały jeszcze pamiętają taki rozkaz.



TANIEC DOBIEGŁ KOŃCA

Lyss, generał Dunedain, Tancerz Cieni, Mason i Littlefield krążyli po polu bitwy, na którym ucichły już odgłosy walki. Zapadał zmierzch. W zachodzącym słońcu Góry Duchów rzucały długie palczaste cienie w poprzek Doliny Królowych, które sięgały szczytu Alyssy. Wciąż znoszono ciała poległych z obu armii. Na okolicznych wzgórzach płonęły stosy pogrzebowe, ich dym smolił tarczę wschodzącego księżyca. Jeden z nich płonął dla kapitana Starborna, który poległ, robiąc to, co kochał – zabijając Południowców. Nawet zwykle nieokazująca emocji Dunedain płakała po usłyszeniu tej wiadomości. To była niepowetowana strata.

Nawet gdy wygrywamy, tracimy, pomyślała Lyss.

Większość poległych i rannych pochodziła z jej szwadronu. Walczyła wraz z nimi od tamtego lata, kiedy skończyła dwanaście lat, rok po tym, jak Arden odebrał jej ojca i brata.

Bitwa jest jak śmiertelny taniec, myślała. Uczymy się kroków, ćwicząc na poligonach, maszerując w terenie z nadzieją, że ich nie zapomnimy, kiedy ze wszystkich stron uderzą w nas krzyki rannych, woń krwi i śmierć. Ruszamy do boju w rytm bębnow i wystrzałów, ale nasze karnety są puste. Nie mamy pojęcia, z kim będziemy tańczyć tego dnia, kiedy przyjdzie po nas śmierć, ani kto zejdzie z parkietu żywy.

Oficerowie próbują dyktować kroki, lecz od pewnego momentu nikt już ich nie słucha. Wszystko sprowadza się do tego, co dzieje się podczas każdego z wielu intymnych spotkań: kroków w przód i w tył, zwrotów i reakcji na nie. Jako oficer Lyss musiała próbować zarządzać całością pola bitwy, ale wiedziała, że gdyby przyszedł jej czas, to jak każdy żołnierz umierałaby samotnie.

Ranni już dawno zostali przeniesieni do uzdrowicieli w mieście. Dotyczyło to także Finna, który ucierpiał od ciosu w głowę. Lyss była już w infirmerii i rozmawiała ze wszystkimi, których stan pozwalał na przyjmowanie odwiedzin. Finn nie chciał nikogo widzieć, co stanowiło kolejny powód do zmartwienia. Nie powinien był tak szybko wracać do walki, pomyślała Lyss. Nic dziwnego, że chce służyć królestwu w inny sposób. Uzdrowiciele jednak twierdzili, że Finn wydobrzeje, a to już coś.

Wieść o ataku na południowych magów rozprzestrzeniła się jak pożar lasu, a z czasem jeszcze się rozrastała. Niebawem opowiadano o całym batalionie magów, prowadzonym przez samego króla Ardeny. Jedyne, co podobało się Lyss w tej wersji, to wizja Gerarda w zasięgu jej strzału.

Pogrążona w myślach, wlokła się za innymi. Z jednej strony odnieśli ważne zwycięstwo wbrew wszelkim oczekiwaniom. Z drugiej strony teraz wiedziała, że żołnierze batalionu, z którym przyszło im walczyć, w większości byli młodzi i zieloni jak trawa nad Dyrną w czerwcu. Niewyszkoleni, niedoświadczeni, niesprawdzeni w boju – ledwie odróżniali końce miecza. Mimo to wysłano ich do walki pod wodzą tego młodego kapitana niczym owce na rzeź, podczas gdy doświadczone oddziały Karna gdzieś się zadekowały. I rzeczywiście była to rzeź. Wróg poniósł ogromne straty.

Różnica między nimi a nami jest taka, że król Ardeny nie ma skrupułów.

Jeśli oni byli owcami, to kapitan błotnistych był owczarkiem, który zaganiał ich po kolei do boju, odciągał od

niebezpieczeństwa, warczał na nich, przywołując do porządku, gdy się rozpraszali. Rozumiała jego taktykę. Robił to, co ona by robiła na jego miejscu – tworzył prostą strategię w nadziei, że uda im się ją zrealizować. Zrobił wszystko, co mógł w tak trudnej sytuacji. A na końcu został zdradzony.

Sasha i Cam twierdzili, że Lyss musiała się pomylić, ale ona dobrze wiedziała, co zobaczyła, a byli to czterej magowie, którzy zwrócili się przeciwko swojemu dowódcy – strzelali do niego zamiast do wrogów. I ten właśnie dowódca opuścił broń, kiedy miał okazję ją zabić.

Czemu Karn wypuścił naprzód tych młodzików? I czemu nie przysłał im wsparcia, kiedy tego potrzebowali? Czyżby nie zależało mu na wygraniu tej bitwy? I co ważniejsze, gdzie teraz jest generał?

Może to był jakiś sposób odwrócenia uwagi? Zmyłka? Podstęp? Czy Karn chciał dać komuś nauczkę? Może magowie buntowali się przeciwko swoim panom? Coś się za tym kryło – Lyss wiedziała, że wiąże się z tym jakaś historia, której zapewne nigdy nie pozna. Ostatecznie nie było to satysfakcjonujące zwycięstwo.

– Porucznik Gray!

Zaskoczona, Lyss podniosła głowę, by spojrzeć na rozmówcę.

– Gdziekolwiek byliście myślami, mam nadzieję, że była to przyjemna podróż – powiedziała generał Dunedain.

– Och... o... niezupełnie – odparła. – Po prostu po bitwie jest sporo do przemyślenia.

– Racja. Ja też dużo myślałam. – Wyciągnęła rękę. – Dajcie mi swój szalik.

Lyss spoglądała na panią generał zdezorientowana.

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

– Wasz szalik, pani porucznik – powtórzyła Dunedain niecierpliwie. Cierpliwość nie była jej mocną stroną.

Lyss sięgnęła palcami do złotego szalika na szyi. Jej zmęczony walką umysł nie potrafił znaleźć żadnego wyjaśnienia.

– Wiem, że wymaga prania, ale...

– Nie potrzebuje prania – stwierdziła Dunedain – tylko wymiany. No, proszę mi go oddać.

Czyżby ją degradowano? Usuwano z armii? Lyss rozwiązała węzeł, ściągnęła szalik i podała go Dunedain. Generał wsunęła go do torby i wyciągnęła z kieszeni zwitek materiału. Podała go Lyss.

– Oto wasz nowy szalik.

Był niebieski. Kolor kapitana.

– Wiem, że nie lubicie uroczystych ceremonii, kapitan Gray – powiedziała Dunedain z szerokim uśmiechem – więc liczę na to, że te polowe okoliczności wam nie przeszkadzają. Ten salwon potrzebuje nowego dowódcy i wybrałam was na to stanowisko.

Lyss mocno ścisnęła szalik.

– Ale... Littlefield i... i Mason... oni mają dużo więcej doświadczenia niż ja i...

– Ja nie chcę tej roboty – oświadczył Littlefield. – Niebieski nie pasuje mi do koloru oczu.

– A ja nie umiem tak dobrze liczyć, żeby zostać kapitanem – dodała Mason.

Cień wyjął szalik z rąk Lyss i zawiązał jej na szyi.

– To twoja rola, kapitan Gray. Musisz ją udźwignąć. A jak dojdziemy do miasta, ty stawiasz.

– To ty się żenisz – odparła – więc ty stawiasz.

– Ja będę stawiał w dniu ślubu. Będziesz musiała jeszcze poczekać.

Wszystkich ogarnęła wesołość – ściskali się, składali sobie groźby i obietnice, które zwykle składają towarzysze broni, gdy jedna bitwa się skończyła, a następna jeszcze nie zaczęła.

Akurat doszli do koni, gdy usłyszeli tętent kopyt i ujrzeni sylwetkę jeźdźca na tle wieczornego nieba. Zatrzymał się przy nich, zasalutował przed generał Dunedain i podał jej rulon z depeszą.

– Przyleciał ptak z Fortecznych Skał, pani. – Jego mina mówiła, że przynosi złe wieści.

Forteczne Skały! Lyss spojrzała na Cienia. Jego narzeczona Topola tam mieszkała.

Dunedain trzymała rulon w dłoniach.

– I?

– Kiedy my byliśmy zajęci na przełęczy, Karn z resztą brygady poszedł dalej na północ. – Żołnierz przełknął ślinę. – Jest źle, pani. Miasto zniszczone. Spalili wszystko, co dało się spalić, ukradli wszystko, co dało się ukraść, i wysadzili twierdzę. Zabili wszystkich.

Serce Lyss zamarło. Forteczne Skały były symbolem oporu Północy. Nigdy nie uległy obcym najeźdźcom – nawet podczas Wojen Czarowników. Aż do tej pory.

Cień spochmurniał i znieruchomiał tak, jak to potrafią tylko mieszkańcy gór.

– Co z cywilami? Zabili cywilów?

Żołnierz skinął głową.

– Prawie wszystkich. To daleko od granicy, więc stacjonowała tam zaledwie garstka żołnierzy. Chyba uznali, że to łatwy cel.

– Czy ktoś przeżył? – pytał dalej Cień.

– Nie wiem – odparł żołnierz.

Dunedain wyjęła papier z tuby, obrzuciła go wzrokiem i zaklęła.

– Mogę zobaczyć? – Cień wyciągnął rękę.

Generał podała mu depezę, choć widać było, że robi to niechętnie. Cień przeczytał to raz, drugi, a potem zwrócił. Wyglądał, jakby dostał cios w brzuch, po którym ledwie trzymał się na nogach. Lyss podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu, ale on ją odepchnął.

– Ta brygada Karna – zwrócił się do posłańca spokojnym, lodowatym głosem – wiemy, gdzie teraz jest?

– Myśleliśmy, że pójdą prosto do Kredowych Klifów, ale wygląda na to, że zawrócili na południe i szybko skierowali się do Bramy Duchów. Do tej pory już pewnie spotkali się z tymi niedobitkami, z którymi walczyliśmy. Teraz nie ma szans ich dogonić.

– Jeżeli są w Siedmiu Królestwach, znajdę ich – oświadczył Cień.

Lyss czuła, że Topola nie żyje. Już samo to było straszne. Jednak w jakiś sposób musiała zapobiec temu, by jej przyjaciel także stracił życie.

Chwyciła go za ramię.

– Cieniu, proszę. Jedźmy do Fortecznych Skał. Tam... Może tam jeszcze są ludzie, którzy potrzebują pomocy. Teraz to jest najważniejsze.

On stał i patrzył na nią w milczeniu. Jego twarz miała tak surowy wyraz jak granitowe skały szczytu Hanalei, czarne oczy były ponure niczym bliźniacze jaskinie.

– Proszę, Cieniu. Jeszcze dopadniemy tych drani.

Te słowa miały w sobie siłę prawdy. Zło zawsze zdaje się rozkwitać, kiedy dobrzy umierają młodo.

Po długim milczeniu skinął głową.

– Dobrze – powiedział. – Jedźmy.



ZNOWU W KOTLE

Lyss i jej oddział zaczęli długie zejście ze wschodnich gór wzdłuż koryta Dyrny do doliny. Minęły już prawie trzy miesiące od zdarzeń w Dolinie Królowych i w Fortecznych Skałach – które musiała zapamiętać i wyciągnąć z nich nauczkę.

Teraz na górskich przełęczach leżał już listopadowy śnieg. Wracali do domu później niż zwykle. Tegoroczna pora kampanii była długa i krwawa.

To, co zobaczyli w Fortecznych Skałach, przerastało wszelkie wyobrażenia. Rzeź dosięgła prawie sześciuset osób, w tym Topolę Srebrny Liść – ta leżała na ulicy z nożem w ręku w towarzystwie dwóch błotnistych, którzy jej śmierć przypłacili własnym życiem. Ardeńczycy wycięli wszystkich: dorosłych, dzieci, nawet inwentarz domowy.

Salwon dowodzony przez Lyss spędził wiele dni na usuwaniu zgliszczy i budowaniu stosów pogrzebowych, które płonęły bez przerwy. W ten sposób pisali epitafium dla setek smutnych historii. W większości przypadków Lyss i jej żołnierze byli jedynymi żałobnikami – nikt inny nie przeżył. Finn uparł się, żeby sprawdzić, czy gdzieś nie pozostał ktoś, kto potrzebuje pomocy, ale odnalazł niewiele takich osób. Wydawało się, że dochodził do siebie po doznanych obrażeniach, choć wciąż był nienaturalnie milczący.

W tym wszystkim była jedna dobra wiadomość. Młodsze rodzeństwo Topoli uniknęło śmierci. W chwili ataku przebywali u rodziny w kolonii Sosen Marisy, żeby Topola mogła nadrobić zaległości w zamówieniach. Kiedy wrócili, zastali siostrę martwą, a dom w zgliszcach.

Ocalało jedynie kilkoro mieszkańców, którym udało się uciec w góry lub ukryć w mieście przed żołnierzami. Lyss, Cień i Dunedain przesłuchali ich, wypytyując o szczegóły i próbując dokładnie umiejscowić zdarzenia w czasie, jakby to mogło w jakiś sposób zapobiec ich powtórzeniu.

Jedynym sposobem, by to się nie powtórzyło, jest wygranie tej wojny, pomyślała Lyss. A my nie wygrywamy.

Nie przestawała myśleć o młodym kapitanie prowadzącym swoich żołnierzy na rzeź na przełęczy, podczas gdy dalej na północy jego kompani zarzynali cywilów. Ile wiedział o tym planie ataku? Brał w tym udział świadomie czy nieświadomie? Był marionetką czy współspiskowcem? Czy dlatego jego magowie zwrócili się przeciwko niemu? Bo wiedzieli, że zostali poświęceni w ofierze?

To bez znaczenia, tłumaczyła sobie. Dlaczego więc wciąż do tego wracała?

Złożyli Topolę na wieczny spoczynek w wykonanej przez nią samą haftowanej sukni z jeleniej skóry. Cień wsunął jej w jedną dłoń szydło i igłę, a w drugą sztylet. U jej stóp położył stertę futer i skór. Trzymał ją za rękę, póki płomień nie zmusił go, by ją puścił. Kiedy to zrobił, Lyss odetchnęła z ulgą. Bała się, że zechce spłonąć wraz z nią.

Pozostały czas w Fortecznych Skałach spędzili na odbudowywaniu świątyni i domostw dla tych, którzy przeżyli. Gdy salwon Lyss otrzymał rozkaz wymarszu, Cień pozostał na miejscu, by pomóc w odbudowie warsztatu Topoli. Jej młodsza siostra Wróblica postanowiła go przejąć i utrzymywać pozostałych członków rodziny. Ich babcia przybyła z Sosen Marisy, by pomóc.

Resztę jesieni Lyss i jej salwon spędzili na utarczkach z wrogiem przy Bramie Duchów i wzdłuż południowo-

wschodniej granicy. Co niczego nie zmieniało.

Teraz wracali do domu. Większość salwonu pojechała przodem. Lyss, Sasha, Cam, Finn i Littlefield nadrobili drogi, by spotkać się z Cieniem w Fortecznych Skałach.

Okrążyli górę i Lyss spojrzała w dół na rodzinną dolinę. Zimą ten widok przypominał mgliste morze – para z gorących źródeł i gejzerów stykała się z zimnym górskim powietrzem, tworząc kłęby mgły.

Ta panorama sprawiała, że jej ojciec nazywał dolinę Kotłem. Lyss musiała przyznać, że to określenie nie było dalekie od prawdy.

W miarę jak schodzili niżej, powietrze robiło się coraz cieplejsze dzięki gorącym źródłom, które buzowały pod powierzchnią i tu i ówdzie wybijały wodę na zewnątrz. Wilgoć tworzyła warstwy szronu na skałach i drzewach, a gdy zaświeciło słońce, cała okolica wyglądała niczym błyszcząca baśniowa kraina. W dolinie wciąż padał śnieg, a wiedzmi wiatr owiewał Hanaleę i miotał zawieruchą. Były jednak wąwozy i inne zakątki, które pozostawały zielone przez cały rok.

Zapadał już zmierzch, kiedy w końcu przedarli się przez ostatnią warstwę chmur i Lyss ujrzała rozciągnięte przed nimi miasto, nakrapiane iglicami świątyń. Ulicami przesuwali się już latarnicy – młodzi czarownicy, którzy obracali w dłoniach świetlne kule i umieszczali je na szczytach latarni. Grupki dzieci podążały za nimi z nadzieją, że latarnicy pobawią się z nimi w rzucanie kuli, zanim pójdą dalej, niosąc czarodziejskie światło. Czasami któryś czarownik brał jakieś *lytling* na barana i pozwalał mu chwycić ten blask w rączki i samodzielnie umieścić na latarni. Nawet teraz, podczas wojny, przy tylu stratach, pewne tradycje były kontynuowane.

Z otwieranych drzwi wylewały się w mrok smugi światła. Lyss słyszała ciche dźwięki muzyki, gdy ostatnie sklepy się zamykały, a gospody i sale koncertowe otwierały swoje podwoje. Ludzie zapełniali ulice, przechodząc od pracy do rozrywki, wracając do domów, do rodzin albo spotykając się z ukochanymi i przyjaciółmi. Dawniej Lyss była wśród nich.

Jako dziecko chętnie spacerowała znajomymi ulicami Południomostu i Łachmantargu w towarzystwie ojca, gdy anonimowo udawali się na targi i koncerty w świątyniach. Pozwalała wtedy, by muzyka ją unosiła i uduchowiała.

To było dawno. Może zebrało jej się na wspominki przez te gęstniejące ciemności, które oznaczały, że zaczyna się trwająca miesiąc pora Przesilenia. Ta pora roku zawsze przynosiła ze sobą wspomnienia dawnych smutków i przewidywania przyszłości. Przesilenie zawsze już będzie naznaczone śmiercią tych, których kochała. Co bez wątpienia było zamiarem tego potwora, króla Ardeny.

Kiedy konie zorientowały się, dokąd idą, przyspieszyły kroku i teraz raczej trzeba było je powściągać, niż poganiać. Pudding z entuzjazmem wyrwał się naprzód.

Wszyscy się cieszą z powrotu do domu, tylko ja nie, pomyślała Lyss. Spojrzała na przygarbioną sylwetkę Cienia, jadącego przed nią. No, prawie wszyscy.

Jej szesnasty dzień imienia zbliżał się wielkimi krokami, niosąc ze sobą oficjalną nominację na księżniczkę następczynię tronu i wejście na rynek matrymonialny.

Lyss pamiętała uroczystość na cześć jej siostry Hany w czasach, kiedy wszystko jeszcze napawało optymizmem. Pamiętała, jak ojciec z nią zatańczył – węzowy amulet lśnił na jego piersi, a twarz rozjaśniał uśmiech dumy.

– Wiesz, że wynająłem twoją mamę, żeby nauczyła mnie tańczyć? – powiedział, nachylając się do jej ucha.

– Co? – Lyss była przekonana, że ją oszukuje.

– Naprawdę, przysięgam na dusze zmarłych królowych – odparł ojciec. – Tylko tak mogłem ją nakłonić, żeby ze mną zatańczyła.

– Hm, dobrze wykonała zadanie – zauważyła.

Jej ojciec pochodził ze slumsów Fellsmarchu, był charyzmatycznym szefem gangu, którego srebrne bransolety świadczyły o dziedzictwie magów. Został członkiem straży przybocznej królowej, potem Rady Czarowników, a w końcu Wielkim Magiem i królewskim małżonkiem. Nigdy królem.

Nigdy nie chciał być królem. Pragnął tylko królowej i zapłacił za to wysoką cenę.

Jesteśmy bardzo podobni, pomyślała Lyss. On nie chciał być królem, tak jak ja nie palę się do zostania królową.

Gdyby Hana nadal żyła, dzień imienia Lyss byłby tylko symboliczną ceremonią przejścia, imprezą wyznaczającą początek jej drogi zawodowej. Kiedyś chciała zostać muzykiem lub poetką, teraz pewnie wybrałaby służbę wojskową. Jednak w tej sytuacji będzie coraz bardziej odsuwana od pola bitwy, gdzie przynajmniej wiedziała, co robi.

Wciągnęła w nozdrza wymieszane zapachy Fellsmarchu. Woń kwiatów różnych gatunków i małych palników węglowych, na których uliczni sprzedawcy piekli kiełbaski i ryby zawijane w cienkie placki chlebowe. Światła karuzeli migotały na rozległym trawniku jak krople deszczu na szybie, obserwowane przez zasłonę łez. Jej tata przeniósł tę karuzelę w częściach przez góry i kazał ją złożyć, żeby wszystkie dzieci w mieście mogły pojechać na konikach.

Cztery lata, pomyślała. Już cztery lata minęły od ostatniego ataku na rodzinę królewską. Czy to znaczy, że król Gerard obrał sobie inne cele? Czy to znaczy, że trzeba się spodziewać zaległych ataków?

– Pani kapitan? – Sasha podjechała bliżej. – Wszystko w porządku?

– Tak – skłamała. – Tylko dym gryzie mnie w oczy.

– Robi tak za każdym razem, kiedy wracasz do domu – stwierdziła Sasha z uśmiechem. – Ale placek mięsny i piwo na to zaradzi.

– Czy mówiłam ci już, że cię kocham, Talbot? – powiedziała Lyss.

Sasha prychnęła.

– Jeśli o mnie chodzi, to cieszę się, że wracam do domu. Już się nie mogę doczekać, żeby zobaczyć siostrzenice i posmakować ciastek na Przesilenie.

– A ja się nie mogę doczekać, żeby posmakować gorącego grzańca – dorzucił Littlefield.

Lyss popatrzyła na Finna, który wydawał się pogrążony w myślach.

– Finn? A ty za czym tęsknisz? Chcesz od razu zacząć pracę w infirmerii?

To pytanie jakby go zaskoczyło.

– Och, ja... chciałbym się spotkać z ludźmi... których dawno nie widziałem – odparł. – I zacznę pracować u lorda Vegi, jak tylko... będę potrzebny.

– Mam nadzieję, że trochę odpoczniesz – powiedziała Lyss. – Po tym wszystkim, co...

– Nic mi nie jest – odburknął. – Dlaczego nikt mi nie wierzy?

– Spokojnie, sul'Mander – odezwał się Cień.

– A co z tobą, Cieniu? – wtrąciła Sasha i zaraz zamknęła usta, jakby żałowała, że zadała to pytanie.

– Nie zabawię w domu długo – oznajmił. – Zostanę kilka dni, spotkam się z ojcem, a potem wracam na wschód.

– Co? – Lyss nie potrafiła ukryć zdumienia. Liczyła na to, że spędzą razem trochę czasu, kiedy oboje będą w stolicy. Nie była specjalistką od spraw sercowych, ale miała nadzieję, że znajdzie sposób, by pomóc mu tak, jak Adrian pomógł jej po śmierci Hany. – Nie będzie cię na Przesilenie?

Pokręcił głową.

– Wracasz do Fortecznych Skał?

– Zamierzam się tam zatrzymać i zostawić Wróblicy trochę zapasów, ale za tydzień mam coś do załatwienia na wybrzeżu. Wiosną będę pracował w kolonii Demonai, więc nie bardzo jest sens wracać tutaj na święto.

– Ależ jest – odparła Lyss, szybko myśląc. Nie wierzyła w tę opowieść o interesach na wybrzeżu. Jeżeli chciał podróżować na wschód, to mogło znaczyć, że zamierzał spełnić swoją obietnicę i dopaść Marina Karna. Cień zawsze tańczył na krawędzi, ale teraz przejawiał taki brak rozwagi, jakiego wcześniej u niego nie widziała. Poczowała ukłucie strachu, że on już nie wróci.

Próbowała znaleźć sposób, by zatrzymać go w Dolinie, może chociaż sprowadzić go na Festiwal Światła.

– Ale... miałam nadzieję, że wybierzemy się na polowanie, by mieć co jeść w świąteczne dni. Jeśli będę musiała przeżyć całą zimę na owsiance, chyba podetnę sobie gardło.

– Jesteś lepszym myśliwym, niż ja kiedykolwiek będę – odparł Cień. – Więcej upolujesz beze mnie.

– Nieprawda. Zresztą nie możesz walczyć w tej wojnie w każdej minucie każdego dnia.

– Zaraz – wtrąciła Sasha, patrząc na Lyss ze zdumieniem. – Co ja słyszę? Chyba mam problem ze słuchem.

– Cicho, Talbot – burknęła Lyss, wciąż myśląc intensywnie i próbując znaleźć jakiś argument, by przekonać przyjaciela, żeby został. – Chodzi o to, że jest jeszcze coś, do czego potrzebna mi twoja pomoc.

Zmrużył oczy.

– Jeszcze coś?

– Tak. Coś jeszcze.

– Czyli?

Przed dniem imienia, w którym Cień postanowił zostać wytwórcą magicznych artefaktów, łączyła ich muzyka. To była kwintesencja jego istnienia. Lyss mogła to wykorzystać.

– Pamiętasz, jak chodziliśmy razem na lekcje muzyki w Świątyni Południomostu? I zawsze byłeś lepszy ode mnie?

– Ledwie – odpowiedział takim tonem, jakby podejrzewał, że wchodzi w pułapkę. – To było dawno temu.

– No więc, jak wiesz, orator Jemson w każde zimowe Przesilenie organizuje zbiórkę charytatywną na Posługę Dzikiej Róży.

– Ta... aak. – Cień przesunął dłonią po włosach. – No i?

– Obiecałam Jemsonowi, że razem przygotujemy występ na dwudziestą piątą rocznicę Posługi Dzikiej Róży.

– Nie.

– Ale ja obiecałam.

– Ty obiecałaś, ja nie – stwierdził. – Już całe wieki nie trzymałem bazilki w ręku.

– To coś, czego się nie zapomina – powiedziała Lyss bez przekonania. Gdy Cień nadal kręcił głową, naciskała dalej: –

Gdybyś widział minę Jemsona, na pewno byś nie odmówił. Był taki przejęty. Wiesz, jaki jest sentymentalny, jeśli chodzi o dawnych uczniów. I wiesz, że teraz ta posługa ma większe znaczenie niż kiedykolwiek. Tak wiele osób głoduje w okresie świątecznym.

– Tym bardziej trzeba się skupić na wojnie – zauważył Cień. – Nie potrzebujesz mnie. To ty przyciągniesz tłumy. Jesteś bohaterką wojenną i następczynią tronu. Kto nie chciałby przyjść na twój występ?

Pozostało już tylko błaganie. Wychyliła się w siodle, chwyciła go za obie dłonie i spojrzała mu w oczy.

– Proszę cię. Nie każ mi iść tam samej. Wolałabym stawić czoło setce ryczących najemników niż słuchaczom w świątyni.

Cień roześmiał się, co było rzadkie i cenne w tych trudnych czasach.

– O tak, to na pewno – powiedział. – No dobrze. Zrobię to. Ale wrócę dopiero przed samym świętem. Daj mi znać, jakie utwory chcesz zagrać, a ja spróbuję trochę poćwiczyć, jak będę poza miastem.

– Dziękuję. Mam u ciebie dług. Jemson się ucieszy.

Patrzyła, jak Cień skręca i odjeżdża. Myślała przy tym, że prawdopodobnie Jemson będzie niepomierne zdziwiony.

Littlefield, Mason i pozostali żołnierze zaraz po dotarciu do miasta skierowali się do koszar. Lyss, Sasha, Cam i Finn jechali dalej w kierunku podzamcza, nad którym wznosiła się wieża zamku.

– Zatrzymasz się w mieście? – zwróciła się Lyss do Finna z pytaniem, które uznała za bezpieczne. Spodziewała się, że on natychmiast uda się do rodowej posiadłości na szczycie Szarej Pani.

– Będę mieszkać w pałacu – odparł. – Księżniczka Mellony przygotowała komnaty dla mojej rodziny na święta.

– Naprawdę? – zdziwiła się Lyss. – Ciocia Mellony? Czy to znaczy, że będziemy się częściej widywać?

– Tak.

– Jak będziesz w mieście, może przyjdiesz do nas w święto na kolację? – zaproponowała spontanicznie.

– Taki jest plan – odparł. Spojrzawszy ponad jej ramieniem, dodał: – O, nadchodzi królowa.

Lyss obróciła się i zobaczyła swoją mamę idącą przez podwórze w asyście kapitana Byrne’a, a za nimi ciocię Mellony i kuzynkę Juliannę.

– Patrz! Twój rodzice też tu są – zawołała Lyss, wskazując na lorda i lady Manderów zamykających ten orszak.

Finn skinął głową i wzruszył ramionami. Nie wyglądał na zaskoczonego.

Lyss rozłożyła ramiona i objęła matkę. Jak zawsze w takich sytuacjach, czuła się jak niezgrabny blond olbrzym.

– Dzięki Stworzycielowi wracasz cała i zdrowa – powiedziała królowa Raisa ze łzami w oczach. Godziła się na uczestnictwo Lyss w bitwach, ponieważ takie wyprawy należały do obowiązków królowej Szarych Wilków. To była jedyna część królewskich powinności, jaką Lyss przyjmowała z entuzjazmem. Trochę za dużym entuzjazmem z punktu widzenia jej matki.

– Kiedy wróciłaś z pogranicza? – zapytała Lyss, odsuwając się od mamy na długość ramienia.

– Tydzień temu. Będę chciała dowiedzieć się wszystkiego o kampanii na wschodzie.

Tam jest zawsze tak samo, mamo, odpowiedziała jej w myślach Lyss. Oni maszerują na północ, my zabijamy część z nich, oni zabijają część z nas, a potem oni wracają na południe.

Kątem oka Lyss dostrzegła, jak lady Mander obejmuje Finna z większą czułością, niż kiedykolwiek była skłonna mu okazywać. Ojciec klepał go po plecach i szeptał mu coś do ucha. Kiedy ta trójka już się rozdzieliła, ciocia Mellony przywitała Finna z taką radością, jakby był jej dawno niewidzianym synem. Potem przyszła kolej na Juliannę. Jej powitanie było jeszcze cieplejsze niż jej matki.

Widać, że wszyscy się cieszą z powrotu Finna, pomyślała Lyss. Oczywiście nic w tym złego, ale... to wyglądało na lekką

przesadę, niczym pierwsza próba spektaklu.

Jak tylko ciocia Mellony puściła Lyss z objęć, Julianna chwyciła jej obie dłonie.

– Lyss. Dopiero kiedy wracasz do domu, wiem, że pora kampanii naprawdę się skończyła.

– Dobrze wyglądasz – powiedziała Lyss, zgodnie z prawdą. Oczy kuzynki błyszcząły, policzki były zaróżowione z zimna lub podniecenia, a może taka już ich uroda.

– Mamy tyle do omówienia. Ciocia Raisa i ja rozmawialiśmy o tym, jak nie dopuścić, żeby powtórzyło się to, co w Fortecznych Skałach, i chciałybyśmy poznać twoje zdanie.

– Chętnie wam wszystko opowiem – stwierdziła Lyss. Zauważyła, że dłonie kuzynki były delikatne, paznokcie czyste i pomalowane. To sprawiło, że zawstydziała się własnych rąk – stwardniałych, popękanych, brudnych.

Julianna zrobiła krok w tył i przyjrzała się Lyss.

– Zawsze gdy wracasz jesienią, masz więcej barw, niż kiedy wyruszasz wiosną.

– To brud – odparła Lyss. – Odkryliśmy, że jego gruba warstwa to świetny kamuflaż. W zasadzie na polu bitwy porządne mycie można przypłacić życiem.

Julianna przyglądała się jej z uniesioną brwią.

– Tak? – powiedziała w końcu, jakby w to nie wierzyła, ale bała się spierać.

– To nie wszystko – dodała Lyss, jakby ją diabeł podkusił. – Okazuje się, że błoto wspaniale działa na cerę. Przywiozłam trochę ze sobą, żeby regularnie stosować go tu, na dworze.

W tym momencie jej matka posłała jej pytające spojrzenie, skrzywiła się i lekko pokręciła głową.

Julianna udała, że tego nie widzi.

Lyss sama nie wiedziała, dlaczego kuzynka tak ją drażniła. Czyżby była zazdrosna, bo Julianna wyglądała jak księżniczka, a nie wybudowała sosna? A może chodziło o to, że Julianna miała wszystkie te cechy, których Lyss brakowało: umiejętności nawiązywania kontaktów, obycie towarzyskie, spryt i na dodatek piersi?

A może dlatego, że jej kuzynka – chociaż zaledwie o dwa lata starsza – była jedną z zaufanych doradczyń królowej? Julianna stała się ekspertem od stosunków międzynarodowych, a ostatnio przejęła odpowiedzialność za służbę wywiadowczą królestwa, która nie działała najlepiej od śmierci lady Tyburn.

Dziwne. Ciocia Mellony nigdy nie wykazywała najmniejszego zainteresowania polityką. Julianna rzuciła się na sprawy państwowe jak... hm, nie przymierzając, świnia na błoto, i okazało się, że świetnie sobie radzi pośród meandrów dworskiej polityki. Lyss miała wrażenie, że całe życie słyszała, jak Julianna delikatnie ją poprawia na spotkaniach.

„Właściwie chodzi o to...” – mawiała, stukając długimi palcami w leżące przed nią raporty. Albo: „W zasadzie ostatnie informacje wywiadu sugerują, że...”.

Lyss mogła jedynie przypuszczać, że jej kuzynka odziedziczyła te zainteresowania i zdolności po zmarłym ojcu. Jakkolwiek do tego doszło, wydawało się, że Julianna i królowa rozumiały się bez słów.

I dobrze, pomyślała Lyss. Ja bym nie chciała spędzać pory kampanii wojennych na naradach.

– Gratulacje z powodu zwycięstwa w Dolinie Królowych, Wasza Wysokość – powiedział kapitan Byrne.

Po którym nastąpiła masakra w Fortecznych Skałach, dodała w myślach Lyss.

– Finn mówi, że jesteś najbardziej wojowniczą kobietą, jaką zna – dorzuciła Julianna.

Najbardziej wojowniczą? To był swego rodzaju komplement, ale nie to, co Lyss chciałyby usłyszeć.

– Julianna i ja śledziłyśmy twoje sukcesy – powiedziała ciocia Mellony. – Cały dwór o tym mówi. To niewiarygodne: zgładzić czterech magów jednym ciosem miecza.

– Niedokładnie tak było – odparła Lyss.

– Ambasador z Trzęsawisk poinformował mnie, że lord Dimitri chętnie by cię adoptował – dodała Julianna – albo przynajmniej przyjął do rodziny jako żonę dwóch albo trzech z jego synów.

– Nie zamierzam wychodzić za mąż – odburknęła Lyss. Po chwili zaczerpnęła powietrza i dodała uprzejmiejszym tonem: – Zresztą lord Dimitri jest zbyt szczodry. Cała chwała za nasz sukces na zachodzie należy się Wodnym Wędrowcom. Cieszę się, że są po naszej stronie.

– Może powinniśmy wysłać niektórych z nich na nasze południowe granice – zauważyła królowa z cierpkim uśmiechem.

– Może powinniśmy ich wysłać *poza* nasze południowe granice – powiedziała Lyss. Spojrzała na matkę, a ta wytrzymała jej spojrzenie. Obie wiedziały, co ta druga ma na myśli. Ta różnica zdań w kwestii taktyki była dla obu trudna do zniesienia.

Nie wdawajmy się w kłótnię, zanim słońce zajdzie w pierwszym dniu po moim powrocie, pomyślała Lyss. Zwłaszcza w obecności Mellony i Julianny.

– Zajmę się teraz Puddingiem – powiedziała, głaszcząc kuca po nosie.

– Kolacja będzie o siódmej – poinformowała ją mama. – Julianna i ciocia Mellony też przyjdą. Mam nadzieję, że wtedy spokojnie porozmawiamy.



TRENING

– Lyss, uwaga!

Lyss zacisnęła szczęki i uniosła koniec miecza, by odparować atak Sashy. Kiedy ich ostrza się zetknęły, siła ciosu omal nie pogruchotała jej zębów. W uszach jej dzwoniło od szczęku stali, ręce ciążyły tak, że nie była w stanie utrzymać broni. Ubrania miała już przemoczone, chociaż twarz osuszała jej z potu chłodny wiatr, który jakimś sposobem dostał się na plac ćwiczebny. Kiedy dzwony z wieży katedry ogłosiły, że czas minął, upadła twarzą na śnieg.

Były podobnej postury, przynajmniej pod względem wzrostu, ale Sasha ważyła około dwudziestu kilogramów więcej. Mimo to Lyss nie pamiętała, by kiedykolwiek ćwiczyła tak intensywnie.

– Na krew i kości – mruknęła, ścierając śnieg z twarzy. – Powiedz no, Talbot, czy chodzi o coś, co powiedziałam? Jeśli tak, to bardzo, bardzo przepraszam.

– Specjalna prośba twojego salwonu – wyjaśniła Sasha, wyciągając rękę, by pomóc Lyss wstać. – Prosił mnie, żebym cię wymęczyła, by nie musieli ćwiczyć dziś po południu. Niektórzy mają życie prywatne.

– Ha – odparła Lyss. – A więc zmęczyłaś mnie na próżno. Dzisiejsza musztra i tak jest odwołana. Zbiera się rada wojenna, a potem mamy kolację, dzisiaj wcześniej z powodu koncertu.

– Och. – Sasha skrzywiła się z rozczarowaniem. – W takim razie bardzo przepraszam, że tak cię eksploatowałam.

– Chyba powinnam iść na tę naradę w pełnym uzbrojeniu – stwierdziła Lyss, kiedy weszły do pustej wartowni.

– Czyżbyś się spodziewała ostrego ataku?

Lyss skinęła głową.

– Nikt nie chce słuchać tego, co mam do powiedzenia.

– Chodzi o to, co mówisz, czy w jaki sposób to robisz?

Lyss westchnęła.

– Chyba i jedno, i drugie. Zawsze myślę, że jeśli powiem prawdę, wszyscy siłą rzeczy muszą się ze mną zgodzić. Kiedy tak się nie dzieje, zaczynam się denerwować i jeszcze pogarszam sprawę.

– Na tym polega twój błąd – parsknęła Sasha. – Myślisz, że polityka ma coś wspólnego z prawdą.

– Czyli nieważne, co się mówi, byle to ładnie brzmiało – podsumowała Lyss. – Powinnam to sobie zapisać.

Zdjęła pikowany kubrak, skórzaną zbroję i obciążenie, którego używała, by wzmocnić ramiona. Sasha także się rozebrała. Lyss widziała, że dziewczyna coś rozważa i nie wie, czy to powiedzieć, czy nie.

– O co chodzi? – zapytała w końcu.

– Myślę o czymś, co mój ojciec mówił mi na temat sprzedaży.

Ojciec Sashy zmarł, kiedy ona była jeszcze *lytling*, ale wyglądało na to, że był prawdziwą kopalnią wiedzy, bo cytowała go przy różnych okazjach.

– Co ci powiedział?

– Pamiętasz, że miał stragan w Łachmantargu.

Handlował kradzionym i przemycanym towarem. Lyss skinęła głową.

– Mówił, że jeśli chce się sprzedać damie szal, to nie opowiada się jej o wełnie górskich owiec ani barwniku indygo, ani o ręcznie robionych frędzlach.

– Nie?

– Prawdopodobnie to dla niej nie ma żadnego znaczenia. Trzeba się dowiedzieć, czego ona chce, czego brakuje jej

w życiu, i wtedy jej pokazać, w jaki sposób ten szal zaspokoi te potrzeby.

– Czyli jeśli głoduje, powiesz jej, że może zjeść ten szal?

– Nieważne – burknęła Sasha, zawstydzona. – Chciałam tylko pomóc.

– Zaczekaj. – Lyss położyła dłoń na jej ramieniu. – Przepraszam. Możesz mi podać przykład?

– A więc kobieta mówi, że nie potrzebuje szala, że jest za drogi i że już ma ciepły płaszcz. Ale rozmawiasz z nią i dowiadujesz się, że ona kocha swoje wnuki i chciałaby, żeby częściej ją odwiedzały. Trzeba jej więc przedstawić obraz jej samej siedzącej przy kominku i owiniętej tym szalem, gdy wszystkie wnuki siedzą dookoła. I to jest to coś, co ona chce kupić, a nie szal.

Lyss roześmiała się.

– Dziękuję. Spróbuję to zapamiętać.

Sasha pozbierała sprzęt i miecze ćwiczebne i teraz trzymała wszystko na rękach jak wiązkę chrustu.

– Wszyscy czekają na dzisiejszy koncert – powiedziała. – Transparenty są porozwieszane po całym mieście. Chyba cały twój salwon zamierza się zjawić. W każdym razie na pewno Littlefield i Mason.

Świetnie, pomyślała Lyss. Co będzie, jak oni się zjawią, a Cień nie? Nasłucham się wtedy za wszystkie czasy.

– W co się ubierzesz? Zaraz... niech zgadnę... w tę czarną suknię.

To był jej standardowy strój na wszelkie uroczystości – pasował na każdą okazję. Jednak nie tym razem.

– Ciocia Mellony pożycz mi suknię.

– Hmm – Sasha wygięła usta, powstrzymując uśmiech. – To dopiero będzie widok.

– Przecież widziałas mnie już wcześniej w sukience.

– Ale nie z kolekcji księżniczki Mellony. A Cień? W czym on wystąpi? Jego chyba nigdy nie widziałam wystrojonego.

Lyss wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Jeszcze nie wrócił.

– Nie? – Sasha z trudem ukrywała zdziwienie. – Ojej, a ja myślałam, że wspólnie ćwiczyacie.

– Ja trochę ćwiczyłam sama. On prawdopodobnie też. Oboje piszemy nowe piosenki, które wykonamy solo.

Sasha przygryzła wargę.

– Masz o nim jakieś wieści?

Lyss pokręciła głową.

– Nie martwię się o niego – skłamała. – Mówił, że wróci dopiero przed samym koncertem.

– Czyli teraz? *Teraz* jest przed samym koncertem.

– Przyjdzie – stwierdziła Lyss. – Muzyka zawsze była dla niego ważna. Zresztą nie zostawi mnie na lodzie. – Chyba że coś mu się stało, dopowiedziała w myślach.

W tym momencie dzwony na wieży katedry wybiły połowę godziny.

– Kości – westchnęła Lyss. – Muszę się pospieszyć i wykąpać, bo Julianna pomyśli, że wróciłam do tarzania się w błocie.

– Powodzenia! – krzyknęła za nią Sasha.

Kiedy Lyss weszła do biblioteki, w palenisku płonął wesoły ogień. Członkowie rady, rozproszeni po sali, prowadzili swobodne pogawędki. Jej mama pochylała się nad planami rozłożonymi na dużym stole pośrodku – były to mapy Fells oraz sąsiadujących z nim Tamronu i Ardeny.

Dlaczego potrzebujemy map miejsc, w których nigdy nie zamierzamy postawić stopy? – pomyślała Lyss.

Na ścianach jej komnaty wisiały mapy z zaznaczonymi celami wojskowymi na południe od granicy – plany wprowadzenia i wyprowadzenia armii północnej.

I kto to mówi, strofowała w myślach sama siebie. Ty też się donikąd nie wybierasz.

Gdy weszła, królowa podniosła wzrok i pokiwała głową.

– Jesteś. Weź sobie herbaty, jeśli chcesz. Zaczniemy za kilka minut.

Ku zdumieniu Lyss przy kredensie stał Finn sul'Mander i wlewał miód do dwóch filizanek. Nigdy wcześniej nie brał udziału w naradach.

– Co ty tu robisz? – szepnęła, podchodząc do niego i obrzucając wzrokiem skromną ofertę poczęstunku.

– Mój ojciec poprosił wuja Micaha, żeby zabrał mnie na to zebranie – odparł i spróbował herbaty, po czym dodał jeszcze trochę miodu. – Chce, żebym lepiej poznał sposób podejmowania decyzji tu, w stolicy, i planowania strategii bitew. Zwłaszcza że teraz będę cały czas w mieście. Lord Vega mówi, że będę mógł go zastąpić na niektórych naradach poświęconych służbie zdrowia.

Jak spędzisz trochę czasu na tych zebraniach, to pewnie uznasz, że wolisz pole bitwy, pomyślała Lyss. A jednak w każdej chwili chętnie zamieniłaby lorda Vegę na Finna.

– Oto moja rada – powiedziała – postaraj się nie zasnąć. Jak zaśniesz, wszyscy to zauważą.

Finn udał niezadowolony.

– Ojej, fatalnie. Myślałem, że zdołam się zdrzemnąć, żebym był wypoczęty na koncercie.

Lyss omal się nie udławiła herbatą.

– Chcesz przyjść na koncert? – Zaczynało do niej docierać, że publiczność będzie się składała z osób, z którymi spotka się jeszcze nieraz.

Potaknął.

– Nie przepuściłbym takiej okazji. Poza tym twoja ciocia Mellony bardzo chce się tobą pochwalić, Julianna też jest tym mocno przejęta.

Naprawdę? Lyss obserwowała, jak Finn niesie dwie filiżanki herbaty do stołu i stawia jedną przed Julianną, po czym siada między nią a wujem Micahem Bayarem. Gdy obaj czarownicy siedzieli obok siebie, głowa przy głowie, pochłonięci rozmową, ich podobieństwo rzucało się w oczy, choć cera i włosy jednego były ciemne, a drugiego jasne. Bayar miał na sobie strój Wielkiego Maga, który kiedyś nosił jej ojciec. Lyss wiedziała, że nigdy do tego nie przywyknie.

Zajęła swoje zwyczajowe miejsce po prawej stronie królowej. Rozejrzała się, myśląc o tym, co powiedziała Sasha. Znała

większość członków tej rady przez całe swoje życie. Czego tak naprawdę chcieli?

Pragnienia jej matki nie były tajemnicą. Chciała utrzymać królestwo i linię rodu. Chciała chronić to, co pozostało z jej rodziny, czyli Lyss. To czyniło ją ostrożniejszą – mniej skłoną do podejmowania ryzyka. Kluczowe było przekonać ją, że niepodejmowanie działań też niesie ze sobą ryzyko.

Po lewej stronie królowej siedział kapitan Byrne. Jako kapitan zaprzysiężony monarchini chciał chronić królestwo i linię Szarych Wilków. Mógłby poprzeć zmianę strategii, gdyby uwierzył, że w przeciwnym razie linia będzie zagrożona.

Za nim znajdowała się Shilo Przecierająca Szlaki, ubrana w klanowe wąskie spodnie z jeleniej skóry i pelerynę, z włosami w warkoczykach i koralikach, oznaczających wielu zabitych. Shilo była Strażniczką Sadyby Demonai i przywódczynią słynnych wojowników klanowych. Demonai byli stworzeni do walki, ale najlepiej radzili sobie w ukochanych górach, gdzie mieli przewagę nad przeciwnikami. Lyss musiałaby mieć ważny argument, aby przesunąć ich na inny teren.

Randolph Howard bębnił palcami po stole, potem przeglądał rozłożone przed sobą notatki, jakby miał inne ważne rzeczy do załatwienia. Ten kupiec i arystokrata służył jako swego rodzaju kwatermistrz – zaopatrywał fellsjańskie siły zbrojne. Howard zawsze potrafił znaleźć sposób, by zarobić pieniądze, czy to w czasie pokoju czy wojny.

Char Dunedain dowodziła regularną armią – piechotą górską. Była inteligentna, twarda i doświadczona, a przy tym niezwykle odważna. Chciała misji o dużym strategicznym znaczeniu z jasno określonymi celami, bez bezmyślnego narażania życia żołnierzy.

Bayar reprezentował Radę Czarowników. Jeśli chodzi o działania ofensywne, bardzo prawdopodobne było, że czarownicy będą mieli opory wobec wejścia na teren Ardeny, gdzie mogliby zostać schwytani i zniewoleni. Mimo to mogli być jej największymi sprzymierzeńcami, gdyby udało jej się

wdrożyć swój plan. Widzieli, co działo się z obdarzonymi mocą na terenach imperium, i nie chcieli tego na Północy.

Lord Vega siedział po lewej stronie Julianny, lecz wciąż pochylał się nad stołem, by rozmawiać z Finnem. Vega był ministrem zdrowia i nadzorcą infirmerii. Lyss nie mogła zrozumieć, jak ktoś tak arogancki, egoistyczny i całkiem pozbawiony empatii mógł wybrać taki zawód.

Lord Vega pragnął powrotu do jakiegoś – jego zdaniem złotego – okresu, kiedy królami byli czarownicy i wszyscy znali swoje miejsce w szeregu.

Na drugim końcu stołu siedziała Hadley DeVilliers, która patrząc Lyss prosto w oczy, położyła pięść na piersi w uroczystym pozdrowieniu. Stała na czele świeżo utworzonej marynarki wojennej. Niewiele starsza od Lyss, zbudowała marynarkę od podstaw w ciągu zaledwie kilku lat. Hadley starała się unikać polityki, ale była przyjaciółką, na którą zwykle można było liczyć.

Naprzeciwko Hadley siedziała kuzynka Lyss, Julianna, a obok niej jej matka, księżniczka Mellony. Ta ostatnia nigdy nie miała dużo do powiedzenia, lecz Julianna była ulepiona z innej gliny. Ona należała do tych wygadanych. Zadawała dużo pytań i chętnie wyrażała własne zdanie.

Choć Lyss znała Juliannę prawie całe życie, nagle sobie uświadomiła, że właściwie nie ma pojęcia, czego jej kuzynka pragnie. Jak to możliwe?

– Mam nadzieję, że dobrze się bawicie, korzystając z luksusów stolicy – powiedziała królowa na powitanie. – Ile to już... trzy tygodnie?

Wśród zebranych przeszedł szmer rozbawienia. Warunki wojenne w Fellsmarclu, chociaż o cały poziom wyższe niż w obozach wojskowych na pograniczu, były dalekie od luksusu.

– Łóżka są za miękkie – westchnęła Przecierająca Szlaki. – To źle wpływa na moje kości Demonai.

– A to pożywne jedzenie – powiedziała generał Dunedain, chwytając za nieistniejący tłuszcz na talii. – Ledwo się mieszczę w mundur.

Nawet Bayar się dołączył.

– Ciągłe imprezy po jakimś czasie zaczynają męczyć – rzekł z przekąsem.

– Cieszę się, że humory wam dopisują – odparła królowa – bo mamy trochę pracy. Jak wiecie, w martwym sezonie omawiamy strategię militarną i rozważamy, czy trzeba dokonać jakichś zmian. Właśnie na tym chciałabym się dzisiaj skupić. Jak zwykle zachęcam do swobodnego wyrażania zdania i zapewniam, że wszystko, co tu mówimy, pozostanie w tej sali.

Lord Bayar wstał.

– Wasza Królewska Mość, zanim zaczniemy, chciałbym przedstawić Finna sul'Mandera, syna mojego kuzyna, i podziękować wam za to, że pozwoliliście mu do nas dołączyć i obserwować nasze obrady.

– Witamy, Finn – powiedziała królowa. – Śmiało zadawaj pytania, gdy będziemy omawiać kolejne punkty naszego planu obrad. Generał Dunedain, zacznijmy od was.

I tak dalej. Coroczny rytuał, który Lyss zdążyła już znienawidzić. Choćby nie wiadomo co działo się na polach bitwy w minionym roku, wniosek zawsze był ten sam: róbmy dalej to, co do tej pory.

Dunedain zrelacjonowała zwycięstwo w Dolinie Królowych i masakrę w Fortecznych Skałach. Dla większości rady były to już stare wiadomości.

– Dla wyjaśnienia – odezwała się Lyss. – Ponieważ teraz już jest jasne, że bitwa w Dolinie Królowych była tylko odwróceniem uwagi od ataku na Forteczne Skały, nie sędzę, żebyśmy mogli ją uważać za zwycięstwo.

– Ale siły Południa poniosły ciężkie straty – zaproponowała Dunedain.

– To prawda – przyznała Lyss – tylko że oddziały, które stracili, to najwyraźniej byli świeży rekruci z okupowanych królestw. Arden niewiele w nich zainwestował.

– A ty znowu swoje – powiedziała Hadley z niezadowoleniem. – Zamieniasz zwycięstwo w porażkę. Nie możesz się chociaż raz ponapawać chwałą?

– Nie chcę wprowadzać nikogo w błąd – odparła.
– Mimo wszystko – wtrąciła Raisa – czy nie jest prawdą, że ardeński batalion został zdziesiątkowany i że stracili czterech magów?

– To prawda – zgodziła się Lyss. – Różnica między nami a nimi jest taka, że królowi Ardeny nie zależy na ludziach.

– A więc ustalone – stwierdziła królowa, na co zebrani zareagowali szmerem rozbawienia. Zwróciła się ponownie do Dunedain: – Słuchamy dalej.

– Lord Dimitri i nasi sprzymierzeńcy na Trzęsawiskach odpierają wrogów na zachodzie – oznajmiła generał. – Przejęli też sporo uzbrojenia, a także zapasy żywności i inne dostawy, co powinno nam pomóc przetrwać zimę i wiosnę.

Lyss wiedziała, jakie będzie podsumowanie. Pod koniec pory kampanii żadna ze stron nie przesunęła swoich pozycji. Południowcy ponieśli większe straty – w każdym razie w liczbach bezwzględnych. Jednak królestwo straciło setki cywilów i majątek wart miliony koron.

– Każdy z naszych żołnierzy jest wart trzech z nich – zauważył Howard z dumą typową dla tych, którzy sami nigdy nie trzymali miecza w ręku.

– Musi tak być – stwierdziła Dunedain. – Południe może zgromadzić trzykrotnie większą armię niż my.

– Południowa broń nie może się równać z nożami i łukami wytwarzanymi w klanach – powiedziała Shilo.

– Tak, nasza broń jest lepsza – przytaknęła Dunedain – tylko trudno nam zapewnić jej dostateczną ilość.

– Problemem jest blokowanie przez Arden naszych portów – oświadczył Howard, patrząc na Hadley.

– To nas prowadzi ku lady Barrett – wtrąciła królowa, nie zwracając uwagi na gniewne spojrzenie Howarda. – Jak postępują nasze negocjacje z kapitanami portów na Wyspach Południowych?

Julianna zrobiła niezadowoloną minę.

– Negocjować z nimi to jak próbować łowić ryby gołymi rękami. Gdy już się zdaje, że mamy ich w garści, wyslizgują się.

Będą budować dla nas statki... nasze pieniądze liczą się tak samo jak inne... ale obawiają się otwarcia portów dla naszej żeglugi lub do celów wojskowych. Są zbyt uzależnieni od Ardeny.

– A czy są jakieś wieści z Ardeny? – zapytał kapitan Byrne. – Chodzi mi o politykę wewnętrzną.

Lyss natychmiast wzmoogła czujność.

– Z tego, co wiemy, Montaigne toczy spór z Radą Tanów w kwestii wojny – odpowiedziała Julianna. – Obiecywał im szybkie zwycięstwo i łupy dla każdego, kto dostarczy ludzi i pieniądze. Niektórzy podają w wątpliwość, czy skaliste tereny naszej krainy są warte tego, co poświęcili w ludziach i majątku.

– Myślisz, że to nam przyniesie jakąś korzyść? – pytał Bayar.

Julianna wzruszyła ramionami.

– Trudno powiedzieć. Król Gerard już wcześniej bezwzględnie tłumiał najdrobniejsze przejawy buntu. Przykładem jego sześciu nieżyjących braci.

Królowa uśmiechnęła się gorzko.

– Coś jeszcze?

– Wygląda na to, że jeszcze mocniej przycisnęli Delphi – stwierdziła Julianna. – Gawronce uszczelnili ostatnio granice miasta. Przez to trudniej nam utrzymywać kontakt z naszymi szpiegami. Widocznie Arden spodziewa się tam jakichś problemów.

– Miejmy nadzieję, że się nie mylą, lady Barrett. Lordzie Bayar? A wasza ocena naszych zasobów, jeśli chodzi o magię? Czy czaromiotów także brakuje?

Bayar pokręcił głową.

– W zasadzie nie, Wasza Królewska Mość. Tak wielu obdarzonych mocą zostało zabitych, że mamy więcej amuletów, niż potrzeba.

Wygląda na zmęczonego, pomyślała Lyss, czując niespodziewany przypływ współczucia. I zniechęconego.

– Zdaje się, że oni używają coraz bardziej wyrafinowanej magii – ciągnął Bayar – a to znaczy, że tracimy nad nimi przewagę w tej dziedzinie.

– Dziękuję wam wszystkim za informacje – powiedziała królowa. Coś zanotowała, po czym odłożyła pióro.

Zaczyna się, pomyślała Lyss.

– Podsumowując, wojna trwa, ale radzimy sobie nieźle przeciwko przewadze liczebnej i dużo większym zasobom przeciwnika. Myślę, że możemy być dumni z naszej armii, naszych wojowników klanowych, naszej młodej marynarki wojennej i wszystkich mieszkańców, którzy tak wiele poświęcili, żeby zapewnić wolność nam wszystkim.

Uniosła kieliszek, a pozostali poszli za jej przykładem, mówiąc z aprobatą: „Tak, tak! Racja!”.

Zawsze było to samo podsumowanie: radzimy sobie dobrze, biorąc pod uwagę okoliczności. Na przekór wszystkiemu przetrwaliśmy kolejny rok. Wzniesmy za to toast.

– To ma być wolność? – zapytała Lyss, podnosząc się. – Czy wyrok śmierci?

Nastąpiła niezręczna cisza.

– Odnośnie do...? – zapytał kapitan Byrne.

– Odnośnie do wszystkiego, co nadaje sens życiu – odparła Lyss. – Czy kupcy mogą podróżować po wszystkich królestwach tak jak dawniej? – zapytała, po czym zwróciła się do Przecierającej Szlaki: – Czy kowale tworzą amulety i biżuterię, które rozsławiały ich kunszt we wszystkich Siedmiu Królestwach, czy zamiast tego wytwarzają broń? Czy dzieci mogą swobodnie bawić się w lesie, tak jak kiedyś ich rodzice? Czy możemy wypływać z naszych portów bez ryzyka, że wpadniemy w łapska wroga? Czy nasi czarownicy śpią spokojnie, wiedząc, że mogą zostać schwytani i obezwładnieni przez magiczną obręcz? Czy prawowita królowa tego królestwa może chodzić ulicami stolicy, nie oglądając się przez ramię?

– A czemu nie – odparł lord Howard nieco urażonym tonem. – Od prawie czterech lat nie było żadnego ataku na rodzinę królewską.

– Ale ludzie giną, prawda? Ludzie, których strata jest dla nas zbyt kosztowna. Kapitanie Byrne, czy waszym zdaniem jesteśmy bezpieczni?

Lyss nie czuła się dobrze, wywołując go do odpowiedzi, lecz Byrne ani mrugnął.

– Nie wiem, Wasza Wysokość. Ale zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby tak było.

– Wiem – rzekła Lyss – tylko jak już się przekonaliśmy, czasami to nie wystarcza. Wszyscy jesteśmy zgodni, że radzimy sobie lepiej, niż ktokolwiek przypuszczał. Ale ilu z was ma poczucie, że wygrywamy? – Rozejrzała się po twarzach zebranych.

Nikt nie podniósł ręki.

– Może nie wygrywamy – powiedziała po chwili Przecierająca Szlaki – ale też nie przegrywamy.

– Nie zgadzam się. Tracimy zbyt wiele. To, co już straciliśmy, jest nie do zastąpienia. Nie mówię tylko o Hanie i Adrianie, i moim ojcu. Tracimy naszą przyszłość. Tracimy szansę. Pomyślcie, co moglibyśmy zrobić z pieniędzmi, które wydajemy na tę wojnę. Dzieci pracują w kopalniach i walczą w górach, zamiast chodzić do szkoły albo uczyć się zawodu. Skąd Demonai będą brali broń, kiedy nie zostanie nikt, kto będzie umiał ją wytwarzać?

– Tancerz Cieni uczy się od swojego ojca – zauważyła Przecierająca Szlaki. – Jego wyroby dorównują jakością innym.

– To prawda – przyznała Lyss – ale i Cień, i jego ojciec narażają się na wielkie niebezpieczeństwo. Jeżeli wojna jeszcze potrwa, w końcu śmierć ich dopadnie. Nasi oficerowie są geniuszami strategii w porównaniu z Południowcami, ale... generał Dunedain... jak długo jeszcze będziecie w stanie działać cuda z tymi żołnierzami i uzbrojeniem, którymi dysponujecie? Ile bitew mogliśmy wygrać, gdybyśmy mieli więcej zasobów?

– Trudno powiedzieć – odparła Dunedain. – Nie jestem wróżką.

– Gdybym rzuciła kośćmi i przepowiedziała, że imperium nigdy nie zdobędzie królestwa, ale wojna będzie trwała wiecznie... ilu z was by na to przystało?

Wszyscy poruszyli się nerwowo na swoich miejscach, odwracając wzrok.

Hadley podniosła rękę i pokazała niewielką odległość między palcem wskazującym a kciukiem.

– Niech to, Lyss, a byłam tak bliska zadowolenia.

– Wasza Wysokość – powiedział lord Vega, a jego słowa jakby klepały ją po głowie – wszyscy chcemy, żeby wojna się skończyła. Na razie jednak nie mamy wyboru.

– Wojna się nie skończy, jeśli jej nie zakończymy – oświadczyła Lyss. – Jedyнным sposobem, żeby ją zakończyć, jest podjęcie ryzyka.

– Masz na myśli coś konkretnego, Alysso? – zapytała królowa Raisa z nutą niecierpliwości w głosie.

– Musimy przelewać krew po drugiej stronie granicy. Powinniśmy dać im do zrozumienia, że mamy zęby. Wilki nie przestrzegają granic, kiedy polują.

Przecierająca Szlaki zmarszczyła czoło.

– Sugerujesz, żebyśmy wysłali naszych asasynów do Ardeny?

– A czy nie tego właśnie spodziewa się Montaigne? – dodała Hadley. – Że on wysła swoich asasynów, a my odpowiadamy tym samym? Założę się, że trudniej do niego dotrzeć niż do naszej rodziny królewskiej.

– Tak właśnie jest. – Julianna złączyła dłonie przed sobą. – Do tej pory było kilka zamachów na króla Ardeny, wszystkie nieudane. – Uczestnicy zebrania czekali, by rozwinęła tę myśl, ale ona zamilkła.

– Ziębo – Przecierająca Szlaki użyła klanowego imienia Lyss – nie dziwię się, że chcesz zemsty na Południowcach po tym wszystkim, co się stało, ale...

– Nie mówię o zemście – przerwała jej Lyss. – Mówię o strategii, która może nam pomóc wygrać tę wojnę. I nie myślałam konkretnie o asasynach. Musimy rozpocząć ofensywę, która przyciągnie ich uwagę.

– Jeżeli myślisz o inwazji, to już jesteśmy maksymalnie rozciągnięci – powiedziała Dunedain. – Nie chodzi tylko o rekrutów i szkolenie żołnierzy, ale i o utrzymanie łańcucha dostaw, kiedy już będą na nizinach. Już tam walczyłam i wiem, że to zupełnie inny rodzaj wojny, taki, w którym nie możemy

wykorzystać naszych mocnych stron. – Przerwała na chwilę. – Nasi żołnierze są zmęczeni, Wasza Wysokość. Wielu z nich jeszcze leczy rany. Zawsze wykorzystywaliśmy ten martwy sezon na odpoczynek. Czy poprosiłabyś ich, żeby ponownie wyruszyli?

Lyss rozpaczliwie szukała odpowiedzi, świadoma, że traci grunt.

– Nie musimy iść na Ardencourt – odparła. – Wystarczy, że wbijemy klin w ten ich mur nie do rozbicia.

– Zgadzam się z Alyssą – odezwała się Julianna, wprawiając tym wszystkich w osłupienie. Łącznie z Lyss.

– Ja też – oświadczył Finn.

– Nie możemy sobie pozwolić na narażanie naszych żołnierzy tylko po to, żeby postraszyć Południowców – opierała się Dunedain.

– To, o czym mówi księżniczka następczyni tronu, to nie są słowne popisy – stwierdziła Julianna. – Jeśli ich Rada Tanów już teraz jest niechętna wojnie, to wyobraźcie sobie ich reakcję, gdybyśmy rzeczywiście weszli na ich ziemie. Koszt tej wojny będzie się wydawał bardzo wysoki. Może właśnie taka dokuczliwa odmiana w działaniach wojennych jest potrzebna, żeby zaburzyć równowagę sił i umożliwić obalenie Montaigne’a.

– Jesteśmy w stanie wojny, odkąd pamiętam – powiedziała Hadley. – Zbyt wielu moich przyjaciół zginęło młodo. Słyszę, jak starsi rozmawiają o dawnych dobrych czasach, wiedząc, że to nigdy nie powróci. To dość niska miara sukcesu.

– Nie rozumiem, dlaczego mielibyśmy zmieniać taktykę, Wasza Królewska Mość – odezwała się Przecierająca Szlaki. – Zawsze czekaliśmy, aż Arden nas zaatakuje. Oni wdzierają się na nasze stoki i nasi łucznicy ich likwidują. Nasza młodzież jeszcze się nie nauczyła cierpliwości.

Wtedy Lyss zdała sobie sprawę, że po jej stronie są wszyscy jej rówieśnicy.

– Nie chcę wysyłać swoich dzieci na wojnę – powiedziała Julianna stanowczo, co zaskoczyło Lyss, bo jej kuzynka nie

miała dzieci. Ani nawet męża.

Królowa uśmiechnęła się blado, jej rzęsy pokryły się łzami.

– Ja też nigdy nie chciałam wysyłać swoich dzieci na wojnę – rzuciła, splatając i rozplatając palce.

To było jak cios w brzuch.

Bayar obrzucił młodych gniewnym wzrokiem.

– Młodym łatwo krytykować to, co zrobili starsi. Czy macie w ogóle pojęcie, co osiągnęła królowa w ciągu minionych dwudziestu pięciu lat? Dokonała niemożliwego, utrzymując czerwonego jastrzębia Ardeny z dala od naszych granic. Może to nie szczyt naszych marzeń, ale musi wystarczyć.

Lyss nie miała zamiaru krytykować strategii wojennej jej matki, ale ta dyskusja zaczynała schodzić na takie tory.

– Nie musimy teraz o tym decydować – powiedziała królowa. – Proponuję odłożyć ten temat do narady po święcie Przesilenia. Może ustalimy jakieś zmiany w strategii, które zadowolą wszystkich przed następną porą kampanii.

Jeśli nie będzie za późno, pomyślała Lyss.

– Czasem bardziej ryzykowne jest nic nie robić, niż robić coś – powiedziała. Zamilkła, gdy wspomnienia niczym ciemne wody zgromadziły się nad jej głową. – Kiedy miałam dziewięć lat, płynęliśmy z bratem łódką, która się przewróciła. Ja złapałam się skały przy samym brzegu. Zbliżał się przypływ i wiedziałam, że muszę dopłynąć do brata. Ale to znaczyło, że musiałam puścić się skały. Zrobiłam to, lecz była to jedna z najtrudniejszych decyzji w moim życiu.

Przecierająca Szlaki w zamyśleniu kiwała głową. Mieszkańcy klanów często przedstawiali swoje racje za pomocą opowieści.

– Co ten wypadek z łodzią ma wspólnego z wojną? – zapytał lord Howard.

– Chodzi mi o to, że musimy puścić się tego, co do tej pory robimy, i zaryzykować. Jeśli będziemy robić to, co zawsze, dostaniemy to, co zawsze... niekończącą się wojnę. Nie możemy wiecznie dreptać w miejscu. Bo w końcu utoniemy.



BREON

Może obudziło go łaknienie – co było normalne. Albo odgłosy skradania się, co normalne nie było. Dłoń Breona odnalazła nóż, zanim otworzył oczy. Ktoś kuczał na brudnej podłodze obok niego i grzebał w jego rzeczach.

– Gąsior – powiedział spierzchniętymi ustami – szkoda twojego czasu.

Gąsior cofnął się i upadł na pośladki.

– Ja nie... ja tylko...

– Tylko... to zamknij. – Jak zawsze Breon żałował, że się obudził. Wszystko go bolało i co zdarzało się coraz częściej, nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Było tu zbyt zimno jak na ubrania, które miał na sobie, powietrze zdawało się rozrzedzone i nie czuł już zapachu morza. To tylko sprawiało, że jego własny odór był wyraźniejszy. Śmierdział potem i piwem, zieleń i rybami.

Rybami?

Musiał być dzień; Breon widział światło wpadające przez szczeliny w okiennicach. Widocznie spał jak zabity. Podparł się na łokciach, ogarnięty nagłą paniką. Dżafasa wciąż leżała obok niego w miękkim pokrowcu. Przesunął po niej dłoń, upewniając się, że jest prawdziwa. Już dawno by ją stracił, ale pozostali woleli jej nie dotykać. Fancierz uznał, że to Breon

powinien ją przechowywać. Pozwalała im zarabiać podczas ich wędrownych spektakli.

Znajdowali się w mieście; słyszał w pobliżu świątynne dzwony. Ten kłęb koców w rogu to Aubrey. Z całego tuzina pozostało ich tylko czworo. Breon wnosił swój talent, Aubrey wygląd, a Gąsior – cóż, był niezłym akrobatą, kiedy dobrze się czuł, ostatnio jednak nie zdarzało się to prawie nigdy. Fanciarz miał się zajmować stroną biznesową – biletami na ich występy i organizowaniem podróży – ale zarabiał głównie na handlu ziele.

Prawdę mówiąc, był żalonym impresariem. Breon miał swoje plany. On także chciał odejść, i to lada chwila.

– Fanciarz już powinien wrócić – jęknął Gąsior. – Przydałoby mi się coś na obudzenie, no wiesz, o co chodzi.

Wiem, o co ci chodzi, pomyślał Breon. W głowie mu dudniło, jakby całą noc walił w bęben.

– Przypomnij mi: gdzie jesteśmy?

– W stolicy – powiedział Gąsior. – W Fellsmarchu. W górach.

– Naprawdę? – ożywił się Breon. – Zawsze chciałem zobaczyć góry. – Podniósł się i omal nie zgubił spodni. Znowu zaczął chudnąć. Ostatnio ciągle brakowało jedzenia, a kiedy zażywał ziele, spalał wszystko jak komin.

Gąsior, jak zwykle, mówił wyłącznie o jednym.

– Myślisz, że mają tu ziele? Bo przecież tu tylko śniegi i lód, co nie?

– Możesz tu dostać, co zechcesz – powiedział Breon. – To stolica. – Jakby wiedział więcej od Gąsiora. Po chwili zastanowienia zapytał: – Jak tu dotarliśmy?

– Fanciarz załatwił miejsce w wozie z rybami z wybrzeża. Pamiętasz?

Ano tak. To tłumaczyło smród ubrań.

Breon wyszedł do ubikacji, która wyglądała i śmierdziała jak wszystkie takie miejsca. Znajdowali się w wąskiej uliczce w dzielnicy pełnej domów czynszowych i magazynów. Może i była to stolica, ale niewiele się różniła od nadmorskich miast, do których przywykł. Owszem, było tu zimniej niż na

wybrzeżu, ale cieplej, niż się spodziewał po górach. Ulice były brukowane, nie gliniaste jak w niektórych miejscach. I z każdej strony za budynkami widniały górskie szczyty, niczym mury kamiennego więzienia.

Albo pałacu, zależy, jak na to patrzeć. *Wszystko zależy od punktu widzenia*, lubił mawiać Fanciarz, kiedy stawiał na stoliku kolejne piwo w podrzędnej tawernie czy gospodzie z pokojami na godziny.

Kilka ulic dalej nad budynkami wznosiły się wysokie wieże. Chyba świątynia. Mrużąc oczy w rażącym świetle, Breon poszedł wzdłuż muru do głównej ulicy, żeby lepiej się przyjrzeć. Czasami w świątyniach rozdawano jedzenie. Musiał wypełnić żołądek, zanim wróci Fanciarz. Jeszcze jedna porcja ziela i całkiem zapomni o głodzie.

Pod tym względem mu się poszczęściło. Na placu przed świątynią alumni rozdawali chleb i pomarańcze.

Pomarańcze! To uderzyło jakąś strunę w jego duszy. Kiedy ostatnio jadł te owoce? Nie miał pojęcia. Czuł się, jakby wymazano mu z pamięci ogromne połacie życia. Jednak jego usta pamiętały, bo zaczął się ślinić, kiedy ustawił się w kolejce. Zauważył Aubrey, która jakimś sposobem znalazła się przed nim. Obróciła się i uśmiechnęła do niego figlarnie. Cała ona – dwa lata starsza i zawsze o dwa kroki przed nim.

Alumn wraz z chlebem i owocami rozdawał błogosławieństwa.

– Mogę jeszcze raz? – zapytał Breon, mając na myśli jedzenie, nie błogosławieństwo. – Dla przyjaciela?

Alumn mierzył go uważnym spojrzeniem, podając mu dokładkę.

– Gdybyś potrzebował pomocy, znajdziesz ją wewnątrz – powiedział, ruchem głowy wskazując świątynię.

– Nie jestem zbyt religijny – odparł Breon z ustami pełnymi chleba.

Alumn uśmiechnął się, pokazując idealne uzębienie błękitnokrwistych.

– Nie chodzi tylko o religię. Udzielamy bardziej praktycznej pomocy: nauka, nocleg, możliwość umycia się.

Breon uniósł dłoń, w której ścisnął chleb.

– Na razie to mi wystarczy – powiedział. – Dziękuję... – Poszukał w myślach odpowiedniego zwrotu i w końcu dorzucił: – Wielebny.

– Mów mi Samuel.

– Samuelu. – Breon lekko się uklonił i zaczął się odwracać.

– Dzisiaj jest darmowy koncert. – Alumn wskazał na transparent rozwieszony na frontowej ścianie świątyni.

Posługa Dzikiej Róży zaprasza na koncert dziś wieczorem. Wystąpią: Jej Wysokość Alyssa ana'Raisa i Rogan Tancerz Cieni oraz Tancerze Świątynni. Tylko jeden koncert. Świątynia Południomostu. Dobrowolne datki.

– Tu jest napisane, że...

– Umiem czytać – burknął Breon. Gdzie i kiedy się nauczył, nie miał pojęcia. Mówiono, że ziele wypala mózg, i może to była prawda. Mógł to rzucić w każdej chwili i może powinien.

– Skoro umiesz czytać, to może spodoba ci się nasza biblioteka. – Samuel znowu wskazał świątynię. Sprawiał wrażenie jednego z tych alumnów, którzy tak bardzo chcą czynić dobro, że nie wiedzą, kiedy przestać.

– Dziękuję, wielebny. Przyjaciółka na mnie czeka, o tam. – Skinął głową w kierunku Aubrey, która przyglądała się tej rozmowie, zginając się ze śmiechu.

– Czasami oprócz ciała trzeba nakarmić też ducha! – krzyknął za nim Samuel i zajął się następnym potrzebującym, który już przytupywał prawdopodobnie w obawie, że umrze z głodu, nim to kazanie się skończy.

Świątynia znajdowała się o rzut beretem od rzeki. Aubrey siedziała na ławce i patrzyła na wodę. Przesunęła się, żeby zrobić Breonowi miejsce. Wtedy zauważył, że udało jej się zdobyć *trzy* porcje i właśnie kończyła pierwszą.

– Jak to zrobiłaś? – Spojrzał na nią gniewnie.

Aubrey poklepała się po miejscu, w którym powinna mieć brzuch, i popatrzyła tym swoim niewinnym spojrzeniem.

– Skłamałam. Powiedziałam, że spodziewam się dziecka.

Patrząc na nią, można by myśleć, że nawet nie wie, skąd biorą się dzieci.

Breon parsknął śmiechem. Aubrey była urodzoną kryminalistką. To ona nauczyła go, jak przetrwać na ulicach portowego miasta. Uczyła go też innych rzeczy, kiedy gasły światła.

Nie była najlepszym muzykiem, ale przyciągała mężczyzn na ten ich marny spektakl. Czasem, kiedy Gąsior był w dobrej formie, on i Aubrey wykonywali całkiem zabawne kawałki.

Breonowi zdarzało się myśleć, że może jest w niej zakochany – skąd mógł to wiedzieć, jeśli nigdy wcześniej nie był? W każdym razie to, czego go uczyła, zawsze mu się podobało. Była jedyną osobą, którą przechowywał w dziurawej pamięci jako kogoś, kto okazywał mu troskę. Ostatnio jednak wydawała się jakaś burkliwa i obca.

Spojrzał ponad kamiennym murkiem na rzekę – czystsza niż w jakimkolwiek innym mieście. Chociaż był prawie środek zimy, po murku pięły się maleńkie kwiatki. Zerwał kilka i podał Aubrey. Powąchała je, a potem położyła na ławce obok siebie.

Zachęcony, Breon przysunął się bliżej niej.

– To takie romantyczne, piknik nad rzeką. – Położył dłoń na jej kolanie i pochylił się, by ją pocałować, ale ona odwróciła głowę.

– Powiedz mi to, jak nie będziesz śmierdział rybami. – Oblizła palce i wytarła je w ławkę.

Ale jest humorzasta, pomyślał.

Kiedy wrócili na metę, Fanciarz już tam na nich czekał, wściekły jak diabli.

– Gdzieście byli? – Chwycił Breona za przód ubrania i potrząsnął nim. – Czemu nigdy cię nie ma, kiedy jesteś potrzebny?

– Spokojnie. – Breon wyzwolił się z uścisku. – Gdybym wiedział, że mnie potrzebujesz, nie wyszedłbym. – Obserwował

Fanciarza uważnie. Już dawno ten samozwańczy impresario nie okazywał mu takiego zainteresowania. Fanciarz potrafił być bardzo pomysłowy, jeśli chodziło o sposoby zarabiania pieniędzy przez Breona. Sposoby wykraczające poza granice, które Breon sam sobie wyznaczył.

Włóczył się z Fanciarzem od chwili, kiedy jako dziesięcioletni blondynek potrzebował ochrony w południowym porcie Zatoki Bostońskiej. Teraz był już dorosły – miał szesnaście lat i potrafił sam o siebie zadbać. Coraz bardziej wątpił, czy pozostawanie w tej grupie przynosi mu jakieś korzyści.

Aubrey da sobie radę. Umiała lądować na cztery łapy. Ostatnio często znikwała i Breon podejrzewał, że prowadzi jakieś własne interesy. I tak się dziwił, że została z nimi tak długo.

A co z Gąsiorem? Co się z nim stanie, jeśli Breon odejdzie? Ostatnio to Breon zarabiał większość pieniędzy. A Fanciarz potrafił być okrutny, kiedy się wściekł.

Zresztą potrafił być okrutny zawsze, kiedy myślał, że to mu przyniesie jakąś korzyść.

– No więc o co chodzi? – zapytał Breon. – Przyniosłeś nam coś? – Jemu samemu nie zależało na ziele, ale Gąsior był w złym stanie i wyraźnie potrzebował działki.

Fanciarz unikał jego wzroku.

– Teraz nic dla was nie mam, ale dziś wieczorem będziemy się tarzać w forsie. Musicie tylko wytrzymać do wieczora.

Breon zacisnął zęby, żeby myśli mu się nie rozpiezchły. Po chwili otworzył usta na tyle, by zapytać:

– Co ma być dzisiaj wieczorem?

– Ten numer, o którym mówiłem. – Fanciarz potarł kciukiem o inne palce na znak szykującego się zarobku. – Tym razem będzie z tego prawdziwa kasa. Mówiłem, że co stolica, to stolica. – Zauważył jedzenie w dłoni Breona. – Czy to pomarańcza? Skąd to masz? – Wyrwał mu ją z ręki i zaczął obierać.

Breon rzucił Gąsiorowi chleb, żeby i on nie podzielił losu owocu. Jasne, że Gąsior wolałby coś innego, ale zostało już tylko to.

– Potrzebuję działki, jeśli mamy występować – jęknął Gąsior, odgryzając duży kęs chleba.

– To sprawa dla Bree – powiedział Fancierz, celując kciukiem w Breona. – Nie dla ciebie.

– Zaraz. O jakim numerze mówimy? – Breon natychmiast zwiększył czujność.

– To jest, no wiesz, taki... prywatny koncert – tłumaczył Fancierz. – Ktoś słyszał, jak grałeś w Zatoce Bastońskiej, i dałby wszystko, żebyś zagrał tutaj.

– *Prywatny* koncert? – Uniósł brew. Nie pierwszy raz to słyszał.

– Mam tu dla ciebie świeże ciuchy – mówił dalej Fancierz. – I załatwiłem ci kąpiel w gospodzie po drugiej stronie rzeki.

Gospoda. Ano tak.

– Nie ma mowy – oświadczył Breon, czując, jak płoną mu policzki. Usiadł na ziemi obok swojej dzafasy i splótł ramiona wokół kolan. – Mówiłem ci już i powtórzę to jeszcze raz: jestem muzykiem. Nie fagasem do towarzystwa.

– Nie, nie, nie. – Fancierz potrząsał głową. – Żle mnie zrozumiałeś. Nic z tych rzeczy.

– O? – Breon odpiął klamry futerału i wyjął instrument. – No a z jakich rzeczy?

– To koncert – upierał się Fancierz. – Przed prawdziwą publicznością. Nie możesz śmierdzieć rybami.

– Co to za publiczność? – pytał Breon. – Kto płaci i ile? I gdzie ten koncert?

– Nie będzie w gospodzie – odparł Fancierz. Jak zwykle wybrał to pytanie, na które chciał odpowiedzieć.

– No to gdzie?

– Ojej, Bree – westchnął smutno – pamiętam, jak byłeś takim uroczym, ufnym chłopcem, który wierzył, że...

– Nauczyłem się, że urok to za mało – przerwał mu Breon. – A na zaufanie trzeba sobie zasłużyć. – I że nie mogę wierzyć twoim słowom, dodał w myślach.

Fancierz jęknął jak udręczona ofiara.

– Zaśpiewasz dla jednej dziewczki – powiedział. – Będzie na koncercie w świątyni tu za rogiem.

Breon przypomniał sobie transparent wywieszony nad wejściem do świątyni. Zapewne o tym mowa.

– Zacznieś śpiewać i grać, kiedy będzie przechodziła. Widzisz, sprawa jest czysta, bo wszystko wydarzy się w miejscu publicznym.

Czemu to akurat ma gwarantować, że sprawa będzie czysta? – pomyślał Breon. W publicznych miejscach cały czas dzieją się złe rzeczy.

– Ona przechodzi, ja dla niej śpiewam, i tyle?

Fancierz pokiwał głową.

– Widzisz? Łatwa forsa.

– Dlaczego?

– Dlaczego co?

– Dlaczego ten klient chce, żebym śpiewał dla tej dziewczki?

– Chce, żebyś ją dla niego oczarował.

No dobra. To by wyjaśniało potrzebę kąpieli i zmiany ubrań. Ale nie wyjaśniało tego nerwowego spojrzenia Fancierza.

– W takiej sprawie coś może pójść nie tak – powiedział Breon. – Dziewka to nie pieróg z mięsem. Nie mogę tak po prostu jej zdobyć, a potem dać komuś innemu.

– On chyba chce, żebyś ją wprowadził w nastrój – stwierdził Fancierz, oblizując wargi w sugestywny sposób, który wcale nie przekonywał Breona. – Zaśpiewasz kilka romantycznych ballad, żeby ją trochę zmiękczyć. Ona jest błękitnokrwista, a on nie. Liczy na to, że pomożesz mu ją zdobyć.

– Nie podoba mi się to – odparł Breon, przesuwając palcami po strunach, z których w iście magiczny sposób wydobywała się muzyka. – Każdy inny użyłby taniego bimbru, żeby nakłonić dziewczkę do złej decyzji. Wolę się w to nie mieszać.

– Gość oferuje czterdzieści koron. – Fancierz wyciągnął asa z rękawa.

– Na krew i kości – mruknął Gąsior. – Czterdzieści pańienek? Za piosenkę miłosną?

„Panienkami” nazywano monety, które z jednej strony miały koronę, a z drugiej królową. Breon rzadko miewał w dłoni *jedną* taką panienkę, a co dopiero czterdzieści. To była mała fortuna. A jeśli Fancierz mówił czterdzieści, to znaczyło, że ten zalotnik zaproponował sześćdziesiąt.

– Mówiłeś, zdaje się, że ten kochaś nie jest błękitnokrwisty – zauważył Breon. – Skąd miałby wziąć taką forszę?

– Nie tylko błękitnokrwisci są bogaci...

– Racja, są jeszcze szubrawcy, złodzieje i herszci gangów – odparł Breon – i z żadnym z nich nie chcę mieć nic wspólnego.

– Czterdzieści panienek, Bree – odezwał się Gąsior, nerwowo ściskając koce, którymi był okryty.

– Nie chcesz połączyć tych dwojga młodych? – przekonywał Fancierz. – On chce tylko z nią pogadać.

– Pogadać? Jesteś pewien, że tylko o to mu chodzi?

– Słuchaj, jak ten koncert się skończy, na ulicach będą różni ludzie i wszędzie będzie pełno niebieskich. Co może się stać? – Fancierz gładził się po rzadkiej brodzie.

Breon westchnął i przesunął dłonią po brudnych włosach. Nie tylko Gąsior cierpiał. Ten rok był bardzo nieudany.

– Niech będzie – zgodził się, obmyślając już repertuar. – Zrobię to.

– Dobry chłopak! – ucieszył się Fancierz. – No to teraz...

– Jeżeli... – dodał Breon.

Fancierz spojrzał na niego niepewnie.

– Jeżeli co?

– Wiem, że ten gość dał ci zaliczkę. – Wyciągnął rękę i poruszał palcami.

– Tak, ale już wydałem na twoje nowe ciuchy, kąpiel i tak dalej – jęknął Fancierz.

– Nie wydałeś wszystkiego. Wszystkim nam potrzebny porządny posiłek, a ja i Gąsior nie będziemy czekać z tym do wieczora. Jak już dostaniesz zapłatę, ja biorę dwadzieścia pięć panienek, Gąsior i Aubrey po pięć.

– Z jakiej racji? Oni nic nie zrobili, żeby to zarobić.

– Bo siedzimy w tym razem – odparł Breon. – Nie tak zawsze mówisz? Dzielimy się po równo.

– A moja prowizja? Tylko pięć koron?

– Domyślam się, że już zadbałeś o swoje wynagrodzenie. Decyduj się. Wóz albo przewóz.

– Niech będzie – mruknął Fanciarz, a to, że się zgodził, powiedziało Breonowi wszystko, co chciał wiedzieć.

Fanciarz pogrzebał w torbie, wyciągnął sakiewkę i podał muzykowi. Nie była ciężka i na pewno wypchana drobniakami, a nie panienkami.

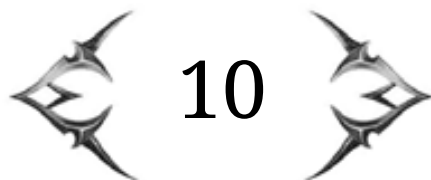
– Skąd mam wiedzieć, dla kogo śpiewać? – zapytał Breon. – Masz coś, co do niej należy?

Mógł oczarować prawie każdego, jeżeli tylko miał instrument do przesyłania uroku. Pomagało też, gdy patrzył tej osobie w oczy. Jeszcze większą pomocą był związany z tym kimś przedmiot, najlepiej coś ulubionego.

– Spotkasz się z klientem na rogu Mostu Południowego i Rzecznej. To po przeciwnej stronie rzeki niż świątynia. On da ci jakiś jej przedmiot.

– Wiesz chociaż, jak ona ma na imię?

– Nie. – Fanciarz klepnął go w plecy tak, że omal go nie przewrócił. – Bez obaw. Wierzę w ciebie. Tylko śpiewaj. To i ta twoja ładna buźka wystarczą, żeby ją zwabić.



OKPIONA

Kolacja odbyła się wcześniej i była jeszcze skromniejsza niż zwykle w tych ciężkich czasach. Królowa wystosowała zaproszenie do wszystkich, by uczcić wieczorny koncert, który miał wyznaczać rozpoczęcie sezonu świątecznego.

Jadalnia była już wypełniona, kiedy Lyss weszła. Odruchowo rozejrzała się, szukając potencjalnych pułapek. Nienawidziła zgromadzeń, na których wszyscy walczyli o zaznaczenie swojej pozycji.

Na widok różnorodności obecnych trochę się odprężyła. Zauważyła Cama Stauntona w galowym mundurze, jak rozgląda się po stole z deserami. Wziął dwa ciastka i wsunął je do ust. Gdy się obrócił i zobaczył, że Lyss go obserwuje, jego twarz zrobiła się czerwona, co ładnie kontrastowało z barwą cukru wokół jego ust.

– Rozglądaj się, *zanim* sięgniesz po ciastko, szeregowy – powiedziała Lyss.

– Tak jest – odparł, plując okruchami. – Na łaskawą Panią – mruknął, zasalutował i szybko się oddalił.

– Wasza Wysokość.

Lyss obróciła się i zobaczyła Finna sul'Mandera w granatowej aksamitnej pelerynie, która podkreślała srebrny odcień jego blond włosów i czerń oczu. Na wierzchu miał stulę z fellsjańskim kotem.

Finn uklonił się i pocałował ją w rękę. Jego wargi pozostawiły na jej skórze lekkie mrowienie magii.

– Wasza Wysokość. Chcę, żebyś wiedziała, że zgadzam się z tym, co mówiłaś na dzisiejszym posiedzeniu rady... że przegrywamy tę wojnę, ale nikt nie chce tego przyznać.

– Nie powiedziałam, że przegrywamy – odparła. – Ja tylko nie uważam, że wygrywamy. To różnica. – Była tego pewna, choć nie umiałyby tego jasno wytłumaczyć.

– Mimo wszystko. Wiele osób sądzi, że jesteśmy na najlepszej drodze do katastrofy. – Mocno ścisnął jej dłonie, a jego głos zadrżał.

– Słuchaj, tegoroczna pora kampanii była długa. Co do rady, to czasem potrzeba czasu, żeby przekonać ludzi do spojrzenia na coś w inny sposób. To nie będzie łatwe. – Nawet gdy wypowiadała te słowa, nie wierzyła, że wydobywają się z jej ust.

– Tylko oni nie rozumieją, że czas płynie – zauważył Finn. Powiedziawszy to, jakby wziął się w garść i przypomniał sobie, że jest w sali pełnej ludzi. – Przepraszam. W końcu mamy dzisiaj co świętować.

Czy rzeczywiście? – pomyślała Lyss, gdy uklonił się i odwrócił. Przygryzła wargę i obserwowała, jak się oddala. Wojna się nie kończy, kiedy kończą się walki, myślała. Wśród jej przyjaciół było tak wielu rannych i chorych. Gdyby wojna skończyła się dzisiaj, ile czasu potrzebowałoby królestwo, żeby uleczyć rany?

Westchnęła i sama skierowała się do stołu z jedzeniem i napojami.

Żołnierze po miesiącach żywienia się wojskowym prowiantem gromadzili się wokół skromnego poczęstunku. Witając się z kilkoma głodnymi członkami jej salwonu, Lyss sięgnęła po ciastko i kieliszek wina. Gdy odwróciła się od bufetu, znalazła się twarzą w twarz z Quillem Bosleyem, który wyglądał imponująco w galowym mundurze wojskowym.

– Uroczą Alyssa – powiedział, kłaniając się. – Miałem nadzieję, że was tu spotkam.

A ja miałam nadzieję, że cię nie spotkam, pomyślała Lyss, rozglądając się za pretekstem do ucieczki, którego jednak nie znalazła.

– Poruczniku. – Skinęła mu głową na powitanie.

– Właśnie usłyszałem dobrą nowinę – oznajmił. – Rozumiem, że należą się wam gratulacje, pani kapitan. Czy raczej powinienem mówić Szary Wilku?

– Kapitan wystarczy – odparła. – Ten awans to dla mnie zaszczyt, bo tylu jest wokół bardziej doświadczonych oficerów.

– Cóż, nic dziwnego, że generał Dunedain chciałaby się wkraść w wasze łaski. Oczywiście, nie mówię, że na to nie zasługujecie. – Bosley mrugnął do niej, jakby opowiadał żart zrozumiały tylko dla nich dwojga.

Był jednym z kilku konkurentów, którzy wykazywali zainteresowanie Lyss w minionym sezonie. Jego zabiegi to głównie szybkie natarcia i jeszcze szybsze odwroty. Wykazywał się większą wytrwałością niż inni – wciąż pojawiał się w jej karnecie tańców, mimo iż miała skłonność do niezręcznych konwersacji i deptania po palcach. Jako najmłodszy z synów arystokraty, wyraźnie obrał określną drogę do awansu.

Lyss na początku była dla niego uprzejma, zakładając, że jako żołnierze będą mieli wspólne tematy do rozmowy. Jednak im więcej czasu z nim spędzała, tym mniej go lubiła. Najwyraźniej bardziej interesowało go to, co miała pod ubraniem, niż co miała do powiedzenia na temat strategii. Teraz zdawał się sądzić, że ma prawo do jakichś roszczeń.

Mimo że odkąd wróciła, odwiedzał ją już kilka razy, zawsze udawało jej się uniknąć spotkania z nim sam na sam. Z nadejściem sezonu imprez towarzyskich w porze Przesilenia jej spokój się kończył.

– Czuję się rozczarowany, że nie widywałem was częściej po powrocie do stolicy – powiedział Bosley.

– Byłam zajęta – odparła Lyss ogólnikowo. – Czas w domu mija tak szybko.

– Właśnie dlatego musimy go jak najlepiej wykorzystywać. – Chwycił obie jej dłonie. Dlaczego ciągle ktoś chwycił ją za

ręce? – Tak się zastanawiałem, czy macie plany na dzisiejszy wieczór. – Przysunął się do niej tak blisko, że poczuła od niego alkohol. – Moglibyśmy gdzieś pójść i porozmawiać o wojnie.

Gdyby naprawdę o to mu chodziło, może dałaby się skusić. Zwłaszcza gdyby ta rozmowa miała się odbyć w miejscu publicznym.

– Niestety – uwolniła dłonie z jego uścisku – dzisiaj mam recital. W zasadzie cały najbliższy czas jestem bardzo zajęta. Ponieważ rzadko bywam w mieście, mam dużo do nadrobienia. Musztra, marsze, spotkania, znowu musztra...

Bosley przeniósł ciężar ciała z nogi na nogę i zacisnął pięści.

– Rozumiem, że macie dużo towarzyskich obowiązków, zwłaszcza w okresie świątecznym, ale chyba...

– À propos towarzyskich obowiązków – przerwała mu Lyss, patrząc ponad jego ramieniem – idzie tu lord Thornleigh. – Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek ucieszyła się na jego widok. Aż do tej pory.

Caddis Thornleigh, młodszy minister stanu, szedł w ich stronę. Może raczej należałoby powiedzieć, że *sunął w ich stronę*.

– Wasza Wysokość – przywitał się, wykonując idealny ukłon i ignorując Bosleya – witamy z powrotem. Na pewno bardzo się przejmujecie. Aż trudno uwierzyć, że zbliża się najważniejszy wieczór w waszym życiu.

Lyss przez chwilę nie wiedziała, o co chodzi.

– A – westchnęła w końcu. – Jeżeli mowa o koncercie, to...

– Koncercie? – zdziwił się Thornleigh. – Mówię o waszym dniu imienia, Wasza Wysokość. O waszym debiucie.

– Aha – w końcu zrozumiała. – To dopiero za kilka miesięcy.

– Właśnie do tego zmierzam – powiedział minister, chwytając ją za ramię i odciągając od Bosleya. – Wiem, że macie dużo zajęć, ale teraz jesteście tutaj i czas jest na wagę złota. Obiecałem królowej, że zajmę się planowaniem tej wspaniałej ceremonii. Będziemy musieli niebawem omówić listę gości.

Lyss poczuła ucisk w żołądku.

– Nie mogę was tym obciążać, przy waszych licznych obowiązkach... w dyplomacji...

– Wasza Wysokość, żadne sprawy dyplomatyczne nie są w tym roku ważniejsze od waszego udanego zamążpójścia.

Zaraz.

– Zbliży się mój dzień imienia, lordzie Thornleigh – zauważyła – nie dzień ślubu. Jeszcze długo nie. – Obróciła się i spostrzegła, że Bosley wciąż czeka. – Do widzenia – burknęła.

Mężczyzna ukłonił się sztywno.

– Może, Wasza Wysokość, zobaczymy się na waszym dniu imienia – wycedził. Odwrócił się i odszedł.

Thornleigh odczekał, aż Bosley się oddalił, a wtedy rzucił:

– Arogancki szczeniak, prawda? Skąd ma pewność, że zostanie zaproszony?

– Proszę posłuchać, naprawdę nie interesuje mnie wystawne przyjęcie – oznajmiła Lyss. – Nie mamy pieniędzy, a ja nie mam czasu. Lato to pora kampanii i na pewno będę poza miastem. Myślę, że powinniśmy obchodzić dni imienia w taki sposób, w jaki robią to w górskich klanach: organizować dwie ceremonie w roku, żeby uhonorować wszystkich, którzy skończyli szesnaście lat. Każda rodzina mogłaby wnieść swój wkład w postaci udźca sarniego i beczki piwa.

Twarz Thornleigha wykrzywiała się stopniowo, aż w końcu wyglądała jak marynarski węzeł dezaprobaty.

– Ależ, Wasza Wysokość, z całym szacunkiem, ja...

– Musielibyśmy mieć olbrzymi tort, żeby pomieścił wszystkie imiona – ciągnęła Lyss. – A może wystarczyłoby napisać na nim tylko: „Gratulacje!”

Twarz dyplomaty stopniowo się wygładzała, przybierając zatroskany wyraz.

– Może wam się wydawać, że uroczystość związana z debiutem to nic takiego, ale w istocie to ważna inwestycja w przyszłość królestwa. Bardzo potrzebujemy sojuszników, zasobów i pieniędzy. Odpowiednie małżeństwo mogłoby to wszystko nam zapewnić. Aby zainteresować przydatnego kandydata, potrzebna będzie demonstracja mocy i bogactwa. –

Przysunął się. – Bądźcie realistką, Wasza Wysokość. Nie macie takiej urody jak wasza matka czy siostra Hana, niech spoczywa w pokoju, albo wasza kuzynka Julianna... urocze dziewczę... ale wiele można zdziałać przy odpowiedniej inscenizacji i...

– Lordzie Thornleigh, mam pełną świadomość wagi mądrego wyboru, jeśli chodzi o sojusze. Możecie być pewni, że ja też nie będę szukała u kandydata ładnej buzi. Znajdę kogoś, kto nam zapewni środki, żeby wygrać tę wojnę. – Mówiła coraz głośniej, co przyciągało uwagę otaczających ich osób. Krwiste kości, pomyślała. – A teraz, jeśli pozwolicie...

Nie czekając na odpowiedź, oddaliła się, zanim wyrwałoby się jej coś więcej. W jej przypadku to był klucz do dyplomacji... ucieczka, nim powie się to, co się naprawdę myśli.

Zresztą właśnie zobaczyła kogoś, z kim rzeczywiście chciała porozmawiać – Hadley DeVilliers.

– Hadley! – zawołała i objęła ją. – Nie wiedziałam, że wróciłaś, póki nie zobaczyłam cię rano na zebraniu.

Hadley zawsze przywoływała myśli o odległych miejscach. Po miesiącach spędzonych z dala od domu wyróżniała się jeszcze bardziej niż zwykle: miała mocno opaloną skórę, dużo kolczyków i tatuaży, kruczoczarne włosy z niebieskimi pasemkami.

Lyss położyła jej dłonie na ramionach i odsunęła się na odległość wyciągniętych rąk.

– Czy ostatnim razem, kiedy cię widziałam, twoje włosy nie były...?

– Różowy za bardzo się wyróżniał na polu bitwy – odparła Hadley z niezadowoleniem. – Jak kilka razy prawie mnie trafili, postanowiłam wybrać coś mniej rzucającego się w oczy.

– Dobry pomysł – stwierdziła Lyss. – Z chęcią posłucham opowieści o egzotycznych portach i bitwach morskich na szerokich wodach. – Opowieści mogą być, dodała w myślach. O ile morskie podróże nie wymagają mojego udziału.

– Nie nazwałabym tego szerokimi wodami – zaśmiała się Hadley. – Lawirując między okrętami wojennymi Ardeny i kartezyjskimi piratami, pływaliśmy głównie po małych

zatoczkach i unikaliśmy wychodzenia na ląd. Nie oddalaliśmy się zbyt od wybrzeża, ale nie pozwalaliśmy im odetchnąć.

– Widzieliście piratów?

Hadley przytaknęła.

– Nigdy z bliska. Zwykle płynęli w drugą stronę. Piraci nie chcą się wdawać w zatargi z okrętami, które mogą do nich strzelać, zwłaszcza odkąd nie przewozimy interesujących ich towarów.

– Jak długo zostaniesz w domu? – Statki ardeńskie pływały przez cały rok, więc dla Hadley nie było określonej pory kampanii.

Wzruszyła ramionami i odparła:

– Jeszcze nie otrzymałam rozkazów, więc nie wiem.

– Kiedy możemy się spotkać, żeby nadrobić zaległości przy piwie? – zapytała Lyss.

– Może dziś wieczorem?

– Nie wiem, czy słyszałaś, ale dzisiaj jest koncert...

– Oj, wybieram się na niego. – Hadley uśmiechnęła się szeroko. – Nie przepuściłabym takiej okazji. Może po koncercie moglibyśmy pójść jakąś paczką na piwo.

– Świetnie – ucieszyła się Lyss. – Dawno tego nie robiliśmy.

Hadley wahała się, jakby nie mogła się zdecydować, czy coś powiedzieć.

– Tak dla jasności, pochwalam pomysł ataku na Arden. Zakładam, że masz na myśli jakiś cel.

– Kilka – odparła Lyss z ponurym uśmiechem.

Kolację podano, a Cienia wciąż nie było. Niepokój Lyss zamienił się w strach. Obiecał, że się zjawi, ale... może coś mu się stało? Jak wspominała na posiedzeniu rady, za bardzo się narażał, zwłaszcza od śmierci Topoli.

Z powodu koncertu kolacja odbyła się wcześniej i niemal wszyscy dworzanie zostali zaproszeni. Gospodynią była ciocia Mellony. Naprzeciwko niej siedziały Raisa i Julianna wraz z Finnem i jego rodzicami. Ciocia była elegancka jak zawsze, a Julianna – z porcelanową cerą i przydymionym makijażem

oczu, z upiętymi włosami, by odsłonić zgrabną szyję – przypominała rzadki kwiat.

Tym razem Lyss nie została uwzględniona w planie miejsc dla gości. Ponieważ mogła wybrać, usiadła wraz z Hadley, Sashą, Mason i Littlefieldem bliżej końca stołu.

Uszczknęła trochę pieczonego kurczaka, którego – jako że nie był owsianką – zwykle jadła z apetytem, lecz teraz nie mogła przełknąć, bo żołądek ścisnął jej się ze strachu. Była pewna, że zostanie tu Cienia.

Podczas deseru rozmowa zeszła na temat Ardeny i wojny. Czy nie możemy zapomnieć o wojnie chociaż na jeden wieczór? – pomyślała Lyss. Jeśli i tak nie zamierzacie nic zmienić, to czemu nie rozmawiać o czymś innym?

Ostrożnie z życzeniami.

Królowa wstała i sala ucichła. Jej osoba budziła respekt.

– Chciałabym was wszystkich powitać na rozpoczęciu pory Przesilenia, kiedy to świętujemy powrót światła. Świętujemy także powrót wielu z was z pól bitewnych i składamy cześć tym, którzy już do nas nie wrócą. – Uniosła kieliszek i goście zrobili to samo. – Mam nadzieję, że wszyscy odnajdziecie w tym okresie radość i spokój, a także czas i przestrzeń, by odzyskać pogodę ducha.

Wypito toast.

– W tym świątecznym okresie często rozbłyska iskra miłości – ciągnęła królowa. – Małżeństwo jest wyrazem nadziei i wiary w przyszłość, które są tak bardzo potrzebne w czasie wojny. W związku z tym wasza gospodyni, a moja siostra, księżniczka Mellony ana’Marianna, chciałyby coś ogłosić. – Wskazała gestem na ciocię Mellony, która podniosła się pośród zaintrygowanych szeptów.

Ciocia ponownie wychodzi za mąż, pomyślała Lyss. I dobrze. Rozejrzała się w poszukiwaniu możliwego kandydata. Nie lord Mander. Siedział obok niej, ale był żonaty.

Czy to mógł być Micah Bayar? Czyżby po tylu latach w końcu się zeszli? Lyss spojrzała na miejsce, w którym siedział czarownik. Uśmiechał się, ale nie okazywał żadnych emocji.

– Wasza Królewska Mość, panie i panowie, mam ogromną przyjemność ogłosić zaręczyny mojej córki Julianny-ana’Mellony z Finnem sul’Manderem.

Zaraz... co takiego?

Lyss spojrzała w miejsce, gdzie siedzieli obok siebie Finn i Julianna, uśmiechnięci i zaczerwienieni. Julianna uniosła ich złączone dłonie, by pokazać pierścionek zaręczynowy. Szmaragdy i brylanty zaśniły w blasku świateł.

Lord Mander natychmiast wstał i uniosł kielich.

– Wznieśmy toast za szczęśliwą parę!

Micah Bayar dołączył do niego, z uśmiechem podnosząc puchar.

– Niech żyją!

Następny był lord Vega.

– Bardzo się cieszę – powiedział z szerokim uśmiechem. – Właśnie takich młodych ludzi potrzebuje nasze królestwo.

Nastąpiły kolejne toasty, życzenia i pytania o weselne plany. Lyss z obowiązku wzniosła toast, po czym usiadła milcząco jak słup, z uśmiechem przyklejonym do twarzy.

Nie, nie była zakochana w Finnie sul’Manderze. Owszem, kiedyś jej się podobał, ale już z tego wyrosła. W dużej mierze. Właściwie nie była też zazdrosna. Tylko że słowa lorda Thornleigha wciąż brzmiały jej w głowie: *Nie macie takiej urody jak wasza matka czy siostra Hana, niech spoczywa w pokoju, albo wasza kuzynka Julianna... urocze dziewczę...*

Tylko że Finn i Julianna wyglądali tak idealnie jak dobrze dobrana para rasowych koni.

Tylko że aż do teraz nie miała o tym pojęcia. Finn nie zdradził się ani słowem podczas ich długiej podróży do domu.

Tylko że to było tak cholernie upokarzające.



KLIENT

„Gospoda” nazywała się U Mabry i rzeczywiście wynajmowano tam pokoje na godziny. Miejsce było jednak czyste i dobrze utrzymane, więc Breon nie widział powodu, żeby się nie wykąpać, o ile zamknie drzwi i będzie trzymał nóż przy sobie.

Długie gorące kąpiele były rzadkością w jego świecie. Niezwykle było też to, że mógł skorzystać z wanny jako pierwszy. Prawdę mówiąc, już dawno nie zdejmował ubrań i teraz sam się zdziwił, jak bardzo schudł. Ponieważ urósł, wyglądał, jakby skóra się na nim rozciągnęła, uwidaczniając żebra.

Musisz tylko rzucić ziele, pomyślał. Postanowił, że to zrobi. I to wkrótce.

Zaskoczyło go, jak dobrze się czuł w gorącej kąpieli. Siedział w niej tak długo, że aż skóra mu się pomarszczyła, a woda wokół niego zrobiła się ciemna i mętna. Kiedy w końcu ociekający wodą wyszedł z wanny, jego włosy miały kolor o dwa odcienie jaśniejszy, a po woni ryb nie pozostał najmniejszy ślad.

Gdy tylko rozwiązał tobolek z ubraniami, wiedział, że to nie Fanciarz je wybierał. Znalazł eleganckie wełniane bryczesy, śnieżnobiałą lnianą koszulę z szerokimi rękawami i aksamitny kaftan w kolorze intensywnego szmaragdu. Były też ciepłe rajtuzy i obszyta aksamitem peleryna z kapturem. Wszystko

w dość dobrym rozmiarze, chociaż musiał ściągnąć spodnie w pasie, żeby mu się nie zsuwały z kościstego tyłka.

Podziwiał się w lustrze, przybierając różne pozy, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Breon chwycił za nóż.

– Zajęte! – zawołał.

– Otwórz. To ja, Aubrey.

Schował broń i podszedł do drzwi.

Stała na zewnątrz z parą butów w ręku. Na widok Breona jej oczy zrobiły się jak talerze.

– Kości, Bree, popatrz na siebie! Mógłbyś wejść do każdego pałacu jak do własnego domu.

– Póki nie otworzę ust – odparł, robiąc krok w tył, by ją wpuścić.

Weszła i mijając go, wepchnęła mu buty w ramiona.

– Przymierz i powiedz, czy pasują. – Zajrzała do wanny. – Ho, ho, jakby to zaorać, można by uprawiać owies.

Breon, mile zaskoczony, ścisnął buty w rękach.

– To dla mnie?

– Nie, dla mojego innego kochasia ze stopami takiego rozmiaru jak twoje.

Kochasia? To brzmiało zachęcająco, w pewien sposób. Breon usiadł na krawędzi łóżka i włożył buty. Były luźne, ale druga para rajtuz albo cierpliwość, póki stopa mu nie urośnie, mogły temu zaradzić.

– Dziękuję – powiedział i wysunął nogi, by móc podziwiać prezent. – Skąd je wytrzasnęłaś?

– Stały przed jednym z pokoiów i wyglądały na twój rozmiar. Lepiej się zmywajmy, zanim właściciel za nimi zatęskni. Ale najpierw... – Usiadła obok niego, objęła go i ucałowała długo i namiętnie, popychając na poduszki, aż serce zaczęło mu bić mocniej pod tym wytwornym kaftanem.

– Co to było? – zapytał, kiedy się odsunęła. Nie żeby narzekał, ale już dawno nie całowała go w ten sposób.

– Chciałam zobaczyć, jak to jest całować dżentelmena – odparła.

– No to – powiedział Breon – skoro już tu jesteśmy, może chciałabyś zobaczyć, jak to jest...

Pokręciła głową i położyła mu palce na ustach.

– Jak już mówiłam, musimy się zmywać, zanim ten gość zacznie szukać butów. Ale chcę z tobą pogadać na osobności. – Przesunęła ręce w dół, do szyi, i delikatnie gładziła jego magiczne znamię na karku. Potem przysunęła głowę, żeby lepiej się mu przyjrzeć. Poczul gęsią skórę na karku i ramionach.

– Przestań. – Wyrwał się jej.

– Czemu?

– Bo tak mówię.

Aubrey zamrugnęła, a potem klepnęła się w uda. Breon domyślał się, że nie była przyzwyczajona do odmowy. W każdym razie z jego strony.

– Czas, żebyśmy poszli na swoje – oświadczyła.

Breon odchylił się lekko i położył dłonie na kolanach. Czekał na ciąg dalszy.

– Fanciarz nic dla nas nie robi, tylko nam przeszkadza – mówiła. – Herszt, który nie umie utrzymać swojej bandy, nie zasługuje na nią.

– On nie jest hersztem – zaprotestował. – Jest impresariem. Nie jesteśmy bandą, tylko trupą muzyczną. – Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego to rozróżnienie jest dla niego takie ważne.

Aubrey machnęła ręką, jakby chciała powiedzieć: „Nieważne”.

– To ty przynosisz całą forszę. Teraz mamy trochę kasy i wpadnie nam jeszcze więcej. Masz też eleganckie ciuchy. Proponuję się zerwać po tym dzisiejszym numerze.

– I dokąd pójdziemy?

– Wrócimy na wybrzeże. Robiłam interesy na boku na przystani. No a stamtąd możemy pozegłować dokądkolwiek. Teraz ja będę twoim impresariem.

– A Gąsior?

– Co z nim? – Aubrey się skrzywiła.

– Co się z nim stanie?

– On... chyba zostanie z Fanciarzem – odparła, wzruszając ramionami.

– Z czego będzie żył, jak my odejdziemy?

Znowu wzruszyła ramionami.

– Fanciarz umie o siebie zadbać – mówił Breon. – Ale jeśli my odchodzimy, to Gąsior z nami. Trzeba dać mu szansę, żeby wyszedł z nałogu. – Gdyby opuścili Fanciarza i źródło ziela by im wyszło, chyba byłoby mu łatwiej.

– W porządku – powiedziała dziewczyna, wywracając oczami. – Gąsior idzie z nami – westchnęła ciężko i wstała. – Musimy wracać – dodała zdecydowanym tonem.

– Ty idź – odparł Breon, już drugi raz tego dnia nie zgadzając się z nią. – Ja pójdę do Południomostu i rozejrzę się trochę.

Aubrey przyglądała mu się dłuższą chwilę.

– Dobra – powiedziała w końcu. – Uważaj na siebie. Ja wszystko spakuję, żebyśmy mogli się zmyć, jak tylko wrócisz. – Pocałowała go jeszcze raz w obiecujący sposób i wyszła.

Pokręcił głową, śmiejąc się z samego siebie. Ta dziewczyna włączała i wyłączała swój urok, jakby miała magiczny kurek. Wiedział, że nie należy jej ufać, a jednak... to, co ich łączyło, było chyba najbliższe uczuciu zakochania z wszystkich jego dotychczasowych doświadczeń.

Całymi dniami śpiewasz pieśni miłosne, pomyślał, a nie rozpoznałbyś miłości, gdyby przyszła i ugryzła cię w ucho.

Czas płynął. Breon chwycił dzafasę, zszedł po schodach i energicznym krokiem ruszył ku wyjściu. Unikał kontaktu wzrokowego z gośćmi, żeby nie musieć reagować na ich komentarze. Gdy znalazł się na zewnątrz, przeszedł na drugą stronę rzeki i przez dużą frontową bramę wkroczył na teren świątyni.

Zaraz za drzwiami, przy małym stoliku recepcji siedziała aluminka i przeglądała duży iluminowany manuskrypt.

– Podobno jest tu biblioteka? – zapytał Breon, kiedy dziewczyna podniosła wzrok.

Spodziewał się usłyszeć pytanie, po co mu biblioteka, ale ona po prostu wskazała mu drogę.

– Prosto tym korytarzem po prawej. Cały czas do końca, nie da się przegapić. – Wróciła do czytania.

Pewnie te nowe ciuchy tak działają, pomyślał, gładząc aksamit.

To była największa biblioteka, jaką w życiu widział. Zajmowała trzy poziomy, cała wyłożona ciemnym drewnem. Znajdowały się tam drabiny na kółkach umożliwiające sięganie do najwyższych półek. Jedna ściana pełna była małych wnęk, z których wystawały zrolowane manuskrypty.

Tu i tam siedzieli przy stołach uczniowie pochyleni nad pracą. W jednym rogu nauczyciel czytał grupce dzieci książkę. Mężczyzna przy biurku z przodu podniósł głowę, kiedy Breon wszedł. Palcem wskazującym zaznaczył sobie miejsce w księdze.

– Chciałem się dowiedzieć – powiedział Breon – czy macie jakieś księgi o statkach.

Okazało się, że mieli.

Breon mógł godzinami czytać o morzu i o statkach. Może dlatego, że dorastał w mieście portowym, gdzie obserwował wpływające i wypływające żaglowce i marzył, by znaleźć się na ich pokładzie. Pewnego razu jakiś kapitan zauważył, jak tęsknie wpatruje się w statek, i zaproponował, że zabierze go na pokład, żeby mógł sobie wszystko obejrzeć. Wtedy chłopiec się wystraszył i uciekł.

Dużo bezpieczniej czuł się wśród książek. Mógł się zagubić pośród stronic i niczym to nie groziło. Wyobrażał sobie, jak by to było mieszkać w tej bibliotece, gdzie czytałby, czytał i czytał, i tylko raz na jakiś czas szedłby na plac po chleb i pomarańcze. A w dni świąteczne chodziłby do gospody się wykąpać.

Zanim się zorientował, dzwony wybiły siódmą i trzeba było iść na spotkanie w sprawie występu.

Przerzucił dzafasę przez ramię i zszedł po schodach ku wyjściu. Zatrzymał się przy drzwiach na wypadek, gdyby ktoś chciał mu przeszukać kieszenie. Alumnka tylko pomachała mu na pożegnanie i już po chwili stał na zewnątrz, pod transparentem informującym o koncercie.

Padał drobny śnieg, gdy Breon przechodził przez most z powrotem do dzielnicy nazywanej Łachmantargiem. Skręcił w pierwszą uliczkę po lewej, która biegła na tyłach licznych tawern, gospód i domów czynszowych stojących wzdłuż rzeki.

Przy pierwszej przecznicy zobaczył postać w pelerynie opartą o słup latarni na rogu. Kiedy ten ktoś zauważył Breona, wyprostował się, a jego oczy pod kapturem zaśniły. Resztę postaci spowijała ciemność, jakby to był demon szukający świeżego ciała, by w nim zamieszkać.

Czy to ten zakochany zalotnik? Nie dziwota, że miał problemy z poderwaniem wybranki.

A jednak otaczał go znajomy blask, błękitnobiała poświata, którą Breon zawsze kojarzył z magami. To niemożliwe, pomyślał. Magowie nie mają problemów z podbojami miłosnymi. W każdym razie tak słyszał.

Mógł się mylić. Klient stał tak szczerze owinięty, że trudno było się mu przyjrzeć.

– Ja w sprawie ulicznego występu – powiedział Breon, chcąc na początku ustalić zasady gry.

– Jesteś tym czarograjkiem? – Głos był zimny jak martwa ryba i obojętny, jakby próbował to ukryć.

– Tak – odparł Breon, nie w nastroju do wyjaśnień, zwłaszcza że nie wiedział, co mógł nagadać Fancierz.

– Jesteś w stanie zauroczyć osobę, nawet jeżeli nosi talizman klanowej roboty?

– Tak – stwierdził chłopak. Nie miał pojęcia, o czym mowa, ale zaczynał myśleć, że oczekuje się od niego potakującej odpowiedzi. Czy nie dlatego został wezwany? Bo ten mag - próbował i mu się nie udało? Breon delikatnie wypiął pierś.

Nieznajomy rozejrzał się, po czym skinął na Breona, by poszedł za nim. Chłopak zrobił to, lecz czuł się przy tym nieswojo. Fancierz nie był wybredny, jeśli chodziło o robienie interesów. Zresztą Breon też nie mógł przebierać, bo za pieniądze od Fancierza zdążył już kupić ziele dla Gąsiora. I trochę dla siebie.

– Staniesz na tym rogu – powiedział klient, wskazując na miejsce, w którym główna ulica stykała się z mostem. – Kiedy się zbliży, pójdziesz tędy wzdłuż brzegu i sprowadzisz ją do parku. Tam się zatrzymasz.

– Jak poznam, dla kogo mam śpiewać? Jak ona wygląda?

– Jest wysoka, grubokoścista. Niezdarna. Będzie w zielonej sukni. Z szalem.

To nie brzmiało jak opis czyjejś ukochanej. Breon czekał na więcej, lecz się nie doczekał.

– To wszystko?

– A nie wystarczy?

– Nie chcę oczarować niewłaściwej dziewczki – stwierdził. Gdyby rozmawiał z kimś innym, zażartowałby z tego. – A... włosy? Jakiego ma włosy?

– Długie, w kolorze ochrowym.

– Ochrowym? – Kto tak mówi? To zabrzmiało jak nazwa jakiejś choroby.

– Jak stare złoto albo bursztyn – wyjaśnił klient z niecierpliwością. – Może nieść pokrowiec z instrumentem.

– Z instrumentem? – zainteresował się Breon. – Jest muzykiem?

Klient puścił to pytanie mimo uszu. Wsunął rękę pod pelerynę i Breon usłyszał delikatny szcęk metalu o metal. Kiedy nieznajomy wyciągnął rękę, chłopak odruchowo się cofnął.

Mężczyzna westchnął z irytacją.

– Powiedziano mi, że potrzebujesz czegoś, co do niej należy, żeby rzucić czar – wyjaśnił. – Chcesz to czy nie? – Otworzył pięść i opuścił medalion na dłoń Breona.

Breon ważył go na dłoni. Wyglądał na złoty, na zewnątrz miał wyrytą różę. Kiedy podważył klapkę paznokciem kciuka, zobaczył wewnątrz portrety błękitnokrwistych, które zdawały się przesuwać przed jego oczami.

Podniósł wzrok na klienta.

– Czy to... miało jakąś wartość sentymentalną...?

– Tak. – Gdy Breon oglądał medalion, klient syknął: – Schowaj to, zanim zgubisz. I nie pokazuj nikomu.

Breon wsunął przedmiot do kieszeni bryczesów, opuszczając głowę, by ukryć grymas twarzy. Ten mężczyzna bardzo mu się nie podobał.

Rozejrzawszy się po ulicy, nieznajomy mocniej naciągnął kaptur i szczelniej otulił się peleryną. Może zrobił to z powodu zimnego wiatru, ale Breon miał wrażenie, że facet nie chciał, by go widziano z kimś takim jak on, nawet w tym nowym stroju.

– Masz grać, śpiewać i utrzymać ją tutaj, aż się zjawię. Wtedy możesz odejść.

Breon poprawił sobie dzafasę na plecach. Źle się czuł z tym, że przyczynia się do tego spotkania.

– Czy dziewczka was zna? Czy to coś, co ona...? Chyba nie zamierzacie...?

– Bierzesz tę robotę czy nie? – Mężczyzna chwycił za przód peleryny Breona i potrząsnął nim. Znowu rozległ się cichy brzęk metalu.

Czyżby ten gość miał całą kieszeń pełną medalionów od dziewczek, które chciał uwieść?

– Płacę ci... i to dobrze... żebyś śpiewał, a nie zadawał pytania.

Breon się zawahał. Ta sprawa śmierdziała na kilometr, ale naprawdę potrzebował forsy, zwłaszcza jeśli mieli zostawić Fanciarza. Potrzebowali pieniędzy na podróż.

Gdyby dostał zapłatę z góry, zabrałby Gąsiora i Aubrey i wyruszył bez najmniejszych skrupułów. Warto było spróbować. Wyciągnął rękę.

– Potrzebuję zaliczki. Dwadzieścia pięć koron.

– Dałem zaliczkę twojemu... agentowi – powiedział klient. – Zapłacę mu resztę, jak dostarczysz dziewczynę. Koncert powinien się skończyć około wpół do dziesiątej. Masz tu być kwadrans po dziewiątej. Świątynne dzwony pomogą ci się rozeznąć. Rozumiesz?

Breonowi wcale się to nie podobało, ale Fanciarz już zawarł układ, trudno więc było się spierać. Skinął głową.

– Rozumiem.

– I jeszcze jedno. – Znowu sięgnął pod pelerynę jak jakiś uliczny magik i wyciągnął bukiet kwiatów luźno owiniętych materiałem. Rzucił nimi w Breona. – Daj jej to.

Ta prośba była naprawdę dziwna. Wydawałoby się, że taki męczyzna chciałby sam wręczyć dziewczynie kwiaty, żeby zyskać w jej oczach.

– *Ja* mam jej to dać?

– Powiedz, że to od Dariana.

Darian?

– A teraz słuchaj... utrzyj ją do momentu, kiedy spotkamy się twarzą w twarz.

– W porządku – zgodził się Breon, pragnąc jedynie, żeby ten okropny człowiek już sobie poszedł.

Darian jednak miał jeszcze coś do powiedzenia:

– Ale pamiętaj... jeśli mnie zawiedziesz, pożałujesz, że się w ogóle urodziłeś.

Odwrócił się i odszedł pośród wirujących płatków śniegu. Jego buty stukały głośno na oblodzonym bruku. Breon obserwował go aż do chwili, gdy zniknął za rogiem.

Chłopak nie ruszał się, jakby przymarzył do miejsca. Ręce miał zajęte, bo trzymał instrument i bukiet. W końcu położył pokrowiec na śniegu, otworzył go i wsunął kwiaty do środka. Pomyślał, że zanim je wręczy, będą wyglądały żałośnie.

W zasadzie to nie była jego sprawa. Nie powinien był się zgadzać na ten występ. Teraz to wiedział, ale nie miał pojęcia, jak się z tego wyplątać.

Zobaczę, jak się wszystko rozwine, pomyślał. Jeśli zwietrzę kłopoty, znajdę jakiegoś niebieskiego. Tak sobie mówił, lecz w głębi duszy czuł, że tego nie zrobi.



GRACZE WCHODZĄ NA SCENĘ

Kiedy ciocia Mellony usłyszała o koncercie, zaczęła nalegać, żeby Lyss pożyczyła od niej sukienkę na tę okazję. Szafa cioci przypominała muzeum, w którym każda sukienka była troskliwie owinięta w lniany pokrowiec. Były tam takie, na jakie w obecnych czasach nikt już nie mógłby sobie pozwolić, a nawet jeśli w ogóle udałoby się je zdobyć, i tak by ich nie włożył. Lyss przymierzyła cały tuzin, zanim znalazła zieloną, w którą udało jej się wcisnąć. Nawet ona była tak ciasna, że Lyss ledwie się w niej poruszała, a do tego za krótka.

– Masz po prostu grube kości – powiedziała ciocia. Przygryzła dolną wargę i uważnie taksowała Lyss wzrokiem. – Nic w tym złego.

To nie były tylko kości. Każdy, kto spędził tyle czasu na marszach, ćwiczeniach i strzelaniu z łuku, kto całymi dniami nie schodził z konia, kopał latryny i tak dalej, wyrabiał sobie mięśnie. To miało dobre strony, na ogół. Z wyjątkiem chwil, kiedy próbowano wepchnąć to ciało w jedną z powabnych sukien cioci Mellony.

– Doceniam wasze dobre chęci, ale to się chyba nie uda – powiedziała Lyss. – Na pewno mam u siebie coś, co...

– Nonsens – zaprotestowała Mellony. – Wybierz którąś, a ja każę ją dla ciebie przerobić.

– Nie chcę, żebyście przerabiali dla mnie wasze suknie – odparła Lyss. – Wtedy nie będą dla was dobre. Włożę swój strój klanowy. To będzie...

– To, w czym byłaś na pogrzebie, oczywiście zapada w pamięć – stwierdziła ciocia Mellony, krzywiąc się – ale tym razem potrzebujesz czegoś bardziej odświętnego.

W końcu Lyss zdecydowała się na przykrótką zieloną suknię, uznając, że wytrzyma w niej podczas występu. Dobrze, że Sasha wpadła i pomogła jej się ubrać, bo inaczej pewnie by się spóźniła.

– Na pewno nie chcesz jej rozciąć na bokach, żebyś mogła się poruszać? – zapytała Sasha, kładąc rękę na trzonku noża.

– To pożyczona sukienka – odparła Lyss. – Będę musiała po prostu wytrzymać w niej jakiś czas. Zrzucę na nią szal i wezmę coś wygodniejszego do przebrania po koncercie.

– Jak chcesz – rzekła Sasha, walcząc z rzędem maleńkich guziczków. To wszystko było dość absurdalne: Sasha pełniła funkcję pokojówki pomagającej jej wbić się w halkę i koronki, zamiast podawać jej zbroję i broń. – No a te zaręczyny Julianny i Finna – powiedziała, przytrzymując zębami pętelkę – spodziewałaś się tego?

– Nie miałam pojęcia.

– Ja też, ale myślałam, że może Julianna cię uprzedziła.

– Nie jesteśmy tak blisko – odparła Lyss. Głos jej zadrżał, choć bardzo się starała do tego nie dopuścić. Sasha przestała zapinać guziki i przesunęła się, by spojrzeć jej w oczy.

– On do ciebie nie pasuje, Lyss – powiedziała delikatnie. – Jesteś od niego silniejsza pod wieloma względami. Stać cię na więcej, i zobaczysz, że znajdziesz kogoś odpowiedniego.

Lyss poczuła się zażenowana. Czy tak łatwo mnie rozgryźć? Czy wszyscy wiedzą, że wzdychałam do Finna sul'Mandera? Czy jestem pośmiewiskiem całego dworu? Albo jeszcze gorzej, obiektem współczucia?

– Nie – odpowiedziała na to niewypowiedziane pytanie Sasha. – Prawdopodobnie jestem jedyną osobą, która o tym wie, i nikomu nie powiem.

Kiedy zjawiły się na placu przed stajniami, czekały tam już trzy powozy i grupa osób gotowych do odjazdu.

Lyss natychmiast zauważyła Juliannę. Jak zwykle otaczał ją krąg przyjaciółek, wszystkie przejęte informacją o zaręczynach. Lyss obeszła je szerokim łukiem, jakby omijała gniazdo szerszeni. Wiedziała, że powinna pogratulować kuzynce zaręczyn, ale jakoś nie była w nastroju. Dobrze chociaż, że nie towarzyszył jej Finn.

Julianna jednak ją zauważyła i odwróciła się od przyjaciółek.

– Alyssa! Zaczekaj! Niech zobaczę!

Lyss musiała się zatrzymać i obrócić maleńkimi kroczkami, żeby zademonstrować sukienkę. Jej kuzynka miała długą zwiewną suknię ciemnofioletowej barwy i lilię wpiętą w czarne włosy. Nic dziwnego, że Finn stracił dla niej głowę.

– Wyglądasz pięknie, Alyso – powiedziała Julianna, uprzejma jak zwykle. – Tak się cieszę, że ta sukienka została dobrze wykorzystana. Mama wszystkie je trzyma, ale nigdy nie nosi. Jest jak na ciebie szyta.

Nie na długo, pomyślała Lyss.

– Niech zobaczę! – To była Bethy Musgrave, córka właściciela ziemskiego z okolic Zachodniej Bramy. Lyss ledwie ją знаła i wcale nie miała ochoty poznać lepiej.

Bethy w zamyśleniu stukała palcem wskazującym po umalowanych ustach.

– Naprawdę wyglądasz posągowo – powiedziała, jakby smakując to określenie. – Chociaż nie wiem, czy nie powinnaś dodać falbany na dole, żeby zasłonić kostki.

Lyss spojrzała w dół, w miejsce, gdzie krawędź sukni ocierała się o jej kostki. Podniosła wzrok na Bethy.

– To się przynajmniej da naprawić – odparła. – W przeciwieństwie do bycia jędzą.

Bethy zamarła na dłuższą chwilę, z tępym wyrazem twarzy. Potem uniosła spódnicę, odrzuciła głowę i zwróciła się do Julianny:

– Nie zapomnij, że w przyszłym tygodniu gramy w karty z Cecily i Geoffem. – Po tych słowach oddaliła się energicznym

krokiem.

Ku zaskoczeniu Lyss Julianna parsknęła śmiechem i śmiała się serdecznie, dopóki nie otarła łez rękawem.

– Widziałaś jej twarz? Zasłużyła sobie. Chciałabym tak jak ty umieć mówić to, co myślę.

– Nie każdy chce słyszeć, co myślę – zauważyła Lyss.

– Ale muszą to usłyszeć – stwierdziła Julianna. – To, co powiedziałaś dzisiaj na posiedzeniu, było świetne. Potrzebujemy nowych pomysłów. Czasem tak się frustruję... – nie dokończyła.

Ty też?

– Och. No cóż. Dziękuję – powiedziała Lyss. – Ja... yy... doceniam twoje wsparcie. Jeszcze ci nie pogratulowałam zaręczyn. Ty i Finn jesteście tak pięk... tak pięknie dobrani.

– Naprawdę tak myślisz? – Wyraz twarzy kuzynki sugerował, że rzeczywiście liczyła się ze zdaniem Lyss. – Królowa dała nam błogosławieństwo, a moja mama cieszyła się jak dziecko. Nie spodziewałam się... no... – zawahała się, lecz zaraz mówiła dalej: – Słuchaj, wiem, że to może zły moment, ale od twojego powrotu prawie się nie widzimy. Wiem, jaka jesteś zajęta, ale... wiele by dla mnie znaczyło, gdybyś się zgodziła stanąć przy nas na naszym ślubie.

Lyss otworzyła usta, lecz tym razem nic się z nich nie wydobyło. Znowu została zaskoczona. Jak to możliwe, że tak dobrze radziła sobie z uchylaniem się od strzał na polu bitwy, a w dworskich potyczkach stanowiła tak łatwy cel?

– Finn i ja rozmawialiśmy o tym – nalegała Julianna – i jego zdaniem to wspaniały pomysł. Oboje bardzo cię podziwiamy i nie przychodzi nam do głowy nikt inny, z kim chcielibyśmy dzielić ten dzień.

– Cóż, yy, to taka niespodziewana... niespodzianka. Ja... nie wiem, czy ja...

– Nie musisz teraz odpowiadać. Wiem, że dzisiaj wieczorem masz na głowie co innego. Jeszcze nawet nie wyznaczaliśmy daty, ale chcielibyśmy, żeby to było raczej wcześniej niż później. Jeśli się zgodzisz, spróbujemy się dopasować do twoich

planów. – Ścisnęła ramię Lyss. – Jesteś dla mnie prawie jak siostra, więc mam nadzieję, że to rozważysz.

– Dobrze – odparła. – To... Na pewno o tym pomyślę. – Jak o wyrwaniu zęba.

Czemu tego nie przewidziałam? – zapytała się w duchu. Jestem jedyną krewną Julianny, która ma mniej niż czterdzieści lat. Można się było domyślić, że zaprosi mnie na świadkową. Nie mówiąc o tym, jaki to mądry zabieg polityczny. A w tym Julianna była naprawdę dobra.

Kiedy podniosła wzrok, kuzynka obserwowała ją z wyczekiwaniem, więc Lyss zapytała:

– A gdzie jest Finn? Myślałam, że on też przyjdzie.

– Spotka się z nami na miejscu – odparła Julianna. – Nie mógł wcześniej. No, a teraz zobaczę, który powóz jest dla nas.

Lyss, zupełnie nie wiedząc co myśleć, obserwowała kuzynkę idącą w kierunku pojazdów.

– Wasza Wysokość.

Obróciła się i ujrzała Cama. Teraz był w mundurze i bez najmniejszego śladu cukru na twarzy.

– Wasza Wysokość, mam wam towarzyszyć do środkowego powozu – powiedział. – Pospieszmy się, jeśli macie zdążyć. Zapakowałem już wasz instrument. I księżniczka Julianna już czeka.

Lyss zauważyła, że środkowy pojazd otaczają Szare Wilki na koniach.

– Nie widziałeś Cienia?

Cam pokręcił głową.

– Nie, pani. Kapitan Byrne mówił, że miał jechać razem z nami, ale jeszcze go nie widziałem. Może spotka się z nami na miejscu.

Pełna niespokojnych myśli, Lyss pozwoliła się zaprowadzić do wskazanego powozu. Cam podał jej rękę i wsiadł za nią.

– Kapitan Byrne kazał mi jechać w środku – oznajmił, jakby czuł, że musi uzasadnić swoją obecność. – Talbot będzie jechała obok.

– Świetnie – powiedziała odruchowo. – Bardzo dobrze.

Cam usadowił się naprzeciwko niej, a obok Julianny, lecz Lyss nie zaprzętała sobie głowy takimi rzeczami. Nie powinnam była zmuszać Cienia do tego występu, myślała. Publiczne wystąpienie tak krótko po śmierci Topoli to ostatnia rzecz, o jakiej teraz marzy. Co z tego, że będę musiała poradzić sobie sama. Byle tylko on był cały i zdrowy.

– Alyso? O co chodzi?

Lyss podniosła głowę i zobaczyła zatroskane oczy i zmarszczone czoło Julianny.

– Nie... Nic. Próbowałam sobie przypomnieć...

W tym momencie powóz lekko się zakołysał pod ciężarem kogoś wsiadającego.

To był Cień.

– Witaj, Ziębo – powiedział i zajął puste miejsce obok niej. Bazilkę umieścił między kolanami. – Przepraszam za spóźnienie. Mam nadzieję, że to nie opóźniło waszego odjazdu.

– Cieniu! – Lyss zarzuciła mu ręce na szyję. – Dzięki Stworzycielowi! Już zaczynałam myśleć, że nie... że przyjedziesz prosto z kolonii Demonai.

– Przybyłem kilka godzin temu. Pomyślałem, że zmyję z siebie pot, zanim pojedę do świątyni. – Przechylił głowę. – Wszystko w porządku?

– W najlepszym – odparła. – Ja... nie chciałam się spóźnić. Będzie twój ojciec?

Przytaknął.

– Przyjechaliśmy razem. Pracujemy nad czymś.

Był w klanowych wąskich spodniach i butach, z talizmanem na szyi. Na wierzchu miał czarną pelerynę z jeleniej skóry, zdobioną ornamentami topoli. Obrzuciwszy wzrokiem jej suknię i fryzurę, powiedział:

– Miejmy nadzieję, że nasza muzyka będzie zgrana lepiej niż nasze stroje.

– Będzie – odparła Lyss. Pogrzebała w torbie i wyjęła listę utworów. – Musimy tylko ustalić szczegóły. Co przygotowałeś?

Ich duety obejmowały utwory, które śpiewali całe życie. Cień miał dwie nowe kompozycje, które przygotował na występ

solowy. Więc jednak *komponował*, kiedy przebywał w górach. Było jak dawniej, gdy tak siedzieli z pochylonymi ku sobie głowami i dyskutowali o muzyce.

Ani się obejrzel, gdy przejechali przez Most Południowy i zatrzymali się przed świątynią. Całą ulicę wypełniali ludzie zmierzający na koncert: przedstawiciele różnych grup zamieszkujących Fells. Czarownicy i arystokraci z Doliny wysiadali z powozów, olśniewając swoimi odświętnymi strojami. To ich pieniądze miały zasilić Posługę Dzikiej Róży. Niektórzy z nich wspierali tę sprawę od dawna. Inni bez wątpienia chcieli przypodobać się królowej.

Czeladnicy nosili tęczowe odznaki swoich gildii, żołnierze galowe mundury. Widać było też wielu klanowców ubranych w odświętne tradycyjne stroje. Teraz, pod koniec pory kampanii wojennych, niektórzy zeszli do Doliny, by jak zwykle co pół roku odbyć rodzinne wizyty. Muzyka, tańce, śluby, pogrzeby i polityka – tylko to mogło ich przyciągnąć na teren, który nazywali Doliną.

Rodzice z Południomostu i Łachmantargu prowadzili dzieci odziane w najlepsze i czasem jedyne ubrania.

Gwardziści w niebieskich mundurach skierowali powóz w mniej zatłoczoną uliczkę z tyłu świątyni, skąd Lyss i jej towarzysze mogli wejść tylnymi drzwiami.

Wewnątrz czekali na nich Hadley i Finn. Ten ostatni i Julianna objęli się na przywitanie, jakby nie widzieli się od wielu miesięcy, a nie od kilku godzin.

– Przepraszam, że nie mogłem z wami jechać – powiedział Finn. – Chyba ostatnio za dużo osób kieruje moim życiem. Mój ojciec zupełnie nie ma poczucia obowiązku, jeśli chodzi o coś innego niż wojna albo polityka. Lord Vega tak samo, ale dla niego liczy się tylko służba chorym. – Pocałował Julianę jeszcze raz. I jeszcze raz.

– Cześć, Lyss – odezwała się Hadley, jakby chciała odwrócić jej uwagę od tych pocałunków. – To nowa suknia? Chyba nigdy cię w niej nie widziałam.

Lyss spojrzała na jej twarz, szukając śladów złośliwego uśmiechu, ale niczego takiego nie zobaczyła.

– To suknia cioci Mellony – wyjaśniła, opierając się chęci rozszarpania tkaniny.

Strój Hadley – skórzane bryczesy i jedwabna koszula oraz marynarska szarfa w talii – wydawał się dużo wygodniejszy.

Hadley przyglądała się jej uważnie.

– Powinnaś częściej nosić sukienki – stwierdziła, gładząc się po podbródku.

– Przestań, wiesz, że...

– Nie powiedziałam tę sukienkę – Hadley się uśmiechnęła – ale sukienki w ogóle.

Wyglądało na to, że Finn i Julianna skończyli z całowaniem, bo Finn wtrącił się do rozmowy.

– Musimy iść zająć miejsca. Ale po koncercie skoczmy się gdzieś rozerwać. Dołączysz do nas?

„My” znaczyło Julianna i Finn? No to troje stanowiłoby już tłum.

– Mhm... chciałabym, ale właściwie już obiecałam Hadley, że...

– Hadley, ty też idziesz – powiedziała Julianna, a jej szczęście zalało je obie niczym wzburzona fala. Zwróciła się do Cienia: – A ty? Co zamierzasz po koncercie?

Cień się zawahał.

– Nie wiem, ale nie chcę...

– Proszę, chodź z nami! – powiedziała Julianna. – Muszę się dowiedzieć, co widziałeś i słyszałeś na wschodzie.

– Żadnej pracy. – Finn przewrócił oczami. – Tylko zabawa. Im więcej, tym lepiej.

– Im więcej, tym lepiej – powtórzyła Lyss, myśląc, że przynajmniej ich szczęście będzie lekko rozrzedzone. Co się uzyska, mieszając stan podchmielenia i rozpacz?

– W porządku. To jesteśmy umówieni. – Finn chwycił Juliannę za łokieć. – Chodźmy, zanim stracimy nasze miejsca. – Odeszli, trzymając się pod rękę.

Za kulisami wrzało jak w ulu. Muzycy i tancerze w kostiumach przebiegali tam i z powrotem.

Obok nich przemknął orator Jemson, a za nim troje alumnów, zasypujących go pytaniami. Na widok Alyssy i Cienia Jemson westchnął „Dzięki Stworzycielowi” i odhaczył coś na swojej liście.

– Organizacja tego wszystkiego to jak zaganianie stada kotów fellsjańskich.

Lyss wyjrzała przez kotarę i zobaczyła, że świątynia już pękała w szwach, wszystkie miejsca były zajęte. Na balkonach i przy wejściach, a także w pierwszych rzędach na widowni stali pilnujący bezpieczeństwa gwardziści w niebieskich mundurach.

– Dobrze – powiedział orator. – Zaczniemy od modlitwy, potem dzwonki, potem chór i tancerze Szkoły Świątynnej. Po przerwie wprowadzimy was. Do *Hanalei* damy chór i znowu dzwonki. Zgoda? – Nie czekając na odpowiedź, pobiegł do miejsca na scenie, gdzie jakiś młody wolontariusz ustawiał dekoracje.

Lyss wyciągnęła swoje notatki, by jeszcze raz przeczytać nowe teksty. W tej sprawie mogła liczyć tylko na siebie.

Publiczność coraz bardziej się niecierpliwiła, a to znaczyło, że zbliża się ósma. Wreszcie dzwony na wieży oznajmiły, że czas zacząć przedstawienie.

Jakimś cudem, jakby za sprawą boskiej interwencji, wszyscy muzycy i śpiewacy nagle znaleźli się na miejscach, w kostiumach, gotowi do występu, kiedy orator Jemson wyszedł na scenę.

– To jedna z zalet pracy w świątyni – powiedział, podnosząc wzrok na dzwonnice, która wciąż rozbrzmiewała dźwiękiem dzwonów. – Zawsze wiadomo, która jest godzina.



DEBIUT SCENICZNY

Pierwsza połowa koncertu upłynęła pod znakiem zmysłowych doznań: dźwięki młodych głosów w nawie, woń świec woskowych, setki twarzy wpatrzonych w scenę. Lyss pozostawała za kulisami, gdzie jej trema walczyła z zamięłowaniem do czystej, słodkiej magii muzyki.

Podczas przerwy ciocia Mellony przyszła poprawić jej fryzurę.

Rozplątała gruby warkocz i ułożyła włosy w luźny kok z tyłu głowy, odsłaniając długą szyję i kolczyki z brylantami babci Marianny, także pożyczone od cioci.

– Powinnaś częściej się tak czesać – powiedziała Mellony. – Bardzo ładnie wyglądasz.

– Może – odparła Lyss, spoglądając w lustro. Patrzyła na nią obca osoba, z umalowanymi oczami i ustami, w sukni odsłaniającej ramiona. Na łańcuszku na szyi wisiał odziedziczony po ojcu jarzębinowy talizman, który miał ją chronić przed magicznymi atakami. Ten sam, który uratował jej życie w Dolinie Królowych.

Zamierzała oprócz niego włożyć medalion, który otrzymała od taty na ósmy dzień imienia.

– Możesz tam umieszczać wizerunki swoich ukochanych – powiedział. – Warstwowo, jeden na drugim.

Nie jestem jak moja mama, pomyślała Lyss. Jeden mi wystarczy.

W tych ponurych dniach po śmierci Hany Adrian udał się do klanowych artystów i zamówił maleńkie portrety każdej osoby w rodzinie: jego, Hany, Alyssy, ich ojca i matki. Z pomocą ojca Cienia, Tancerza Ognia, umieścił je wszystkie w medalionie. Powstał z tego zmysłny czarodziejski artefakt. Kiedy Lyss go dotykała, mogła jedną po drugiej oglądać twarze bliskich.

Adrian zademonstrował jej, jak to działa, zawiesił medalion na jej szyi i powiedział:

– Widzisz? Będziemy z tobą każdego dnia. Nigdy nie będziesz sama.

To już nieaktualne. Medalion zaginął dwa tygodnie temu.

Ta strata bardzo ją zabolowała. Nadal są w twoim sercu, tłumaczyła sobie, ale brakowało jej czegoś fizycznego, co dawałoby jej poczucie namacalnego kontaktu z rodziną. Ostatniego prezentu, jaki otrzymała od brata.

Nie powiedziała o tym matce – nie powiedziała nikomu. Pewnie niedługo się znajdzie, wciśnięty między ramę łóżka a materac albo na alejce w oranżerii na dachu pałacu czy gdzieś na dnie skrzyni z ubraniami. Chociaż... już szukała we wszystkich tych miejscach. Wciąż nie mogła się pogodzić z tym, że zgubiła jeszcze jeden cenny fragment wspomnień.

– Wydajesz się nieobecna, Alyssy – zauważyła ciocia Mellony, robiąc ostatnie poprawki. – Czy wszystko w porządku?

Lyss nagle sobie uświadomiła, że prawie się nie odzywała, kiedy ciocia zajmowała się jej wyglądem.

– Oj, przepraszam! – powiedziała. – O tej porze roku zawsze nachodzą mnie wspomnienia.

– Wszystkich nas, kochanie. – Ciocia Mellony położyła dłoń na jej ramieniu. – W takich chwilach trudno nie myśleć o tym, że wszystko mogło się potoczyć inaczej. – Uśmiechnęła się. – Wyglądasz uroczo. Taka dojrzała. Twoja mama jest z ciebie bardzo dumna.

– Naprawdę? – wyrwało się jej.

Mellony przechyliła głowę.

– Oczywiście. Raisa będzie dzisiaj w pierwszym rzędzie. Czyżbyś w to wątpiła?

– To tylko... zawsze mi się wydaje, że mama i ja... że każda z nas idzie w swoją stronę. Nigdy jej nie ma, a jeśli jest, to mnie nie ma. A kiedy obie jesteśmy, czuję, jakby mnie obserwowała i czekała, aż popełnię błąd.

– Och, nie sądzę, żeby tak było – powiedziała ciocia, po czym polizała palec i wygładziła niesforny kosmyk włosów Lyss. – Ona się o ciebie martwi. Już tyle straciła.

– Zawsze mnie poprawia, wytyka, co mogłam zrobić lepiej. Jakby ciągle porównywała mnie z Haną.

Mellony milczała, prawdopodobnie zastanawiając się nad doborem słów.

– Jeśli tak robi, to nie powinna. Hana była... miała wiele talentów i Raisa spędziła wiele lat na przygotowywaniu jej do objęcia tronu. Nie powinna od ciebie tyle wymagać. Myślę, że ona ma świadomość... upływu czasu.

– Nie chodzi o to, że chcę od niej taryfy ulgowej – oznajmiła Lyss. – Chcę być dobrą królową.

– Oczywiście.

– Wy z Julianną jesteście ze sobą tak blisko, chyba wszystko sobie mówicie – zauważyła.

– Nie wszystko. Ona była córeczką tatusia. Ja czasami... – zamilkła i przygryzła wargę.

Lyss westchnęła w duchu. Lord Barrett również zmarł młodo, na febrę, zaledwie rok po ojcu Lyss. Ich strata była jeszcze całkiem świeża.

– Przepraszam, ciociu Mellony. Nie chciałam zadrećcać was swoimi zwierzeniami.

– Nie masz za co przepraszać, kochanie – odparła. – Nie jestem taka delikatna, jak myślisz. Tylko bądź szczerą z mamą, Alysso. Ja mogę spędzać z Julianną więcej czasu i obie jesteśmy pod dużo mniejszą presją, więc nic w tym dziwnego, że dobrze nam się układa. – Ucałowała Lyss w czoło. – No, a teraz pójdę na widownię, zanim znowu się zacznie. I nie martw się. To jest

twój wieczór. Już się nie mogę doczekać, żeby zobaczyć cię na scenie.

Lyss wróciła za kulisy, sprawdziła, czy bazilka jest dobrze nastrojona. Kiedy orator Jemson wyszedł na scenę, jej serce zabiło mocniej. Cień stanął za nią. Mimo początkowej niechęci do tego występu nie wydawał się zmartwiony.

Wszystko będzie dobrze, pomyślała. Cień na pewno odnajdzie swoją muzykę.

Może ja też muszę odnaleźć swoją. Przez tę wojnę tak wiele ważnych rzeczy zostało zepchniętych na boczny tor.

– A teraz, zgodnie z obietnicą, mamy dla was wyjątkowy występ... dwoje muzyków, którzy uczyli się grać tutaj, w Szkole Świątynnej. Którzy reprezentują różnorodność naszych uczniów, po raz pierwszy razem na scenie. Rogan Tancerz Cieni i Jej Wysokość Alyssa ana'Raisa, w górach nazywana Ziębą, następczyni tronu Szarych Wilków.

Lyss niczym we śnie szła za Cieniem na scenę, ze wzrokiem wbitym w swoje stopy, żeby się nie przewrócić. Nie chciała patrzeć na twarze tych, którzy zgromadzili się poza linią czarodziejskich świateł wyznaczających granicę sceny.

Ich pojawienie się zostało powitane wiwatami, które spadły na Lyss niczym fale oceanu. Kiedy podniosła głowę na tyle, że mogła sięgnąć wzrokiem poza scenę, zauważyła, że dwa pierwsze rzędy były zapełnione uczniami ze świątyni w różnym wieku. Za nimi siedziała jej mama i uśmiechała się serdecznie. Obok kapitan Byrne, Shilo Przecierająca Szlaki, Micah Bayar, ciocia Mellony, Finn i Julianna, generał Dunedain i uzdrowiciel Harriman Vega. W kolejnych rzędach różne twarze i kolory, w różnym wieku i z różnych warstw społecznych.

Sasha i Cam stali przy scenie po lewej i po prawej, obserwując tłum. Lyss widziała wiele innych niebieskich punktów porzucanych po całej świątyni.

Już przy pierwszych taktach *Górskiego tancerza* odczuła kojące działanie znajomej magii muzyki. Spojrzała na Cienia. Miał odchyloną głowę, zamknięte oczy, jakby myślami był

gdzieś daleko, ale nie pomylił ani jednej nuty. Gdy grał, wyraźnie się rozluźniał.

Po *Górskim tancerzu* zabrzmiała *Letnia dolina*, która rozmarzyła widownię, a po niej *Zatoka Bastońska* ożywiła publiczność, pobudzając ją do oklasków i spontanicznego śpiewu. Lyss i Cień, stojąc naprzeciw siebie, zaśpiewali w duecie dialog między córką karczmarza a kapitanem statku, wzbudzając wiwaty, śmiechy i gwizdy. Przyjemnie było przypomnieć sobie tę zwyczajną radość, jaką daje muzyka.

Przyszedł czas na solowy występ Cienia. Lyss usiadła bokiem, żeby widzieć i jego, i publiczność.

– Ten utwór nazwałem *Gorzko-słodki*. – Cień nigdy nie wygłaszał długich wstępów na scenie. Uważał, że sam utwór albo działa na słuchaczy, albo nie. W jego przypadku zawsze działał.

Słowa i muzyka wspaniale wyrażały cierpienie związane z miłością i stratą. Jakby śpiewał o wspólnym doświadczeniu całego królestwa. Tylko nieliczni spośród publiczności nie utracili kogoś bliskiego w tej niekończącej się wojnie. Lyss popatrzyła na widownię i zobaczyła łzy na twarzy swojej matki.

Kiedy oklaski ucichły, Cień powiedział: „Jesień Topoli”. To była mowa pogrzebowa w wersji instrumentalnej, delikatne dźwięki przywodziły na myśl blask złotych liści topoli na wietrze.

Potem nadszedł czas na występ Lyss.

Stała, opierając instrument o podłogę.

– Zbyt długo nie słyszeliśmy muzyki Tancerza Cieni. Mam zaszczyt występować z nim dzisiaj na tej samej scenie. Zachęćmy go, żeby nie przestawał tworzyć muzyki i by wciąż się nią z nami dzielił.

Powitano to z głośnym entuzjazmem.

Wreszcie Lyss powiedziała:

– Nazywam się Alyssa ana'Raisa, w górskich klanach zwana Ziębą. Jestem młodszą córką Raisy ana'Marianny i Hana sul'Algera. Będę dzisiaj śpiewać o miłości i wojnie. Pierwszy

utwór jest o ludziach, których miłość połączyła wbrew ich woli. Nosi tytuł *Kruk i Róża*.

Przewiesiła taśmę bazilki przez szyję, ustawiła stopy i zaczęła grać. Próbując nie zwracać uwagi na publiczność, patrzyła na swoje palce wędrujące po strunach. Napisała tę piosenkę w stylu ponadczasowych ballad śpiewanych przez wędrownych minstrelów, ballad, które łatwo wpadały w ucho, zmieniały się i rozrastały, przekazywane z ust do ust. Była to opowieść o sprytnym kuku Hanie Alisterze i o tym, jak zdobył serce Dzikiej Różki mimo jej licznych cierni.

Lyss miała wątpliwości, czy ją pisać, a potem czy prezentować, bo obawiała się, że nie jest najlepszą osobą do opowiadania tej historii – że nie jest dość dobrą autorką i że to nie jest jej opowieść. Kiedy doszła do ostatniego refrenu, Cię dołączył się na swojej bazilce i wszyscy w świątyni wstali i śpiewali wraz z nimi.

Śpiew zakończył się gromkimi brawami i rytmicznym tupaniem. Alyssa zauważyła, że jej mama się uśmiecha i ociera oczy – nie ona jedna.

Długo trwało, zanim widzowie uspokoili się na tyle, by Lyss mogła się odezwać.

– Tekst, który teraz usłyszycie, napisałam, bo czasami miłość to nie wszystko. Czasem trzeba podjąć walkę z wrogiem. Nazwałam ten utwór *Dzieci Północy*.

Zacząła od energicznych rytmów muzyki z gór i zaraz zaśpiewała:

Jesteśmy dziećmi Północy
Dziećmi górskich ostępów
Nie ulegniemy przemocy
Nikt nam nie włoży obręczy
Będziemy walczyć zaciekle
Na stokach Hanalei
Zgotujemy wam piekło
Waszą krew przelejemy.

Jesteśmy dziećmi Północy
Nie walczymy sami
Nasze matki i siostry
Bronią domów wraz z nami
W dolinach i w górskich koloniach
Płynie bojowy zew:
„Przybyłeś nas pokonać
A szykuj się na śmierć”.

Teraz Lyss podeszła na skraj sceny, spojrzała królowej prosto w oczy i zaśpiewała, rzucając każde słowo niczym cios w ich wspólnego wroga:

Dopadniemy was wszędzie
Niziny was nie skryją
Potopimy was w bagnach
Gdzie Wodni Wędrowcy żyją
Przegnamy was z twierdz waszych
Wasze miasta spalimy
Zepchniemy was do morza
Więzionych wybawimy.

Odchyliła głowę i poczuła, że kosmyki włosów się jej rozplątują. Zsunęła buty i zaczęła maszerować tam i z powrotem, nawiązując kontakt wzrokowy to z jednym, to z drugim na widowni i nie zważając na to, jak mocno napina się tkanina na kolanach. Głośne mówienie nie było trudne, gdy niosła ją muzyka. Prawdę mówiąc, ta pieśń była niezwykle krwawa i bojowa jak na świątynię, ale to zdawało się nie mieć znaczenia. Cały budynek trząsł się od tupania. Uczniowie z pierwszych rzędów wpatrywali się w nią jak urzeczeni. Nie czuła się jak solistka, kiedy wszyscy obecni wyrażali swoje poparcie.

Jesteśmy dziećmi Północy
Walczymy ramię w ramię

Czarownicy, doliniarze, klanowcy
Z całymi rodzinami
Nie jesteśmy z krwi i ciała
Lecz ze stali i z kamienia
Z waszych kości usypiemy
Górę, jakiej jeszcze nie ma.

Aplauz odbijał się echem od kamiennych ścian i sufitów i przesywał Lyss dreszczem. Cień chwycił ją za rękę i stanęli obok siebie na wprost publiczności. Lyss słyszała wilcze pohukiwania i wycia, a kiedy podniosła głowę, zobaczyła, że prawie cały balkon jest zajęty przez żołnierzy z jej salwonu. Dłuższą chwilę trwało, zanim widzowie uspokoili się na tyle, by Lyss i Cień mogli wykonać finał.

Był to *Lament Hanalei*, tradycyjna ballada mieszkańców górskich terenów, zaśpiewana przez chór, któremu Cień i Alyssa akompaniowali na bazilce. Publiczność znowu wstała i śpiewała wraz z nimi. Teraz po twarzy Alyssy ciekły łzy, których nawet nie wycierała.

Właśnie to próbowałam cały czas powiedzieć, pomyślała.

Gdy pieśń już wybrzmiała, widzowie nie chcieli się rozchodzić. Wszyscy stali, złączeni ramionami, kołysząc się, powtarzając refren, wydając okrzyki: „Za królową!”, „Za Szare Wilki!” i „Za berło i amulet!”. Te ostatnie były insygniami Wielkiego Maga.

Po koncercie publiczność zaczęła przesuwać się ku scenie, bo większość stanowili członkowie rodzin i przyjaciele występujących. Lyss szybko przeszła za kulisy do małej garderoby, gdzie zostawiła ubrania na zmianę. Włożyła bazilkę do futerału, zdjęła eleganckie pantofle i suknię, po czym pełną pierś wciągnęła powietrze, pierwszy raz od chwili opuszczenia zamku. Z ulgą włożyła skórzane spodnie, miękką koszulę i czarną pelerynę, a w końcu parę znoszonych butów. Przerzuciwszy sobie suknię cioci Mellony przez jedną rękę, w drugą chwyciła instrument.

– Wasza Wysokość? – To była Sasha, która stała za drzwiami. – Mogę w czymś pomóc?

– Już idę.

Gdy Lyss wyszła, Sasha zawołała na jej widok:

– No, teraz wyglądasz bardziej naturalnie. Czy nadal zamierzasz iść się rozerwać z Finnem i innymi?

Lyss potaknęła.

– Wiem, że tego nie było w planach, więc...

– Rozmawiałam o tym z kapitanem Byrne'em i przydzielił nam pięciu dodatkowych Wilków jako eskortę. W sumie będzie nas sześcioro... plus czarownik, dwóch górskich wojowników i zacięty kapitan piechoty górskiej. Czy to wystarczy?

– Tak – potwierdziła. – Chodźmy już, zanim pójdą bez nas.

Gdy schodziły ze sceny, tłum w świątyni był już dużo mniejszy niż wcześniej. Cień stał przy pierwszych rzędach z ojcem, Tancerzem Ognia, i królową Raisą, ciocią Mellony oraz Przecierającą Szlaki.

– Tancerzu! – Lyss objęła ojca Cienia. – Dziękuję, że przyszedłeś.

Uśmiechnął się do niej. Jego twarz nosiła ślady trosk, niebieskie oczy trochę zbladły, ale uśmiech był tak samo radosny jak zawsze.

– Nieczęsto mam okazję spotkać tylu przyjaciół w jednym miejscu.

Cień obrzucił Lyss wzrokiem, oceniając jej przeobrażenie.

– Nie trwało to długo – zauważył z uśmiechem.

– Alyso – powiedziała jej matka; policzki miała zaróżowione od emocji, oczy błyszczące od łez. – Nie miałam pojęcia... nie wiedziałam, że potrafisz... To było wspaniałe. Już zapomniałam, jaka to przyjemność słuchać, jak grasz i śpiewasz.

Ja też, pomyślała Lyss.

– Cieszę się, że przyszłaś – odparła. Po chwili z zawstydzeniem dodała: – Mam nadzieję, że nie... Mam nadzieję, że nie odebrałaś tego, jakbym chciała kogoś wprawić w zakłopotanie, dokonując tu politycznych deklaracji.

Królowa się uśmiechnęła.

– Alyso, nie zawsze się zgadzamy, ale kiedy coś mówisz, zawsze warto cię słuchać. Bardzo się cieszę, że w tym uczestniczyłam.

– Ziębo – powiedziała Przecierająca Szlaki – twój hymn przypomina mi taniec wojenny Demonai... w ten sam sposób pobudza do walki. Nie zdziw się, jeśli usłyszysz go w Górach Duchów tej wiosny.

Podszedł do nich kapitan Byrne. Włosy i ramiona miał oprószone śniegiem.

– Oboje wykonaliście dobrą robotę – uśmiechnął się do Lyss i Cienia. Potem zwrócił się do królowej: – Wasza Królewska Mość, wasz powóz czeka.

– Czy chcesz wracać ze mną i z ciocią Mellony, Alyso? – zapytała królowa.

– Właściwie... umówiłam się z przyjaciółmi – odparła Lyss. – Świętujemy zaręczyny Julianny. – Nagle przypomniała sobie, że trzyma pod pachą suknię, i dodała: – Ciociu, dziękuję za suknię.

– Daj. – Ciocia wyciągnęła rękę. – Nie masz tego jak trzymać.

Królowa uniosła się na palcach i ucałowała córkę w policzek.

– Jestem z ciebie bardzo dumna, Alyso. – Po chwili milczenia rzuciła: – Wracaj szybko. Jutro wcześniej rano mamy zebranie. – Znowu zamilkła, lecz wyraźnie nie mogła się oprzeć, by nie dodać: – I... bądź ostrożna. Jest... jest ciemno i po okolicy krążą wilki.

– Dobrze, mamó. – Wszędzie na terenie królestwa Lyss mogła ruszać z bojowym okrzykiem do walki, ale tutaj, w stolicy, była piętnastoletnią córką swojej mamy.

– Twój orszak czeka na zewnątrz, Ziębo – powiedział Cień. – Hadley wspominała coś o szantach. Mówiła, że powinniśmy zabrać bazilki.

Kiedy wyszli ze świątyni, tłum na zewnątrz już się rozszedł, pozostały tylko dwa czy trzy powozy po drugiej stronie ulicy. W powietrzu wirowały drobne płatki śniegu, od którego bruk stawał się śliski, a wokół czarodziejskich lamp tworzyła się błyszcząca poświata. Zadowolona, że się przebrała, Lyss

mocniej otuliła się szalem matki, a drugą ręką ścisnęła uchwyt futerału.

– Brawo, Wasza Wysokość i Tancerzu Cieni – powiedział Finn i lekko się uklonił. – To przerosło oczekiwania wszystkich.

– Które niewątpliwie były raczej niskie – zauważył Cień.

– Idziemy do Kufla i Korony nad rzeką – oznajmiła Julianna. – Finn tam był i mówi, że dają dobre jedzenie.

– Ja też znam to miejsce – dodała Hadley. – To na Rzecznej, więc lepiej będzie iść pieszo. Wiecie, jaka to wąska ulica. Chyba nie da się tam dojechać powozem.



UWODZENIE

Kiedy Breon wrócił ze spotkania z klientem na główną ulicę, zauważył, że ruch wyraźnie się zwiększył. Przez most płynął gęsty strumień ludzi zmierzających w stronę świątyni.

Teraz musiał czekać na koniec koncertu. Mógł wrócić na metę i tam spędzić ten czas z dala od ludzkich oczu. Nie miał jednak ochoty wysłuchiwać przynudzań Fanciarza, patrzeć na żalną minę Gąsiora i porozumiewawcze spojrzenia Aubrey. Zresztą tam było brudno, a on musiał utrzymać strój w czystości, przynajmniej do zakończenia tego numeru.

Był głodny, ale wydał już monetę, którą dostał od Fanciarza. Teraz miał pusty i żołądek, i portfel.

Wtedy nagle go olśniło, że przecież nic nie stoi na przeszkodzie, żeby poszedł na ten koncert. Transparent głosił, że wstęp jest darmowy, w dodatku on był już odpowiednio ubrany. Przynajmniej zabije czas przed powrotem na stanowisko.

Cały dziedziniec przed świątynią był pełny i kiedy Breon przecisnął się bliżej wejścia, zrozumiał dlaczego. Niebiescy przy drzwiach przeszukiwali wszystkich, oklepując ciała od góry do dołu, zanim kogokolwiek wpuścili. Zastanawiał się czemu. Do świątyni z reguły nie było trudno się dostać – trudniej było z niej wyjść. Na wszelki wypadek wsunął nóż, sakiewkę

i medalion do skrytki, którą sobie zrobił pod podszewką nowego ubrania.

Musiał się wyklócać, żeby wejść do środka z dzafasą. Nie miał zamiaru jej zostawić i po powrocie dowiedzieć się, że zginęła. W końcu, po przeszukaniu jego i futerału, podczas którego nie znaleziono noża, sakiewki ani medalionu, pozwolono mu wejść.

Kiedy wszedł do świątyni, nigdzie nie znalazł wolnego miejsca. Ludzie jeszcze się kręcili, jakby liczyli na to, że jakaś przestrzeń pojawi się w cudowny sposób, jeżeli po raz piąty przejdą tę samą alejkę. Breon nie zawracał sobie tym głowy. Stał przy jednej z kolumn w pobliżu sceny. Musiał wyginać szyję, żeby coś zobaczyć, ale i tak był zadowolony, że ma miejsce stojące. Słyszał dobiegające zza kurtyny stłumione głosy, a kiedy dotknął sceny dłonią, poczuł drgania powodowane krokami osób za kulisami. Serce zabiło mu trochę mocniej. Wiele razy grywał w tawernach i gospodach, ale nigdy w takim miejscu.

Było pięknie zdobione – przypominało mu jakieś znajome wnętrze, którego nie mógł sobie przypomnieć. Okna i ołtarze zostały udekorowane gałązkami iglastymi i owocami ostrokrzewów. Kamienne ściany zdawały się lśnić w świetle kandelabrow, a wysokie sufity sprawiały, że całość wyglądała jak miejsce, do którego mógłby zechcieć przybyć sam Stworzyciel, by wysłuchać modlitw i tego wszystkiego, co się mówi w świątyni.

Może gdyby dostał drugą szansę, zostałby alumnem. Takie życie wydawało się wygodne, niezależnie od całej religijnej otoczki.

Nad głowami zebranych zabrzmiały świątynne dzwony i na scenę wszedł orator, żeby zapowiedzieć pierwszy akt – gromadkę dziecięcych tancerzy.

Breon na palcach jednej ręki mógłby policzyć, ile razy był wewnątrz świątyni, a i tak dotyczyło to albo sali lekcyjnej, albo jadalni, a nie miejsca modlitw. Gdzieś w głębi ducha spodziewał się, że ktoś go wyrzuci, ale ludzie jakby go nie zauważali, skupieni na tym, co działo się na scenie.

Spektakl prawie w całości składał się z muzyki i tańca – żadnych zonglerów ani gawędziarzy. Z tego miejsca Breon nie najlepiej widział tancerzy, ale wszystko dobrze słyszał. Wykonawcy byli bardziej lub mniej utalentowani, lecz widać było, że wkładają w to całe serce, a niektóre utwory osiągały taki poziom, z jakim on nigdy jeszcze się nie zetknął. Nikt oczywiście nie grał na dzafasie – zdawało się, że ten instrument to jego nisza.

W ostatnim akcie występował jakiś chłopak i dziewczyna, oboje grali na bazilkach. Chłopak wyglądał na Wyspiarza Południowego, ale był ubrany jak miedzianolicy, z fryzurą w stylu górskich wojowników. Dziewczyna była grubokoścista, jasnowłosa i wyraźnie zdenerwowana. Sprawiali wrażenie, jakby dobrano ich zupełnie przypadkowo.

Śpiewali standardy, nie byli idealnie zgrani, ale to można było naprawić ćwiczeniami. Breona tak wciągnął ten spektakl, że dopiero pod koniec zorientował się, że powinien już opuścić to miejsce.

Kiedy szedł w stronę wyjścia, usłyszał intrygujące dźwięki bazilki. Musiał się zatrzymać i odwrócić, żeby zobaczyć tego, kto tak grał.

To ten chłopak z duetu, tym razem solo na bazilce. Breon nigdy wcześniej nie słyszał tej melodii, a mimo to chwyciła go za serce.

Stał i obserwował muzyka grającego następny utwór. Potem ten się usunął, a naprzód wystąpiła dziewczyna.

Miała długie nogi niczym żreback i wyglądało na to, że w tej obcisłej sukni czuje się tak samo sztywno jak on w swoim nowym stroju. Jej jasne włosy barwą przypominały mokry piasek lub jasne piwo, a sposób, w jaki je upięła, sprawiał, że szyja wydawała się dłuższa.

Publiczność albo ją znała, albo chciała dodać jej animuszu, bo wszyscy wstali i powitali ją takimi owacjami, że aż pył się sypał z krokwi.

Jak by to było otrzymać takie oklaski, jeszcze zanim zaczniesz grać?

Dziewczyna wyprostowała się, uniosła głowę i powiedziała:

– Nazywam się Alyssa ana'Raisa, w górskich klanach zwana Ziębą. Jestem młodszą córką Raisy ana'Marianny i Hana sul'Algera.

Tłum ryknął ponownie, jeszcze głośniej.

Ta tyczkowata panna miała cały sznur imion, które zdawały się coś budzić w jego pamięci. Gdzie on już to słyszał?

– Będę dzisiaj śpiewać o miłości i wojnie. Pierwszy utwór jest o ludziach, których miłość połączyła wbrew ich woli. Nosi tytuł *Kruk i Róża*.

Jej głos nie był tak dobry jak głos Breona, jej umiejętności gry ustępowały temu, co prezentował jej towarzysz, ale to słowa przyciągały uwagę. Śpiewała balladę miłosną, która różniła się od wszystkiego, co dotąd słyszał – była surowa i szczerą, prosta i prawdziwa. Opowiadała o miłości zapisanej w gwiazdach i zakochanych, którzy zmienili świat, by uczynić go miejscem, w którym mogli być razem.

Breon sceptycznie się odnosił do zakochanych i piosenek o miłości, ale ta podziałała na niego niczym strzała wbita prosto w serce. Gdy dziewczyna zamilkła, publiczność eksplodowała. Breon stał niczym wyspa w morzu ludzi płaczących i obejmujących się nawzajem, jakby usłyszeli opowieść, w której osobiście uczestniczyli.

Dziewczyna – ta Alyssa ana'JakJejTam – stała na scenie, ściskając bazilkę, zarumieniona, póki oklaski nieco nie ucichły. Wtedy powiedziała niskim gardłowym głosem:

– Tekst, który teraz usłyszycie, napisałam, bo czasami miłość to nie wszystko. Czasem trzeba podjąć walkę z wrogiem.

Piosenka nosiła tytuł *Dzieci Północy* i była wezwaniem do walki.

Zaśpiewała ją z dumą i gniewem. Melodia wpadała w ucho, refren był łatwy do zapamiętania i wkrótce Breon śpiewał wraz z tłumem, jakby to była także jego historia. Jakby był częścią tej wspólnoty. Chociaż wiedział, że tak nie jest.

Wiedział, że toczy się wojna – zawsze jakaś się toczyła – ale to była wojna błękitnokrwistych. Jego celem było nie dać się

wciągnąć na żaden statek czy do armii. Teraz, słuchając tej pieśni, nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego tak ważne było przetrwanie.

Kiedy pieśń przebrzmiała, całą świątynią wstrząsnęły oklaski i wiwaty. Breon czuł się jak oszust ze względu na to, jakie wiódł życie. Przez wiele lat jego świat ograniczał się do plątaniny nabrzeżnych ulic. Niemal od zawsze nie sięgał myślami dalej jak do następnego występu, do następnego posiłku czy następnej dawki ziela. Zawsze udawał kogoś, kim nie jest, zależnie od upodobań klienta. Twierdził, że nie jest fagasem do wynajęcia, ale to było tylko zadzieranie nosa. Fagas do wynajęcia żył uczciwiej niż on.

Opuścił głowę i zaczął się przeciskać do wyjścia. Przemknął obok niebieskich przy drzwiach i wyszedł na zimne wieczorne powietrze. Słyszał za plecami, że śpiew zaczął się ponownie – tym razem była to skądś mu znana górską ballada.

Czuł się zdołowany, przytłoczony i wiedział, co może mu poprawić humor.

Opuścił teren świątyni i przeszedł przez most na stronę Łachmantargu. Zamiast iść prosto na wyznaczone miejsce, skręcił w prawo i szedł wzdłuż rzeki do pierwszej przecznicy. Zatrzymał się przy drzwiach zamkniętego sklepu, wygrzebał cenny woreczek z zieleń i nasypał sobie trochę do fajki. Wyszedł z powrotem na ulicę, wyciągnął rękę i zapalił fajkę od czarodziejskiego płomienia w latarni nad głową.

Z każdym sztachnięciem coraz bardziej umacniał się w przekonaniu, że cały czas miał rację. Dla niego nie miało wielkiego znaczenia, kto rządzi – jego życie w żaden sposób się od tego nie zmieniało. Było serią dzisiejszych dni bez żadnych gwarancji jutra.

Kilka minut później wracał w kierunku mostu. Magia ziela sięgała już jego palców rąk i nóg, gotowa wystąpić z tej żalostnej skóry i wpłynąć w odgrywaną przez niego rolę.

Koncert widocznie dobiegł końca, kiedy on palił. Mijały go grupy ludzi, głównie rodziny z sąsiednich dzielnic. Wszyscy rozmawiali o muzyce, tańcach, o tym, jaki ten koncert był

wspaniały. Niektóre dzieci były w kostiumach, czyli musiały występować na scenie.

Breon położył na ziemi kubek i wrzucił do niego kilka żeleźniaków, potem oparł się o ścianę budynku, stopę umieścił na kamiennym murku, a dżafasę wygodnie na kolanie. Ogarnięty przyjemną euforią zaczął stroić instrument. Przechodnie stanowili ruchomą barwną plamę. Przebiegł w myślach listę wszystkich pieśni miłosnych, jakie znał.

Pogrzebał w kieszeni, wyjął medalion tej dziewczki i przełożył go sobie przez głowę, tak że zawisł mu na piersi pod świeżą lnianą koszulą. Kiedy ostatnio miała go na sobie? Zamknął oczy i docisnął go do skóry – przedzierał się przez jej wspomnienia, marzenia i pragnienia, szukając melodii, która by z nimi współgrała.

Jej muzyka była płochliwa jak fellsjański jeleń, złożona jak morska bryza – mieszanina miłości i tęsknoty, odwagi i strachu, smutku i radości połączonych z gniewem. Tego, co było, co jest i co może być. Trzy nuty z dziwnym dysonansem. Trzy splecione ze sobą wątki, silniejsze niż każdy z osobna. Surowe, niedokończone, dzikie, zmienne jak wiosenny dzień. Może przez to ziele – prawdopodobnie przez nie – Breon zakochał się w muzyce tej dziewczki, zanim jeszcze zobaczył ją samą.

Żeby się przekonać, czy rzeczywiście odnalazł jej melodię, musiał dla niej zagrać, kiedy się zjawi. Tymczasem czerpał z repertuaru piosenek tawernianych, pijackich i miłosnych, w które już dawno nie wierzył.

Kiedy zaczął grać, monety sypały się szybko – jak zawsze. Niektórzy przystawali, by posłuchać, rozmawiali ze sobą szeptem, jakby nadal byli w świątyni, a inni ich uciszali. Zakochani, starzy i młodzi, trzymali się za ręce i się uśmiechali.

Na początku chodniki były zatłoczone, ale tłum szybko zrzędł, a dziewczyna z szalem wciąż nie nadchodziła. Breona ogarnęły wątpliwości. Jego klient zdawał się dobrze wiedzieć, w co będzie ubrana i którądy będzie szła, ale może się pomylił albo ona zmieniała zamiary. A może Breon za długo zajmował się paleniem fajki i przez to przegapił ją na samym początku.

Czekał dalej, grał i śpiewał, chociaż ulice już prawie opustoszały. Poczucie rozczarowania ścisnęło mu gardło. Nie powinien był zbaczać na ziele, kiedy koncert zbliżał się ku końcowi. To był błąd – najświeższy spośród wielu.

Ponieważ nie spieszył się do powrotu na metę, gdzie z pustymi kieszeniami miałyby stawić czoło Aubrey, Fancierzowi i Gąsiorowi, czekał i rozglądał się, czy gdzieś w pobliżu nie czai się jego klient. Nie widział go, ale gdy obserwował okolicę, zdawało mu się, że dostrzegł jakiś ruch na pobliskim dachu. Przyjrzał się uważniej i niczego tam nie dostrzegł, uznał więc, że to pewnie zwidy po zażyciu ziele.

Śnieg padał coraz mocniej i po jakimś czasie przez warstwę ubrań zaczął przenikać chłodny wiatr. Coraz trudniej było stać w jednym miejscu i grać, kiedy z ust wydobywała się para, a palce drętwiały z zimna. Chyba nadszedł czas, żeby przyznać, że schrzanił sprawę. Znowu.

Będą inne okazje, powiedział sam do siebie. Jeszcze lepsze.

W tym momencie zobaczył grupę wychodzącą z pobliskiej tawerny i zmierzającą w jego stronę. Wyglądali na osoby mniej więcej w jego wieku; śmiali się i poszturchiwali. Kiedy wchodzili w zasięg światła od przypór mostu, zmrużył oczy, próbując się im przyjrzeć.

Była to dziwaczna zbieranina. Dwoje z nich miało na sobie stroje klanowe, troje było w odświętnych ubraniach, a pozostali w niebieskich mundurach.

Breon domyślał się, że niebiescy lubili się napić i zakąsić tak samo jak każdy. Nie widział jednak wśród nich dziewczyny w zielonej sukni.

Ta grupa w jakiś sposób skojarzyła mu się z pieśnią usłyszaną w świątyni – tą, która wzbudziła w nim poczucie winy.

Jesteśmy dziećmi Północy
Walczymy ramie w ramie
Czarownicy, doliniarze, klanowcy
Z całymimi rodzinami.

Medalion zaczął grzać Breona w skórę. Zdumiony dotknął go i jeszcze raz spojrzął na idącą w jego stronę grupę.

Wtedy ją zobaczył – jedną z dwojga w stroju klanowym, niosącą futerał z instrumentem i otuloną szalem, który opisał klient. Była wysoka, ale szal osłaniał jej głowę i tym samym włosy.

Czuł łączącą go z tą dziewczyną magię, buzującą w nim niczym mocny trunek. A więc to był jego cel. To była jego szansa na nowy początek.

Wyprostował się, zaczerpnął tchu, odnalazł wybrane wcześniej akordy i rozpoczął jej pieśń.



BIS W ŁACHMANTARGU

W Kuflu i Koronie było przytulnie, ciepłe palenisko udekorowano gałązkami iglastymi. Lyss wyciągnęła spinki z misternie ułożonej fryzury i potrząsnęła głową, by włosy opadły jej na ramiona. To bardziej pasowało do karczmy niż kok wykonany przez ciocię Mellony. To samo dotyczyło klanowych spodni.

Wznieśli toast za zaręczyny Finna i Julianny i tym razem Lyss zamieniła to w piękny spektakl, grając i śpiewając tradycyjną balladę miłosną *Lilia z doliny*. Pod koniec Sasha w milczeniu wzniosła toast do Lyss, spoglądając na nią ponad krawędzią kielicha.

Lyss i Cień grali na bazilkach, a Hadley śpiewała szanty tak rubaszne, że najpierw wszyscy obecni w tawernie zaniemówili z wrażenia, a potem dołączyli do zabawy. Następne były piosenki marszowe, a po nich o żołnierskiej tęsknocie za domem i za końcem wojny. Raz po raz uderzali kuflami o stół, wymuszając pocałunek zaręczonych, którzy zdawali się bardzo chętnie spełniać to życzenie.

Czasami jedna piosenka prowadzi do następnej, jedna kolejka prowadzi do dwóch kolejnych. Od powrotu do stolicy Lyss nie czuła się tak swobodnie i nie była tak odprężona jak tego wieczoru.

Dopiero dzwony Świątyni Południomostu przypomniały jej, jak jest późno.

– Muszę już iść – powiedziała, odkładając serwetkę. – Nie zamierzałam zostać tak długo. Mam spotkanie o nieludsko wczesnej porze.

– Ja też na nie idę – stwierdziła Julianna, odsuwając swoje krzesło. – Wszyscy już pójdziemy.

Lyss pokręciła głową.

– Nie, nie, zostańcie. Wezmę Sashę, Cama i pozostałych Szarych Wilków. Reszta z was nie musi wracać. Pojedziemy jednym powozem z Południomostu, a wy potem wrócicie drugim.

– To brzmi jak spora grupa. – Cień się podniósł. – Ja wracam z wami. Zatrzymałem się z ojcem w gospodzie Królewska Dolina, więc mam po drodze.

W końcu wyszli wszyscy razem.

Na zewnątrz śnieg zacinał mocniej niż wcześniej, wiatr przybrał na sile i było dużo zimniej. Lyss naciągnęła szal na głowę, żeby włosy nie biły jej po twarzy. Szli z powrotem w kierunku Mostowej, Cam na przedzie, Sasha z tyłu, wypatrując niebezpieczeństw. Julianna i Finn trzymali się za ręce, za nimi Lyss i Cień rozmawiali po cichu.

Już mieli skręcić na Most Południowy, kiedy Lyss to usłyszała – dziwną, nieziemską muzykę, która zdawała się pazurami wpijać w jej duszę.

– Co to takiego? – Obróciła się i obejrzała za siebie.

– Ja nic nie słyszę – powiedział Cień.

Lyss nie miała pojęcia, co to za instrument. Brzmiał egzotycznie, jak z innego świata. Jego dźwięki były wysokie, czyste i przejrzyste jak woda w Dyrnie, a melodia należała do tych, które od razu chwytają za serce, wprawiają nogi w ruch i nie chcą się odczepić.

– Zaraz wracam! – zawołała i odbiegła, kołysząc futerałem, który obijał jej się o biodro.

– Ziębo! Poczekaj! – krzyknął za nią ze śmiechem Cień. – Nie tędy!

Na rogu ulicy, tam gdzie Most Południowy stykał się z nabrzeżem, ktoś grał na instrumencie strunowym, którego Lyss nie знаła. Drobna sylwetka owinięta w grubą pelerynę, kaptur naciągnięty na twarz. Pewnie uliczny grajek, który chce zarobić na miłośnikach muzyki wychodzących z koncertu.

Tylko że teraz nie było tu nikogo oprócz niej.

– Lyss? Hej, Lyss, dokąd idziesz?! – Teraz krzyknęła do niej Sasha.

Lyss obróciła się w stronę swojej eskorty i zauważyła, że są w połowie mostu. Po chwili zniknęli, a ona znalazła się wśród kosmyków ciemności, które niczym całun owinęły ją szczelnie i odcięły od reszty świata. Nic nie słyszała, nic nie widziała. Te cienie wypełniły jej umysł tak, że wszystko przestało istnieć poza Lyss, tą niezmierną muzyką i nieznanym grajkiem.

Nie mogła się oprzeć – jakby ta muzyka była liną przymocowaną do jej serca, która pociąga ją do przodu.

Grajek podniósł głowę, by na nią spojrzeć, a wtedy zobaczyła jego błyszczące pod kapturem oczy i parę wydobywającą się z jego ust. Wzdrygnął się, jakby zaskoczony – jakby nie była tą osobą, której się spodziewał. Gdy jednak podeszła bliżej, wziął się w garść. Posuwał się wzdłuż brzegu rzeki, nie fałszując ani jednej nuty, poruszając się z gracją fellsjańskiej sarny. Chociaż on szedł tyłem, a ona przed siebie, trudno jej było dotrzymać mu kroku.

– Przepraszam! – zawołała, grzebiąc w torbie w poszukiwaniu garści monet. – Co to za melodia? Nigdy niczego takiego nie słyszałam. – On wciąż się cofał, a ona szła za nim, otoczona przez ciemność, nie wiedząc, gdzie jest. Wszystko wydawało się nieważne w porównaniu z jej pragnieniem dotarcia do źródła tej muzyki.

Wabił ją tą muzyką niczym szczurołap z legend. Było to upajające niczym okowita. Przyciągało ją, czerpało z niej. To było coś pełnego obietnic, których dotrzymania bardzo pragnęła. Obietnic przeznaczonych tylko dla niej.

On mnie zna. Rozumie. Jeśli będę słuchała, ja też zrozumie.

Gdy posuwali się wzdłuż brzegu, wiatr wiejący od rzeki zdarł mu kaptur z głowy, odsłaniając twarz podobną do wizerunków młodych bogów w świątyniach. Jasna jak marmur skóra rozciągnięta na kościach. Włosy barwy miodu z gór – głębokiego brązu z czerwonozłotymi pasmami. Uśmiechnął się, w jego oczach zalśniły psotne ogniki, kiedy ją przywoływał. Przypominał Lyss baśniowe wróżki, które zwabiały nieostrożnych wędrowców do miejsc schadzek w górskich wąwozach – ktoś, kto tego doświadczył, nie mógł już zaznać szczęścia z żadną kochanką.

Grajek podrzucił głowę, jakby coś usłyszał. Gdy spojrzał ponad ramieniem Lyss w kierunku rzeki, muzyka osłabła, prawie ucichła. Cienie się rozrzedziły i Lyss usłyszała za plecami jakieś dźwięki: odgłosy walki, okrzyki, napinanie łuków, szczęk broni. Obróciła się i zrobiła krok z powrotem ku Mostowej. Wtedy jednak muzyka zabrzmiała ponownie, jeszcze bardziej rytmiczna niż wcześniej, żywiołowa, obezwładniająca, i znowu chwyciła ją w swoje szpony. Lyss zobaczyła przed sobą tego grajka, który zniknął za rogiem, i pospieszyła za nim, uważając, by się nie poślizgnąć na oblodzonym bruku.

Za zakrętem ujrzała go znowu. Stał na kamiennej ławce w małym parku nad rzeką, niczym lis zagnany w pułapkę. Jego palce cały czas przebiegały po strunach, wydobywając tę magiczną muzykę. Obok niego leżał otwarty futerał instrumentu.

Lyss uniosła swoją zapakowaną bazilkę.

– Ja też jestem muzykiem – powiedziała – i... nigdy jeszcze nie słyszałam takiego instrumentu.

– Nazywa się dżafasa – odparł. Była o kilka kroków od niego, kiedy zarzucił sobie instrument na plecy. Pokłonił się, wyjął coś z futerału i wyciągnął w jej stronę.

Kiedy muzyka zamilkła, Lyss natychmiast odzyskała jasność umysłu i zrozumiała, że on może sięgać po broń. Cofnęła się o kilka kroków i próbowała odszukać nóż. Wtedy spostrzegła, co trzymał w ręku.

Bukiet.

Jak we śnie odebrała od niego te kwiaty i przyłożyła do nosa, by je powąchać. Rozpoznała czerwone lisie uszka, białe lilie i niebieskie serdeczniki, ale były też inne, których nie знаła. Natychmiast ogarnęła ją mgielka wspomnień – wrażenie, że już gdzieś to widziała.

– Och – powiedziała. – Tak.

– Wasz występ był wspaniały – oświadczył, prostując się z niewygodnego ukłonu.

– Byłeś tam?

– Tak. To było... to było szczere, a niełatwo o szczerość w dzisiejszych czasach. – Po tych słowach znowu zaczął grać. Zamknął oczy, odchylił głowę, lekko rozchylił usta, jakby muzyka wypływała z jakiegoś głębokiego źródła magii w jego wnętrzu.

– Może jestem szczerą – powiedziała Lyss – bo nie bardzo umiem kłamać.

Na dźwięk jej głosu otworzył oczy i się uśmiechnął.

– Wiem – powiedział. Potem spojrzał ponad jej ramieniem, jego oczy zrobiły się wielkie i muzyka nagle umilkła. Gdyby nie to, nie usłyszałyby tupotu butów po bruku i okrzyków dookoła.

– Uważaj, Lyss! – To był głos Sashy, dobiegający z daleka.

Grajek stał jak zamurowany, pobladł i kręcił głową, aż Lyss usłyszała znajomy świst. To brzmiało jak...

Muzykant zeskoczył z ławki i przewrócił ją na bruk z taką siłą, że bazilka wypadła jej z rąk. Własnego instrumentu chłopak użył jako tarczy. Kolejny bełt uderzył w pudło dzafasy, rozbryzgując drzazgi na twarz Lyss.

Nagle zjawił się Cam. Chwycił muzykanta za kark, oderwał od Lyss i odrzucił na bok. Osłonił ją własnym ciałem i prowadził w kierunku ciągnącego się wzdłuż alejki niskiego kamiennego murku, za którym można było się ukryć. Koło ucha Lyss przeleciał następny bełt i wpadł do rzeki. Cam zadrżał i się potknął.

– Cam?

Przeszli jeszcze kilka kroków. Chłopak wepchnął ją za murek i upadł obok niej.

- Dostałeś!
- Tak, pani – jęknął.

Lyss przesunęła dłonią po jego mundurze i wyczuła drzewce bełtu pod prawą łopatką. Nie stracił dużo krwi, ale musiała go zaprowadzić do uzdrowiciela. Podparła się na czworakach, wyrzała ponad murkiem na budynki ciągnące się wzdłuż pobliskich przecznic. Wyglądało na to, że strzelano stamtąd. Na jednym z dachów dostrzegła zakapturzonego kusznika spokojnie naciągającego kuszę. Obrócił się, wycelował prosto w Lyss i wypuścił bełt w chwili, gdy ona zanurkowała za - murek. Pocisk przeleciał nad jej głową niczym wściekły owad.

To ja jestem celem, pomyślała. Jej umysł zaczął się wyzwaląć spod uroku muzyki. Grajek zniknął, lecz bełty wciąż nadlatywały, rozsiewając odłamki kamieni, a to znaczyło, że napastników musiało być więcej...

- Uwaga! – zawołał Cam, szukając broni.

Lyss obróciła się i ujrzała kolejnego skrytobójcę – ten zbliżał się od strony rzeki z połyskującym ostrzem w ręku. Była w pułapce, bez możliwości ucieczki. Nie miała szans wydobyć noża z buta, nim napastnik się na nią rzuci. Próbowwała się podnieść, ale poślizgnęła się na oblodzonym gruncie i upadła na plecy, uderzając przy tym głową o murek.

Gdy asasyn zaatakował, była świadoma tego, że Cam wtacza się na nią, by ją osłonić. Napastnik zadał cios i zaraz jęknął dziwnie, a wtedy na nią i na Cama trysnęła krew. Lyss zobaczyła umazane krwią ostrze wystające z pleców nożownika. To Cam odnalazł swój miecz.

Teraz zdawało się, że zemdłał. Lyss usłyszała czyjeś szybkie kroki i okrzyk:

- Za Szare Wilki! Za królową Północy! – To była Sasha.

Wciąż jednak pojawiali się nowi asasyni. Byli niczym demony wyskakujące z głębi ziemi. Lyss wygramoliła się spod Cama i po omacku odszukała uchwyt futerału.

Zamierzyła się na najbliższego zamachowca. Z całej siły walnęła go w twarz, tak że upadł na plecy, a sztylet potoczył się

po bruku. Wsunęła dłoń do buta, a w tej samej chwili napastnik poderwał się i rzucił się na nią.

Oboje upadli na ziemię, asasyn na górze, obiema dłońmi ścisnął szyję Lyss. Jego ciało wzdrygnęło się kilka razy, gdy trafiały weń kolejne bełty, lecz uścisk nie słabł. Palce trzymały mocno, póki Lyss nie wbiła mu sztyletu w gardło. Krew zalała jej skórzane spodnie.

Dobrze, że się przebrałam, pomyślała.

Zepchnęła z siebie martwe ciało. O kamienny bruk stukotało coraz więcej metalowych grotów. Lyss uniosła bazilkę nad głowę niczym parasol. Czuła drżenie instrumentu, w który uderzały bełty – część z nich przeszywała pudło na wylot.

Usłyszała odgłosy kroków. Ulica rozbłysła, gdy Hadley omiotła dachy strugami czarodziejskiego ognia, pozbawiając je śniegu i strzelców. Bełty latały jeszcze przez jakiś czas. Potem obok Lyss zjawiał się Cień. Osłaniał ją, póki nie otoczył jej mur niebieskich mundurów. Finn rozpałił całe nabrzeże, przeganiając pozostałych asasynów. Sasha wciąż przeszukiwała ulice.

– Dasz radę iść, Ziębo? – zapytał Cień, obejmując ją ramieniem, poblady z niepokoju.

– Ja? Nic mi nie jest. Musimy...

– Jesteś cała we krwi – powiedział łagodnie.

– To nie moja krew – odparła, rozglądając się. – A gdzie Julianna?

– Wysłałam ją do świątyni – powiedziała Sasha, która nagle znalazła się przy niej. – Chodźmy.

– Zabierzcie Stauntona. – Lyss zapała się piętami i wskazała miejsce przy murku, gdzie leżał Cam.

Cień ukląkł obok niego i przyłożył palce do jego tętnicy szyjnej.

– Ziębo – powiedział – nie wiem, czy on...

– Zabierz go – warknęła. – Bez niego nigdzie nie idę.

Cień podniósł Cama i ruszyli przez most: Hadley i Finn jako osłona, a Lyss pośrodku tego, co pozostało z jej eskorty.

Na końcu mostu po stronie Łachmantargu musieli kluczyć między leżącymi ciałami.

– Zasadzka – powiedziała Sasha, przekraczając czyjeś ciało w czarnym ubraniu. – Zablokowali most, kiedy już na niego weszliśmy. Musieliśmy z nimi walczyć, żeby się przedrzeć. Dlatego tak długo nam zeszło, nim do ciebie dotarliśmy.

Po przejściu przez most, weszli na dziedziniec świątyni, gdzie wciąż czekały dwa powozy. Lyss nie zdążyła dostrzec nic więcej, bo Cień szybko otworzył drzwi, a Sasha wepchnęła ją do środka.

Wewnątrz czekała Julianna z młodą alumnką.

– Na słodką Panią – szepnęła, widząc zakrwawionych przybyszów.

– Czy jest tu uzdrowiciel? – sapnął Cień. – Mamy ciężko rannego. Próbowali zabić księżniczkę następczynię tronu.

– Oczywiście – powiedziała alumnka i dała znak dziewczynie, która siedziała obok paleniska i czytała książkę. Ta natychmiast dokądś pobiegła.

Alumnka zsunęła kaptur, odsłaniając klanową fryzurę – warkoczyki z koralikami. Sięgnęła za biurko i wyciągnęła łuk oraz kołczan ze strzałami.

– To mi się podoba – stwierdził Cień. – Wiara z pazurem.

– Zanieście go do świątyni – powiedziała alumnka. – Ja pójdę na górę i będę osłaniać wejście na wypadek, gdyby ktoś chciał się tu dostać. – Zwinnym krokiem wbiegła na schody.

Kiedy Lyss obróciła się, by ruszyć za Cieniem, omal nie wpadła na Juliannę. Oczy kuzynki były czerwone od płaczu, rzęsy pozlepiane łzami. Wpatrywała się w zakrwawione ubranie Lyss, jakby miała zaraz zemdleć.

– Alysso – szepnęła drżącym głosem. – Co oni ci zrobili?

– Wkurzyli mnie, to właśnie zrobili – odpowiedziała Lyss i przemknęła obok niej.

Cień położył Cama na brzuchu na szerokiej kamiennej ławie. Lyss uklękła przy nim i rozcięła bluzę munduru wokół rany. Beł wszedł w ciało niemal cały, wystawał jedynie koniuszek.

Skóra wokół rany była lodowata i z każdą chwilą robiła się zimniejsza. Tętno było słabe i nieregularne.

– Gdzie reszta Szarych Wilków? – zapytała, rozglądając się. – Czy ktoś jeszcze jest ranny?

– Jest jeszcze jeden zabity – oznajmił Cień.

– Kto?

– Carew. Pozostali ścigają tamtych kuszników. Hadley i Finn wciąż są na zewnątrz i wezwaliśmy posiłki z garnizonu w Południomości. Ja też tam wracam. – Blask wzniecony w jego oczach podczas koncertu już zgasł i teraz jego spojrzenie było tak samo puste jak po śmierci Topoli.

To moja wina, pomyślała Lyss. Wyrzuty sumienia rosły w niej niczym przypływ podczas pełni. Jest Przesilenie i mama mnie ostrzegła, że to pora, kiedy grasują wilki. Powinnam była zostać w domu. A teraz Cień...

– Nie chcę, żeby ktokolwiek jeszcze został ranny – powiedziała, chwytając go za dłoń. – Czy możemy ich odwołać do czasu, gdy dowiemy się, o co chodzi?

Cień delikatnie wysunął rękę.

– Jeśli ich teraz nie złapiemy, znikną na dobre. To jest tak zwana złota godzina, kiedy jeszcze mamy szansę coś zdziałać, zanim się ukryją. – Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. – Nie martw się. Będę ostrożny. – Po czym zniknął.

Wróciła alumnka z Tyem Gryphonem, który niósł torbę uzdrowiciela.

– Ty! – westchnęła Lyss z ulgą. Ty był starszym bratem Hadley i uzdrowicielem obdarzonym mocą. Gdy lord Vega nie pozwolił Adrianowi pracować w infirmerii, Ty przyjął go jako nieoficjalnego pomocnika. Adrian zawsze mówił, że Ty to najzdolniejszy uzdrowiciel w służbie lorda Vegi, wliczając samego lorda.

Ostatnio spędzał niewiele czasu w stolicy. Lyss nie widziała go od ponad roku – podróżował po całym królestwie, docierał wszędzie tam, gdzie toczony były najbardziej zacięte walki.

Obrzucił ją wzrokiem i zauważył zakrwawione ubranie.

– Gdzie jesteś...?

– Nie ja, ktoś inny – odparła, wskazując na Cama. – To twój pacjent. Dostał bełtem w plecy.

Ty spojrzał na leżącego, potem znowu na Lyss.

– Na pewno nie jesteś ranna? Nawet draśnięta?

W czaszce jej pulsowało i czuła wielki guz w miejscu, gdzie uderzyła głową w murek, ale to mogło poczekać.

– Nic mi nie jest. Najpierw zajmij się nim.

Gdy Ty badał Cama, Lyss odgarniała skrwawione włosy z jego czoła. Nie reagował.

– Znasz go? – zapytał Ty.

– To moja straż osobista. Był przy mnie w tyłu bitwach przez całe lato i zawsze wychodził cało, a teraz wrócił do domu i proszę.

– Jak się nazywa?

– Cam Staunton.

– Możemy dostać jakieś koce? – krzyknął Ty do alumniczki, która go przyprowadziła.

Przyniosła naręczę koców i Lyss podłożyła Camowi jeden pod głowę, a drugim okryła mu biodra i nogi.

– Jak dawno został ranny? – zapytał Ty.

– Chyba jakąś godzinę temu – odparła.

Ty zacisnął wargi.

– Widziałaś bełty, których używali?

– Pewnie jeszcze tam leżą. Mogę kogoś posłać, żeby...

– To raczej nie zmieni sposobu leczenia – przerwał jej. Jedną ręką obmacywał skórę wokół rany, drugą chwycił za amulet i w skupieniu zamknął oczy. Potem przesunął dłoń po karku Cama. Następnie dotknął jego czoła, jakby oceniał wyrządzone szkody. Westchnął i z klęczek oparł się na piętach. – Mogę spróbować wyjąć ten bełt, ale to tylko spowoduje ogromny uraz i ból, a już za późno, żeby przyniosło pozytywny skutek.

Lyss się cofnęła.

– Jak to za późno? Przecież nie stracił tak dużo krwi. Wiele razy widziałam żołnierzy, którzy wychodzili z takich ran.

– To trucizna, Lyss – oświadczył Ty. – Ten, kto cię zaatakował, chciał zabić.

– On uratował mi życie – upierała się. – Ma tylko trzynaście lat. To niemożliwe.

– Przykro mi.

Nie! Lyss nie chciała się pogodzić z tym, że ma pożegnać Cama Stauntona.

– Nie możesz wyssać tego z niego za pomocą magii? – Widziała, jak obdarzeni mocą wyciągali w ten sposób infekcje i trucizny. – Albo... może potraktować to jak ukąszenie węża? Otworzymy ranę, żeby trucizna wypłynęła z krwią.

– Już za późno. Trucizna jest wszędzie, więc nie da się jej wyciągnąć.

– Co to jest?

– Nie wiem, ale może uda mi się ją zidentyfikować, jeśli dostanę jeden z tych bełtów.

– Przyniosę ci – obiecała, wstając. – Gdy się dowiemy, co to jest, znajdziemy antidotum.

– Lyss, czy Cam ma rodzinę? – zapytał Ty cicho. – Powinniśmy po nich posłać.

– Nie! – Zrobiła krok w tył, łzy złości lały się po jej twarzy. – Jeśli nie wiesz, co to jest, to skąd wiesz, że nie ma na to antidotum? Powinieneś go uleczyć. Jesteś uzdrowicielem, tak?

Czuła się, jakby wessał ją wir wspomnień i wróciła do tamtego dnia prawie dokładnie cztery lata wcześniej. Jej ojciec leżał nieruchomy i zimny na ulicy, a lord Vega stwierdził, że to trucizna i nic nie da się zrobić.

Jedenastoletnia Lyss uderzyła go za to. Teraz też miała ochotę komuś przyłożyć, ale była już na tyle dojrzała, by rozumieć, że Ty nie jest właściwą osobą do zbierania cięgów.

– Lyss – powiedział tym łagodnym tonem czarowników, którego używał wobec niej Adrian. – Czy możesz potrzymać go za rękę i mówić do niego? Teraz nie powinien być sam.

Poczuła łzy w oczach. Nagle zapragnęła, żeby była tu Sasha – ona знаła go najlepiej. Albo ktoś, kto wiedziałby, co powiedzieć.

– Nie martw się – zachęcał ją Ty – cokolwiek powiesz, będzie dobrze.

Musiała to zrobić. Usiadła obok Cama, ujęła jego zimne dłonie w swoje i zaczęła mówić. Opowiadała mu o wszystkim i niczym, przypominała letnie bitwy, wspominała wspólne chwile w obozie, mówiła o jego matce i o żartach, które we dwójkę robili Sashy. Potem przeszła do koncertu i piosenek, które śpiewali w tawernie, i opowiedziała mu o tym, jak wspólnie odparli atak asasynów. Nawet mu trochę zaśpiewała, jakby chciała go uśpić.

Nagle Cam mocniej ścisnął jej dłoń i otworzył oczy.

– Pani? – szepnął.

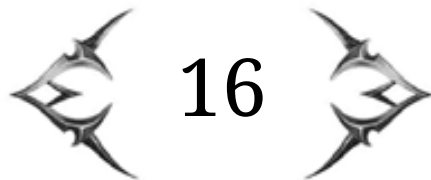
Lyss nachyliła się nad nim.

– Tak, Staunton?

– Nic wam nie jest? – Obserwował ją z niepokojem. – Nie dopadli was?

– Jestem cała i zdrowa – oświadczyła. – Dzięki tobie.

Chłopiec uśmiechnął się. I zamknął oczy.



ROZMYŚLANIA PO ZAMACHU

Ty w końcu przekonał Lyss, żeby puściła ręce Cama.

– Powinniśmy odstawić cię do pałacu, gdzie lord Vega przeprowadzi dokładniejsze...

– Nie – zaprotestowała. – Nie odejdę stąd, dopóki moje Wilki nie wrócą. Muszę być pewna, że są bezpieczni, i chcę wiedzieć, co odkryli.

– To może potrwać całą noc – zauważył Ty.

– Jestem żołnierzem, mistrzu Gryphonie. Przyzwyczaiłam się do całonocnych eskapad.

– Czy mam wysłać kogoś po lorda Vegę?

– Nie! Nie po niego. – Lyss głęboko wciągnęła powietrze. Musiała przestać wyładowywać frustrację na niewłaściwych osobach. – Możesz sam mnie obejrzeć, jeśli to ma cię uspokoić.

– W porządku. – Ty skinął na alumnkę, żeby doglądała Cama, i poprowadził Lyss do jednej z bocznych kaplic.

Dopiero kiedy usiadła na stopniach ołtarza, poczuła, jak bardzo jest zmęczona. Nogi jej drżały, głowa w miejscu uderzenia bolała jak diabli, a do tego przytłaczał ją świeży ciężar smutku. Zamknęła powieki, bardziej niż czegokolwiek pragnąc zapaść w sen.

– Wasza Wysokość.

Otworzyła oczy i zobaczyła, że Ty uważnie się jej przygląda.

– Nie chcę być natrętny, Wasza Wysokość, ale... czy nic nie rozdarło skóry? Masz jakieś zadrapanie? Draśnięcie? Ten, który na ciebie skoczył... nie skaleczył cię?

Lyss zaprzeczyła, a od tego zaczęło jej się kręcić w głowie tak szybko, że przez chwilę nie była pewna, czy nie zwymiotuje na jego kolana.

– Mam zadrapania i drobne ranki – powiedziała, gdy poczuła się lepiej. – O ile wiem, wszystkie od uderzenia w murek, odłamków kamieni i tak dalej. Nie zraniono mnie nożem ani bełtem. Bardzo mocno uderzyłam się w głowę. Kręci mi się w głowie i mam lekkie mdłości. I siniaki na szyi, tam gdzie... on... próbował mnie udusić.

Wróciła alumna i położyła obok nich małą sakiewkę.

– Mamy ziele na ukąszenia węża i korę wierzby? – zapytał Ty. Przytaknęła.

– Są tutaj.

– Przynieś mi, proszę, gorącej wody. I materiały na okłady.

Później Lyss poddała się dokładnemu badaniu, łagodnemu głosowi i dłoniom uzdrowiciela. Złagodził ból gardła i głowy, potem opatrzył odrapane kolana oraz liczne otarcia i siniaki na całym ciele. Posmarował kilka podejrzanych draśnień i rozcięć ziołem na ukąszenia węży i wypowiedział nad nimi zaklęcia.

– Powinieneś je zostawić – powiedziała Lyss – jako przestrożę, do czego prowadzi głupota.

Sama nie bardzo w to wierzyła. Znowu zapłonął w niej ten znajomy gniew, który niemal zastąpił poczucie winy. Można by uznać, że głupotą było wychodzić na miasto, w którym odebrano życie jej ojcu i bratu.

Nie może tak być, pomyślała. Przecież to jest mój dom. Dlaczego miałabym oglądać się przez ramię na każdym kroku?

I do tego ten grajek. Wydawało się zupełnie nie na miejscu, żeby zdradził ją ktoś, kto potrafi grać tak czarującą muzykę.

Czarującą. Może to jest słowo klucz.

On nie wiedział, mówił irytujący głos w jej głowie.

Jak to nie wiedział? Jak mógł nie wiedzieć?

Nie wiedział, że dojdzie do ataku. Był tak samo zaskoczony jak ty. Popchnął cię i osłonił swoim instrumentem. Inaczej by cię trafili. Po co miałby to robić, gdyby był wtajemniczony w ten spisek?

Nie ja powinnam to wyjaśniać. Wciąż jestem oszołomiona czarem, który na mnie rzucił.

Jesteś jedyną osobą na świecie, która potrafi spierać się sama ze sobą i przegrać.

Lyss zorientowała się, że znowu ma zamknięte oczy. Otworzyła je i ujrzała obserwującego ją uzdrowiciela.

– Znasz zasady – powiedział z uśmiechem. – Jutro możesz się czuć gorzej. Jeśli zauważysz coś, co przeoczyliśmy, od razu daj mi znać.

Zza rogu wysunęła się głowa alumunki.

– Wasza Wysokość, jest tu wasza kuzynka. Pyta... Chciałaby się z wami zobaczyć.

– W porządku.

Julianna weszła po cichu. Jej policzki nabrały już nieco koloru. Spojrzała na uzdrowiciela, jakby prosząc o pozwolenie. Kiedy skinął głową, przeszła przez kaplicę, usiadła obok Lyss i wzięła ją za rękę.

– Czy...?

– Nic mi nie jest.

– Finn składa raport kapitanowi Byrne'owi. Jak skończy, wracamy do pałacu. Może chcesz jechać z nami.

Lyss pokręciła głową.

– Zostanę tu jeszcze trochę. Póki nie dowiem się czegoś więcej. Jeśli zrobi się bardzo późno, zatrzymam się w garnizonie Południomostu.

– Potrzebujesz czegoś? Chcesz wydać jakieś oficjalne oświadczenie o tym ataku czy może ja mam coś napisać i dać ci do zatwierdzenia?

– Wstrzymajmy się z tym – powiedziała Lyss. – Najpierw trzeba będzie poinformować rodziny zabitych.

Julianna potaknęła, nerwowo poruszając się na ławce. W końcu wyrzuciła z siebie:

– Przepraszam, Lyss. Czuję się, jakby to była moja wina. Nie powinnam była nalegać, żebyś szła z nami. Ja tylko... mieliśmy tyle powodów do świętowania.

Lyss pokręciła głową.

– Słuchaj, już czas przestać się obwiniać za każdym razem, gdy król Gerard zrobi coś potwornego.

Czas zrobić coś innego.

– Może – przyznała Julianna. Obracała nowy pierścionek na palcu, a potem splotła dłonie. – Nie wiem, jak ty to robisz. – Z trudem przełknęła ślinę. – Kiedy ta walka się zaczęła, ja byłam bezużyteczna. Po prostu zamarłam, jakby to miało sprawić, że będę niewidoczna.

Lyss spoglądała na nią zdumiona.

– No... w bitwie każdy reaguje inaczej. Chyba trzeba czasu, żeby przywyknąć.

Julianna wstała.

– Nie sędzę, że bym kiedykolwiek do tego przywykła. – Uśmiechnęła się blado. – Zobaczymy się później.

Lyss przez chwilę odprowadzała ją wzrokiem.

Po wyjściu kuzynki zaczęli się pojawiać niektórzy z Szarych Wilków, wśród nich Sasha. Zamieniwszy kilka słów ze strażnikami przy drzwiach, weszła i zasalutowała.

– Myślałam, że już cię tu nie będzie – powiedziała.

– Usiądź. – Lyss wskazała miejsce obok siebie.

Sasha usiadła i niespokojnie wpatrywała się w jej twarz.

– Na pewno nic ci nie jest?

– Tylko kilka zadrapań i siniaków. Gorzej się czułam po treningu z tobą. Nie chcę wracać bez żadnych wiadomości. – Po chwili milczenia zapytała: – Wiesz już o Camie i Carew?

Sasha skinęła głową.

– Jak stąd wyjdę, pójdę do braci Cama – powiedziała drżącym głosem.

– Poczekaj do rana, to pójdziemy razem – poprosiła Lyss. – Nie ma sensu budzić ich, żeby przekazać złe wieści.

– Dobrze. – Sasha wyjęła chusteczkę i wydmuchała nos.

– No więc, czego się dowiedziałas?

– Niestety nie mamy kogo przesłuchać... jeszcze. Mamy trzech zabitych.

– A co z tym grajkiem? Znaleźliście go? – Jeżeli naprawdę nie brał udziału w spisku, może zechce wydać tych, którzy go wynajęli.

– Nie. Ale znajdziemy. Wysłałam posłańca do kapitana Byrne'a z prośbą o więcej ludzi, żebyśmy mogli dokładnie przeszukać Łachmantarg i Południomost. Tymczasem pokręcę się jeszcze po okolicy.

– Czy na ciałach zabitych nie było nic, co mogłoby nam pomóc? – *Na przykład list polecający od króla Gerarda albo sakiewka ardeńskiego srebra?*

– Kieszenie mieli puste – odparła Sasha. – Byli ubrani jak zwyczajni uliczni rabusie. Używali kuszy, a te są bardziej popularne na Południu, ale posługują się nimi też ci, którzy nie najlepiej radzą sobie z łukiem. Laurent zrobił ich pośmiertne portrety i będziemy je pokazywać mieszkańcom, może ktoś ich rozpozna. Ale najlepiej by było złapać jednego z nich. – Po chwili milczenia dodała: – Dlatego chcę cię spytać, czy przyjrzałaś się któremuś.

– Hm, chyba tylko temu grajkowi – odpowiedziała Lyss. – Inni nagle się zjawili, strzelali i...

– Ten muzykant... widziałaś go kiedykolwiek wcześniej?

– Chyba nie – odparła, kręcąc głową. *Nigdy. Pamiętałabym.*

– Możesz go opisać, żebym to mogła przekazać Wilkom?

Wyglądał na głodnego, jakby od dawna nic nie jadł.

Nie.

Wyglądał jak leśny faun albo młody bóg.

Nie.

Był najbardziej czarującym chłopcem, jakiego kiedykolwiek widziałam.

Nie.

– Był... mniej więcej w naszym wieku – powiedziała – gdybym miała to określić. Chudy, a jego oczy... wiesz, jak ocean zmienia barwę z szarej na zieloną w blasku słońca?

– Więc jego oczy były orzechowe? – zapytała Sasha.

Lyss przytaknęła, chociaż to określenie było całkiem pozbawione uroku.

– Mniej więcej. Kolor jego włosów był połączeniem złota, czerwieni i brązu, jak liście topoli, dębu i klonu jesienią albo płomienie tłące się w palenisku...

Sasha robiła notatki i w tym momencie podniosła pytający wzrok.

– Więc włosy miał brązowe? – Stanowczo nie była poetką.

– Tak. To wszystko. I... był dobrze ubrany. Elegancka wełniana peleryna, skórzane buty, aksamitny kaftan.

Sasha to zapisała.

– Co to był za instrument, na którym grał? Rozpoznałaś go?

Lyss pokręciła przecząco głową.

– Nigdy nie widziałam ani nie słyszałam niczego takiego. Mówił, że to się nazywa dżafasa.

– Dżafasa? – powtórzyła Sasha. – Jak to się pisze?

– Nie mam pojęcia, ale ta muzyka z taką łatwością wpadała mi do głowy, jakby była pisana specjalnie dla mnie. Kiedy grał, wszystko inne jakby odeszło w cień. Nic innego nie istniało.

– Aha. To mi brzmi jak jakiś leśny elf. Wiesz, z tych, które zwodzą ludzi na manowce.

Tylko że ja nie wierzę w leśne elfy, pomyślała Lyss.

– Gdy teraz o tym myślę, to może ten instrument był jakimś czarodziejskim artefaktem. Może to on miał w sobie magię, a nie grajek.

– Może – przyznała Sasha. – To już jakiś punkt zaczepienia. Gdybyś narysowała tę dżafasę, może zrobilibyśmy kopie i pokazywalibyśmy w okolicy, czy ktoś nie widział grajka z takim instrumentem. To może trochę potrwać, ale go znajdziemy.

– Wiesz co – powiedziała Lyss. – Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że on nic nie wiedział o planie ataku. Zdawało mi się, że był tym tak samo zaskoczony jak ja.

Sasha uniosła brew z powątpiewaniem.

– Po prostu miał pecha, że zwabił cię akurat w to miejsce?

Wrócił Ty i zaczął niecierpliwie przestępować z nogi na nogę.

– Czy Wasza Wysokość wie już wszystko? Teraz zalecałbym udać się na odpoczynek.

– Wilki jeszcze szukają, ale nie sądzę, żeby dzisiaj w nocy były jakieś nowe wiadomości – stwierdziła Sasha.

– W porządku – oświadczyła Lyss. – Jestem zmęczona.

Wtedy podszedł do nich jeden z Szarych Wilków z wiązką zdeptanych kwiatów.

– Podobno to wam wypadło, Wasza Wysokość.

Widok tego bukietu znowu obudził jakąś nutę w pamięci.

– Ten grajek mi go podarował.

– Przyjęłaś od niego kwiaty? – Sasha nie mogła wyjść ze zdumienia.

– Masz rację, jestem głupia – Lyss podniosła głos. – Ale... w tej muzyce było coś takiego...

– Zaraz. – Ty wszedł pomiędzy Lyss a bukiet. – Chcę się im przyjrzeć. – Chwycił swój amulet i dotykał kwiatów, wypowiadając jakieś zaklęcia. W końcu podniósł wzrok i powiedział z lekkim zawstydzeniem: – To tylko kwiaty, chyba. Nie ma w nich nic szczególnego.

A jednak coś w nich było. Coś, co nie dawało Lyss spokoju...

– Musiał je kupić tu w mieście – stwierdziła Sasha. – Sprawdzimy, czy ktoś pamięta takiego kupca.

Lyss wyciągnęła rękę i dotknęła jednego lisiego uszka. Płatki spadły na podłogę. W tym momencie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsca.

– Na kości Hanalei! – krzyknęła, cofając się i z trudem opanowując histerię.

Ten grajek był jednak winny. Był winny jak diabli, ten złotousty drań. Tak samo jak król Gerard.

– Wasza Wysokość? – Ty był dezorientowany. – Czy coś...?

– Te kwiaty – powiedziała Lyss chrapliwym głosem. – Takie same kupił mój tata w dniu, w którym został zamordowany.



AKT KOŃCOWY

Wszystko potoczyło się tak szybko, że Breon nie miał nawet czasu pomyśleć. Ni stąd, ni zowąd zaczęły latać bełty i jego przytępiony zieleń umysł nie nadążał za rozwojem wypadków. W następnej chwili przewrócił dziewczynę i próbował osłonić ich oboje dżafasą, aż ktoś go chwycił i odrzucił na bok. Breon mocno uderzył w bruk i leżał tam ogłuszony, póki nie odzyskał tchu.

Kusznicy celowali w niski kamienny murek, za którym ukryła się dziewczyna. Nie była tam bezpieczna, bo od strony rzeki też nadchodzili napastnicy. Jednego z nich walnęła futerałem swojego instrumentu. Asasyn rzucił się na nią i ją przewrócił, i Breon wiedział, jak to się skończy, jeśli jej nie pomoże.

Zrobił krok, a wtedy zobaczył grupę niebieskich biegnących w jego stronę i zdał sobie sprawę, że jeśli go złapią, niełatwo będzie mu się z tego wywinąć. To był odpowiedni moment, żeby zniknąć. I tak chyba było za późno, by ją uratować.

Złapał futerał z poturbowaną dżafasą i rzucił się do ucieczki. Pędził przed siebie, nieważne dokąd, byle z dala od tego miejsca. To, że był w obcym mieście, utrudniało mu sprawę.

Słyszał za sobą skrzypienie butów na śniegu i wiedział, że jeszcze nie jest bezpieczny. Pochylił się, żeby biec szybciej, i pędził na oślep, licząc na to, że nie utknie w martwym punkcie.

Martwy – ha! Chyba to jednak niezbyt dowcipne.

Nie wiedział, jak długo biegł, gdy w końcu dotarło do niego, że nie słyszy odgłosów pościgu. Zwolnił do szybkiego marszu, strzepnął śnieg z włosów i ubrania. Sam nie mógł uwierzyć, że wyszedł z tego cało.

Miał świadomość, że będą go szukać, i chciał dotrzeć na metę, zanim go znajdą. Niestety był po drugiej stronie rzeki, musiał więc wrócić na most. Wykorzystując iglicę katedry jako punkt orientacyjny, poszedł w tamtym kierunku.

To jednak nie był dobry pomysł. Po obu stronach rzeki aż się roiło od niebieskich.

Zobaczył inny most dalej na północy, ruszył więc w jego kierunku. Musiał spróbować przedostać się na drugi brzeg, zanim niebiescy rozszerzą obszar poszukiwań.

Kiedy doszedł do mostu, zatrzymał się w cieniu budynku, żeby ogarnąć wzrokiem okolicę. Nie widząc nic niepokojącego, przeciął nabrzeżną promenadę i wszedł na most.

Był już w połowie, gdy zobaczył postać idącą z przeciwka. Widok znajomej kanciastej sylwetki sprawił, że serce zabiło mu mocniej.

To był Darian.

Breon cofnął się o kilka kroków, obrócił i niemal wpadł w ramiona innego napastnika, który z nożem lśniącym w blasku lampy ulicznej zachodził go od tyłu. Breon zgiął się w pół i uderzył mężczyzną głową z taką siłą, że go przewrócił.

Rzucił się pędem z powrotem. Słyszał, jak klient klnie i przywołuje innych. Breon przebiegł jedną ulicę, potem drugą, wślizgnął się w szczelinę między budynkami, zbyt wąską, by pomieścić kogoś innego niż kot lub wychudzony dzafasista. Stał tam, dysząc ciężko, i nasłuchiwał, jak mijają go kroki pościgu. Wiedział, że trzeba się spodziewać straży tylnej, i się nie pomylił. Zakapturzona postać sunęła powoli, obracając głowę na lewo i prawo, jakby wyczuwała swoją ofiarę.

Breon sięgnął ręką do magicznego znaku na karku i wzniósł modlitwę do wszelkich bogów, którzy chcieliby wysłuchać tak zszarganej duszy jak jego. Może bogowie go wysłuchali, a może

pula pecha na ten dzień już się wyczerpała. Najważniejsze, że mężczyzna przeszedł obok.

Kilka godzin później Breon znalazł sobie kryjówkę w stajni o parę przecznic od rzeki. Niektóre konie wystawiły łby, gdy wślizgnął się do środka, ale stajenny spał jak zabity – chłopak słyszał dobiegające z tyłu chrapanie, od którego omal nie sypały się dachówki.

Gdy już wspiał się po rozklekotanej drabinie na poddasze, kusilo go, by zamknąć za sobą klapę, ale pomyślał, że to zdradziłoby jego kryjówkę. Zostawił ją więc otwartą i z nożem w ręku zakopał się w sianie w odległym kącie, położywszy obok to, co pozostało po dzafasie.

Po co to ze sobą ciągnął, nie miał pojęcia. Może dlatego, że była to jedyna cenna rzecz, jaką kiedykolwiek posiadał, i prawdopodobnie nigdy nie będzie już miał niczego podobnego.

Ledwie się umościł, gdy usłyszał, jak ktoś dobija się do drzwi na dole. Pomruki zaspanego stajennego, tupot butów, stłumione głosy, które zrobiły się wyraźniejsze, gdy rozmówcy przeszli z tyłu na front budynku.

– Był dobrze ubrany i miał czarny skórzany futerał – mówił ochryply kobiecy głos. Na szczęście to było chyba wszystko, co wiedzieli.

– Jużem mówił – odezwał się stajenny – że nie ma tu nikogo oprócz mnie i koni. Całą noc tu czuwam.

– Raczej nie czuwaliście, kiedyśmy przyszli – odparowała przybyszka. – Chrapanie było słyhać aż na ulicy. Wlazłby wam do łóżka, a byście nie zauważyli. Rozejrzymy się tu.

Drabina zatrzeszczała i dziewczyna zaczęła się wspinać.

Nad deskami podłogi pojawiła się jej głowa, a potem reszta. Breon wstrzymał oddech i starał się nie poruszać żadnym mięśniem. Gwardzistka rozglądała się po poddaszu, wbijając miecz w sterty siana. W pewnej chwili jej ostrze znalazło się tak blisko jego oka, że mogło mu przeciąć rzesę czy dwie. W końcu przegoniła kota, który pisał tak głośno, że Breon omal się nie posikał.

Dziewczyna, mrużąc coś pod nosem, zeszła po drabinie.

– Co ten chłopak niby zrobił? – zapytał stajenny.

– Drań napadł na księżniczkę Alysę – odparła gwardzistka.

Zaraz. Na kogo?

– On i cała zgraja zbirów wciągnęli ją w zasadzkę.

– Nic jej nie jest? – zainteresował się stajenny.

– Nie wiem. Jeszcze nie wiem. Jej ojciec i brat zostali zamordowani w ten sam sposób. Rynsztokowe tchórze. Wypruję im bebechy, jak tylko ich dorwę.

Nie, pomyślał Breon urażony. Jestem muzykiem, a nie zabójcą. Tylko zaraz po urodzeniu wpadłem w złe towarzystwo.

Głosy w końcu się oddaliły i odetchnął z ulgą. Wymacał medalion Jej Wysokości, który wciąż spoczywał na jego piersi.

Za każdym razem, gdy zamykał oczy, widział przed sobą jej twarz, jej szczere spojrzenie, jej minę, kiedy wyznawała: „Może jestem szczerą, bo nie bardzo umiem kłamać”.

Od samego początku wiedział, że ten numer oznacza kłopoty. Czemu w takim razie się zgodził? Kim się staje?

Miał nadzieję, że ona żyje.

Jeszcze długo rozmyślał, nim wreszcie zasnął.

Pozostał w ukryciu przez całe dwa dni, zwinięty w rogu, zakopany w sianie, które go ogrzewało. Raz czy dwa razy dziennie Clayton, stajenny, wdrapywał się po drabinie i wygarniał siano dla koni. Ponieważ był powolny i hałaśliwy, Breon zawsze zdążył się ukryć, nim Clayton wysunął głowę. Gdy po stajni kręcili się różni ludzie, Breon musiał siedzieć jak mysz pod miotłą, żeby nikt nie usłyszał nic podejrzanego. Po wielu godzinach spędzonych w jednym miejscu był tak zeszywniały, że z trudem się ruszał.

W nocy wychodził na dziedziniec stajenny, żeby opróżnić wiadro z nieczystościami i szybko zapalić ziele, ale patrole niebieskich były tak częste, że nigdy nie udało mu się odejść dalej. Nie miał szansy przejść przez most niezauważenie, nawet gdyby zostawił swoją dżafasę, czego nie zamierzał robić.

Trzeciego dnia zabrakło mu ziela i tracił już cierpliwość. W końcu mu się poszczęściło – na podwórzu przed stajnią zatrzymał się wóz, by wymienić konie, i stał tam na tyle długo, że Breon zdążył się wślizgnąć pod plandekę. Nie miał pojęcia, dokąd pojedzie, ale uznał, że wszystko będzie lepsze niż pozostanie tu, gdzie jest, w sytuacji, gdy wszędzie kręcą się niebiescy. Jeśli zdoła przedostać się na drugi brzeg rzeki, wpadnie na metę po Aubrey i Gąsiora i ruszą w drogę, z forszą albo bez. Zawsze się znajdzie jakiś sposób na zarobienie pieniędzy. Umiejętność dostosowywania się była jego mocną stroną, odkąd pamiętał.

Wóz pojechał na jakiś targ. Kiedy woźnica wdał się w negocjacje z kupcami, Breon wymknął się spod plandeki. Idąc przez plac, zwinął laskę z jednego ze straganów z wyrobami klanowymi, a potem znoszoną pelerynę, która była upchnięta w koszu z łachmanami.

Okryty lichą peleryną, z dzafasą schowaną tak, że wyglądał jak garbus, kuśtykał, podpierając się skradzioną laską. To przebranie wystarczyło, by przejść przez most.

Potem zapadł zmierzch, zrobiło się zimno i błoto pośniegowe znowu zaczęło zamarzać.

Breon właśnie skręcał w ulicę, na której mieściła się ich meta, kiedy ktoś syknął i zawołał go po imieniu. Obejrzał się i zobaczył Aubrey dającą mu znaki przy wejściu do tawerny.

Najwyraźniej jego przebranie nie było tak dobre, jak myślał. Rozejrzawszy się, szybko wszedł do wnętrza.

Siedziała skulona przy stole po lewej od wejścia, skąd miała dobry widok przez otwarte okno. Najwyraźniej w ten sposób zauważyła, jak przechodził. Czapkę miała naciągniętą na twarz, a pod oczami duże ciemne kręgi.

– Aubrey! – powiedział, ale natychmiast go uciszyła i szybkim ruchem wepchnęła jego dzafasę pod stół.

– Nie możesz tak z tym paradować – burknęła. – Złapią cię.

– Właśnie wracałem do kryjówki – tłumaczył. – Schowam to tam.

Pokręciła głową.

– Musisz to wyrzucić. Już miałam przestać na ciebie czekać. Wiedziałam, że jeszcze żyjesz, bo ciągle cię szukają. Tym razem naprawdę wdepnąłeś.

– *Ja* wdepnąłem? – To brzmiało, jakby uważała go za winnego. – Aż mnie ręce świerzbią, żeby dorwać Fanciarza. Wystawił mnie.

– Fanciarz nie żyje – oznajmiła Aubrey. – Gąsior też.

Fanciarz... i Gąsior. Obaj nie żyją? Breon poczuł się, jakby dostał kijem w łeb. Fanciarz był typem, który zawsze spadał na cztery łapy, bez względu na to, kogo musiał przy tym rozdeptać. A Gąsior? Podciąłby człowiekowi gardło za działkę ziela, ale poza tym był nieszkodliwy.

Kiedy Breon nie odpowiadał, Aubrey mówiła dalej.

– My też bylibyśmy martwi, gdybyśmy tam byli, kiedy przyszli.

– Kiedy kto przyszedł? Niebiescy?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Ci, którzy cię wynajęli. Zdaje się, że nie chcieli zostawić przy życiu nikogo, kto mógłby coś powiedzieć. Niebiescy to twoje najmniejsze zmartwienie.

– Jeśli ci to nie przeszkadza, to będę się nimi martwił tak samo – odparł. – Widziałaś, kto to zrobił?

– Nie, i nie chcę.

– Jak ich wykończyli?

Aubrey się zawahała, po czym odparła:

– Podcięli im gardła.

– Ale nie było cię przy tym?

– Już ci mówiłam...

– Kto ci powiedział?

– O co ci chodzi?

– Kto ci powiedział, jak zostali zabici?

– Nie wiem – burknęła. – Nie pamiętam.

– Co mówią niebiescy?

– Nie bardzo mogłam ich zapytać – powiedziała. – Zresztą może jeszcze nie wiedzą. Jedyne, o czym ciągle słyszę, to ta błękitnokrwista, dla której śpiewałeś.

– Ona też nie żyje?

Aubrey potaknęła.

– Tak w każdym razie mówią na ulicy.

Ogarnęło go silne poczucie winy, żal, że odegrał swoją rolę w morderstwie tej brązowookiej panienci. Jej Wysokości, która nie umiała kłamać.

– Czy te ciała ciągle tam są?

– Jakie ciała? – warknęła Aubrey. Breon widział, że była zła, bo wtedy stawała się taka najeżona.

– Gąsiora i Fanciarza.

– Chyba tak. Co z tobą?

Co z *tobą*?

– Chcę wiedzieć – stwierdził. – Idę to sprawdzić.

– Nie możesz się tam zbliżyć. Już dawno bym stąd związała, ale czekałam na ciebie. Niełatwo było tak długo utrzymać się przy życiu, nie chcę tego teraz zmarnować. – Chwyciła go za rękę. – Wyjedźmy z tego miasta, Bree. Wracajmy do Zatoki Bastońskiej, jak planowaliśmy. Zaczniemy od nowa.

To wydało mu się podejrzane. Aubrey najpierw chciała wyjechać bez Gąsiora i Fanciarza, a teraz mówiła mu, że nie mają wyboru.

Może oni wcale nie byli martwi. Albo to ona była tą, która...

Nie. Przecież to Aubrey. Nie można jej było powierzyć portfela, ale nie była zabójczynią.

Tak czy inaczej, musiał to sprawdzić.

– Ty tu zostań. Ja pójdę sam. Jak wrócę, wyruszymy.

– Nie idź – poprosiła, a potem szybko dodała: – Mam trochę ziela. Możemy wypalić i w drogę.

– Niezły plan – uznał Breon – na czas po moim powrocie. – Popilnujesz mi dzafasy? – Był jak dziecko, które nie chce się rozstać z zepsutą zabawką.

– Może mnie tu nie być, jak wrócisz – mruknęła. – Niczego nie obiecuję.

– Jeśli nie będzie cię tu, jak wrócę, to... powodzenia – powiedział i się odwrócił.

Żałował, że nie zna tego miasta. Chciałby lepiej się tu orientować. Chciałby być piratem siedzącym na worku łupów. W końcu każdemu wolno marzyć.

Ulica na zewnątrz magazynu była dziwnie pusta, jakby wszyscy wiedzieli, co tu się stało.

Wszyscy są bystrzejsi ode mnie, pomyślał. Powinienem po prostu skręcić w prawo, wrócić, wypalić trochę ziela i zapomnieć o tym mieście i wszystkim, co się z nim wiąże. Łącznie z Jej brązowooką Wysokością.

Chwilę poczekał przed drzwiami i miał już ochotę zawrócić. Nie. Musiał wiedzieć. Rozejrzał się i gdy nikogo nie zobaczył, popchnął drzwi.

Prawie potknął się o ciało leżące twarzą w dół zaraz za drzwiami. Wyciągnięte do przodu ręce świadczyły o tym, że ten ktoś miał jeszcze nadzieję dosięgnąć klamki. W powietrzu unosiła się delikatna woń rozkładu.

To był Fancierz, ubrany w swoje znoszone ciuchy, z twarzą w kleistej kałuży krwi. Aubrey miała rację – wyglądało na to, że podejrzięto mu gardło. Dłonie miał opuchnięte, sine. Zabójcy nawet nie zdarli z niego pierścieni.

Już samo to było przerażające.

Fancierz. Uciekający od kłopotów, jak zwykle.

Gąsior też nie podjął walki. Leżał na wznak w tym samym kącie, w którym Breon widział go ostatni raz, oczy miał szeroko otwarte, tak że wyglądał na zaskoczonego, martwymi palcami dotykał fajki. Szyję rozcięto mu równiutko od ucha do ucha. On znajdował się w stanie bardziej zaawansowanego rozkładu niż Fancierz, może dlatego, że w rogu było cieplej. Prawdziwej siły woli wymagało od Breona, by nie sprawdzić, czy w fajce nie zostało trochę ziela.

Gąsiorowi to już i tak niepotrzebne.

Tłumacząc sobie, że szuka wskazówek, Breon obmacał oba ciała. Gąsior oczywiście nie miał niczego z wyjątkiem twardej jak kamień piętki chleba w kieszeni. Fancierz za to miał pełną sakiewkę – tę, którą nosił przywiązaną do pasa. Głównie

panienki, kilka żeleźniaków. Żadnej notatki napisanej przez zabójcę ani innych śladów.

To, że sakiewka wciąż się tu znajdowała, świadczyło po pierwsze, że nie była to kradzież, i po drugie, że od chwili tych zabójstw nikt tutaj nie wchodził.

Breon zabrał sakiewkę. Wreszcie mieli pieniądze na podróż. Przeszukał całe pomieszczenie, ale nie znalazł nic istotnego.

Potem wrócił do Gąsiora. Czuł, że powinien coś zrobić, by wyprawić go na drugą stronę. Jak właściwie Gąsior miał na imię? Dillon? W takiej chwili nazywanie go Gąsiorem wydawało się niestosowne.

Trzy razy próbował zamknąć Dillonowi oczy, ale mu się nie udawało, zupełnie jakby powieki miał przyklejone do skóry. W końcu, czując lzy we własnych oczach, naciągnął na twarz zmarłego przetarty koc. Potem próbował włożyć mu do ręki fajkę, ale ciągle wypadła. Ostatecznie położył mu ją na piersi.

Przynajmniej zginął, robiąc to, co lubił, pomyślał.

Im dłużej Breon przebywał w tym miejscu, tym większy ogarniał go niepokój. Przyszła pora, żeby się zmyć.

Był o trzy kroki od drzwi, kiedy usłyszał, jak ktoś manipuluje przy zamku. Zdjęty nagłą paniką zaczął szukać kryjówki. Wtedy jednak uświadomił sobie, że gdziekolwiek się schowa, i tak go znajdą. W końcu przywarł plecami do ściany przy drzwiach, licząc na to, że przybysz, kimkolwiek jest, przejdzie obok i go nie zauważy. Kiedy drzwi się otworzyły, zasłoniły Breona.

Było ich czterech, wszyscy opatuleni pelerynami, wszyscy więksi od niego.

– ...Darian mówi, że musimy przeszukać to miejsce i dopilnować, żeby nic nas nie łączyło z tą sprawą – mówił jeden z nich.

– Powinien był nam powiedzieć wcześniej, co to za robota – jęknął drugi. – Nie potrzebuję takich kłopotów. Na każdym kroku wpadam na jakiegoś cholernego niebieskiego.

– I właśnie dlatego musimy sprawdzić to miejsce – stwierdził oprych Numer Jeden. – Jak ci tutaj zaczną śmierdzieć, ktoś ich znajdzie.

Ich uwagę przykuł Fancierz. Breon pożałował, że nie odciągnął jego ciała dalej od drzwi.

– Wy dwaj, przeszukajcie go – powiedział Numer Jeden, trącając Fancierza stopą. – Ty chodź ze mną. Darian mówił, że w kącie jest jeszcze jeden. Potem zgarniemy fanty i zmiatamy.

Kiedy tamci dwaj poszli zająć się Dillonem, pozostali uklękli obok Fancierza.

– Nie wiem, dlaczego to nasza robota – odezwał się Numer Trzy. – Nie my ich załatwiliśmy. My powinniśmy szukać tego chudego szczura ulicznego z instrumentem.

– Chcesz odmówić Darianowi? Bo ja nie. W zasadzie to zmywam się z tego miasta. Skąd wiesz, że nie wykończy nas tak samo jak ich?

Breon wysunął się na tyle, by wyjrzeć zza drzwi. Obmacywali Fancierza. Breon wiedział, że powinien teraz wyjść, ale pozostawał w miejscu z nadzieją, że usłyszy coś, co mu podpowie, kto to wszystko zrobił i kto wydawał rozkazy.

A jeżeli się dowiesz? Co z tym zrobisz? Walniesz tego kogoś swoją dżafasą? Zaśpiewasz go na śmierć? Wyślesz wiadomość gwardzistom?

Miał już naprawdę dość tego odsuwania myśli od siebie.

– Hej! Ten ma na palcach pierścienie! – zawołał Numer Trzy. Próbował je ściągnąć z opuchniętych palców Fancierza.

– Przestań! – powiedział Numer Cztery, patrząc w miejsce, gdzie pozostałych dwóch przeszukiwało Dillona.

– Darian nie musi wiedzieć – szepnął Numer Trzy. – Trzymaj gębę na kłódkę, to się podzielimy. – Przestał szarpać za palce i wyciągnął nóż.

Nie. Breon nie chciał na to patrzeć, żeby potem nie musieć wyrzucać tego z pamięci. W mgnieniu oka wypadł na zewnątrz i znalazł się na ulicy. Uciekał stamtąd, aż się kurzyło. Słyszał za sobą krzyki, ale ani nie zwolnił, ani się nie obejrzał, aż w końcu wpadł do tawerny. Gdy znalazł się już w środku, wychylił się przez framugę, lecz nie zobaczył żadnego pościgu.

Ku jego zdumieniu Aubrey wciąż tam była. Poderwała głowę, słysząc jego głośne wtargnięcie, a potem uśmiechnęła się z ulgą.

– Mówiłem, że wrócę – powiedział, opadając na krzesło. Jeszcze przez chwilę próbował złapać oddech.

Aubrey spojrzała na drzwi, może zastanawiając się, jaki demon go gonił, a potem znowu na Breona.

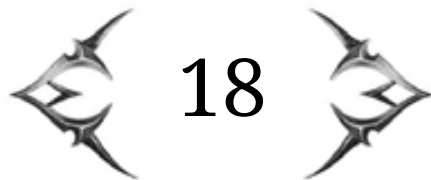
– No i? Dowiedziałeś się czegoś?

Tak. Że to morderstwo miało imię i że brzmiało ono Darian. Breon nie żałował Fanciarza, ale Gąsior zasługiwał na lepszy los. Tak samo jak brązowooka księżniczka.

„Jestem kochasiem, nie wojownikiem” – lubił mawiać Fanciarz, i Breon wyznawał tę samą filozofię. Ale teraz nie był pewien, co by zrobił, gdyby spotkał tego Dariana.

Lepiej uniknąć tego spotkania.

– Tak – odparł. – Dowiedziałem się, że powinniśmy jechać do Zatoki Bostońskiej.



NARADA WOJENNA

Dwa dni po koncercie Lyss szła przez plac defilad w kierunku koszar. Plac apelowy był prawie pusty. Normalni ludzie już świętowali, ale Lyss na to popołudnie zaplanowała musztrę dla swojego salwonu.

Powinna to odwołać. Jej żołnierze ciężko walczyli w ciągu lata. Zasługiwali na odpoczynek. Zresztą jaką korzyść mogła przynieść kolejna musztra? Nie zapobiegnie atakom takim jak ten przy moście.

To ją bardziej rozwścieczyło, niż przeraziło. Wzbudziło też smutek z powodu śmierci dwóch żołnierzy.

Może lepiej by było, gdyby samotnie przekroczyła granicę – jeden Szary Wilk z łukiem, mieczem i pragnieniem zemsty. Posuwałyby się na południe, polując po drodze na drobniejszą zdobycz, aż dotarłaby do króla Ardeny. Wtedy pokazałaby mu, jak to jest być ściganym.

Poszukiwania osób odpowiedzialnych za zamach nie przynosiły rezultatów. Mimo iż Lyss zrobiła szczegółowy rysunek dzafasy, w niczym to nie pomogło. Nikt nie widział takiego instrumentu i żaden z lutników na głównej ulicy nie dostał go do naprawy. Ciężki wyznawał teorię, że to mógł być czaromiot, tylko coś poszło nie tak. O ile wiedzieli, wszystkie czaromioty pochodziły z górskich klanów, ale żaden ze znanych

Cieniowi rzemieślników nie widział takiego instrumentu ani nie słyszał o używaniu go w taki sposób.

Orator Jemson znalazł jednego z nauczycieli w Świątyni Katedralnej, który był specjalistą od historii instrumentów muzycznych. Uznał on, że ten rysunek przypomina dzafasę, rodzaj tradycyjnego instrumentu z Kartezji. Możliwe, że został tu sprowadzony przez kartezyjańskiego pirata.

Jeśli ten grajek jest sprytny, pomyślała Lyss, to do tej pory już się go pozbył.

Pozostawił po sobie trochę śladów, przynajmniej po swojej obecności w mieście przed atakiem. Jeden z alumnów świątynnych, Samuel Bannock, przypomniał sobie, że chłopak, który pasował do opisu grajka, korzystał z dożywiania w świątyni rano w dniu koncertu. Był obdarty, wyglądał i śmierdział, jakby się nie mył od miesiąca. Samuel powiedział mu o koncercie. Teraz Bannock wyrzucał sobie, że w jakiś sposób przyczynił się do tej napaści, zwłaszcza że jeden z gwardzistów przy drzwiach świątyni widział dobrze ubranego chłopca z jakimś instrumentem w futerale, jak wchodził do środka podczas koncertu.

Jeden z bibliotekarzy przypomniał sobie, że ten sam chłopiec przyszedł do biblioteki w dzień koncertu. Pytał o książki o żaglowcach.

We wszystkich tych rozmowach i relacjach – po obserwacji twarzy i języka ciała rozmówców, oraz po przeanalizowaniu transkryptów i raportów – Lyss wyczuwała zdradę.

Ktoś w mieście współpracował z Ardenem. Skąd inaczej grajek wiedziałby, jakie kwiaty kupić? Skąd by wiedział, że będzie tędy szła po koncercie? Owszem, informacje o jej występie były wszędzie. Napastnicy mogli czekać na zewnątrz i iść za nią do Łachmantargu.

Intuicja jednak podpowiadała jej, że została wystawiona przez kogoś z dworzan. Czy ta zdrada mogła sięgać aż pięć lat wstecz? Czy mogła sięgać śmierci Hany?

Sasha i kapitan Byrne informowali ją na bieżąco o wszystkim, czego się dowiedzieli, ale Lyss nie spodziewała się szybkich

aresztowań. Wiedziała, że wszystko będzie tak jak wcześniej. Kapitan i jego Wilki będą przesłuchiwać każdego i przeczesywać królestwo, a w tym czasie ślady znikną. Potem zacznie się czekanie na kolejny atak.

Kiedy weszła do strażnicy, zaskoczył ją widok Hadley stojącej przed rozpiętą na ścianie mapą królestw. Przypatrywała się jej uważnie, trzymając ręce z tyłu. Na stole pod ścianą ustawione było jedzenie i picie. Chleb, ser, kiełbaski i ciastka, a do tego dwie beczki o obiecującym wyglądzie. To była rzadkość – prowiant bez przydziału nigdy długo nie pozostawał bez przydziału.

– Hadley! Co ty tu robisz? – Lyss wskazała na zastawiony stół. – Co to wszystko znaczy?

– Mamy zebranie.

– Zebranie? Tutaj?

– Pomyśleliśmy, że tak będzie dla ciebie wygodniej.

Lyss usiłowała sobie przypomnieć, czy było planowane jakieś spotkanie, o którym zapomniała. Nic takiego nie przyszło jej do głowy.

– Możecie korzystać ze strażnicy – powiedziała Lyss – ale za pół godziny mam tu spotkanie ze swoim salwonem.

– Oni o tym wiedzą – stwierdziła Hadley.

Skoro oni wiedzą, to czemu ja nie wiedziałam? – pomyślała Lyss z irytacją.

W tym momencie weszła Sasha.

– Przyszłam na zebranie – powiedziała, otrzepując się ze śniegu. Zdjęła rękawiczki i zaczęła grzać dłonie przy piecu. – Ale tu zimno. Szkoda, że nie spotykamy się w jakimś cieplejszym miejscu.

Następny był Cień, potem Julianna i Finn. Za nimi porucznicy Mason, Littlefield i świeżo awansowana Demeter Farrow. Ruby Greenholt, kolejny członek straży przybocznej Lyss. I Ty Gryphon.

– Chyba jesteśmy już wszyscy – stwierdził Finn, rozglądając się.

– To nie moje urodziny – powiedziała Lyss. – Więc o co chodzi?

– Chcemy zaplanować pożegnanie Stauntona i Carew – oznajmiła Sasha.

– Aha! – westchnęła Lyss, myśląc przy tym, że to przecież nie wymagało zwoływania pilnego zebrania. – Świetny pomysł. Dajcie mi znać, kiedy ma się to odbyć i czy chcecie zorganizować zbiórkę, a ja...

– Potrzebujemy twojej pomocy – przerwała jej Hadley. – Mamy nadzieję, że znajdziesz dla nas odpowiednie miejsce i pomożesz dostarczyć zaopatrzenie...

– ...bo masz duże doświadczenie w planowaniu takich wydarzeń – dokończyła Sasha.

Lyss nie bardzo rozumiała.

– Wiecie, że z chęcią wam pomogę w każdy możliwy sposób, ale jeśli chodzi o imprezy, ja...

– Organizujemy tę imprezę na południe od granicy – powiedział Cień bardzo poważnym tonem. – Chcemy przenieść wojnę do Ardeny i sądzimy, że wiesz, jak to zrobić.

Lyss rozejrzała się po twarzach zebranych. Uśmiechy już z nich zniknęły, pozostały zacięte, zdeterminowane i zupełnie poważne miny. Odchrząknęła i otarła oczy.

– Doceniam wasz gest – powiedziała. – Naprawdę. To wiele dla mnie znaczy.

– To nie jest gest – zauważył Littlefield. – To faktyczne działanie. A jeśli zginiemy... – Wzruszył ramionami.

– No właśnie – stwierdziła Lyss. – Nie chcę, żebyście zginęli. Jeżeli kiedyś zasiądziesz na tronie, chcę mieć was wszystkich przy sobie. Zresztą możliwości dziesięciu osób są ograniczone.

Ktoś zapukał do drzwi. Littlefield uchylił je, wyjrzał, a potem otworzył szeroko i zwrócił się do Lyss.

– Jest tu jeszcze parę osób, które też chcą wziąć udział w tej imprezie.

Na zewnątrz zebrał się chyba cały salwon Lyss. Wszyscy jak jeden mąż wyciągnęli miecze, przyklękli na jedno kolano i położyli broń na śniegu przed sobą.

– Za Szarego Wilka! – krzyknęli. – Oto nasze miecze! – I zawyli przeciągle.

To przypominało scenę spektaklu teatralnego czy innego widowiska.

Lyss stała dłuższą chwilę jak zamurowana. Potem przyłożyła pięść do serca w geście pozdrowienia.

– Dziękuję! – krzyknęła, nie wiedząc, co jeszcze może powiedzieć. – A teraz... rozejść się! Musztra odwołana.

Zamknęła drzwi i obróciła się w stronę spiskowców.

– Coście im powiedzieli, żeby ich tak nakręcić?

Mason wzruszyła ramionami.

– Nie trzeba było wiele, prawdę mówiąc. Sporo z nich było na koncercie w świątyni i słyszeli, co później się stało. Powiedzieliśmy naszym szwadronom, że planujemy coś trudnego, niebezpiecznego i ściśle tajnego w martwym sezonie, żeby odplacić tym, którzy zamordowali Stauntona i Carew i próbowali zabić kapitan Gray. Potem każdy jeden z tych, których widziałas na zewnątrz, przyszedł zapytać, jak może w tym pomóc. – Uśmiechnęła się blado. – Nie chciałam, żeby ktokolwiek czuł się zmuszany do udziału. I nie chciałam, żeby się wydało, co robimy.

– Staunton był z nami przez całe lato – zauważył Littlefield. – Prawie wszyscy z piechoty górskiej go znali, a wielu z nas walczyło jeszcze u boku jego matki, Nance. Trudno byłoby przyjąć jego śmierć, gdyby poległ na polu bitwy, w uczciwej walce, ale taka zasadzka... to niegodziwe. Nie tylko ja tak myślę.

Mason i Farrow pokiwały głowami.

Lyss obróciła się w stronę Tya.

– Nie chcę, żebyś poczuł się nieproszony, ale czemu tu jesteś? Wiem, że próbowałeś pomóc Camowi w świątyni, ale dlaczego uzdrowiciel planuje akcję militarną?

– Od trzech lat działam jako uzdrowiciel na polach bitewnych – odparł. – Nie wiem, jak długo jeszcze dam radę latać żołnierzy po to, żeby mogli wrócić do walki, i potem znowu ich ratować, i tak w kółko, aż w końcu i tak zostaną zabici. Chciałbym spróbować czegoś innego. A co do mojej roli

w jakimś... przedsięwzięciu... jestem czarownikiem. Chociaż wolałbym wykorzystywać swoje umiejętności uzdrowiciela, to mogę użyć mocy w każdym celu, jaki pomoże sprawie.

– Julianno? A jak ty widzisz swój wkład w to przedsięwzięcie? – Lyss starała się, by nie zabrzmiało to protekcyjnie.

Dziewczyna się zaczerwieniła.

– Wiem, że ja nie mam... takiego doświadczenia i umiejętności jak pozostali. Nie brałam udziału w walkach i nie jestem pewna, czy się do tego nadaję. Ale dużo wiem o Południu i mam kontakty i agentów we wszystkich Siedmiu Królestwach. Wierzę, że mogę się przydać na różne sposoby.

– A ty, Hadley? – zapytała Lyss. – Niewiele mówisz.

– Jak to się stało, że gadamy o wojnie? – Hadley zrobiła wielkie oczy. – Myślałam, że jesteśmy tu, żeby planować organizację stypy.

To była najbardziej zróżnicowana grupa przyszłych wojowników, z jaką Lyss kiedykolwiek miała do czynienia.

– Dobrze, porozmawiajmy. – Lyss naląła sobie kufel cydru, postawiła go na stole i usiadła. – Ale najpierw musimy ustalić zasady.

Pozostali kręcili się wokół stołu i czekali z niepokojem.

– Tu nie może chodzić o zemstę – oświadczyła. – Nie mam zamiaru narażać życia żołnierzy, żeby coś udowodnić. To musi być gra, która wszystko odmieni.

– Nie chodzi mi o zemstę – odezwała się Julianna. – Dla mnie to kwestia polityki. Jestem tutaj, bo uważam, że masz rację... naprawdę potrzebujemy zmiany strategii. Na posiedzeniu rady mówiłam szczerze. – Wzięła Finna za rękę. – Robię to dla naszych dzieci. Nie chcę, żeby musiały dorastać jako dzieci wojny.

– Jeśli zajmiemy jakiś teren, będziemy musieli go utrzymać – ciągnęła Lyss, wyliczając argumenty na palcach. – To nie może być krótka potyczka czy działanie zaczepne. Musimy wybrać cel o prawdziwej wartości strategicznej.

– Coś, czego Rada Tanów nie będzie mogła zignorować – podsumowała Julianna.

– Czy wystarczy nam do tego jeden salwon? – zapytała Greenholt.

– Jeśli nie, to nie mamy po co wyruszać. – Po chwili zastanowienia Lyss zapytała: – Skoro to wy organizujecie tę imprezę, macie jakieś sugestie co do celów?

– Może Zatoka Bastońska? – zaproponowała Hadley. – To ich najważniejszy port i leży niedaleko stolicy. Nie musielibyśmy maszerować przez niziny, bo można by tam dopłynąć statkiem.

Nie, Lyss wzdrygnęła się na myśl o statku.

– To dość daleko na południu – powiedziała Farrow. – Nawet jeśli uda nam się go zająć, Arden może zaatakować nas od lądu i morza i będziemy w pułapce.

– Brama Duchów? – rzuciła Hadley. – Miałoby to symboliczne znaczenie, bo tam ulokowali swoją brygadę, kiedy atakowali Dolinę Królowych i Forteczne Skały.

– Dobrze znam te tereny. Od dwóch lat często tamtędy jeżdżę. To nie są rozległe równiny.

– Ale to na samej granicy, więc ledwie wbilibyśmy w Arden maleńką drzazgę – zauważyła Lyss. – Jak przy drobnym działaniu zaczepnym. I nie jest to jeden z ich głównych portów.

– Po prostu nie chcesz postawić stopy na statku – stwierdziła Sasha.

Lyss wzruszyła ramionami. Nie miała zamiaru zaprzeczać.

– A co powiecie na atak zimą? To mogłoby ich zaskoczyć.

Mason pokiwała głową.

– No, to byłoby niespodziewane – przyznała. – Ale nawet gdybyśmy pokonali góry, nie uszlibyśmy daleko przed napotkaniem ich armii na nizinach. A w takim terenie oni mają przewagę. Miasta Ardeny leżą na ogół daleko na południu, gdzie przez cały rok jest ciepło. Im dalej na południe, tym bardziej warunki naturalne im sprzyjają.

– A więc potrzebujemy celu, który ma strategiczne znaczenie i leży niedaleko – powiedziała Julianna. – I musiałoby to być coś, co będziemy w stanie utrzymać. – Popatrzyła na Lyss. –

Wiem, że planujesz kampanie militarne w taki sposób, w jaki inni planowaliby wymarzone wesele. Czy jest jeszcze coś, co trzeba uwzględnić?

Lyss wstała i obeszła stół, żeby przyjrzeć się uważnie mapie na ścianie.

– A Delphi? – zapytała, stukając palcem w mapę. – Przez jakiś czas miałam to miasto na liście celów. Leży po drugiej stronie gór. – Delphi widniało na mapie jako ciemny punkt dociśnięty od południa do górskiego pasma.

Pozostali podeszli do mapy.

– Przypomnijcie mi... co jest w Delphi? – powiedział Finn. – Czy coś, czego potrzebujemy?

– Kopalnie węgla – odpowiedziała mu Julianna. – Huty i kuźnie. O ile wiem, jedyne na podbitych terenach. Arden zajął Delphi po to, żeby zbudować przemysł zbrojeniowy blisko zasobów naturalnych. I tym samym blisko nas.

– Byłem tam – powiedział Cień, krzywiąc się. – To zawsze był pełen sadzy ośrodek przemysłowy, ale teraz to miasto przypomina piekło. Jest w nim dość niespokojnie, bo mieszkańcy są paskudnie traktowani. Dlatego Arden utrzymuje tam dużo wojska.

– Czyli to niekoniecznie łatwy cel – mruknął Finn.

– Więcej nizinnych do zabicia. – Cień spojrzał ukradkiem na Lyss.

– Mamy w Delphi szpiegów – dodała Julianna. – Działa tam ruch oporu, który mógłby z nami współpracować. To by nam pozwoliło zwiększyć liczebność.

– Jak się tam dostaniemy? – zapytała Farrow. – I czy damy radę o tej porze roku?

Littlefield przesunął palcem po mapie.

– Moglibyśmy jechać prosto na południe przez Przełęcz Sosen Marisy, ale to przejście graniczne i dobrze strzeżone, nawet zimą. – Potem wskazał punkt w górach na północny wschód od Delphi i na południe od kolonii Myśliwskiej. – Tu jest Przełęcz Ana Marii. Jest wysoko, o tej porze roku już zasypana śniegiem.

Nie będzie łatwo, ale jeśli chcemy ich zaskoczyć, to może być nasza trasa.

– Nie moglibyśmy zabrać ze sobą nic ciężkiego – zauważyła Lyss. – Ani katapult, ani armat.

– Ale konie mogą się przedostać – powiedział Cień. – I piechota.

– Jesteśmy przyzwyczajeni do wędrówek bez obciążenia – stwierdził Littlefield. – Ponieważ nigdy nie dokonywaliśmy inwazji na Południe, nie mamy doświadczenia w walkach oblężniczych.

– To i tak by nas nie urzędało – odparła Lyss. – Z jednym salwonem kluczowy jest element zaskoczenia. Musimy zająć miasto bardzo szybko. Obleganie go i czekanie, aż się poddadzą, dałoby tylko Ardenowi czas na zmasowaną odpowiedź.

– A czy odpowiedź nie nastąpi i tak, nawet jeśli zdobędziemy miasto? – zapytała Hadley. – Jak mamy radę je utrzymać?

– Sądząc z tego, co wiem o Delphi, może być trudno je odbić od południa, zwłaszcza że można tam dostarczać zapasy przez Sosny Marisy – odparł Cień. – Nie mogą liczyć na to, że nas otoczą i zaczną oblegać.

– Jeśli nie uda się utrzymać miasta, może będziemy musieli zniszczyć kopalnie i fabryki broni, zredukować straty i odejść – powiedziała Lyss.

– Wydaje się, że wiele będzie zależało od tego, jakiego wsparcia udzielą nam mieszkańcy i czy uda się to do ostatniej chwili utrzymać w tajemnicy – rzekła Julianna. – Powinniśmy wyruszyć, jak tylko skontaktuję się z moimi informatorami w Delphi.

Lyss rozejrzała się po twarzach zgromadzonych i zobaczyła na nich entuzjazm.

– Najpierw muszę coś zrobić – powiedziała. – Najtrudniejszą część tego planu.

– A mianowicie? – zapytał Finn.

– Muszę porozmawiać z królową.

Entuzjazm zamienił się w dezorientację i obawy.

Julianna nachyliła się.

– Chcesz powiedzieć, że musisz wymyślić wiarygodną historię, żeby uzasadnić naszą nieobecność na ten czas, kiedy...

– Chcę powiedzieć, że nie możemy wyruszyć bez pozwolenia mojej matki.

To spotkało się z milczeniem. Wszyscy w szoku spoglądali po sobie nawzajem. W końcu Hadley odchrząknęła i powiedziała:

– Naprawdę myślisz, że królowa Raisa się na to zgodzi? My tu spędzamy czas na planowaniu tylko po to, żeby to wszystko przepadło w jednej chwili.

– Możliwe – przyznała Lyss – ale i tak musimy spróbować.

– Słyszeliście powiedzenie: lepiej prosić o przebaczenie niż o pozwolenie? – wtrąciła Sasha. – Jeśli poprosimy o pozwolenie, a ona się nie zgodzi, to już całkowicie przekreśli nasze plany.

– Masz rację, to całkowicie przekreśli ten plan – potwierdziła Lyss.

Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, przytaczając swoje argumenty, aż w końcu księżniczka uderzyła kuflem w stół.

– Słuchajcie, trudno o bardziej kłopotliwą sytuację, ale moja matka jest monarchinią tego królestwa. Jeśli bez jej wiedzy dokonany ataku po drugiej stronie granicy, niektórzy nazwą to zdradą. Nie będzie mogła pozostawić tego bezkarnie.

– Naprawdę sądzisz, że postawiłaby ci zarzuty? – zapytała Mason.

– Generał Dunedain mogłaby postawić was przed sądem wojskowym za nieprzestrzeganie hierarchii służbowej – wyjaśniła Lyss. Ha, pomyślała, za długo jestem w wojsku.

– Czy nie sądzisz, że nam wybaczy, jeśli zajmiemy miasto i odniesiemy duże zwycięstwo? – argumentował Finn.

– A jeśli nie? – odparła Lyss. – Jeżeli nam się nie uda i wszyscy zostaniemy schwytani albo zabici? Co, jeśli wszyscy znikniemy i nie damy o sobie znaku życia? Co, jeśli zostaną zabita, a wy będziecie musieli za to odpowiedzieć?

Sasha pobladła.

– Ja bym się zabiła i oszczędziła Waszej Wysokości kłopotu.

– Widzicie? Ryzyko, jakie podejmujecie, jest dużo większe niż moje. Prawdę mówiąc, najważniejszym powodem, dla którego

nie mogę działać bez pozwolenia, jest to, że nie mogę tego zrobić mojej matce. Już tylko ja jej pozostałam z całej rodziny, oprócz cioci Mellony i ciebie, Julianno. Gdybym dostała się w niewolę króla Gerarda, jej pozycja byłaby nie do obrony. To by zniszczyło i ją, i przyszłość linii Szarych Wilków. Musiałaby abdykować albo wyznaczyć kogoś innego na następcę tronu.

Teraz wszyscy jakby spotulnieli.

– Kości, Lyss. Mówisz, jakbyś była jedyną dorosłą osobą w tym gronie – odezwała się Hadley.

Lyss uśmiechnęła się ponuro.

– Chociaż raz.

– Z tego, co mówisz, wynika, że nie powinniśmy tego robić – zauważył Ty. – Albo, jeśli się zdecydujemy, ty powinnaś pozostać w domu.

– Nie to chciałam powiedzieć – zaproponowała. – Jestem przekonana, że powinniśmy to zrobić, i bardzo bym chciała wziąć w tym udział. Myślę o przeniesieniu wojny na teren Ardeny od chwili, kiedy zginęli mój ojciec i brat. Ale uważam, że moja matka zasługuje na to, by dać jej możliwość powiedzenia nie.

– Myślisz, że zechce przedstawić to małej radzie? – zapytała Julianna. – Zbiera się dopiero po święcie, a obie wiemy, jak przyjęto twoją propozycję ostatnim razem.

Lyss pokręciła głową.

– Nie chcę przedstawiać tego radzie. Chcę, żeby moja matka podjęła decyzję. Im mniej osób o tym wie, tym lepiej. – Nie chciała mówić na głos o swoich podejrzeniach, że ktoś w mieście przekazuje informacje do Ardeny.

– Dobrze. Co teraz robimy? – zapytał Finn, rozcierając kark. – Czekamy na wieści od ciebie?

– Zamierzam pomówić z nią jak najszybciej – odparła Lyss. – Tymczasem będziemy potrzebowali jakichś informacji od naszych sojuszników w Delphi, żeby ocenić, czy to w ogóle da się przeprowadzić. – Po chwili dodała: – Za trzy tygodnie Przesilenie. Myślicie, że do tej pory możemy być gotowi?

– Myślisz o ataku na Delphi podczas Przesilenia? – Sasha spojrzała na Lyss zaskoczona.

– Chciałabym zepsuć królowi Gerardowi święto – oświadczyła Lyss. – Nie przychodzi mi do głowy lepszy sposób na świętowanie powrotu światła.



W KRÓLEWSKIM OGRODZIE

Kiedy Lyss następnego dnia szukała królowej, nie było jej w żadnym z jej ulubionych miejsc – ani w saloniku, ani w dużym salonie, ani w bibliotece, ani w sali audiencyjnej. Jej kuc znajdował się w stajni, a to znaczyło, że nie wyjechała do miasta. Generał Dunedain jej nie widziała, nie było jej też na placu defilad, gdzie zwykle ćwiczyła walkę pałąką. Jej sekretarz powiedział, że w harmonogramie nie ma żadnych spotkań. Lyss poszła do komnat matki, gdzie zastała otwarte drzwi. Gwardziści na zewnątrz twierdzili, że nie widzieli królowej.

Wtedy przyszło jej do głowy, gdzie może być matka. Jednym z jej ulubionych miejsc była oranżeria na dachu, gdyż w dowolnej chwili mogła poczuć się tam jak w lecie. Ostatnio hodowała tam głównie owoce i warzywa dla kuchni pałacowej i Posługi Dzikiej Róży.

– Chyba wiem, gdzie ona jest – powiedziała do gwardzisty na warcie. – Przejdę tędy.

Przeszła przez salon do sypialni. Zbliżyła się do szafy przy ścianie, przesunęła ubrania i buty na bok i wślizgnęła się do sekretnego przejścia w tylnej ścianie. Zbudowała je jeszcze królowa Hanalea, żeby móc się potajemnie spotykać ze swym ukochanym Algerem Waterlowem. Za drzwiami znajdowała się mała okrągła komora, z której żelazne spiralne schody prowadziły na dach. Kiedy byli dziećmi, Lyss, Adrian i Sasha

wymykali się tam i bawili na tych schodach w psy i zajęce, a gdy byli nieco starsi – w żołnierzy atakujących zamek w Ardencourt.

Przestali bawić się w wojnę, kiedy wstąpili do prawdziwego wojska.

Zaczęła się wspinać. Teraz, przy takim wzroście, sprawiało jej to więcej trudności niż kiedyś. Wszędzie było dużo kurzu i pajęczyn, jakby jej matka też nie zaglądała tu często. Przez całą drogę pod górę przygotowywała sobie w myślach, co powie, jakich użyje argumentów.

Czego pragnie moja mama?

Bezpiecznego królestwa.

Musiała tylko przekonać królową, że jej propozycja pomoże w osiągnięciu tego celu.

Schody prowadziły do wjazdu w podłódze w małej ogrodowej kaplicy. Lyss popchnęła klapę i przesunęła ją na bok, po czym podciągnęła się i wyszła na marmurową podłogę. To akurat przychodziło jej łatwiej teraz, gdy była wyższa.

Rozprostowała się, otrzepała z pajęczyn i kurzu. Usłyszała głosy dobiegające z ogrodu. Jej matka i kapitan Byrne. Kiedy wyjrzała przez okno kaplicy, zobaczyła ich siedzących na ławce nad stawem z liliami wodnymi.

– Kogo wyślesz? – królowa zapytała Byrne’a.

– Najlepszych. Wszystkich ich znasz. Garret i Talia... znają język i umieją się tam odnaleźć.

– Umieli dwadzieścia pięć lat temu – odrzekła Raisa. – Powinieneś wysłać kogoś, kto był tam niedawno.

– Niewielu młodych już tam jeździ – powiedział. – To niebezpieczna wyprawa i rodzice nie bardzo chcą wysłać tam swoje dzieci.

– Szkoda – westchnęła królowa. – Ja byłam w Wien House tylko rok, ale i tak było warto. Myślę, że Alyssa byłaby zachwycona.

– Ona zdobywa duże doświadczenie – zauważył Byrne.

– W prowadzeniu wojny.

Rozmawiają o Oden's Ford, pomyślała Lyss. Ale po co wysyłają tam członków Gwardii Królewskiej? Akademia zawsze zachowywała neutralność, jeśli chodzi o wojny.

– Nie mówię, że się nie zgadzam, ale czemu teraz, Rai... po tak długim czasie? Czy jest coś, co każe ci myśleć, że tam już nie jest bezpiecznie?

– Na to się składa wiele rzeczy... wilki podczas Przesilenia, atak na Alyssę, to przeczucie, że nie dostrzegam czegoś ważnego. Tak czy inaczej, już czas. Chcę mieć swoje dzieci przy sobie.

Dzieci?

To słowo głośno obijało się o czaszkę Lyss, sprawiając, że głowa omal jej nie pękła.

Kto był w Oden's Ford? Kto?

Głos matki znowu wdarł się w jej myśli. Odpowiadała na coś, co powiedział Byrne.

– Wiem, że nie pochwalaleś tego, że to przed nią ukryłam, ale Alyssa miała wtedy jedenaście lat! Od takiego dziecka trudno wymagać dochowania tajemnicy, a tak ważne było, żeby to się nie wydało. Pamiętasz, wszyscy myśleliśmy, że on nie żyje. Urządziliśmy pogrzeb. Już przebrnęliśmy przez żałobę. I wtedy nagle usłyszeć to od Beaugarde... nie mogłam w to uwierzyć. Myślałam, że to znowu jakiś podstęp Montaigne'a... że kolejny raz chce złamać mi serce. Nie byliśmy pewni, czy jest cały i zdrowy, póki Lila nie zdała raportu.

– Wtedy księżniczka miała jedenaście lat, ale teraz ma już prawie szesnaście. Ty byłaś niewiele starsza, kiedy objęłaś tron.

– Alyssa jest inna – powiedziała królowa. – Jest bardziej uparta i impulsywna, niż ja kiedykolwiek byłam.

– Naprawdę tak sądzisz? – Lyss słyszała powątpiewanie w głosie kapitana.

Nie ufała mi, pomyślała Lyss, czując, jak policzki jej płoną. Może faktycznie jestem uparta w niektórych sprawach.

– Zażądałaby żeby od razu wyruszyć do Oden's Ford i sprowadzić go do domu.

– Na pewno – zgodził się Byrne. – Powiesz jej teraz?

Królowa się zastanawiała.

– Teraz, kiedy czekamy na jego bezpieczny powrót do domu, to się wydaje zbyt wielkim kuszeniem losu.

Adrian. Adrian żył i przebywał w Oden's Ford. I nikt nie powiedział jej o tym przez te cztery długie lata, bo spodziewali się po niej głupich zachowań.

Gdy to usłyszała, miejsce szumu w jej głowie zajęła martwa cisza.

Zawiasy skrzyknęły przeraźliwie, kiedy popchnęła drzwi. Jej matka i kapitan Byrne poderwali się gwałtownie niczym kochankowie przyłapani na schadzce. Byrne zasłonił królową własnym ciałem i natychmiast wyciągnął miecz. Kiedy zobaczył Lyss, opuścił rękę i skierował czubek miecza w podłogę.

– To tylko ja, kapitanie Byrne – powiedziała Lyss.

– Wasza Wysokość – zasalutował.

– Możecie odejść, kapitanie. Muszę porozmawiać z mamą na osobności.

Spodziewała się, że on odmówi albo spojrzy na królową, czekając na jej rozkazy, ale tego nie zrobił. Wsunął miecz do pochwy, znowu zasalutował i powiedział:

– Będę na zewnątrz.

Kiedy wyszedł, stanęły na wprost siebie, królowa i księżniczka następczyni tronu, matka i córka, ciemnowłosa i jasnowłosa, niska i wysoka.

– Domyślałam się, że wszystko słyszałaś – powiedziała jej mama i przygryzła dolną wargę.

– Większość. To mi wystarczy.

– Aha. – Wskazała ławkę. – Usiądziemy?

– Wolę stać. Jeszcze zrobiłabym coś głupiego przez swój upór, może spontanicznie wybiegłabym stąd i ogłosiła z wieży, gdzie znajduje się mój brat.

– Zasłużyłam sobie – westchnęła jej matka.

– Racja.

– A ty zasługujesz na przeprosiny.

– Wolałabym wyjaśnienie. – Chłód. Martwota. Odrętwienie.

– *Ja* jednak usiądę. – Królowa spoczęła na skraju ławki, jakby ona także mogła nagle zrobić coś niespodziewanego. – Co chcesz usłyszeć najpierw: przeprosiny czy wyjaśnienie?

– Może zacznij od informacji, co się stało tego dnia, kiedy tata został zamordowany. – Lyss skrzyżowała ręce na piersi.

– Większość tego, co wiem, już wiesz – odparła matka. – Reszty dowiedziałam się od Taliesin Beaugarde, która jest uzdrowicielką Wagabundą i dziekanem w Spiritas, szkole dla uzdrowicieli w akademii.

– A Adrian? Co on mówi? Jak może uzasadnić...?

– Nie rozmawialiśmy z nim – powiedziała królowa.

– Adrian jest w Oden's Ford od czterech lat i nigdy z nim nie rozmawiałaś? – Lyss odruchowo podnosiła głos, aż w końcu prawie krzyczała. Chłód i odrętwienie ustępowały.

– Obwinił się o śmierć ojca. Nie był w stanie spojrzeć nam w oczy, więc uciekł. Kiedy spotkał Beaugarde w Delphi, był zrozpaczony. Groził, że się zabije, jeśli ona nie zabierze go ze sobą do akademii. Więc to zrobiła. Kilka miesięcy później skontaktowała się z nami i powiadomiła, że on żyje.

– Dlaczego od razu nie sprowadziłaś go do domu? – pytała Lyss. – Jak mogłaś tak... tak go tam zostawić?

– Myśleliśmy, że tam będzie bezpieczniejszy niż tutaj.

To musi być sen, myślała Lyss. Jak te, w których śnił mi się Adrian.

– Przed samą śmiercią twojego taty ktoś się z nim skontaktował i mówił, że ma informacje o śmierci Hany. Mówił, że to nie była przypadkowa śmierć, tylko zaplanowany atak. Twój ojciec został zabity, zanim doszło do tego spotkania. Byłam wtedy przekonana, że pośród nas jest szpieg. Ponieważ tylko kapitan Byrne i ja wiedzieliśmy, że Adrian jest w Oden's Ford, zdecydowaliśmy, że bezpieczniej będzie go tam pozostawić, żeby wszyscy myśleli, że nie żyje.

– Łącznie ze mną.

– I za to muszę cię przeprosić. Miałam powody, żeby ci nie mówić, kiedy otrzymaliśmy wiadomość od Beaugarde. Co by było, gdybym rozbudziła w tobie nadzieję, a to okazałoby się

nieprawdą? Nie mieliśmy pewności, że on żyje, póki nie sprawdziła tego córka kapitana Byrne'a.

– On ma córkę?

Królowa skinęła głową.

– Lilę. Jest w wieku Adriana. Kiedy zmarła Annamaya, kapitan Byrne odesłał córkę do Kredowych Klifów, gdzie wychowywała ją rodzina jej matki. Ponieważ w zasadzie nie była związana z Fellsmarchem, uznaliśmy, że ona może nad nim czuwać, nie wzbudzając niczyich podejrzeń.

– A więc... wiedzieliście ty i kapitan Byrne, i jego córka, jakkolwiek się nazywa, tylko ja nie. – Poczucie krzywdy kazało jej rozdrapywać tę ranę.

– Baliśmy się... ja się bałam, że jeśli ta wiadomość się rozejdzie, Adrian będzie całkowicie zdany na pastwę agentów Ardeny. Czas mijał i nikt go nie atakował, więc coraz łatwiej było zostawić to tak, jak jest.

Lyss miała wrażenie, jakby jej głowa rozpadała się na dwie części – radość walczyła z bólem, żalem i poczuciem utraconych możliwości.

Za każdym wypowiedzianym przez nią przykrym słowem krył się tuzin następnych, które pchały się na usta. Na szczęście większość z nich udało jej się zatrzymać.

– I nigdy się z nim nie kontaktowałaś? On nie ma pojęcia, że ty wiesz, że on żyje?

Królowa pokręciła głową.

– O ile wiem, nie. Baliśmy się, że jeśli się z nim skontaktujemy, nasi wrogowie trafią na jego trop. Było też ryzyko, że Adrian ucieknie. Albo gorzej. Dziekan Beaugarde bardzo się martwiła jego stanem psychicznym.

– Czy w ogóle miałaś zamiar kiedykolwiek mi powiedzieć? – zapytała Lyss.

– Wiem, że powinnam była to zrobić wcześniej. – Królowa opuściła wzrok na swoje dłonie. – Gdy teraz na to patrzę, widzę, że zachowałam się jak tchórz. Wiedziałam, że to będzie trudna rozmowa, więc odsuwałam ją od siebie. Myślałam, że może sprowadzimy Adriana na twój dzień imienia w tym roku. –

Spojrzała na córkę z wymuszonym uśmiechem. – Teraz, przy odrobinie szczęścia, będzie w domu zaraz po Przesileniu.

Niełatwo było uderzać w kogoś, kto siedział obok i spokojnie przyjmował te ciosy. To znaczyło, że Lyss nie mogła dłużej ignorować tego głosu, który szeptał: On chciał odejść. On chciał iść do Oden's Ford. On chciał nas opuścić.

W końcu po jej twarzy potoczyły się łzy.

– Jak on mógł? Jak mógł jechać do Oden's Ford i zostawić nas, żebyśmy myślały, że nie żyje?

– To pytanie chyba będziesz musiała zadać jemu – odparła królowa. – Nikt z nas nie wie, co on myślał w tamtym momencie. – Położyła dłonie na kolanach Lyss. – Wiem, że jesteś wściekła i czujesz się zraniona, i nie winię cię o to. Każdy rodzic popełnia błędy, Alysso. Gdy jest się monarchinią, te błędy są jeszcze większe i trudniejsze do przebaczenia.

– Właśnie dlatego ciągle powtarzam, że musimy rozpocząć ofensywę – powiedziała Lyss. – Samo trzymanie się tego, co jest, to za mało. Bo popatrz tylko, co nam to daje. Przez tę przeklętą wojnę straciłam cztery lata życia z bratem i nie odzyskam tego nigdy.

– Ja straciłam cztery lata z synem.

– Ale to był twój wybór! I Adriana! Ja go nie miałam. Kiedy wróci, będziemy sobie obcy.

Królowa sięgnęła za dekolc i wyciągnęła medalion. Otworzyła go paznokciem i uniosła wieczko.

– Patrz, to jego portret naszkicowany przez jakiegoś ucznia Szkoły Świątynnej w Oden's Ford. Lila nam go przywiozła.

Lyss popatrzyła na rysunek. To był on, z tymi kasztanowatymi włosami i niebieskozielonymi oczami. Twarz miał szczuplejszą, rysy ostrzejsze, jakby zniknęły wszelkie ślady dziecięcej pulchności. W oczach tlił się cień bolesnych doświadczeń. Nie uśmiechał się.

Lyss otarła łzy.

– Wygląda na smutnego – szepnęła drżącym głosem.

Nos jej matki się zaczerwienił, jak zawsze, kiedy była bliska płaczu.

– Możesz to zatrzymać – powiedziała i odchrząknęła. – Ja miałam rok, żeby go zapamiętać.

Nie pozwól, żeby pretensje zniszczyły radość z tej wiadomości, mówiła sobie Lyss. Adrian żyje i wraca do domu! Cokolwiek się wydarzyło, wyjaśnią to sobie. Znajdzie sposób, by mu wybaczyć.

Chcę jechać do Oden's Ford, pomyślała, ściskając medalion w dłoni tak mocno, że aż zaczął się jej wrzynać w skórę. Chcę go sprowadzić do domu.

I właśnie tego obawiała się moja matka.

Odwróciła się, oparła o barierkę otaczającą staw i przyglądała rybom pod powierzchnią wody.

– Alyso – odezwała się królowa. – Jestem z ciebie bardzo dumna. Masz w sobie taką uczciwość i odwagę, do których mi daleko. Tak jak twój tata masz zdrowy rozsądek. Jak twój dziadek jesteś urodzonym wojownikiem. Żołnierze pójdą za tobą wszędzie. Nasi wrogowie, patrząc w twoje oczy, widzą swoją klęskę. – Po chwili milczenia dodała: – Jesteśmy różne, ty i ja. Ale czasami, kiedy nasza przyszłość rysuje się w najciemniejszych barwach, trafia nam się królowa, jakiej potrzebujemy.

Lyss obróciła się, by spojrzeć matce w oczy.

– Naprawdę tak myślisz?

– Tak.

– Udowodnij to.

– Jak?

– Jeśli nie mogę jechać do Oden's Ford, to jadę do Delphi – oznajmiła Lyss. – Mam drużynę, mam armię i mam plan.

Królowa wyciągnęła rękę w jej stronę.

– Chodź, usiądź i opowiedz mi o tym.



ZA POŁUDNIOWĄ GRANICĄ

Lyss siedziała na swoim kucu przy południowym krańcu Przełęczy Ana Marii, próbując nie myśleć o zimnie, które pełzło jej do palców i wyciskało łzy z oczu – łzy zamarzające, gdy tylko się pojawiały. Pudding prychnął, a kłęb pary z jego pyska natychmiast pokrył warstwą mgły jego uzdę i grzywę.

Wreszcie się zaczęło – inwazja, którą Lyss tak długo planowała. Kiedy spojrzała przez ramię na kapryśne, pokryte śniegiem Góry Duchów, uświadomiła sobie, że przekraczając granicę Ardeny tego ranka, po raz pierwszy w życiu stawia stopę poza swoim królestwem. Zastanawiała się, czy gdyby rozkopała śnieg, zobaczyłaby inny piach niż w domu. Nawet jeżeli król Ardeny siedział zamknięty w swoim pałacu, Lyss i tak znalazła się bliżej niego niż kiedykolwiek wcześniej. Znała drogę. Analizowała mapy tak dokładnie, jak inna dziewczyna mogłaby analizować potencjalnych zalotników na przyjęciu z okazji dnia imienia.

Sasha pochyliła się ku niej. Między jej czapką a trzykrotnie owiniętym wokół głowy szalikiem widać było tylko oczy.

– Powtórz, proszę, po co nam zimowa kampania. – W białej wełnianej pelerynie gwardzistka sama wyglądała jak ośnieżona góra.

Śnieg zacinał w oczy wirującą, uporczywą bielą, przez co nie dało się odróżnić góry od dołu ani widzieć dalej niż na kilka

kroków. Mimo iż biały puch tłumiał dźwięki, raz na jakiś czas Lyss słyszała skrzypienie skórzanych siodeł, zeszywniałych na mrozie, albo ciche podzwanianie uprzęży. Nie dobiegały z konkretnego kierunku, lecz jakby ze wszystkich stron naraz.

Później pojawiały się szare cienie, zawsze od północy, poruszające się w śnieżnej burzy niczym polujące wilki. Bo to były wilki.

Lyss kierowała wszystkich do wąskiego bocznego wąwozu, który przekształcał się w szeroką płytką kotlinę. Tam byli osłonięci przed wiatrem i śniegiem, i niewidoczni z dołu. I tak niełatwo ich było dojrzeć. Wszyscy żołnierze, podobnie jak Lyss, mieli ocieplane, białe, wełniane peleryny, które chroniły ich od wiatru. Ich wytrzymałe górskie kuce o masywnych nogach i długiej sierści także były najczęściej białe lub jasnoszare, chociaż różniły się odcieniami. Tak więc przedostający się przez przełęcz żołnierze na widmowych koniach przypominali śnieżne duchy, niosące zapowiedź śmierci.

W ostatnich trzech tygodniach bardzo wiele się działo. Królowa zwołała precyzyjnie dobraną radę – kapitana Byrne'a, Char Dunedain, Shilo Przecierającą Szlaki i Juliannę Barrett. Studiowali mapy, wykresy i szkice dostarczone przez Lyss. Na tydzień przed Przesileniem księżniczka dysponowała nie jednym salwonem, ale trzema – wszystkie pod jej komendą – oraz tuzinem wojowników Demonai pod dowództwem Shilo. Ty Gryphon odpowiadał za służbę medyczną. Mieli zapasy żywności, broń, namioty i inny sprzęt potrzebny do przetrwania w górach.

Oraz pozwolenie królowej.

Przed samym wymarszem Cień otrzymał pilną wiadomość od ojca i musiał udać się do kolonii Demonai. Był zrozpaczony, ale Lyss odetchnęła z ulgą. On tak palił się do działania, że zapominał o własnym bezpieczeństwie. Hadley także została w domu, bo będąc kapitanem marynarki, na górskiej wyprawie nie na wiele mogła się przydać. Lyss poprosiła ją więc, by jako jej przedstawicielka udała się ze swoją załogą do Oden's Ford po

Adriana. Tym sposobem mogli wrócić drogą morską lub lądową – zależnie od sytuacji. Hadley otrzymała list do Adriana na wypadek, gdyby trzeba go było przekonywać do powrotu.

Teraz co wieczór, kiedy przypominała sobie, że jej brat żyje, Lyss czuła przypływ radości.

Od prawie tygodnia żołnierze piechoty górskiej i wojownicy klanowi kierowali się w góry małymi grupkami do punktu koncentracji na północnych stokach Gór Duchów. Przegrupowali się przy kolonii Myśliwskiej i pod osłoną zimowej zamieci weszli na Przełęcz Ana Marii. Nawet gdyby żołnierze okupujący Delphi brali pod uwagę możliwość ataku od północy, raczej nikt nie spodziewałby się, że nastąpi on podczas śnieżycy.

Schodzili z przełęczy pojedynczo, połączeni grubą liną. Ktokolwiek by ją puścił i oddalił się o krok za daleko, mógł już nie znaleźć drogi powrotnej.

Ponieważ nie dało się przeprowadzić przez przełęcz wozów, każdy z żołnierzy – łącznie z Lyss – niósł namiot, materac, broń i prowiant na kilka dni. Niektórzy prowadzili juczne konie obładowane dodatkową bronią i żywnością.

Nie zamierzali zostać tu długo. Lyss nie chciała tracić cennego czasu na biwakowanie w wysokich górach, gdzie zużywaliby swoje skromne zapasy. Zwiadowcy wyruszyli na południe już kilka tygodni wcześniej, a Demonai od wielu dni oczyszczali z wrogów teren między przełęczą a celem.

Lyss wymacała sztylet przy pasie, który dostała od matki, gdy wyruszała do Delphi. Był klanowej roboty, na rękojeści miał wizerunek pierwszej królowej Hanalei z rozwianymi włosami.

– Ojciec kapitana Byrne’a podarował mi go, kiedy byłam niewiele starsza od ciebie – powiedziała królowa. – Dobrze mi służył. Uważaj na siebie i wróć do mnie jako zwycięzcy. – Urwała, jakby przeszkodziły jej wilki, które widziała tylko ona. Potem chwyciła Lyss za ramiona i powtórzyła: – Wróć do mnie, Alysso.

Lyss spojrzała na południe, na niziny poza górami. Czy Montaigne mógł wyczuć jej żądzę krwi przez tę oddzielającą ich

granicę? Zabicie go nożem matki byłoby słodkim-aktem wyrównania rachunków. W końcu trzeba mieć marzenia.

Jednak trzeba też przeżyć, bo Adrian wraca do domu.

Skrzypienie śniegu pod końskimi kopytami i falujący niebieski cień wśród oszronionych drzew wyrwały ją z zamyślenia. Sasha natychmiast wyciągnęła miecz. Lyss zdążyła naciągnąć strzałę, nim przyjrzała się intruzowi.

Jeździec wyjechał z lasu i zmierzał w kierunku polany. To był Quill Bosley. Dowodził szwadronem w jednym z dodatkowych salwonów. Niestety. Lyss miała wrażenie, że gdziekolwiek się obejrzy, tam się na niego natyka.

Opuściwszy wodze, Bosley uniósł obie ręce.

– O ile wiem, ostatnio byliśmy po tej samej stronie, Wasza Wysokość.

– I dlatego nie chciałabym mieć na sumieniu waszej przedwczesnej śmierci – burknęła Lyss, zdenerwowana tym, że było tak blisko nieszczęścia. – O co chodzi?

– Lady Barrett przysłała mnie z informacją, że przybyli jej informatorzy z miejscowego ruchu oporu – oznajmił. – Pyta, czy możecie przybyć do namiotu sztabowego na naradę.

– Dziękuję, poruczniku – odparła Lyss. Skinęła na Saszę i spięła konia piętami.

Obie ruszyły za ostatnim z żołnierzy.

Dolina już była pokryta białymi namiotami, z których niektóre do połowy zdążył zasypać śnieg. Zyskały w ten sposób warstwę izolacyjną. Pod drzewami płonęło kilka małych ognisk, przy których suszyły się ubrania. Gałęzie osłaniały ogień, a wiatr rozdmuchiwał dym, więc nie było obaw, że ktoś zauważy ich obecność. Konie umieszczono z jednej strony, przy skale. Nawet bystrooki górski jastrząb przelatujący nad nimi przy lepszej pogodzie nie zauważyłby ich od razu.

Lyss poprowadziła kuca między namiotami i zsiadła z niego przy namiocie sztabowym. Nie był oznakowany, ale należał do tych większych i stał na miejscu łatwym do obrony, w pobliżu urwiska. Przy wejściu kręciło się kilku wojowników Demonai,

Lyss jednak wiedziała, że za tą udawaną swobodą kryje się czujność. Skinąwszy im głową, weszła do stosunkowo ciepłego wnętrza, a Sasha za nią.

Zebrani w namiocie otaczali stół, na którym leżały ręcznie naszkicowane mapy i przybory do pisania. Wśród obecnych byli: Julianna, Finn, porucznicy Littlefield, Mason i Farrow, Przecierająca Szlaki reprezentująca Demonai oraz Barnes i Kenton, dwaj kapitanowie dodatkowych salwonów. Poza tym dwie lichy odziane osoby, których Alyssa nie rozpoznała.

Gdy weszła, Julianna podniosła głowę.

– Oto kapitan Gray – zwróciła się do nieznanym. – Będziecie mogli porozmawiać o tych armatach na górze. Pani kapitan, przedstawiam Brita Fletchera i Yorie Cooper. Reprezentują ruch oporu, organizację o nazwie Patrioci z - Delphi.

Fletcher był zaniedbanym mężczyzną w średnim wieku o ogorzalej twarzy i gęstej szpakowatej czuprynie. Cooper zaś była przysadzista, umięśniona dziewczyna z czarnymi włosami, mniej więcej rok lub dwa starszą od Lyss. Oboje nie spuszczała oka z Finna, jakby mógł w każdej chwili buchnąć ogniem. Z podobnym strachem spoglądali na Przecierającą Szlaki w stroju wojownika Demonai.

Podchodząc do stołu, Lyss zdjęła grube rękawice i poruszyła palcami. W namiocie wciąż było tak zimno, że widziała swój oddech.

– Czy mówiliście coś o armatach? – spytała.

– Mamy ich sześć w górach nad miastem – oznajmił Fletcher. – Mogą być wasze, o ile będziecie działać szybko. Dalej na północ nie ma zwiadowców... kto by był na tyle głupi, żeby się tam czaić o tej porze roku? – Mężczyzna zachichotał.

– Pewni jesteście? – zapytała Przecierająca Szlaki.

Fletcher pokiwał głową.

– Mamy tam sporo kryjówek, więc obserwujemy teren wokół kopalni.

– Już wiedzą, że kto się zapuszcza samotnie w te okolice, nie wraca – stwierdziła Cooper i mrugnęła znacząco.

– Tak czy owak, obsada jest nieduża – dodał Fletcher. – Szykują się na Przesilenie i już chleją jak smoki.

– Jest amunicja? – zapytała Lyss.

– Całe tony – odparła Cooper z szerokim uśmiechem. – W zbrojowniach wzdłuż zbocza. Kartacze i kule, i jedne, i drugie. Lufy nie są bruzdowane, można strzelać prawie wszystkim. Nikt ich nie tykał, od kiedy Arden tu wszedł, bo ci, do których chcą strzelać, są na górze, a nie na dole.

Lyss zatarła ręce, jakby zasiadała do uczyty. To był wyjątkowy prezent na Przesilenie.

– Potrzebowalibyśmy artylerzystów. Czy są jeszcze Patrioci, którzy umieją je obsługiwać?

– Nie jesteśmy pod butem Ardena aż tak długo – burknął Fletcher. – Kopiemy węgiel, produkujemy stal, odlewamy lufy i oczywiście umiemy z nich strzelać.

– A warunki między nami a tamtym miejscem? – zapytała Mason. – Da się tam dotrzeć konno?

– Jest śnieg, ale za skałami niezbyt głęboki – odparła Cooper.

Podczas tej rozmowy Lyss oglądała mapy.

– Czy tutaj jest wojsko? – Wskazała.

Fletcher przytaknął.

– Zajęli rezydencję między kopalniami a miastem. Dzięki temu mogą szybko dojechać i tu, i tu. Kwatera główna nie jest dobrze broniona. Chyba myślą, że nie potrzebują obrony przed grupą górników.

– Mimo wszystko nie podoba mi się to – powiedziała Przecierająca Szlaki. – Żeby tam dotrzeć, za daleko musielibyśmy iść po nizinach.

– To nie są niziny – stwierdziła Cooper.

– Dla nas są – odparła Lyss. – Na takim terenie ich liczebność działa na ich korzyść. Jeśli mamy wybór, wolelibyśmy atakować z ukrycia.

– I tak lepiej by było, żeby ta walka nie toczyła się blisko miasta – powiedział Fletcher. – Po pierwsze ci, którzy tam mieszkają, nie mają wiele, i nie chciałbym, żeby miasto zostało spalone, wysadzone czy żeby ktoś rzucił jakiś urok albo coś. –

Spojrzał z niepokojem na Finna, którego amulet widniał dumnie na nakrapianym mundurze. – Po drugie, musicie wiedzieć, że po Delphi węższą gawrońce. Gwardziści króla Gerarda. Zawsze jest ich tu trochę, żeby nas trzymać na smyczy, ale teraz to coś specjalnego. Są tu od paru miesięcy.

To zainteresowało Lyss. Czyżby król Gerard był gdzieś w pobliżu?

– Co tu robią? – zapytała.

– Walczą z zarazą – odparł Fletcher rzeczowo.

– Zaraza! – zawołała Julianna z przerażeniem. – W Delphi? Nic nie wiedziałam.

– W każdym razie oni tak twierdzą – odpowiedziała Cooper. – Niektórzy myślą, że to kłamstwo. – Widać było, że ona należy do tych ostatnich.

– Ale po co twierdziliby, że jest zaraza, jeśli jej nie ma? – dopytywała Lyss.

Fletcher wzruszył ramionami.

– Jakiś miesiąc przed przybyciem gwardii mówili nam, że błotniści przywlekli zarazę od kobiet w mieście.

– No i niedługo potem – dodała Cooper – w całym mieście zawisły obwieszczenia, że wszystkie kobiety muszą się stawić na badanie i obciąć włosy.

– Co mają do tego włosy? – Lyss przerzucała wzrok z Fletchera na Cooper.

– Mówią, że kobiety mają... hmm... pasożyty we włosach, kapitanie, pani – odparł Fletcher. – I że to one przenoszą zarazę. Dlatego muszą ściąć włosy. Tym wszystkim zajmuje się Karn i jego ludzie.

Karn!

– Chcicie mi powiedzieć, że Marin Karn jest tu w Delphi i obcina kobietom włosy? – Finn pochylił się, na jego twarzy malowało się szczere zainteresowanie.

– Nie generał Karn – poprawił go Fletcher. – Porucznik. Syn wielkiego Karna. Młody Karn też nie wydaje się uszczęśliwiony pobytem tutaj.

– Myślicie, że król mu to zlecił? – odezwała się Julianna. – Czy to jakaś kara?

Fletcher się roześmiał.

– Nie mam pojęcia. Ani król, ani porucznik mi się nie zwierniają. Wiem tylko, że nie widziałem w Delphi żadnych śladów zarazy.

– Wzywa wszystkie kobiety – zauważyła Lyss. – Czy to znaczy, że kogoś szuka? – Kto ścigany przez Arden mógłby się tu ukrywać?

– Na to wygląda – odparł mężczyzna. – Nie wiem kogo. A może to tylko kolejny sposób, żeby nas poniżyć. Jakby nie wystarczyło, że zmuszają wszystkich do roboty w kopalni. – Wskazał na Lyss. – Dziewki i chłopcy młodszy od was harują po dwanaście godzin pod ziemią.

– Nie dam rady się dłużej wymigiwać – stwierdziła Cooper – bo jeszcze im mało kobiet. Zaczęli już przeszukiwać dom po domu.

– Jeżeli jest tu syn Karna – powiedziała cicho Przecierająca Szlaki – to powinniśmy znaleźć sposób, żeby schwytać go żywcem.

– Nie wiem, co by nam to dało – zauważyła Lyss. – Domyślam się, że generał nie jest sentymentalny. – Po chwili zapytała: – Przypomnijcie mi... kto dowodzi błotnistymi tu, w Delphi?

– Kapitan Halston Matelon – stwierdził Fletcher. – Jest tu od jakiegoś roku.

– Ma reputację wschodzącej gwiazdy – wtrąciła Julianna, jakby chciała wnieść coś do rozmowy. – Szybko awansował w hierarchii wojskowej, a jego ojciec jest w Radzie Tanów. Równocześnie Matelon senior jest ostatnio w niełasce u króla.

– A co mieszkańcy myślą o Matelonie juniorze? – Lyss skierowała to pytanie do obu Patriotów.

Fletcher i Cooper wymienili spojrzenia.

– Nie jest taki zły – odpowiedziała dziewczyna. – To błotnisty, nie gawroniec, a to działa na jego korzyść.

– A więc wszyscy się zgadzamy, że należałoby odciągnąć ich oddziały dalej na północ, w kierunku gór – powiedziała

Przecierająca Szlaki, jakby chciała wrócić do rozmowy o zabijaniu Południowców. – Potem moglibyśmy walczyć z ukrycia, w warunkach, których oni nie lubią.

Lyss przesunęła palcami po wyblakłym tuszu na mapie i zatrzymała się przy punkcie oznaczonym jako „kopalnia numer 2”. Ten punkcik przylegał do południowej ściany gór.

– Kto jest tam w kopalniach?

Fletcher spoglądał na nią zdezorientowany.

– Cały czas pod ziemią są setki górników. Ale jak już mówiłem, pilnuje ich tylko garstka żołnierzy.

– A gdyby w kopalni wybuchły zamieszki? – nalegała Lyss. – Jakiś bunt czy coś w tym rodzaju?

Cooper wzruszyła ramionami.

– Były już wcześniej zamieszki, ale na dłuższą metę nigdy nie przyniosły wiele, tylko kilku górników straciło życie na szubienicy. Za każdego Południowca, którego zabijamy, oni zabijają trzech naszych.

– Mówię o czymś dużym. Czy na coś takiego odpowiedziałoby wojsko?

Teraz Fletcher zrozumiał, o co chodzi.

– Właściwie – powiedział, rozcierając sobie kark – to całkiem możliwe. Lubimy wysadzać różne rzeczy.

– To by ich sprowadziło w zasięg armat – zauważył Littlefield.

– Mógłbym wytworzyć jakieś fajerwerki – zaproponował Finn, dotykając amuletu.

– Nie! – Twarz Cooper poczerwieniała i wszystkie oczy zwróciły się w jej stronę. Ona jednak wytrzymała ich spojrzenia. – To znaczy, jak zaczniecie od magii, to może was zdradzić – mruknęła. – Może nasza robota nie będzie taka... yyy... spektakularna, ale wywołamy ich reakcję, nie martwcie się.

– Może nie od razu – zwróciła się do Finna Lyss – ale jak już wprowadzimy tam wojsko, chyba jakieś fajerwerki mogłyby ich przekonać do poddania się.

– Jedno mnie martwi – odezwała się Julianna. – Wspomnieliście, że w kopalniach pracują dzieci. Niedobrze byłoby, gdyby zostały w to wciągnięte.

– Aha – potwierdził Fletcher. – Są *lýtling*... i kobiety też.

Cooper gładziła się po brodzie w zamyśleniu.

– Możemy spróbować utrzymać *lýtling* z dala od niebezpieczeństwa. Nie będzie łatwo, ale da się zrobić. Co do kobiet, to okupanci zależli im za skórę. Może się okazać, że one też chętnie się dołączą. Kobiety z Delphi są twarde. Dadzą się im we znaki.

– Dobrze, ale muszą rozumieć ryzyko – powiedziała Lyss i zwróciła się do swoich oficerów: – Mason, twoi pierwsi żołnierze odpoczywają już od kilku godzin. Potrzebuję pięćdziesięciu gotowych do odjazdu za godzinę.

Mason zasalutowała i wyszła z namiotu.

– Przecierająca Szlaki, czy mogę liczyć, że Demonai zajmą się żołnierzami na górze i przejmą te działa bez podnoszenia alarmu?

– Załatwione – stwierdziła Przecierająca Szlaki, prostując się z gracją drapieżnika.



PRZESILENIE W DELPHI

Był dzień przed Przesileniem. Hal starał się wymyślić coś niejednoznacznego i zarazem pogodnego, co stosownie do okazji mógłby napisać swojej młodszej siostrze. Siedział nad tym od godziny i był już przy czwartym podejściu.

*Droga Harper,
kolejny rok już prawie minął... dasz wiarę? Chciałbym spędzić to święto z Tobą i Mamą. Oddałbym swój miesięczny żołd za jedno z Twoich ciastek przesileniowych i kosz słodkich pomarańczy. Zima tutaj jest surowa, więc rękawiczki od Ciebie bardzo mi się przydają. Wszyscy żołnierze mi ich zazdroszczą.*

A niektórzy próbują mnie zabić.

Odłożył pióro, pozostawiając na kartce duży kleks. Zgniół list w dłoni i wyrzucił za innymi w płomienie. Grzebał w palenisku, aż papier spłonął, następnie sięgnął do srebrnego napastrka, który nosił na łańcuszku na szyi – był to prezent od Harper, który miał go chronić od nieszczęść.

Może powinien jej przekazać tylko podpisaną kartkę z prezentem – zeszytem w skórzanej oprawie zdobionej koralikami, który sprzedawca zachwalał jako klanowej roboty. Hal wiedział, że ten notatnik jej się spodoba, musiał jeszcze tylko dodać coś osobistego.

*Droga Harper,
wesołego Przesilenia! Dziękuję za rękawiczki. Robert i ja
spędzamy to święto razem. Z niecierpliwością czekamy na
spotkanie z Tobą.*

*Całuję,
Twój brat Hal*

Złożył kartkę i wsunął do torby wysyłkowej wraz z prezentem dla siostry i srebrnym łańcuszkiem, który kupił dla matki.

Szukaj dobrych stron, Halstonie, mawiała jego matka. Nie bądź taki ponury.

Próbował znaleźć plusy swojej obecnej sytuacji. Cóż, nabył umiejętności przetrwania w miejscu, które zdawało się przeznaczone do tego, by wpędzić go do grobu. Ostatnio często zmieniał rozkład dnia, nie jadał w swoich komnatach ani nigdzie nie chodził bez obstawy zaufanych ludzi. Miał się na baczności i ćwiczył się w walce.

Następnym krokiem będzie wynajęcie sewera do sprawdzania posiłków, jak zrobił to król.

Równocześnie wciąż był w Delphi i jego perspektywy przeżycia kolejnego roku wydawały się w najlepszym razie marne.

Już prawie trzy miesiące minęły, odkąd wycofał swoją bezładną chmarę niedobitków z Doliny Królowych. Przynajmniej udało mu się zapobiec większym stratom. Kiedy spotkał się z batalionami Karna na Płaskowyżu Alyssy, generał nawet nie próbował ukryć swojego zdziwienia i rozczarowania. Gdy Karn skrytykował decyzję o odwrocie, twierdząc, że zajęcie doliny było w zasięgu ręki, Hal spojrział mu prosto w oczy barwy tabaki i zameldował, że wszyscy czterej magowie postradali zmysły pod wpływem północnych czarów i zwrócili się przeciwko swoim, trzeba więc było ich wykończyć. Dlatego musiał zarządzić odwrót z pola bitwy.

To zakończyło rozmowę, lecz Hal wiedział, że to nie koniec jego kłopotów.

Miał rację. Jego młodszy brat Robert, kapral, został wysłany do Delphi późną jesienią. Hal usłyszał tę wiadomość głośno i wyraźnie: *Oto kolejna osoba, której musisz pilnować. Skoro nie możemy załatwić ciebie, wystarczy nam twój brat.* Wyglądało na to, że Delphi miało się stać cmentarzem Matelonów. Napisał do ojca, a ten udzielił mu takiej rady: *Pilnuj Roberta, wykonuj swoje obowiązki i miej się na baczności.*

Pilnować Roberta nie było łatwo, bo ten aż się palił, żeby się wykazać, i sprzeciwiał się staraniom starszego brata, który chciał go utrzymać blisko siebie.

To powinno być wyryte na herbie Matelonów, pomyślał Hal. Wykonuj swoje obowiązki i miej się na baczności.

Miej się na baczności, nizinny.

Dziewczyna, którą nazywali Szarym Wilkiem, wciąż nawiedzała go w snach. Jej dziki uśmiech, opalona skóra, odwaga, z jaką z krzykiem rzucała się do walki. Sposób, w jaki na niego patrzyła, kiedy jego ludzie obrócili się przeciwko niemu – jakby chciała zrozumieć, co za dowódca prowadzi niedoświadczonych rekrutów na rzeź i prowokuje magów do buntu na polu bitwy. Miał ochotę jej to wytłumaczyć.

Nie jest tak, jak to wygląda, powiedziała by. To bardziej skomplikowane.

Po powrocie do Delphi wypytywał o fellsjańską oficer zwaną Szarym Wilkiem. Uzyskał jedynie wypowiedane z trwogą opowieści i niestworzone bajki. Nic przydatnego.

Może naprawdę była wiedźmą. Czarownicą. Czy nie tak wszyscy powtarzali: że kobiety z Północy potrafią skraść mężczyźnie duszę?

Może i była czarownicą, ale wyglądała mu na żołnierkę. Albo walkirię z dawnych opowieści.

Wkrótce po przybyciu Roberta przyjechał do miasta syn Marina Karna. Był porucznikiem w Gwardii Królewskiej. W pierwszym momencie Hal pomyślał, że młodego Karna przysłano tu na przesłpiegi. Później zaś uznał, że jest on za coś karany. Kiedy zaczął polować na kobiety i obcinać im włosy, Hal przestał próbować dojść z nim do porozumienia. W końcu,

kilka dni przed Przesileniem, Karn wdał się w jakąś bójkę w tawernie. Zabici zostali kapitan Marc Clermont oraz właściciel tawerny. Potem młody Karn wraz z grupą gawrońców wyjechał do stolicy.

Uwolnienie miasta od Clermonta mogło być powodem do radości, ale Hal uznał, że poczeka ze świętowaniem do momentu, kiedy będzie wiadomo, kto go zastąpi. Jakkolwiek źle by było, zawsze mogło być jeszcze gorzej.

Szukaj dobrych stron, Halstonie.

W ostatnich czasach rzadko czekał na coś z utęsknieniem, ale Przesilenie było jedną z tych niewielu wyczekiwanych rzeczy. Pod jakimś błahym pretekstem wysłał Roberta na południe do Zakonogrodu i sam zamierzał dołączyć do niego na święto. Mieliby okazję zdrapać z siebie cały brud Delphi i przepłukać gardła dobrym tamrońskim winem, a przy tym zjeść coś porządnego. To miało być przyjemne rozpoczęcie nowego roku.

Te marzenia przerwało Halowi gwałtowne stukanie do drzwi. Zaklął cicho pod nosem. W Delphi takie nagłe wizyty nigdy nie znaczyły nic dobrego.

Dupont, oficer dyżurny, wpadł do środka, wymachując depeszą.

– Przyleciał ptak od Shively’ego, z kopalni na górze – powiedział. – Kłopoty.

Kto szuka kłopotów przed samym Przesileniem? – pomyślał Hal z irytacją. Rozwinął papier i rozprostował go dłońmi na biurku.

Przed kopalnią numer 2 zebrał się duży tłum uzbrojonych górników. Przyślijcie pomoc jak najszybciej. Proponuję co najmniej batalion.

Stukał palcem wskazującym w depeszę. Z tego, co widział w Delphi w ciągu tego roku, Shively to niegodziwiec, który pewnego dnia zapewne skończy gdzieś na dnie szybu z poderżniętym gardłem. Jak większość takich zbirów był też tchórzem i miał skłonność do wzywania pomocy przy

najmniejszym przejawie niepokoju. Ochrona kopalni była zmniejszona z powodu świątecznych urlopów.

Hal westchnął. Trzeba będzie zareagować. Kopalnia musiała pracować.

– Sierzancie, weźcie oddział i jedźcie do kopalni sprawdzić, co tam...

Silny wybuch wstrząsnął fundamentami budynku, zasypując ich głowy tynkiem. Hal i Dupont popatrzyli po sobie i rzucili się ku drzwiom.

Na północy, wysoko na górkim zboczu, w niebo strzelały płomienie. Budynki kopalni stały w ogniu.

Hal zaklął. Przepraszam, Robercie, pomyślał. Zmiana planów. Pożegnał się z planami na święto, i to nie tylko własnymi.

– Wszystkie urlopy odwołane, ze skutkiem natychmiastowym – poinformował Duponta. – Zwołać oficerów, i to migiem. Czeka nas cholernie długa noc.

W końcu wyruszył z dwoma batalionami do delphiańskich kopalni, na miejscu pozostawiając tylko szczątkową załogę. Miał nadzieję, że demonstracja siły powstrzyma zamieszki i ograniczy rozlew krwi do minimum. Oczywiście głównych przywódców trzeba będzie zlikwidować, ale może na tym się skończy. Nawet jego najzagorzalsi krytycy w stolicy musieliby się z tym zgodzić. Arden nie mógł sobie pozwolić na rzeź górników, którzy wydobywali spod ziemi węgiel i rudę żelaza. Hal ostrzegł oficerów, żeby trzymali w ryzach swoich ludzi, bo ci aż się palili, by dać nauczkę krnąbrnym psom z Delphi.

Od kwatery głównej wspinali się po zboczu w szybkim tempie. Po drodze widzieli kolejne wybuchy na tle ciemnych zarysów gór. Wyglądało na to, że górnicy próbują powtórzyć w kopalni numer 2 to, co już zrobili z kopalnią numer 1.

Ludzie i konie szli pod wiatr, smagani śnieżną zawieruchą. Ich włosy, wąsy i wszystkie odsłonięte części ciała pokrywały się szronem. Hal z niepokojem myślał, że zanim dotrą między wzgórz otaczające kopalnie, będą wyczerpani jak górnicy po całym dniu pracy.

Z każdym krokiem na północ warunki się pogarszały. Ludzie i konie brnęli przez śnieg sięgający do pasa. Armia Ardeny rzadko musiała poruszać się szybko w burzy śnieżnej. Owszem, pogoda w Delphi była paskudna niemal cały czas, ale zwykle żołnierze nie odbywali na tych terenach długich marszy.

Jeden ze zwiadowców doniósł, że widział grupę osób w białych pelerynach idącą w przeciwnym kierunku. Posuwali się szybko, mieli rakiety śnieżne na nogach, nie dało się ich schwytać. Kto to mógł być? Hal z trudem oparł się chęci wysłania za nimi pościgu. Teraz najważniejsi byli górnicy.

Znajdowali się około kilometra na południe od celu, kiedy uderzył w nich pierwszy pocisk. Spadł na tyły kolumny, a gdy eksplodował, odłamki rozszarpały ludzi i koni na strzępy. Oddziały z przodu szły dalej, nie wiedząc, że coś się stało, a w pobliżu miejsca uderzenia nastąpił popłoch.

Kolejny pocisk wylądował z przodu i zabił lub ranił około stu osób. Wtedy ruch naprzód został zatrzymany, ludzie i konie rozpierzchli się na wszystkie strony, lecz w śniegu nie mogli się szybko poruszać, więc trzy kolejne pociski odniosły podobny skutek, zanim żołnierze zdążyli się rozbiec. Ci, którzy utrzymali się na koniach, mieli sporo pracy z uspokojeniem zwierząt.

Gdy drugi pocisk wylądował, Hal już wiedział, co się stało. W jaki sposób do tego doszło, to osobna sprawa. Podniósł wzrok na horyzont akurat w chwili, kiedy niebo przeszywała kolejna kula.

– Armata! – krzyknął do swojego zastępcy i wszystkich, którzy mogli go usłyszeć. – Górnicy przejęli armatę!

A jednak to, że zdesperowani górnicy z Delphi byli w stanie docenić strategiczne znaczenie działa, przejąć je od żołnierzy i użyć przeciwko armii, wydawało się niewiarygodne. Gdzie była obsada kopalni, kiedy to wszystko się stało?

Jakkolwiek do tego doszło, działa na zboczu nie przestawały strzelać i powodowały coraz większe straty, chociaż oddziały stanowiące ich cel były już poważnie przetrzebione. Kolejny wystrzał rozrzucił kawałki metalu po rozległej przestrzeni, powodując nowe ofiary. Wkrótce na skrwawionym śniegu

poniewierały się ludzkie wnętrzności i fragmenty ciał. To była prawdziwa masakra.

Nie mogli pozostać w tym miejscu. Musieli albo iść dalej, albo się cofnąć.

– Naprzód! – zawołał Hal, unosząc miecz nad głowę i spinając konia. – Do mnie! Za Czerwonego Jastrzębia Ardeny!

Jego oficerowie powtórzyli ten okrzyk, prowadząc swoich podkomendnych w kierunku kopalni. Tyle że w głębokim śniegu „naprzód” było dużą przesadą. Udało im się uniknąć pogromu, ale gdy powoli brnęli przed siebie, wraz ze śniegiem wciąż spadał na nich śmiertelny grad pocisków. Kiedy zbliżyli się do gór na tyle, że znaleźli się poza zasięgiem dział, liczba żołnierzy była prawie o połowę mniejsza.

Po raz drugi w ciągu sześciu miesięcy zarządzam rzezią, pomyślał Hal. Co źle robię?

Przez jedną przerażającą chwilę zastanawiał się, czy znowu go nie wrobiono.

Przeciskali się przez wąski wąwóz w kierunku kopalni, a z obu stron sypały się na nich włócznie, lance i strzały. Górnicy strzelający z łuków? Gdzie nauczyli się tak celnie mierzyć? Dostrzeżenie napastników na śniegu było prawie niemożliwe; wtapiali się w krajobraz niczym ruchome białe cienie. Ta wędrówka przypominała marsz szpalerem zagłady – z każdej strony czyhała śmierć, wszędzie wokół padali zabici.

Niektórzy uciekli w panice, krzycząc:

– To duchy! Demony wyszły z gór!

W większości byli doświadczonymi żołnierzami, weteranami kampanii w Fells, którzy zetknęli się już ze śmiertelnymi taktykami Północy w Górach Duchów.

Pozostali jednak szli dalej, choć z każdym krokiem było ich coraz mniej. Napastnicy stanęli przed nimi z lancami i mieczami, ubrani w białe peleryny. Nie przypominali górników, a tym bardziej żołnierzy. W pierwszej chwili milczeli, a potem zaczęli wyć jak wiatr wiejący w górach. I krzyczeć: „Za królową Północy! Za Szarego Wilka!”.

Stanowczo nie byli to górnicy. Hal się przeliczył, poważnie się przeliczył, i teraz jego ludzie mieli za to zapłacić.

Wyciągnął depezę od Shively'ego, rozłożył ją i napisał kilka słów na odwrocie. Wsunął papier w dłoń Duponta.

– Zanieście to do garnizonu i wyślijcie do Zakonogrodu.

Dupont patrzył na niego zdezorientowany.

– Jak to, kapitanie...

– Idźcie już, to rozkaz. – Powiedziawszy to, obrócił się w stronę zdziesiątkowanych oddziałów.

Kiedy armia Ardeny dotarła do kopalni, żołnierzy pozostało już zaledwie kilkuset. Byli otoczeni i musieli walczyć o życie z ludźmi, którzy nie wyglądali na górników. Hal, oparty plecami o innego żołnierza, mierzył się z trzema napastnikami, gdy ciało za nim drgnęło, a potem osunęło się na ziemię, odsłaniając jego plecy. Obrócił się wtedy, coś uderzyło go w tył głowy i upadł twarzą na śnieg. Przetoczył się na grzbiet i otworzył oczy. Ujrzał stojącego nad nim żołnierza w białej pelerynie, który unosił pałkę, gotów zadać śmiertelny cios.

Próbował się przesunąć, by uniknąć uderzenia, które jednak spadło. Potem nic już nie pamiętał.



W SAMYM ŚRODKU ZIMY

Kiedy się obudził, leżał w kamiennej grocie na twardej palecie na podłodze. Był bez miecza, nadgarstki i kostki miał skrępowane, czaszka pękała mu z bólu. Na ścianach płonęły pochodnie i kiedy podniósł głowę, zobaczył inne osoby na podobnych paletach w całej tej skalnej komorze. Nikt poza nim nie nosił symbolu czerwonego jastrzębia.

Ostatnią rzeczą, jaką pamiętał, było to, że walczył przed kopalnią numer 2 i ktoś uderzył go w głowę. Dlaczego jeszcze żył?

Pomiędzy rannymi w tym prowizorycznym szpitalu przesuwały się niewyraźne sylwetki opatrujących ich osób. Stroje uzdrowicieli niczym się nie wyróżniały i Hal nie rozpoznawał nikogo z nich. Zresztą nie był pewien, czy rozpoznałby jakiegokolwiek górnika z Delphi.

Jeden z nich zauważył, że Hal nie śpi, wyszedł i wrócił z kobietą o ogorzałej twarzy, w obszarpanym i zakrwawionym stroju miedzianolich, z włosami pełnymi koralików symbolizujących wojenne trofea. U pasa miała groźnie wyglądający sztylet.

Co tu robiła miedzianolica? Poza tym, że ubarwiała Halowi ten koszmar na jawie. Przyjrzał się sztyletowi, oceniając swoje szanse na jego przejęcie. Kiedy podniósł wzrok na twarz

kobiety, w jej oczach zobaczył wyraźne ostrzeżenie: „Tylko spróbuj”.

Może później, pomyślał Hal. Musiał się dowiedzieć, gdzie jest, żeby zaplanować ucieczkę.

– Wstawaj, nizinny – powiedziała w mowie powszechnej.

Hal spróbował się podnieść, ale chyba trwało to zbyt długo, bo wojowniczką chwyciła go za rękę i bez ceregieli podciągnęła do pionu. Chciał się jej wyrwać, ale wtedy zakręciło mu się w głowie, aż musiał oprzeć się o ścianę, żeby się nie przewrócić lub nie zwymiotować.

– Gdzie ja jestem? – zapytał, grając na czas, żeby odzyskać równowagę.

Wyraz twarzy miedzianolicej mówił, że on jest dla niej jak karaluch, którego najchętniej by rozdeptała.

– Kapitan Gray powie ci wszystko, co musisz wiedzieć – oznajmiła, popychając go w kierunku drzwi. – To ona uratowała ci życie, chociaż nie mam pojęcia dlaczego.

Dobrze, że to nie zależało od ciebie, pomyślał Han. I dodał w duchu: Kim, u licha, jest kapitan Gray?

Przeszli pomiędzy paletami i weszli do wąskiego tunelu o czarnych ścianach. Wszystko było pokryte czarnym pyłem.

A więc nadal w Delphi. Jego otumaniony umysł w końcu połączył fakty i Hal zrozumiał, że znajduje się pod ziemią, w jednej z kopalń. Nigdy wcześniej nie był na dole. Powietrze było tu stęchłe, duszące, tak gęste, że ciężko było oddychać. Długość łańcucha między kostkami pozwalała mu iść dość szybko posuwistym krokiem. Musiał uważać, żeby się nie przewrócić na kamienną posadzkę.

Doszli do bocznego tunelu strzeżonego przez dwójkę żołnierzy w nakrapianych mundurach. Piechota górską. Co oni tu robią?

Wtedy do niego dotarło. W kopalniach byli Północni, walczący u boku górników.

Jego eskorta naradziła się z żołnierzami i wprowadzono go do następnej wykutej w skale komory. Za prowizorycznym biurkiem stworzonym ze skrzyń po amunicji siedziała kobieta

w brązowo-zielonym mundurze i coś pisała. Jej skóra miała inny kolor niż u tych, którzy go eskortowali, a włosy barwy miodu tworzyły gruby warkocz, w który jak u innych były wplecione pióra i koraliki. Na szyi miała szalik – taki, jakich oficerowie z Północy używali do oznaczania stopni wojskowych. Szalik kapitana. To musi być kapitan Gray, pomyślał.

Zaraz za nią stała kobieta w takim samym mundurze, która mogłaby się równać trzem mężczyznom. Była mocno umięśniona, a głową prawie sięgała sklepienia. Coś mu mówiło, że to obstawa tej kapitan.

Ostatnie wydarzenia pokazały, że i jemu by się taka przydała.

Stał niezdarnie w drzwiach w otoczeniu eskorty, zdawało mu się, że całą wieczność. Wszyscy w pomieszczeniu go ignorowali.

Kiedy kapitan w końcu odłożyła papiery i podniosła na niego wzrok, serce Hala omal się nie zatrzymało. To była ta oficer z oczami drapieżcy z Doliny Królowych – ta, która go zaskoczyła i zaraz potem uratowała mu życie, zabijając magów.

Po jej rozbawionej minie poznał, że ona też go pamięta.

– Wesołego Przesilenia, kapitanie Matelon – powiedziała. – Niech słońce znowu do nas wraca.

Przesilenie? Zupełnie zapomniał o święcie. Powinien się zorientować po gałązkach choinek powpychanych w ściany.

– Dziękuję – odparł. Musiał przyznać, że to nie był dobry początek rozmowy. – Skoro wiecie, kim jestem, macie nade mną przewagę. – Uznał to za całkiem błyskotliwą odpowiedź, ale Północni wydawali się rozbawieni.

– Owszem, kapitanie – stwierdziła oficer. – Mam nad wami przewagę. – Wszystkich to rozbawiło. Nawet miedzianolica z zaciętym wyrazem twarzy się uśmiechnęła. Gdy fala wesołości minęła, oficer powiedziała: – Jestem kapitan Gray z armii królewskiej Fells.

Kapitan Gray. Szary Wilk. Teraz wszystko stało się jasne, ale...

– Ale armia królewska nigdy nie wykracza poza Góry Duchów.

– Niespodzianka! – Uśmiech pani kapitan stał się szerszy, bardziej zębaty, niemal... wilczy.

Na skrzynkach obok siedziały jeszcze dwie osoby. Jedną z nich był zaniedbany, nieogolony mężczyzna w obdartym, zakrwawionym ubraniu, a drugą ubrana po cywilnemu wysoka szczupła dziewczyna z kruczoczarnymi włosami upiętymi w elegancki kok. Bardziej pasowała do dworskich komnat niż do kopalni numer 2. Może dlatego, że tylko ona nie miała na sobie śladów krwi.

Zauważyła jego spojrzenie i powiedziała:

– Kapitanie Matelon, jestem Julianna Barrett, królewski kontakt z Patriotami w Delphi. – Wskazała gestem obdartego mężczyznę. – Może znacie obecnego tu Fletchera. Jest jednym z naszych współpracowników.

Hal popatrzył na mężczyznę i pokręcił głową.

– Niestety – powiedział. – Może spotkaliśmy się, ale...

– Już od kilku lat nie jestem górnikiem – stwierdził Fletcher. – Teraz prowadzę warsztat szewski w mieście. Kiedyś robiłem dla was buty. A poza tym, gdzie się dało, schodziłem wam z drogi. – Uśmiechnął się, pokazując nierówne zęby. – Witamy w wolnym mieście Delphi.

– Mieście, które jest naszym najnowszym sojusznikiem – dorzuciła Barrett.

– Waszym najnowszym... – Hal próbował zebrać myśli. – Nie uda wam się utrzymać Delphi. Nasze wojska znowu wiosną ruszą na Północ. Wiecie, że tak będzie.

– A my następnym razem będziemy przygotowani – stwierdził Fletcher. – Drugi raz nie damy się zaskoczyć.

Gray też nie wyglądała na szczególnie zaniepokojoną.

– Możliwe, że będziemy mieli więcej niespodzianek dla Ardeny. Może gdyby to miejsce było należycie bronione, nie tak łatwo byłoby je zająć. Może, z woli Stworzyciela, wasz bestialski król do tego czasu już będzie martwy. – Ostatnie zdanie wypowiedziała z wyraźnym jadem w głosie.

To sprawa osobista, pomyślał Hal. Ciekawe dlaczego.

– Cóż – przerwał ciężką ciszę, która nastąpiła – wygląda na to, że jeden dzień może dużo zmienić. – Po chwili zapytał: – A co z moimi ludźmi? Gdzie teraz są?

– Wasze oddziały tu, przy kopalni, dzielnie walczyły – poinformowała go Gray. – Niestety niewielu z nich przeżyło. Teraz kilkuset waszych ludzi kryje się w waszej kwaterze głównej, która znalazła się w potrzasku między nami a obroną cywilną miasta, i rozmyślają, komu się poddać. Na razie górnicy przejęli miasto z rąk ardeńskich gawrońców, zabili większość z nich, a resztę wypędzili. Jak rozumiem, niewielu uszło z życiem. Ludzie w Delphi są naprawdę wściekli. Może wiecie dlaczego? – Gray uniosła brew. Gdy Hal milczał, dodała: – Jeśli chcecie znać moje zdanie, to lepiej będzie dla waszych ludzi, jeśli poddadzą się nam, a nie Patriotom.

Hal musiał przyznać jej rację. Wciąż jednak nie mógł zrozumieć, jak zamieszki górników przekształciły się w wojskową inwazję.

– Waszym ojcem jest lord Matelon, tak? – odezwała się Barrett.

– Tak. – Hal nie widział sensu, by zaprzeczać.

– Kapitan Gray was rozpoznała i uratowała wam życie – powiedziała Barrett.

Hal spojrział na Gray, a potem odwrócił wzrok.

– Jeśli myślicie o żądaniu okupu od mojego ojca, on nie zapłaci.

– Czemu? – zapytała Gray. – Nie chce, żebyście wrócili?

– Zakładam, że chce – odparł. – Ale on nie wierzy w płacenie okupów ani zaspokajanie żądań porywaczy. Natomiast może wykorzystać moją śmierć do mobilizacji swoich zwolenników.

– No tak – zauważyła Barrett z drwiącym uśmiechem – z tego, co słyszałam o waszym ojcu, to wcale mnie nie dziwi.

– Niezależnie od tego, co postanowicie ze mną zrobić, okażcie łaskę moim żołnierzom. To dobrzy ludzie, w większości, i tylko wykonują rozkazy.

Kapitan Gray gładziła warkocz.

– Mamy im okazać taką samą łaskę, jaką król Ardeny okazuje naszym żołnierzom? – powiedziała głosem twardym i zimnym jak hartowana stal.

– Mam nadzieję, że nie – odparł Hal, zaskoczony własną szczerością.

Wpatrywali się w siebie zdumieni przez dłuższą chwilę.

W końcu Gray usiadła wygodnie na swoim miejscu.

– Jeżeli wasi żołnierze się poddadzą – powiedziała – będziemy ich traktować w tak ludzki sposób, w jaki to możliwe, jako jeńców wojennych.

– Dziękuję.

– Pod warunkiem...

Oto będę miał okazję udowodnić, jakim jestem człowiekiem.

– Pod warunkiem?

– Że napiszecie wiadomość do oficera dyżurnego w waszej kwaterze głównej z rozkazem poddania się na tych warunkach – stwierdziła. – Napiszecie też do ojca i poinformujecie go, co się tu wydarzyło.

Hal czekał na ciąg dalszy, a kiedy ten nie nastąpił, powiedział:

– To wszystko? Żadnych żądań?

– Żadnych – potwierdziła. – Chcemy tylko, żeby wiedział. Nikt nie powinien musieć czekać i zastanawiać się nad losem zaginionych bliskich. – W jej głosie znowu zabrzmiała ta niezrozumiała gorycz.

– Chyba najlepiej byłoby to wysłać za pośrednictwem mojego brata Roberta, który jest w Zakonogrodzie – powiedział Hal. – Tak chyba najpewniej wiadomość dotrze do mojego ojca. – I nie wpadnie w cudze ręce.

– Dopilnujemy, żeby list do niego dotarł – oświadczyła Barrett.

Gray stukała piórem po papierze.

– Może moglibyście mi w czymś pomóc. Szukamy kogoś, kto prawdopodobnie przebywa obecnie w Delphi, ale nie możemy go zlokalizować. Może wy mi pomożecie. Porucznik Karn?

– Karn? – Hal nie powinien być zaskoczony. Północni szpiedzy działali wszędzie. – Był tutaj, ale już go nie ma.

Wyjechał kilka dni temu.

- Szkoda. Wiecie, co tutaj robił?
- Walczył z zarazą. Tak nam powiedziano.
- A jest w Delphi jakaś zaraza?

Hal się zawahał, niepewny, ile może powiedzieć, nie zdradzając tajemnic wojskowych.

– Porucznik Karn twierdził, że w Delphi jest zaraza, więc widocznie była. Ja osobiście jej nie widziałem.

Gray wstała i otrzepała spodnie. Była wysoka, niemal dorównywała mu wzrostem.

– Górnicy też mówią, że nie widzieli żadnej zarazy. Co więc waszym zdaniem robił tutaj Karn?

Hal spojrzał jej w oczy i z jakiegoś powodu powiedział prawdę.

– Mogę się tylko domyślać, ale sądzę, że szukał konkretnej dziewczyny.

Przyglądała mu się przez chwilę, potem skinęła głową, jakby mu uwierzyła.

- W takim razie dlaczego wyjechał?
- Chyba ją znalazł.



ZAKLINACZ OGNIA

W rymarni w Śródmorzu panował duży ruch. Garbarze i kowale zapewne już przywykli do najróżniejszych zamówień międzynarodowej klienteli, która przewijała się przez port. Mimo to mężczyzna za kontuarem zmarszczył czoło, kiedy Jenna Bandelow podała mu szkic swojego zamówienia.

Obracał rysunek to w jedną stronę, to w drugą, jakby nie był pewien, czy nie trzyma go do góry nogami.

– Jeszcze raz: do czego to?

Jenna miała przygotowaną historyjkę.

– Jestem wędrowną artystką – tłumaczyła. – Jeżdżę na słońcach i gryfach. Nasz gryf znowu wyrósł ze swojej upręży.

– Gryf? – Mężczyzna zacisnął szczęki. – One nie istnieją.

– Przyjdźcie sami zobaczyć – odparła. – Tylko pięć żeleźniaków za miejsce stojące. Będziemy tu cały tydzień.

– Pięć żeleźniaków! Raczej nie – burknął rzemieślnik. – Nie mam worka pieniędzy i nie będę się wykosztowywał na takich oszustów jak ty.

Jenna potrząsnęła sakiewką.

– Skoro nie zbywa wam na forsie, to pewnie z chęcią ubijecie interes. To jak, da się to zrobić czy nie? Jak nie, dam zarobić komu innemu.

Mężczyzna jeszcze raz przyjrzał się rysunkowi, a potem podniósł na nią przebiegłe spojrzenie.

– To będzie kosztować, bo trzeba dużo skóry, żeby dało się to regulować. Naprawdę potrzebny jest aż taki zapas...?

– Ten gryf rośnie bardzo szybko – powiedziała. – Chcę móc tego używać przez co najmniej rok.

– Hmm. Czy to musi być utwardzona skóra wołu? I mosiężne sprzączki? To będzie...

– Udajmy, że już odbyliśmy tę rozmowę i w końcu stanęło na tym, z czym przyszedłam – przerwała mu Jenna. – Wiem, czego chcę. Dacie radę to zrobić? Jak nie, pójdę gdzie indziej.

Rzemieślnik podrapał się po brzuchu i podciągnął spodnie.

– A to drugie? Zwykle nie robię ubrań. – Stuknął w kolejną kartkę, którą mu podała: rysunek hełmu, rękawic i napierśnika. Do tego skórzana kurta i spódnica z rozcięciami do jazdy konnej.

– To też – potwierdziła. – To zbroja. I... rodzaj kostiumu. No wiecie, do występów. No więc ile i na kiedy będzie gotowe?

– To zajmie kilka tygodni – odpowiedział rymarz i podał cenę.

Jenna schowała sakiewkę i ruszyła ku wyjściu.

– Zaczekaj! – zawołał za nią. – O co chodzi? O termin czy cenę?

Obróciła się z powrotem.

– O jedno i drugie – odparła. – Spodziewałam się spotkać rabusiów na pograniczu, a nie tutaj, na głównej ulicy.

– Moje towary to wyroby klanowe wytwarzane na zamówienie – tłumaczył mężczyzna. – Nie są tanie, a chętnych jest dużo, więc szybciej się nie da.

– Nie obchodzi mnie, ile macie zamówień. Zróbcie to szybciej, a dobijemy interesu.

– Właściwie – rymarz uśmiechnął się przymilnie – można by to przyspieszyć, gdybyś przyszła na taką... no wiesz... prywatną przymiarkę po zamknięciu. Nie mogę nic obiecać, ale... Hej! – krzyknął za nią, kiedy trzasnęła drzwiami. – Przecież jesteś z cyrku, nie? Nie udawaj niewiniątka.

– Dupek – mruknęła Jenna, idąc ulicą.

Zwinnie uchyliła się przed zawartością nocnika wylewaną akurat z okna nad jej głową i pożałowała, że ma tak czuły węch. Wędrując na północ wzdłuż wybrzeża, unikała większych miejscowości i miast, ale teraz była już blisko granicy Fells i przed jej przekroczeniem chciała uzupełnić - zapasy i zaopatrzyć się w sprzęt dostosowany do jej potrzeb.

Właściwie marzyła tylko o tym, żeby wrócić do Ardencourt i odnaleźć Adama Wilka. Albo przynajmniej ruszyć jego śladem.

Nie wiesz, czy jeszcze tam jest. Nie wiesz nawet, czy jeszcze żyje. Jeśli wyjechał, to znalezienie go potrwa piekielnie długo, bo nie wiesz, jak on się naprawdę nazywa ani skąd pochodzi. Mówił, że jest z Północy, ale nawet to mogło być kłamstwem. Tam, w Ardencourt, wystarczyło być razem. Nie było sensu planować przyszłości, kiedy za rogiem czaiła się śmierć.

Wyobraziła sobie, jak krąży od domu do domu i wypytuje wszystkich, czy nie widzieli rudowłosego maga uzdrowiciela o wilczym wyglądzie.

Następnym razem nie zakocham się tak szybko w nieznanym, pomyślała. Następnym razem zdobędę więcej informacji. I zaraz dodała: Nie będzie następnego razu. Uzdrowiciel próbował ją uratować i możliwe, że przypłacił to życiem. Jeśli Adam Wilk nadal żył, to najlepszym sposobem na okazanie mu miłości będzie trzymać się od niego z daleka.

Kiedyś Jenna była na tyle głupia, żeby zapomnieć o przestrodze babci – że przez magiczny znak na karku stanie się celem ataków. Kiedyś była na tyle głupia, żeby myśleć, że może się ukryć przed własnym przeznaczeniem daleko, w przygranicznym miasteczku. Teraz świadomość tego, że na nią polują, sprawiała, że miała ochotę gdzieś się zaszyć i stamtąd nie wychodzić. Skoro znaleziono ją w Delphi, to można ją było znaleźć wszędzie.

Jenna jednak *nie* była osobą, która by się gdzieś zaszyła i stamtąd nie wychodziła. Jeszcze w Delphi, kiedy król Gerard zamordował Rileya i Maggi, nie posłuchała ojca, który prosił, by ukrywała się w pokoju na górze. Zamiast tego zadawała krwawe straty ardeńskiemu garnizonowi.

Teraz król Gerard nie żył, ale Strangward i cesarzowa wciąż stanowili zagrożenie.

Dotknęła magicznego znaku na karku i przypomniała sobie, co powiedziała Rileyowi w dniu, w którym zginął. *Jesteśmy wybrani, ty i ja. Napiżemy własną opowieść.*

Nie chciałyby pisać historii o krecie czy szczurze żyjącym pod ziemią. Moim królestwem jest niebo, myślała. Nawet jeżeli ma to trwać tylko chwilę.

A więc, miała jeszcze możliwość połączenia sił z Zaklinaczem Ognia, jeśli on tego zechce, i nauczania się walki wraz z nim. Zanim Celestyna ich wyśledzi, będą gotowi i znajdą sposób, by wygrać. Jenna poprzysięgła sobie, że żadne z nich już nigdy nie trafi do niewoli.

Odpowiedzi, których potrzebowała, postanowiła szukać u Strangwarda. Teraz to ona będzie ścigać jego i zmusi go, żeby wyjawiał jej znaczenie tego magicznego symbolu i odkrył tajemnice jej przeszłości.

Gdzie on może teraz być? Jeżeli przeżył atak Zaklinacza Ognia na wieżę w Ardencourt, to czy wrócił do Kartezji, czy nadal poszukuje Jenny po całym imperium?

Emisariusz twierdził, że cesarzowa wkrótce przybędzie. Mogła już tu być. Gdy Jenna zamykała oczy i o niej myślała, szukając wizji przyszłości, widziała jedynie sznur statków ciągnący się aż po horyzont.

To sprawiło, że jej misja stawała się bardzo pilna. Miała nadzieję, że rozległe, opustoszałe przestrzenie Północy będą dobrym miejscem do nauki latania, ale nie chciała latać w górach bez porządnego siodła i lepszej kontroli nad swoim wierzchowcem. Nawet gdyby miała jedno i drugie, latanie nad Górami Duchów przy sztormach, które wiały na południe, byłoby ryzykowne. Dlatego posuwali się na północ wzdłuż wybrzeża, licząc na odrobinę szczęścia w tym trudnym terenie.

Tak trafiła do rymarni. Nie było jednak możliwości, żeby zapłaciła rzemieślnikowi żadaną cenę. Zaczynała już myśleć, że będzie musiała wrócić do roli Lyle'a. Albo Toby'ego, Jacka czy Rileya.

Zatrzymała się na targu, ale nie było tam żadnych rymarzy ani kaletników. Kupiła luźną koszulę i spodnie od handlarza starzyzną, a potem łuk od kobiety sprzedającej klanowe wyroby.

Słyszała opowieści o górskich klanach, które żyły na tych niedostępnych terenach. Byli łowcami, zbieraczami, jubilerami, tkaczami, słynącymi z wyrobów ze skóry i z koralików. Dzieła ich rąk cieszyły się uznaniem w całym imperium i klanowi kupcy żądali za nie wysokich cen.

Handlarka za pomocą sznurka z węzełkami zmierzyła wzrost Jenny, długość ramion oraz biceps. Wybrała łuk z wystawy, nałożyła cięciwę i podała Jennie do wypróbowania. Mimo lat ciężkiej pracy w kopalni naciągnięcie cięciwy okazało się dla niej zadziwiająco trudne. Niemniej wyszła ze sklepu z łukiem i kołczanem pełnym strzał.

Gdy przechodziła obok stajni, przyszło jej do głowy, że mogłaby dowiedzieć się o rymarnię w mieście. Przed stajnią stał jakiś kupiec klanowy i rozmawiał z chłopcem stajennym w mowie powszechnej.

Jenna przyglądała się mu z zainteresowaniem. Ten handlarz miał na sobie wąskie skórzane spodnie i wysokie buty, a na wierzchu zimową parkę z futrzanymi obszyciami. Był młody, mniej więcej w jej wieku. Jednak jego rysy twarzy i odcień cery bardziej przypominały mieszkańca Wysp Południowych niż górskich klanów. Falowane włosy w kilku miejscach były splecione w warkoczyki i ozdobione piórami i koralikami, zgodnie z ich zwyczajem.

Handlarz podał chłopcu stajennemu garść monet, zdjął z wieszaka siodło i zaniósł je do stajni.

– Dzień dobry – powiedziała Jenna do stajennego, gdy kupiec się oddalił. – Szukam kogoś, kto robi wyroby ze skóry na zamówienie. Nie znasz kogoś takiego?

Chłopiec spojrzał w kierunku wejścia do stajni.

– Chyba Rogan może ci pomóc. On potrafi zdobyć prawie wszystko... za odpowiednią cenę.

– Myślałam raczej o bezpośrednim kontakcie z kimś, kto robi uprząże – odparła. – To bardzo specjalistyczna robota.

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Jest zakład Darola na...

– Już tam byłam. – Jenna pokręciła głową. – No cóż, zobaczę, co powie ten Rogan.

Weszła do stajni. Jej wzrok dopiero po kilku minutach dostosował się do panujących wewnątrz ciemności. W środku było też dużo cieplej – nie docierał tam rzeński wiatr od oceanu Indio.

Koń kupca stał przywiązany w jednym z boksów. Była to długowłosa przysadzista klacz, jakich używano w górskich klanach. Chłopak masował ją po brzuchu, oglądał kopyta i czule do niej szeptał. Mimo to usłyszał kroki Jenny. Obrócił się tyłem do kuca i natychmiast zacisnął dłoń na rękojeści noża przy pasie. Przeciwwagą dla jego swobodnej postawy było nieufne spojrzenie przymrużonych oczu i wyczuwalne w ruchach napięcie.

– Przepraszam – powiedziała Jenna. – Nie chciałam was przestraszyć. Jestem Riley.

Otaksował ją wzrokiem, jakby próbował połączyć to imię z jego właścicielką i mu się nie udało.

– Jestem Rogan. – Jego dłoń pozostawała na nożu.

– Rozumiem, że jesteście kupcem?

– Zgadza się. – Jak na kupca był mało uprzejmy. Na ogół byli to mistrzowie wyciągania od ludzi pieniędzy. On zaś wydawał się niezainteresowany zawarciem transakcji.

– Szukam kogoś, kto robi produkty skórzane na zamówienie. Znacie kogoś takiego?

– Jest warsztat rymarski na...

– Byłam tam – przerwała mu Jenna. – Dlatego teraz pytam was.

Przez twarz kupca przemknęło coś w rodzaju uśmiechu. Obszedł kuca, tak że teraz patrzył na Jennę ponad jego grzbietem, i wrócił do masowania zwierzęcia.

– Wszystkie moje źródła znajdują się na północ od granicy – oznajmił.

– Rozumiem – stwierdziła. – Tak się składa, że jadę na północ. Moglibyście mnie do kogoś skierować?

– Robią interesy tylko ze mną – odparł Rogan, rozkładając na grzbiecie konia barwny klanowy pled. Na to nałożył siodło. Najwyraźniej szykował się do odjazdu.

Jenna traciła cierpliwość. Była zmarznięta, głodna i już zbyt wiele czasu spędziła z dala od Zaklinacza Ognia. Pod jej nieobecność mógł zrobić coś głupiego. Albo, co gorsza, zacząć jej szukać.

– Dobrze – powiedziała przez zaciśnięte zęby. – Dziękuję za poświęcony mi czas. Poszukam kogoś, kto zechce zarobić po drugiej stronie granicy.

Gdy już się odwróciła, handlarz powiedział:

– Zaczekaj.

Ponownie stanęła na wprost niego.

– Co?

– Czego właściwie potrzebujesz?

Przewracając oczami, podała mu swój rysunek.

On chwilę przyglądał się temu, marszcząc czoło, a potem podniósł głowę i powiedział:

– Jesteś pewna?

– Nie ma sprawy. – Jenna wyciągnęła rękę. – Widzę, że tracę czas.

– Rozmowa ze mną nigdy nie jest stratą czasu – odrzekł Rogan. – Dokąd jedziesz po przekroczeniu granicy?

– Brama Duchów, na początek – stwierdziła, nie chcąc ujawniać zbyt wielu informacji.

– Obecnie to niebezpieczne miejsce – zauważył.

– Każde miejsce jest niebezpieczne.

Przytaknął ruchem głowy.

– A potem?

– Jeszcze nie wiem.

– Jeśli jeszcze nie wiesz, to może jedź do Fortecznych Skał.

Jenna skrzyżowała ręce na piersi, czekając na kolejną propozycję.

– A czemuż to miałabym tam jechać?

Uśmiechnął się, jego zęby zaśniły w ciemnościach.

– Bo ja tam jadę, tylko najpierw odwiedzę kilka miejsc.

– Nie szukam towarzysza podróży – powiedziała, a w duchu pomyślała: Już mam jednego, który wystarczy mi aż nadto.

– To dobrze, bo ja też nie. Ale znam kogoś niedaleko Fortecznych Skał, kto mógłby to zrobić. I to szybko.

– Dobrze wiedzieć. Ale to poza moim szlakiem. Wolę trzymać się blisko wybrzeża. Jak nie znajdę tego, czego potrzebuję, zanim dotrę do Bramy Duchów, wtedy może ruszę na zachód.

– Rymarka, o której mówię... jeżeli zależy ci na jakości, ona będzie najlepszym wyborem. – Pomachał jej kartką. – Ja chyba dojadę tam wcześniej.

Nie, jeżeli nie polecisz na smoku, pomyślała Jenna.

– Złożę zamówienie i kiedy tam dotrzesz, będzie już gotowe. – Wsunął rysunek do kieszeni i wsiadł na konia. – Do zobaczenia w Fortecznych Skałach.

– Hej, oddaj mi to! – Jenna pobiegła za nim, ale kuc już się oddalał. – Nie zgodziłam się.

– Pytaj o mnie w tawernie Pod Zimnym Księżycem w Fortecznych Skałach! – krzyknął Rogan przez ramię. – Tam będą wiedzieli, gdzie mnie znaleźć.



DROGA DONIKĄD

Kiedy Breon zgodził się wrócić do Zatoki Bastońskiej, Aubrey zaczęła nalegać, żeby ruszyli prosto na wschód do wybrzeża i tam znaleźli jakiś statek odpływający z Kredowych Klifów. Twierdziła, że to będzie bezpieczniejsze niż podróżowanie główną drogą przez górskie przełęcze do Delphi, a potem na wschód nad morze. Te granice na pewno będą strzeżone.

Może ta trasa była bezpieczniejsza, a może nie. Oznaczała podróż przez Fells, gdzie Breon czuł się, jakby miał na plecach wielką tarczę strzelniczą.

Poza tym wybrana trasa nie należała do łatwych – nazywanie jej drogą było sporą przesadą. Był to raczej szlak biegnący przez góry. Breon i Aubrey wychowywali się w mieście i nie przywykli do takich trudnych przepraw.

Podróż z Zatoki Bastońskiej do Fellsmarchu w wozie z rybami trwała cztery dni. Chociaż Kredowe Klify w linii prostej były bliżej, dotarcie tam trwało dużo dłużej. A może tylko Breonowi tak się wydawało, bo większą część pierwszej podróży spędził w przyjemnym stanie upojenia zieleń. Teraz, kiedy gromadził i przechowywał zapasy, i prawie całą drogę wędrował, była to prawdziwa udręka.

Dotknął medalionu Jej Wysokości. Wciąż wisiał na łańcuszku na jego szyi, obok wisiorka, który pozostał mu po ojcu. Wiedział, że powinien zrzucić ten medalion ze skały przy

drodze, ale tego nie zrobił. Mówił sobie, że może uda mu się znaleźć sposób, by odesłać go jej rodzinie.

Od czasu do czasu zastanawiał się, czyby go nie sprzedać i ile ziela mógłby za to kupić. I jak szybko znaleźliby go niebiescy.

Na drodze między Fellsmarchem a Kredowymi Klifami rzadko trafiała się okazja podwózki. O tej porze roku ruch tutaj był niewielki – jeśli nie liczyć żołnierzy i niebieskich jeżdżących w obie strony. Domyślał się, że chętnie by go zabrali, ale prawdopodobnie nie zawieźliby tam, dokąd by chciał.

Na początku Breon i Aubrey nocowali w gospodach, ale w dwóch ostatnich widział swój portret powieszony nad barem wraz z ofertą nagrody za schwytanie go żywego, a do tego ostrzeżenie, że jest zdesperowany i niebezpieczny.

Ten rysunek nie oddawał podobieństwa – Breon wyglądał na nim jak szemrany zakapior – ale szkic dzafasy był niezwykle szczegółowy i zgodny z rzeczywistością. Aubrey kilka razy próbowała go namówić, żeby porzucił instrument. Zazwyczaj potrafiła go nakłonić do wszystkiego, ale nie do tego. Dżafasa należała do jego taty, chociaż Breon nie potrafiłby stwierdzić, skąd to wie. Ona i połamany wisiołek były wszystkim, co mu zostało po ojcu. Nie znaczyło to wcale, że go pamiętał.

Podczas podróży Breon zamienił się ubraniami z napotkanym pasterzem, który potrzebował czegoś wytwornego na święto. Za eleganckie ciuchy dostał gruby wełniany kaftan, bryczesy i czapkę, które bardziej się nadawały na podróż zimą, ale wyglądał w nich jak rolnik, który zgubił swoją trzodę w drodze na targ. Wciąż się podpierał laską, licząc na to, że dzięki temu inni podróżni chętniej ich podwiozą.

Najczęściej zabierano ich, kiedy Aubrey stawała przy drodze sama. Gdy ktoś już się zatrzymał, wtedy Breon wychodził z ukrycia i wraz z nią wchodził na wóz.

Prawie wszyscy, których spotykali po drodze lub w tawernach, podróżowali w przeciwną stronę. Ci, którzy oferowali im podwózkę, zwykle jechali niedaleko, i wysadzali ich gdzieś w szczerym polu.

Gdyby Breon miał zwinniejsze dłonie, spróbowaliby zwędzić coś, co pomogłoby mu odnaleźć pieśń woźnicy. Sam jego głos nie wystarczał, by właściciel wozu zawiózł ich bezpośrednio do celu.

Podróżowali zatem z przerwami, częściowo pieszo. Kiedy słyszeli, że coś nadjeżdża, Breon się ukrywał. W pobliżu wschodniej przełęczy wiatr zrobił się zimniejszy, warstwa śniegu grubsza, i chłopak zdał sobie sprawę, że piesza wędrówka do Kredowych Klifów chyba nie była najlepszym pomysłem.

Ostatni woźnica wysadził ich przy niewielkich rozstajach w wąwozie między dwoma pasmami górskimi.

– Naprawdę chcecie nas tu zostawić, w takim szczerym polu? – powiedziała Aubrey, trzepocząc rzęsami.

– Forteczne Skały są o tam. – Mężczyzna wskazał boczną drogę w lewo. – Może ktoś podwiezie was dalej.

Skręcił w prawo i wkrótce zniknął z widoku.

Ruszyli więc w kierunku miasta.

Breon nie chciał się wspinać przez kolejne przełęcze. Ponieważ miał w kieszeni drobne, pomyślał o wynajęciu wozu, którym dojechaliby już do końca. To mogła być ich ostatnia szansa. Wszyscy mówili, że między nimi a morzem są już tylko góry.

Miał nadzieję, że w górach przed nimi jest droga przejezdna dla wozów.

– Umiesz prowadzić wóz? – zwrócił się do Aubrey.

To było jak przecinanie wrzodu.

– Skąd miałabym umieć? – burknęła. – Czy wyglądam na kogoś, kto kiedykolwiek miał konia? Zresztą nawet gdybym umiała, to gdzie mielibyśmy go wynająć? I po co ciągle taszczysz ze sobą tę kupę drzazg? Jak ktoś to rozpozna, od razu cię zamkną.

– Już ci mówiłem, naprawię ją. Jak inaczej będziemy zarabiać na życie w Zatoce Bastońskiej?

Nabrała w płuca powietrza i wypuściła je, jakby pozbywała się gniewu.

– Damy sobie radę – powiedziała. – Jak tylko dotrzemy do zatoki, uruchomię swój plan.

Jak zawsze nie wyjaśniała dokładnie, co to za plan. Breon nie chciał zostać wciągnięty w coś, przez co zwróciłyby na siebie uwagę niebieskich.

– Myślę, że powinniśmy się przyczaić na jakiś czas, póki to się nie uspokoi.

– Zamordowałaś księżniczkę, Bree – syknęła Aubrey. – To się nie uspokoi.

– Nieprawda – zaprzeczył zdecydowanie. Czemu ona wciąż to powtarza?

– I myślisz, że dobrym sposobem na przyczajenie się jest stać na ulicach i grać? Czyli robić to, przez co wpakowałaś się w te kłopoty?

– A masz lepszy pomysł?

– Tak – odparła i szła dalej.

Może ma rację, pomyślał Breon, ale ona pierwsza zacznie narzekać na pusty żołądek. Aubrey była niespokojna i wnerwiająca, odkąd opuścili Fellsmarch, ale w końcu znajdowali się w niespokojnej i wnerwiającej sytuacji, więc jej zachowanie wydawało się zrozumiałe. W jakiejś mierze. Zupełnie jakby obwiniła Breona o to, co stało się z Fancierem i Gąsiorem, chociaż to nie był jego pomysł.

Kawałek dalej był zakręt i zaraz za nim Aubrey gwałtownie się zatrzymała.

– Na krew męczenników – mruknęła.

Breon podszedł do niej. Przed nimi znajdowała się brama, a obok strażnica. Wyglądały na niedawno wzniesione. Za późno już było, żeby się cofnąć: zostali zauważeni i wybiegli do nich żołnierze w nakrapianych mundurach. Breon już dawno się przekonał, że próba ucieczki jest jak przyznanie się do winy. Chwyił więc Aubrey za rękę i ruszyli przed siebie.

Kiedy doszli do bramy, jeden z żołnierzy burknął:

– Jak się nazywacie i po co idziecie do Fortecznych Skał?

Aubrey wybuchnęła płaczem.

– Nie bój się, siostrzyczko. – Breon poklepał ją po ramieniu. – Oni nas nie skrzywdzą.

Aubrey zaszlochała jeszcze głośniej. Była najładniejszą beksą, jaką Breon widział. Nie jak te zasmarkane, zaczerwienione dziewczyny z opuchniętymi oczami.

– Co jej się stało? – zapytał jeden z żołnierzy. Krzepki brodaty mężczyzna z płaskim nosem wyciągnął chusteczkę i podał ją dziewczynie.

– Moja siostra i ja jesteśmy z Bramy Duchów, przy granicy – powiedział Breon, patrząc Płaskonosowi prosto w oczy. – Przyszli tam błotniści i... oni... – Urwał i otarł łzy rękawem. – Nasz dom spłonął, cała rodzina nie żyje. Idziemy więc do Kredowych Klifów... mamy tam krewnych.

Żołnierze spoglądali po sobie.

– Ciekawe, czy to te same dranie co tutaj – powiedział jeden z nich.

– Tutaj też byli błotniści? – Breon przerzucał wzrok z jednego na drugiego. – Kiedy?

– Pod koniec lata – odparł Płaskonos.

– To chyba mniej więcej wtedy – powiedział Breon. Popatrzył na Aubrey, która pokiwała głową, chlipiąc głośno.

– Mamy tylko to, co na sobie – stwierdziła Aubrey. – Myślicie, że tu, w mieście, znajdziemy jakąś pracę? Musimy coś zarobić, żeby wynająć transport na wybrzeże.

– Na pewno znajdzie się jakaś robota przy budowie – powiedział Płaskonos, obrzucając Breona sceptycznym spojrzeniem. – Trzeba odbudować większość miasta. Ale niełatwo będzie znaleźć transport. O tej porze roku, i to zaraz po święcie, mało co tędy jeździ.

W końcu żołnierze zrobili na nich zrzutkę i wpuścili ich do miasta.

Kiedy minęli bramę, Breon zerknął na Aubrey. Ona mrugnęła do niego i szepnęła:

– A nie mówiłam? Nie mówiłam, że dobrana z nas para?

To go podniosło na duchu. Równocześnie nie dawała mu spokoju myśl, czy nie powinien się martwić tym, że kłamanie

przychodzi mu tak łatwo.

Dobrze, że przy bramie ich ostrzeżono, bo kiedy w końcu wyszli z za ostatniego zakrętu i zobaczyli miasto, stanęli jak wryci.

– A niech mnie! – szepnął Breon.

Duża część budynków leżała w gruzach, prawie wszystko było spalone lub zniszczone, w powietrzu wciąż unosił się zapach spalenizny. Twierdza została niemal całkowicie zburzona, pozostały tylko wieże sterczące niczym zęby na tle gór. Czyżby to od tej fortecy miasto wzięło nazwę?

Balustrady były poowijane kirami i świątecznymi girlandami. Na niektórych drzwiach obok świątecznych stroików wisały kokardy. Jak mówił Płaskonos, nieliczne budynki odbudowywano.

Przy drodze prowadzącej do miasta minęli nową świątynię, przed którą znajdowały się świeże kamienie pamiątkowe.

Jeśli pominąć zniszczenia miasteczka, dolina była przyjemnym miejscem – pełnym gejzerów i gorących źródeł. W porównaniu z górskimi przełęczami, które Breon z Aubrey zostawili za sobą, powietrze tutaj wydawało się niemal kojące.

Jednym z odbudowanych budynków była tawerna Pod Zimnym Księżycem. Wynajęli w niej pokój – założyli, że nie dociera tam wielu podróżnych z informacjami ze stolicy. Zjedli porządny posiłek i Breonowi udało się zdobyć małą dawkę niskiej jakości ziela. Aubrey była miłsza i pogodniejsza niż kiedykolwiek od tamtej nocy z jego ulicznym występem. W sumie wszystko zaczynało wyglądać bardziej optymistycznie.

Do chwili, kiedy zaczęli szukać transportu do Kredowych Klifów.

Nie chodziło o brak uroku – ich para zbajerowałaby samego diabła. Problemem było to, że przez miasteczko przejeżdżało niewielu ludzi i nikt z nich nie jechał tam, dokąd chcieli. Przybysze albo zostawali w Fortecznych Skałach do wiosny, albo wracali do Fellsmarchu, albo nie mieli miejsca na wozie.

Dobrze, że gospoda była tania, bo w rezultacie utknęli tam na dwa tygodnie. Breon chciał śpiewać wieczorami i zbierać pieniądze do kapelusza, ale Aubrey przekonała go, by tego nie robił.

W końcu szczęście się do nich uśmiechnęło – w gospodzie spotkali klanowego kupca. W każdym razie kogoś ubranego jak jeden z nich. Był ponury jak zaraza, oczy miał jak okna z widokiem na miejsca, do których nikt nie chciałby trafić. Breonowi wydawało się, że skądś go zna, ale świat pełen jest ludzi podobnych do innych, którzy wprowadzają nas w błąd. Poza tym Aubrey twierdziła, że nigdy go nie widziała.

Liczyło się tylko to, że jechał wozem aż do Kredowych Klifów.

Kupcy zazwyczaj byli chętni do współpracy – gotowi z każdym robić interesy – ale ten nie. Nie chciał z nimi rozmawiać, dopóki Breon nie pokazał mu pieniędzy, i dopiero wtedy pozwolił im przedstawić swoją sprawę. W końcu zgodził się ich zabrać, ale pod jednym warunkiem.

– Czekam na kogoś – powiedział. – I nie mogę wyjechać, póki ona nie przybędzie.

– Ona pojedzie z nami?

– Nie. – Nie wyjaśnił nic więcej.

– Kiedy ma przybyć?

Kupiec wzruszył ramionami.

– Może za kilka dni, a może za tydzień.

Musieli więc czekać kolejny tydzień, wydając forszę na noclegi i jedzenie i znowu uszczuplając zapasy ziela. Gdyby tego ostatniego zabrakło, nie byłby to koniec świata. Breon mógł rzucić ten nałóg w każdej chwili, ale nie w tej sytuacji. Bo jak tu obejść się bez ziela, kiedy człowiek jest taki zestresowany?



FORTECZNE SKAŁY

Obudził ją dźwięk kruszonych kości i rozdieranego mięsa. Docisnęła dłonie do uszu, przeklinając swój ostry smoczy słuch. Mimo że miała wielką ochotę pozostać tu, gdzie była zagrzebana w posłaniu, podpełzła ku wyjściu i wysunęła głowę z namiotu. Poczowała metaliczny zapach krwi.

Zaklinacz Ognia podniósł łeb znad na wpół zjedzonego truchła. Strzępy mięsa zwisały mu ze szczęk, pysk miał umazany krwią. Leżał pośrodku wielkiej połaci ziemi, na której śnieg się roztopił, jego łuski błyszcząły w porannym słońcu. Wyglądał na zadowolonego.

Podniósł przednią łapę, jakby oceniał, ile jeszcze zostało, po czym spojrział na Jennę. *Poczęstować?*

– Zależy, co masz. – Jenna wstała, potupała po śniegu, żeby pobudzić krążenie, i pomasowała sobie pośladki. Podeszła do smoka akurat w chwili, kiedy wypluwał kłak wełny.

Wyglądało na to, że na śniadanie jadł owcę z gatunku smukłych, hodowanych w górach. Miała w uchu skórzaną przywieszkę.

– To inwentarz jakiegoś hodowcy – skarciła go Jenna, lecz bez przekonania. Lepsza owca niż czyjeś dziecko.

In-wen-tarz? Zaklinacz Ognia popatrzył na szczątki zwierzęcia. *Wygląda jak koza.* Podsunął jej kawałek karku. *Dla ciebie.*

Jennie ślinka napłynęła do ust. Po tygodniach podróżowania ze smokiem polubiła krwiste mięso. To był jeden z punktów na długiej liście rzeczy, o których nie chciała myśleć. Jak Adam Wilk. I błyszczące łuski pojawiające się i znikające na jej skórze. I to, że strzelanie z łuku jest trudniejsze, niż się wydaje. Może powinna spróbować strzelać płomieniami z ust.

– Nie mam czasu na pieczenie mięsa, Ogniku – powiedziała, używając zdrobnienia, które wymyśliła, kiedy „Zaklinacz Ognia” wydało jej się zbyt długie i oficjalne. Żuła czerstwy kawałek chleba podróznego.

Smok parsknął. Według niego chleb podróżny nie był posiłkiem, a gotowanie rujnowało dobre mięso. Jedną łapą docisnął część owcy do ziemi i omiółł go wiązką ognia, przypalając z wierzchu.

Popatrzył na dziewczynę z radością. *Teraz zrujnowane.* Przesunął mięso w jej stronę i uśmiechnął się tak, jak potrafią to tylko smoki. Serce Jenny od razu zmiękło, jak zawsze.

Rozniósł się smakowity zapach pieczeni. Jenna oderwała kawałek wielkości pięści i owinęła ją chlebem podróznym.

– Muszę iść do miasta.

Ognik poderwał głowę, las rogów na jej czubku zagrzecotał, kiedy kładł ją z powrotem.

– Bez obawy. Wrócę.

Podejrzliwie przekrzywił łeb.

Dwa tygodnie wcześniej w nagłym porywie wyrzutów sumienia Jenna postanowiła rozstać się z Zaklinaczem Ognia. Zaczęła rozumieć, że budując więź ze smokiem słońca, naraża go na niebezpieczeństwo. Ci, którzy na nią polują, będą musieli go zabić, żeby do niej dotrzeć. Nie miała wątpliwości, że będą do tego zdolni.

Okazało się jednak, że nie tak łatwo wypuścić smoka na wolność. Kiedy to zrobiła, Ognik uznał to za żart (i to nie najlepszy). Z uporem go odsyłała, ale on ciągle wracał, przynosząc jej w darze martwe króliki, kurczaki i błyszczące kamienie, prosząc o przebaczenie czegoś, czym zasłużył sobie na wygnanie. Kilka razy próbowała uciec niezauważenie, a on

zawsze traktował to jak zabawę w chowanego. Udało jej się zniknąć najwyżej na pół dnia. Kiedy ją znalazł, oboje już umierali z tęsknoty i następnego dnia obiecywała mu, że nigdy więcej tego nie zrobi.

– Na razie! – zawołała wesoło, wstając.

Smok opuścił głowę, co wyglądało niemal komicznie. Spojrzał na nią złotymi oczami. *Podwiozę Jennę?*

– Tutaj nie przywykli do smoków – odparła. – Jak ktoś cię zobaczy, będą z tego kłopoty. Proszę, zostań. Prześpij się albo coś, dobrze?

Polować w mieście?

Przez krótką smakowitą chwilę Jenna wyobraziła sobie, jak sprowadza Ognika do miasta i przedstawia go Roganowi, temu aroganckiemu kupcowi.

Ale nie. Smok był jak duży imponujący miecz, jakiego nigdy nie będzie miała.

– Nie, chcę kupić... trochę błyskotek dla ciebie i dla mnie. To niespodzianka. Tylko musisz tu zostać.

To załatwiło sprawę. Smok opadł na brzuch i wyciągnął szyję na tyle, żeby posłać jej ujmujące spojrzenie spomiędzy rzęs.

Zaklinacz Ognia, jak zdążyła zauważyć, miał słabość do błyskotek i niespodzianek. Ta kombinacja była jedynym, co mogło dla niego spełniać funkcję nagrody, oprócz jedzenia i towarzystwa Jenny. Jego wierność nie ulegała wątpliwości. Posłuszeństwo natomiast było wątpliwe.

– Jak wrócę, polecimy na wybrzeże – powiedziała. Czowała na sobie jego spojrzenie, póki nie zniknęła mu z oczu za zakrętem.

Smok to nie pies, powtarzała sobie. Nie był też koniem, dlatego musiała iść do miasta pieszo stromym, śliskim szlakiem prowadzącym z gór.

Forteczne Skały to punkt strategiczny, przez który głębokim wąwozem przepływała rzeka o nazwie Ognista Jama, kierująca się do morza. Biegła tędy droga między Fellsmarchem a Kredowymi Klifami, więc gdyby ktoś chciał zatrzymać armię, powinien to zrobić w tym miejscu. Najwyraźniej kiedyś był to

ważny posterunek wojskowy, ale teraz większość fortyfikacji leżała w gruzach.

Gdy Jenna zeszła do wąwozu, poczuła, że było tu dużo cieplej. Lód znikł, grunt zrobił się błotnisty, przydrożne kamienie pokrywał mech, rosły tam też inne rośliny, których nie rozpoznawała. Gdy się zbliżała do dna wąwozu, widziała przebłyski tafli rzeki. Tam, gdzie woda z gorących źródeł mieszała się z zimniejszą spływającą z gór, unosiły się smugi pary. Wyglądało to jak ciepła oaza w skutym lodem świecie.

Kiedy podeszła bliżej, zorientowała się, że ta przystań wcale nie jest spokojna. Większość budynków była zburzona i spalona i tylko niektóre przetrwały lub zostały odbudowane, tak że nadawały się do użytku. W całym mieście czuć było krew i spaleniznę. Czy ta rymarka, którą polecił Rogan, wciąż tu jest? Czy sam kupiec w ogóle się tu zjawi? Może to był tylko okrutny żart z jego strony?

Skoro jednak dotarła aż tutaj, musiała iść dalej. Jeżeli zadałam sobie tyle trudu, żeby tu przybyć, a tego handlarza tu nie będzie, wysłedzę go i zrobię tę uprząż z jego skóry, pomyślała ze złością.

Każda oaza przyciąga przybyszów najróżniejszego autoramentu i ta nie była wyjątkiem. Jenna od wielu dni nie widziała ludzi, a tutaj główna ulica była pełna koni, wozów i przechodniów – kupców, woźniców, żołnierzy i podróżnych, prawdopodobnie czekających na zmianę pogody. Z koszy na gankach zwisały kwiaty, zraszane przez gęstą mgłę.

Forteczne Skały? Nazwa jakoś nie pasowała do tego miejsca. Jenna zastanawiała się, jak długo uda jej się pozostać niezauważoną. Prawdopodobnie nie bardzo długo, skoro w okolicznych górach czekał na nią niecierpliwy smok. Jeżeli szybko do niego nie wróci, on może przybyć jej szukać.

Odwiedziła kilka bibliotek świątynnych, próbując dowiedzieć się czegoś o smokach, lecz nie znalazła wielu informacji. Nie poznała historii smoków, które żyły na terenie Siedmiu Królestw. Jedyne wzmianki, na jakie natrafiła, dotyczyły Kartezji. Wydawało się, że stworzenia te były dość powszechne

w odległych rejonach Kartezji, gdzie polowały na owce, bydło i ludzi, i ogólnie uprzykrzały wszystkim życie.

Nie było żadnych ksiązek o opiece nad smokami ani na podobne tematy.

Tawernę Pod Zimnym Księżycem dało się znaleźć bez trudu. Sprawiała wrażenie popularnego miejsca na głównej drodze – goście dosłownie wylewali się na werandę i ulicę. Było to raczej nieokrzesane towarzystwo, ale dla kogoś, kto wychowywał się w Delphi, nie stanowiło to problemu.

Jenna siłą rzeczy pomyślała o Łaskawej Pani, gospodzie swojego taty, która przez wiele lat była jej domem i schronieniem. Czy nadal znajdowała się tam karczma, czy Północni przejęli lokal po upadku miasta? To było bez znaczenia. I tak bez jej ojca stojącego za barem to miejsce nie będzie już takie samo.

Wszystkie stoliki w Zimnym Księżycu były zajęte. Jenna rozejrzała się, szukając Rogana, ale go nie znalazła. Spojrzała jeszcze raz, tym razem po to, by zidentyfikować ewentualne zagrożenia. Przy jednym ze stolików siedziała grupka żołnierzy, najwyraźniej już po paru głębszych, chociaż dopiero minęło południe. Mieli na sobie brązowo-zielone mundury armii Północy. Po tej stronie granicy będzie musiała do tego przywyknąć.

Przy innym stoliku siedziała rodzina klanowców. Ubrani w futra, skóry, pióra i porządne buty – nawet dzieci. Prawdopodobnie kupcy w drodze z jednej kolonii do drugiej.

Stolik z tyłu zajmowała para młodych ludzi. Sądząc po ich energicznej gestykulacji, o coś się spierali. Dziewczyna była ładna i zgrabna, ale wyraźnie czymś wzburzona. Chłopak zaś – przystojny, z twarzą o delikatnych rysach i z rudozłotymi włosami, które lśniły w świetle paleniska. Był jednak tak chudy, że Jenna zaczęła się zastanawiać, czy nie cierpi na bronchit.

Pytaj o mnie w tawernie Pod Zimnym Księżycem w Fortecznych Skalach. Przecisnęła się więc do baru i zamówiła piwo.

Oberżysta głośno postawił przed nią kufel na drewnianym blacie i powiedział:

– Nie jesteś stąd.

Cholera. To jedno z tych miejsc, gdzie zauważają każdego obcego.

– Przejazdem – odparła. – Chciałam się tu spotkać z jednym kupcem, nazywa się Rogan.

Barman przez chwilę wyglądał na zaskoczonego, ale po chwili odzyskał rezon.

– A, chodzi ci o Cienia. Tu, na Północy, używa imienia Tancerz Cieni.

Używa więc dwóch imion, pomyślała Jenna. Wcale mnie to nie dziwi.

Widocznie ta myśl ujawniła się na jej twarzy, bo oberżysta dodał:

– To jego imię klanowe. Nie używa go na Południu.

No tak. Jeśli chodzi o używanie różnych imion, Jenna była mistrzynią świata.

– A czy jest teraz w mieście?

To pytanie wywołało zaniepokojenie na twarzy mężczyzny.

– Nie wiem. Poślę chłopaka, żeby o niego wypytał. A kto go szuka?

– Chyba nie będzie pamiętał mojego imienia – powiedziała Jenna – ale jestem Riley.

Kiedy czekała, zwolniło się miejsce przy jednym ze stolików, więc usiadła plecami do ściany.

Niedługo potem w drzwiach pojawił się Rogan / Tancerz Cieni. Zauważył ją, ale podniósł palec, dając znak, by poczekała, póki nie porozmawia z parą przy sąsiednim stoliku.

– W porządku – powiedział do nich. – Osoba, na którą czekałem, już tu jest, więc jutro rano ruszam na wybrzeże. Możecie się ze mną zabrać, jeśli będziecie siedzieć cicho i robić, co każę.

Dziewczyna chyba miała ochotę się spierać, ale chłopak szybko pokiwał głową i powiedział:

– Dobrze. Załatwione.

Wtedy kupiec podszedł do Jenny i usiadł.

– Witamy w Fortecznych Skałach. Tu, na Północy, zwań mnie Tancerz Cieni.

– Słyszałam.

– Przybyłaś szybciej, niż się spodziewałem.

– Czy to znaczy, że moje zamówienie nie jest gotowe? – Jenna uniosła brew.

– Tego nie powiedziałem.

Czekała na wyjaśnienie, które jednak nie nastąpiło.

– Czyli jest gotowe? – pytała dalej.

Przytaknął.

– Tak. Mówiłem, że ona sobie z tym poradzi.

– Co byś zrobił, gdybym się nie zjawiała?

– Wiedziałem, że się zjawisz, wcześniej czy później.

Jenna zacisnęła zęby. Złościł ją ten arogancki kupiec, ale hamowała emocje. Musiała doprowadzić sprawę do końca, a potem zniknąć.

– No to jak, mogę to zobaczyć? Trochę mi się spieszy.

– Jasne. – Wstał. – Wróblica jest w drodze do miasta. Spotka się z nami w stajni niedaleko.

Jenna wyszła za nim z gospody i ruszyła dalej chodnikiem, niepewna, czy nie jest prowadzona w zasadzkę.

– Czy ta rymarka to twoja stała dostawczyni? – zapytała.

– Będzie nią – odparł. – Kilka lat pracowałem z jej siostrą, a teraz Wróblica ją zastępuje.

Stajnia wyglądała na ni mniej, ni więcej, tylko stajnię, i była w nie najlepszym stanie.

– Zaczekaj – powiedział Cień i zniknął wewnątrz.

Jenna podeszła do okna, by podsłuchać ich rozmowę, co umożliwiał jej smoczy słuch.

– Jest tutaj? – mówił kobiecy głos, młody, nieco wystraszony. – Myślałam, że to będzie w przyszłym tygodniu.

– Naprawdę szybko przybyła – przyznał kupiec. – Pokaż, co zrobiłaś.

Jenna usłyszała kroki, a kiedy dziewczyna znowu się odezwała, głos dobiegał już z większej odległości.

– Użyłam takich wymiarów, jakie mi podałeś, ale nie wiem, czy czegoś nie pomyliłam.

– Wróblica! – zawołał Cień z nutą podziwu w głosie. To było coś, czego Jenna się po nim nie spodziewała. – To jest niesamowite! Gdybym nie wiedział, pomyślałbym, że to Topola...

– Nie – przerwała mu dziewczyna. – Jej nikt nie dorówna.

– A jak tam dzieci? – zapytał.

– Mags ciągle dużo płacze, ale bliźniaki zaczynają zapominać. Były takie małe, kiedy ją zabili. Staram się ciągle dawać im coś do roboty.

– To znaczy, że masz dużo pracy? Macie co jeść? – Cień był kimś innym niż Rogan, kimś z sercem.

– Aż za dużo pracy, jak mówią dzieciaki – zaśmiała się dziewczyna. – Chociaż jestem młoda, wszyscy wiedzą, że Topola mnie uczyła, a tylu naszych najlepszych rzemieślników zostało zabitych. Nie mam wiele czasu na polowanie, ale Paproć nas zaopatruje.

– To dobrze – skwitował. Znowu się poruszali, ich głosy przybliżały się do Jenny. – Klientka jest na zewnątrz. Nie dajmy jej dłużej czekać.

Jenna odsunęła się od okna akurat w chwili, gdy Rogan wyszedł na podwórze w towarzystwie dziewczyny z klanu w wieku dwunastu, może trzynastu lat.

– Jestem Wróblica – przedstawiła się dziewczyna poważnym tonem.

– A ja Riley – odparła Jenna. – Czy... to ty jesteś tą rymarką?

– Tak, to ja. Nie martwcie się. Wiem, co robię. Pracowałam z siostrą, odkąd skończyłam trzy latka. – Staranność, z jaką używała mowy powszechnej, świadczyła o tym, że nieczęsto mówiła w tym języku.

– Nie to mnie... – Jenna zamilkła, bo właśnie to ją martwiło.

– Zamówienie gotowe. Pokażę wam.

Wróblica poprowadziła Jennę na koniec rzędu boksów, gdzie jeden został przerobiony na warsztat prezentujący wodze, pasy,

torby i inne wyroby skórzane. Pachniało tam skórą, co wywołało u Jenny wspomnienia z warsztatu Fletchera.

Na ławce leżał duży tobolek owinięty skórą, a obok niego najbardziej kunsztowne siodło, jakie Jenna kiedykolwiek widziała. Wyściełane owczą wełną, lekkie, ale na tyle solidne, by dawać dobre oparcie podczas lotu.

– Zrobiłam takie wymiary, jakie dostałam, i ozdobiłam zgodnie ze wskazówkami – powiedziała Wróblca. – Cień mówił, że to dla... gryfa.

– Racja – skłamała Jenna. – Jedyne na wolności. Jestem z cyrku.

Wróblca zachowywała kamienną twarz i neutralny ton, nie okazując sceptycyzmu, jakby zlecenia dla gryfów były jej chlebem powszednim.

Rozwinęła skórzane zawiniątko.

– A tutaj... to reszta wyposażenia, uzda i wodze, kurta i spódnica.

Kurta była krótka, podszyta owczą skórą i zaimpregnowana. Nie była to zbroja, ale Jenna liczyła na to, że będzie chronić przed zimnem i wiatrem, a jednocześnie zapewniać swobodę ruchów. A spódnica z rozcięciami będzie osłaniać i trochę grzać jej nogi, mniej więcej tak, jak ochraniacze na spodnie. Miała taką nadzieję.

– Zawsze sprawdzam dwa razy – powiedziała Wróblca – ale i tak powinniście przymierzyć. A co do uprzęży, mogę przymierzyć i zrobić ewentualne poprawki, zanim...

– Nie, nie trzeba – przerwała jej Jenna. – Zostawiłam gryfa na wybrzeżu z resztą cyrku. Nie da się przeprowadzić cyrku przez wąwóz.

– Nie mogłaś tu na nim przylecieć? – zapytał Cień.

– A, nie. Wolałam nie ryzykować bez uprzęży. No i on jest na specjalnej diecie. – *Przestań już*, skarciła się w myślach. *Nie przesadzaj.*

– No to jak zanieziesz to wszystko nad morze? – drążył Cień. Przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć.

– Yyy... ja... myślałam, że może wynajmę jakiś wóz i...

– Akurat jadę teraz do Kredowych Klifów – oznajmił. – Może się przyłączysz? Zabierzemy ten twój sprzęt.

Był za bardzo usłużny. Jenna nieźle umiała kłamać, ale zwykle robiła to w drobnych codziennych sprawach, a nie na temat gryfów, smoków i tym podobnych. Postanowiła, że w przyszłości będzie się trzymała tego, co najważniejsze.

– Rozliczmy się teraz, a resztą sama się zajmę – powiedziała. – Ile jestem winna?

Wróbleca spojrzała na Cienia, a ten skinął głową. Jego ciemne, podejrzliwe oczy skupiły się na Jennie. Rymarka podała cenę i Jenna odliczyła pieniądze.

Mam nadzieję, że to warte tej ceny, myślała, idąc z powrotem do miejsca swojego noclegu z nowymi nabytkami przerzuconymi przez ramię. Jak nie będę musiała tak skupiać się na tym, żeby nie spaść, może zdołam się zająć pilotowaniem.

Co do walki z cesarzową, mam przeczucie, że będzie nam potrzebna każda możliwa pomoc.



TRUDNA DROGA NA WYBRZEŻE

Podróż z kupcem zaczęła się nie najlepiej. Breon miał nadzieję, że będzie jechał z tyłu wozu, gdzie mógłby się ukryć wśród towarów, ale woźnica miał inne plany.

– Będziesz siedzieć tu, przy mnie, albo idziesz pieszo – powiedział.

– Mogę chociaż włożyć plecak do...?

– Nie.

Albo coś z nim było nie tak, albo na wozie znajdowały się towary, których nie chciał im pokazywać. To mogło być ziele, chociaż zazwyczaj wożono je w przeciwną stronę, od wybrzeża w głąb kontynentu. Breona kusilo, żeby tam zajrzeć, jednak coś w oczach kupca sprawiało, że nie miał ochoty z nim zadzierać.

Po co robić sobie wroga na samym początku znajomości, myślał. Niełatwo znaleźć jakiś transport.

Usiadł więc i położył torbę z dzafasą między nogami. Aubrey przytuliła się do niego i natychmiast zasnęła. Kiedy spała, mógł zapomnieć, że była na niego wściekła. Teraz wydawała się miłsza niż wcześniej. Może dlatego, że wreszcie byli blisko końca podróży.

Breon próbował zagadać do handlarza.

– Mówią na mnie Bree.

Mężczyzna mruknął coś w odpowiedzi.

– A ty...?

– Cień.

– Skąd jesteś?

– Z kolonii Sosen Marisy. – Widocznie zorientował się, że Breon nie ma pojęcia, gdzie to jest, bo dodał niechętnie: – W górach.

– Co wiesz?

– Towary na sprzedaż.

– Chcesz to sprzedać w Kredowych Klifach?

– Może.

– Miewasz problemy z przekraczaniem granicy?

– Nie. – Cień uśmiechnął się złowieszczo, odsłaniając zęby jak u rekina. W porównaniu z dotychczasowymi nijakimi reakcjami była to dość wyrazista odpowiedź.

– Chcemy dalej popłynąć do Zatoki Bostońskiej – powiedział Breon, zmieniając temat. – Myślisz, że trudno będzie znaleźć statek o tej porze roku?

– Nie wiem – odparł Cień. Po chwili wskazał na futerał i zapytał: – Co tam masz?

Breon nie kwapił się do pokazania zniszczonej dzafasy. Kupcy zwykle byli na bieżąco z najnowszymi informacjami, więc ten mógł słyszeć o morderstwie w Południomości. Może nawet widział rysunek instrumentu i chciałby odebrać nagrodę.

Na szczęście Breon miał przygotowaną historyjkę.

– Sprzedaję znakomite laski klanowej roboty – powiedział. – Ręcznie rzeźbione, wzmocnione magią, tak że nigdy się nie łamią, nie wykręcają ani nie gniją. – Wyciągnął laskę, którą zwędził na targu. – Widzisz? Spróbuj. Jak jej tylko dotkniesz, zorientujesz się, że masz do czynienia z prawdziwą jakością.

Kupiec nie wykazał zainteresowania.

– Jeśli zapłaciłeś za to jak za wyrób klanowy, to cię oskubali – parsknął.

– Mylisz się – odparł Breon, udając rozczarowanie. – To oryginalny wyrób. Mam go bezpośrednio od miedzianolicego.

– Który dostał go bezpośrednio z tamrońskiej fabryki.

– Chwila. – Zaczął grzebać przy klamrach futerału dzafasy. – Jeśli ta ci się nie podoba, to mam ich więcej w...

– Nie trzeba – odparł kupiec.

Po tym drobnym zwycięstwie Breon przestał prowokować los. Usiadł wygodnie, zamknął oczy i pozwolił, by ruch wozu ukołysał go do snu.

Szybko się zorientował, że ich spotkanie z tym handlarzem to był prawdziwy fart, bo prawdopodobnie nie przedostaliby się przez wschodnie przełęcz bez niego. Może i wyglądał jak Wyspiarz Południowy, ale na wiele sposobów udowodnił, że w tych górach czuje się jak w domu. Miał klanowy chleb podróżny i suszoną sarninę, które dostarczały energii na całodniową wędrówkę. Znajdował zwierzynę w miejscach, w których wydawało się, że nic nie może przeżyć. Potrafił rozpalić ognisko w zaspie śnieżnej, i to bez dymu. Znalazł dla nich schronienie przed burzą pod drzewem, którego gałęzie zwisały aż do ziemi.

Kiedy śnieg był zbyt głęboki dla kół, wyciągnął płozy ze schowka pod wozem. Takiego, jakich używają przemytnicy. Podczas przypinania ich do kół, kupiec ustawił się tak, żeby pomagający mu Breon nie mógł zajrzeć do środka.

Niełatwo było mu pomagać i utrzymywać to kiepskie przebranie, lecz kupiec prawdopodobnie zakładał, że Breon i tak jest zwykłym obibokiem, więc nie zadawał żadnych pytań.

Póki nie znaleźli się bliżej Kredowych Klifów. Wtedy zrobił się wścibski.

– Przypomnij mi, jak masz na imię. Bree?

Breon potaknął.

– Skąd jesteś? Nie poznaję po akcencie.

Breon nie miał pojęcia, skąd pochodzi, ale nie chciał tego roztrząsać.

– Z wybrzeża, dalej na południu. Z Zatoki Bastońskiej. Tam jest dużo cieplej niż tutaj.

Cień otaksował go wzrokiem, jakby oceniał ciężar jego portfela.

– Jeśli macie forszę na podróż, to znam kapitanów i pośredników, którzy mogliby wam pomóc.

– Naprawdę? To by było...

– Mamy swoje kontakty – wtrąciła Aubrey. – Własne plany. Ale dzięki.

Breon rzucił jej spojrzenie mówiące: „Co cię ugryzło?”.

– Daj spokój, nie zaszkodzi posłuchać. Może dostaniemy lepszą cenę – powiedział.

– Mówię tylko, że szkoda czasu, bo...

– A jak twojego kontaktu nie będzie? Co wtedy? – Po tych słowach Breon zwrócił się do Cienia: – Pogadam z - twoimi przyjaciółmi i poznam ich warunki. Wtedy zdecydujemy.

Kupiec wzruszył ramionami, jakby chciał pokazać, że to nie jego sprawa.

– W porządku. Ale muszę się jeszcze gdzieś zatrzymać.

Położone blisko granicy oddzielającej Arden od Fells, Kredowe Klify były bardziej fortecą niż typowym portowym miastem. Otoczone grubymi kamiennymi murami, usadowione wysoko na skałach z widokiem na port.

Niebiescy przy bramie zadawali Cieniowi wiele pytań, a potem zaprowadzili go do małej strażnicy na dalszą rozmowę. Breon naciągnął kapelusz na twarz i prawie położył się na siedzeniu, zadowolony, że to kupiec, a nie on musi odpowiadać na te wszystkie pytania.

Czuł już w nozdrzach kuszący zapach morza, od którego serce biło mu mocniej i krew tańczyła w żyłach. Byli prawie na miejscu.

Aubrey, już obudzona, chwyciła go za rękę.

– Chodźmy stąd – powiedziała. – Znajdziemy sobie jakiś nocleg i sami zejdziemy do przystani. Znam jednego kapitana, który pewnie teraz jest w porcie. A jak nie teraz, to wkrótce będzie.

Breon patrzył na nią zdumiony. O ile wiedział, dziewczyna nigdy nie była w Kredowych Klifach. Skąd mogła znać kapitana,

który czekałby w porcie? Czy to element tej gry, którą ostatnio prowadziła?

– Jeszcze nie zapłaciliśmy Cieniowi – zaprotestował – a dobrze się wywiązał z zadania. Nie zamierzam go puścić-kantem.

– No nie wiem – odparła Aubrey. – Mam złe przeczucie.

Po chwili i tak było już za późno, bo kupiec wyłonił się ze strażnicy.

– Załatwione – powiedział, zajmując swoje miejsce. – Znam dwóch kapitanów, którzy zatrzymują się w znajomej gospodzie, kiedy są w porcie. Teraz tam pojedziemy.

Nie pozostało więc nic innego, jak udać się z nim.

Zajechali przed obskurną tawernę położoną dwie ulice od nabrzeża.

– Zaraz wracam – rzucił Cień. – Sprawdzę, czy są. – Zniknął wewnątrz.

Jak tylko odszedł, Aubrey wysiadła.

– Pilnuj, czy nie wraca. Zobaczą, co on kryje tam z tyłu.

– Już i tak mam dość kłopotów – syknął Breon.

– To ty masz kłopoty, nie ja – odparła.

– Słuchaj, zrobił nam uprzejmość, a to nie jest sposób, żeby się odwdzięczyć.

– Tylko zajrzę. Nie zamierzam niczego ukraść.

Mrugnęła porozumiewawczo, przemknęła z boku wozu i uniosła brezent, żeby się wślizgnąć do środka.

Breon z coraz większym niepokojem obserwował drzwi tawerny. Kilka osób weszło i wyszło, ale Cienia nie było widać. Słyszał, jak Aubrey hałasuje z tyłu, jak deski skrzypią pod jej ciężarem.

– Na krew i kości – mruknęła. – Chodź zobaczyć!

– Wyłaź stamtąd! – syknął Breon. – Cokolwiek to jest, nie warto.

W tym momencie usłyszał trzask drzwi tawerny i gdy podniósł głowę, zobaczył idącego w ich stronę Cienia.

– Aubrey! – szepnął. Słyszał ją, jak wciąga powietrze, a potem zeskakuje na bruk.

– Spotkamy się w Szarej Gęsi – powiedziała i już jej nie było.
Breon zsunął się z siedzenia i wyszedł naprzeciw Cieniowi, aby odwrócić jego uwagę od wozu.

– I co? Spotkałeś kogoś znajomego?

Handlarz położył wielką dłoń na ramieniu Breona.

– To wasz szczęśliwy dzień – odparł z niepewnym uśmiechem. – Jest tam parę osób, z którymi możecie pogadać. – Obrzucił wzrokiem wóz. – A gdzie twoja kumpela?

– Poszedłem do wychodka za gospodą, a jak wróciłem, już jej nie było. Wiem, że chciała się spotkać z jakimś kapitanem. Może poszła do niego.

Cień rozejrzał się po podwórzu.

– Czemu miałyby pójść, nic ci nie mówiąc?

Breon wzruszył ramionami.

– Czemu robi większość tego, co robi? – odparł, dając do zrozumienia, że nie jest jej niańką. – Zresztą chyba jest na mnie wściekła.

– No to chodźmy do środka i zobaczymy, czego się dowiemy. – Kupiec sięgnął po instrument Breona, by mu go podać. – Chyba nie chcesz, żeby ktoś ci to dmuchnął, jak będziemy w środku. Tutaj kręci się wielu złodziei.

W tym momencie w głowie Breona odezwały się dzwonki ostrzegawcze. Złe przeczucie jeszcze się wzmogło, gdy się zorientował, że Cień przez całą drogę do drzwi nie zdejmuje dłoni z jego ramienia.

– Wiesz co? – powiedział. – Chyba muszę znowu iść na stronę. Spotkamy się w środku. – Spróbował uwolnić się z uchwytu handlarza. Bezskutecznie.

Cień zacisnął uścisk.

– Krócej będzie przez gospodę – uznał, otwierając drzwi, i wepchnął go do środka z taką siłą, że Breon omal nie upadł na twarz.

Wiedział, że jest w tarapatach, gdy para rąk niczym bochny docisnęła go do ściany. Obmacali go, szukając broni, nie zważając na jego protesty. Zabrali mu mały nóż, który trzymał na nagłe wypadki, oraz woreczek z zieleńcem.

Obróciwszy głowę, zobaczył, że w sali była ich tylko trójka: Cień, Breon i jeden niebieski o gabarytach wielkiej sekwoi. Spojrzał jeszcze raz i ze zdumieniem zauważył, że to dziewczyna.

Wydała mu się znajoma, jakby już wcześniej go obszukiwała i uderzała nim o ścianę.

– To musi być on – powiedziała Sekwoja. – Wygląda znajomo i pasuje do opisu. – Wyjęła z kieszeni złożoną kartkę. Była to mniejsza wersja plakatu, który Breon już widział.

Oboje przenieśli wzrok z rysunku na Breona i z powrotem, podczas gdy on starał się jak najmniej przypominać osobę z portretu, co nie było trudne, bo szkic nie oddawał podobieństwa.

– A gdzie ten instrument, o którym mówiłeś?

Cień położył futerał na stole i odblokował zapięcia. Wyjął zniszczoną dżafasę i pokazał ją dziewczynie. Mimo uszczerbków podobieństwo instrumentu do szkicu było widoczne.

– Ostrożnie – powiedział Breon. – Mam to po ojcu.

– Wydaje mi się, że to ty nie obchodziłeś się z tym dość ostrożnie – zauważyła niebieska.

Breon chciał jej powiedzieć, że to nie on zniszczył instrument, ale domyślił się, że w ten sposób wcale by sobie nie pomógł.

Dziewczyna znowu zaczęła go przeszukiwać, i tym razem robiła to dokładniej. Cień przyglądał się połamanej dżafasie, jakby próbował rozgryźć jej działanie.

– Daj mi to, pokażę ci, jak się na tym gra – zaproponował Breon, zakładając, że nie szkodzi spróbować.

Cień tylko parsknął i dalej badał instrument.

Wtedy Sekwoja znalazła skarby Breona – medalion Jej Wysokości i wisiołek po ojcu.

Klnąc jak szewc, zerwała je z jego szyi i podsunęła mu medalion pod oczy.

– Wyjaśnij to, ty podły szarpidrucie!

Oto co zyskał, próbując trzymać się jakichś zasad.

– Kupiłem to od jednego pirata w stolicy – skłamał. – Był głodny, więc wyświadczyłem mu przysługę. Mówił, że to po babci.

– To znaczy... przyznajesz, że byłeś niedawno w stolicy?

– Zapytaj swojego kumpla Cienia. To on mnie wiózł.

Teraz Sekwoja pomachała wisiorkiem Breona przed jego oczami.

– A to komu ukradłeś?

– Nie ukradłem tego. To też należało do mojego ojca.

Sekwoja podejrzliwie oglądała wisiorek.

– Wygląda na połamany. Gdzie jest reszta?

– To zawsze było takie, o ile wiem – odparł.

– Jak to działa? To jakiś kompas czy co?

– Nie wiem, jak to działa. Ja tego do niczego nie używałem, tylko jako błyskotkę.

W jego pamięci wypłynęły słowa niczym martwe ciała na powierzchnię wody:

Noś to przy sobie, a zawsze znajdziesz drogę do domu.

Breon wyciągnął rękę, licząc na to, że dostanie wisior z powrotem, lecz dziewczyna wsunęła go do kieszeni.

Nie przestawała go oklepywać i w końcu odkryła magiczny znak na jego karku.

– A to co takiego?

Najpierw tego dotykała, a gdy nic się nie działo, próbowała to wyciągnąć. W końcu dobytek noża i usiłowała wsunąć go pod znamię, aż Breon poczuł krew spływającą pod koszulą.

– Bogowie i męczennicy! – zawołał, wykręcając ciało. – Tego się nie da wyjąć! Wiem, bo mam to całe życie. Inaczej już dawno bym to sprzedał.

– To może być jakiś czarodziejski artefakt – powiedział Cień i sam zaczął dotykać znaku. – Co to za niebieski kamień? Szafir? Akwamaryna?

Nie odróżniłbym szafiru od zwykłego szkiełka, pomyślał Breon.

– Nie mam pojęcia. Nawet tego nie widziałem.

– Czy to platyna? – Cień stuknął palcem w metal oprawy.

– Nie wiem. Gdyby to było coś cennego, już dawno trafiłby się ktoś, kto podciąłby mi gardło.

Kupiec przesunął dłonią po magicznym znaku, jakby próbował go odczytać. Przynajmniej nie starał się go wyrwać.

– Jakie ma działanie? – zwrócił się do Breona.

– Żadne, o ile mi wiadomo – odparł. Sam zawsze się zastanawiał, czy to ma coś wspólnego z jego urokiem i niezwykłym talentem.

– Może to jakiś trwały amulet? – zastanawiał się Cień.

– Myślisz, że jest czarownikiem? – Niebieska odruchowo się cofnęła, lecz zaraz się opanowała, udając, że to się nie stało.

– Jasne, że jestem – odezwał się Breon. – Lepiej mnie słuchajcie, bo zamienię was we wrzody na świńskim zadzie.

Za to dostał pięścią w nos. Cień musiał się wtrącić, żeby niebieska nie rozwalila Breonowi głowy o dębowy blat.

– Talbot! – chwycił ją za rękę. – Wiem, że jesteś wściekła z powodu Lyss. Tym bardziej powinno ci zależeć, żebyśmy dorwali go żywego i mogli go przesłuchać. Jeszcze nie został o nic oskarżony. Jeszcze. – Jego mina mówiła, że to tylko kwestia czasu.

Jak na przemytnika mieszanej krwi Cień zdawał się pozostawać w bliskich stosunkach z tą niebieską. Niedługo potem skrupowali mu ręce i nogi.

– Poślę ptaka do Fellsmarchu i dowiem się, co kapitan Byrne chce z nim zrobić – burknęła Sekwoja Talbot. – Może przyślą jakiegoś czarownika, żeby sprawdził ten tatuaż czy broszkę, czy co to jest. A tymczasem potrzymamy go w przytulnej strażnicy. – Jej spojrzenie mówiło, że nie będzie mu tam przytulnie, jeżeli tylko od niej będzie to zależało.

– Chyba powinniśmy to zachować w tajemnicy, póki po niego nie przybędą – powiedział Cień. – Ktokolwiek go wynajął, nie będzie chciał, żeby z nami gadał. Jak się dowiedzą, że go mamy, będą próbować albo go zabić, albo przechwycić. Zamknijmy go teraz, żeby nikt go nie widział. Muszę jeszcze coś załatwić, ale jutro zadam mu kilka pytań, zanim wyruszę na Południe. – Po chwili dodał: – Jego partnerka może wrócić i go tu szukać.

To Ardenka, brązowe włosy, złamany nos, koło piętnastu, szesnastu lat, ma na imię Aubrey. – Zrobił dłońmi gest, jakiego używa się, chcąc pokazać zaokrąglone kształty. – Powiedz strażnikom, żeby jej wypatrywali. Ją też musimy przesłuchać.

– Czemu go podejrzewałeś? – zapytała Talbot, podnosząc Breona z taką siłą, że niemal wykręciła mu rękę.

– Zaciekawiał mnie ten futerał – odparł Cień. – Nie chciałem, żeby ktokolwiek go dotykał, i zastanawiałem się, czemu jest taki nerwowy. Więc pierwszej nocy zajrzałem.

A więc Rogan pieprzony Tancerz Cieni wiedział cały czas, pomyślał Breon. A ja jeszcze go broniłem. Mam nadzieję, że Aubrey okradła go do czysta.

Przepraszam, Aubrey, w najbliższym czasie nie spotkamy się w Szarej Gęsi.



POJEDYNEK NA MIECZE

W dniach, które nastąpiły po wyzwoleniu Delphi, Lyss musiała wciąż od nowa przypominać sobie, kto zwyciężył. Czasami czuła się jak ofiara okrutnego żartu. Nigdy dotąd nie zdawała sobie sprawy, że koniec bitwy to dopiero wstęp do dalszych politycznych działań.

Jej matka przesłała gratulacje. Rozkazała, by powitać Delphi jako sojusznika i rządzić tam lekką ręką. Plan zakładał wprowadzenie na tym terenie stanu wojennego na czas przechodzenia do samodzielnych rządów. Następnie jedną paskudną decyzją królowa wyznaczyła Lyss na osobę reprezentującą królestwo w negocjacjach.

Chcę, żebyś to Ty się tym zajęła, nie po to, żeby cię obwiniać, jeśli coś pójdzie źle, tylko żebyś wiedziała, jakie to uczucie podejmować decyzje i żyć ze świadomością ich konsekwencji, dobrych czy złych.

Innymi słowy, każde zwycięstwo ma swoją cenę. Po wygranej trzeba przestać walczyć i zacząć rządzić.

Teraz zatem Lyss przesiadywała na niekończących się nudnych zebraniach, na których omawiano plany wydobycia węgla, budowę dróg, dystrybucję żywności i ochronę zdrowia. Właściwie mogłaby być w domu. Tam przynajmniej była na

dobrze sobie znanym gruncie. Gdyby ktoś wbił jej sztylet w plecy w domu, przynajmniej mogłaby się domyślać, kto to był.

Pertraktowanie z mieszkańcami Delphi było jak utrzymywanie w ryzach stada dzikich kotów. Dopóki Arden rządził tu żelazną ręką, ten wspólny wróg jednoczył ludzi. Teraz, gdy okupanci zniknęli, kraina wydawała się skazana na wyniszczające spory. Zadawnione pretensje nabrzmiewały jak ropiejące wrzody na skórze społeczeństwa. Ludność żywiła silną urazę do Ardenu, jego gwardzistów zwanych gawrońcami, żołnierzy nazywanych błotnistymi, a także do tych, których uważano za kolaborantów.

Były burmistrz został znaleziony martwy w ciemnej alejce. Miał poderżnięte gardło, a jego ciało owinięto we flagę Ardenu. Nadzorcę kopalni znaleziono zaszypanego kilkoma tonami węgla. Doszło do tego, że kolaboranci z Delphi błagali, by ich aresztować dla ich własnej ochrony. Więzienia jednak już pękały w szwach. To także wymagało uwagi – trzeba było zdecydować, kto powinien pozostać za kratami, a kogo uwolnić.

Lyss była zaskoczona tym, jak pomocna okazała się Julianna. Wprost rozkwitała przy tych zadaniach, których Lyss nienawidziła. Pamiętała każde imię, z chłodną skutecznością zarządzała nudnymi szczegółami, przekonując dyskutantów tak długo, aż osiągnęli porozumienie. Jej wrodzony urok był smarem, który usprawniał działanie każdego trzeszczącego koła.

Lyss tęskniła za Sashą. Ćwiczenia z nią mogłyby rozładować trochę napięcia. Ona przynajmniej wysłuchałaby jej narzekań i nie próbowałaby jej pouczać. Jednak najpierw Talbot, a potem Finn zostali wysłani do Kredowych Klifów, by dołączyć do tamtejszego garnizonu na wypadek, gdyby Arden próbował sprowadzić wojska od strony morza, jak to już robiono wcześniej. Obecnie więc Lyss musiała się męczyć na długich patrolach w głębokim śniegu i na sparingach z mniej wymagającymi przeciwnikami.

Gdy zostanie królową, myślała, będę trzymała przyjaciół blisko, a wrogów jeszcze bliżej.

Nagle zapało jej dech. *Gdy zostanie królową?* Kiedy to zaczęła myśleć o tym jak o czymś, czego można wyczekiwać?

Pewnego jasnego, chłodnego poranka Lyss i trójka Szarych Wilków pojechali do kwatery głównej, która znajdowała się w rezydencji na północ od miasta, teraz zajętej przez armię fellsjańską. Przetrzymano tam jeńców z armii Ardeny, ponieważ był to jedyny na tyle duży strzeżony budynek, by ich pomieścić, a także dlatego że w ten sposób zapewniano im ochronę przed miejscową ludnością. Podwładni generała Dunedain i szpiegzy Julianny przesłuchiwali ardeńskich więźniów i gromadzili wszelkie informacje na temat liczebności i uzbrojenia armii. Lyss często brała udział w tych przesłuchaniach.

Może nie mogę jechać do Ardeny i zabić króla Gerarda, ale mogę się dowiedzieć o wrogu jak najwięcej, myślała. Dodatkowym bonusem było to, że wtedy wyjeżdżała z miasta i odrywała się od niekończących się zebrań.

Kiedy wjechali na podwórze, zostawiła w stajni swojego kuca i ruszyła w stronę rezydencji. Zanim tam dotarła, usłyszała szcęk mieczy i okrzyki widowni. Poszła za tym hałasem i zobaczyła Halstona Matelona i jakiegoś fellsjańskiego żołnierza walczących ciężkimi drewnianymi mieczami. Otaczała ich grupa widzów – błotniści dopingowali swojego dowódcę, a piechota górską swojego.

Mimo chłodu obaj dyszeli ciężko, wydmuchując parę z ust, a to znaczyło, że walka trwała już dobrą chwilę. W tym pojedynku wyczuwało się napięcie, które mówiło, że to coś więcej niż zwykłe ćwiczenia. Kruczoczarne włosy Matelona oblepiały mu czoło, po jego twarzy i szyi spływał pot.

Fellsjański żołnierz obrócił się i Lyss zobaczyła jego twarz. Na krew i kości, pomyślała. To Bosley. Najwyraźniej Matelon znalazł sposób, by zaleźć mu za rzekomo wrażliwą skórę.

– O tak – mówił Matelon jak nauczyciel do ucznia. – Nie skupiaj się na tym, co teraz robię, myśl o tym, co zamierzam

zrobić, i szykuj się do kontry. W ten sposób...

– Zamknij dziób! To ja mam cię uczyć, a nie odwrotnie. Nie potrzebuję, żeby jakiś parszywy błotnisty mówił mi, jak używać miecza!

O co tu chodzi? Czemu ci dwaj ćwiczą ze sobą? Lyss podeszła bliżej, żeby lepiej widzieć. Kiedy żołnierze ją zobaczyli, szybko się rozsunęli, by zrobić jej przejście.

Bosley wykonał gwałtowny wypad w kierunku Matelona. Ten odskoczył i nawet Lyss widziała, że koniec miecza go nie dosięgnął, lecz Bosley krzyknął:

– Trafiony!

Błotniści zaczęli głośno protestować, ale Matelon tylko wzruszył ramionami.

– Skoro tak twierdzisz.

Bosley dumnie uniósł głowę.

– Czyżbyś podważał mój werdykt?

Jeśli on nie, to ja podważam, pomyślała Lyss.

– Nigdy nie obraziłbym nikogo, podważając jego werdykt – odparł Matelon. Przyjął postawę gotowości. – Kontynuujemy?

Tym razem miecz Matelona był wszędzie: ciął, pchał, poruszał się tak szybko, że stawał się niewidoczny. Kapitan spokojnym, niemal znudzonym głosem oznajmił trzy trafienia w tyle samo minut.

Ten Ardeńczyk był naprawdę dobry. Lyss zaczęła się zastanawiać, czy wcześniej specjalnie się nie hamował.

– Teraz nie było trafienia – zaprotestował Bosley po ogłoszeniu trzeciego. – Chybiłeś. – Wśród Południowców rozległ się szmer niezadowolenia.

Matelon uniósł brew.

– Rozumiem – powiedział, zmrużywszy oczy. Na jego policzki wypłynęły rumieńce zniecierpliwienia. – Zgadza się.

Lyss skrzywiła się oburzona. Chciała kibicować swojemu człowiekowi, ale Bosley tego nie ułatwiał.

Następnym razem, gdy próbował zadać cios, Matelon zdecydowanie skontrolował i miecz tego pierwszego wyleciał w powietrze.

Porucznik odzyskał broń i spróbował jeszcze raz, z tym samym skutkiem.

– Na krew i kości! – zaklął za trzecim razem. – To nie jest należyty fechtunek. Czytasz w myślach czy jak?

Matelon podniósł wytrącony miecz i zwrócił go przeciwnikowi.

– Nie, nie czytam w myślach – powiedział. – Ale ty sygnalizujesz, co masz zamiar zrobić, zanim jeszcze to zrobisz, za każdym razem.

– Nieprawda! – zaprzeczył Bosley, wysuwając podbródek.

Prawda, prawda, pomyślała Lyss, zawstydzona słabymi umiejętnościami i niesportową postawą podwładnego.

– Dobrze, poruczniku – odparł Matelon. – Masz rację. Potrafię czytać w twoich myślach i prawdopodobnie będą to umieli wszyscy twoi przeciwnicy. Może powinieneś namówić miedzianolichy, żeby zrobili ci magiczny hełm.

Błotniści parsknęli śmiechem, a twarz Bosleya zrobiła się purpurowa z wściekłości. Rzucił się naprzód, zamachując się płazem miecza na głowę Matelona. Południowiec odsunął się na bok, ale wysunął nogę i tym razem porucznik się przewrócił i przejechał twarzą po śniegu aż do muru stajni.

Podniósł się na kolana.

– Złapcie go! – warknął, sięgając po miecz.

Lyss przydepnęła jednak jego broń stopą.

– Wstańcie, poruczniku – rozkazała. – Już skończyście.

Bosley podniósł wzrok, wykrzywił twarz w grymasie, który jednak szybko zniknął, kiedy porucznik zauważył, kto nad nim stoi. Wyglądało to niemal komicznie.

– Kapitanie! Nie wiedziałem, że tu jesteście.

– Najwyraźniej – odparła.

Bosley poderwał się, pozostawiwszy ćwiczebny miecz na śniegu, po czym uklonił się i zasalutował. Jego szalik porucznika był utyłany błotem pośniegowym, a twarz podrapana i zaczerwieniona od ślizgu na brzuchu.

– Czy kapitan Byrne wie, że ćwiczycie z kapitanem Matelonem?

– Nie zna szczegółów – odpowiedział.
– To znaczy, że nie wie w ogóle?
– My... Matelon i ja... właśnie przeprowadzaliśmy demonstrację szkoleniową dla naszych żołnierzy – oświadczył Bosley, rzucając ostrzegawcze spojrzenie przeciwnikowi, jakby nie pozwalał mu zaprzeczyć.

Ardeńczyk zacisnął szczękę i milczał, lecz jego ciało było napięte niczym struna.

– Nie wiem, co właściwie próbowaliście zademonstrować – zauważyła Lyss. – Macie świadomość, że kapitan Matelon jest synem ardeńskiego tana i jeńcem wojennym? Czy wzięliście pod uwagę strategiczne koszty, gdyby został ranny lub zabity?

Bosley wpatrywał się w nią dłuższą chwilę, jakby rozważał i odrzucał możliwe riposty. W końcu zebrał się na odwagę i powiedział:

– Dlatego się hamowałem, pani kapitan. Nie chciałem go zranić. Gdybym wiedział, że kapitan jest taki delikatny, znalazłbym bardziej wytrzymałego przeciwnika.

Za późno. Lyss zdała sobie sprawę, że sama podała porucznikowi linę ratunkową i usprawiedliwienie. Kiedy spojrzała w szarozielone oczy Matelona, przypomniało jej się wyrażenie: „Gdyby spojrzenie mogło zabijać”.

Jako że nie mogła cofnąć wyrządzonej krzywdy ani wymyślić odpowiedniej riposty, powiedziała:

– Możecie odejść, Bosley.

Znowu się skłonił, tym razem z większą gracją, zabrał oba miecze i odmaszerował dumnie jak paw, pozostawiając na podwórzu Lyss, jej straż, kapitana Matelona i zaskoczonych żołnierzy.

– Reszta również. Rozejść się. – Dała znak ręką.

Matelon uklonił się sztywno.

– Do zobaczenia, kapitanie – powiedział i zamierzał odejść.

– Matelon, was to nie dotyczy – odezwała się Lyss. Kiedy obrócił się do niej z kamienną twarzą, dodała: – Chcę posłuchać, co macie do powiedzenia.

– Na temat? – Przechylił głowę.

– Chcę usłyszeć waszą wersję.

Dotknął rozcięcia na policzku.

– Nie ma mojej „wersji”. Porucznik Bosley już wam opowiedział, co zaszło. Komentowanie tego byłoby nie na miejscu. – Sprawiał wrażenie, jakby przeżuwał każde słowo, zanim je wypluł.

– Przepraszam za zachowanie Bosleya – odparła Lyss.

Matelon przestępował z nogi na nogę, wyraźnie pragnąc odejść.

– Proszę mi wybaczyć, ale jeśli uważacie, że Bosley zachował się niestosownie, powinniście o tym rozmawiać z nim, nie ze mną.

W tym momencie Lyss już straciła cierpliwość.

– Proszę za mną, kapitanie. To rozkaz – powiedziała, po czym zwróciła się ku Wilkom: – Zaciągnijcie go, jak nie będzie chciał iść.

Szła w kierunku rezydencji, nie oglądając się za siebie. W końcu usłyszała za plecami chrzęst jego butów na śniegu.



POJEDYNEK NA SŁOWA

Hal z ciężkim jak kamień sercem szedł za kapitan Gray. Powinien był bardziej kontrolować emocje, ale nie było to łatwe. Bezczynność doprowadzała go do szału. Nie należał do tych, którym odpowiada bycie jeńcem.

Bezsensowne się wydawało, żeby to Gray prowadziła jego, bo przecież znał budynek garnizonu dużo lepiej od niej – mieszkał tu prawie od roku.

Gdyby mu po prostu powiedziała, dokąd chce iść, zaprowadziłby ich tam. Jednak w tej sytuacji szedł za nią jak posłuszny pies, którego mają zamiar uśpić.

Po drodze przebiegał wzrokiem po szkodach wyrządzonych jego byłej kwaterze. Był tak dumny z ulepszeń, jakie wprowadził od swojego przybycia do Delphi. Teraz palisada stanowiła zwęgloną ruinę, świadczącą o wyższości czarodziejskich płomieni nad drewnem.

Północni używali do odbudowy kamienia. Dookoła było go mnóstwo.

Następnym razem kamień, pomyślał. Zrobił to odruchowo, nie mogąc uwierzyć, że nie będzie następnego razu. Nigdy nie umiał przegrywać.

Teraz jeszcze pogorszył sprawę, ściągając na siebie uwagę Gray. Kiedy się poznali, jasno dała mu do zrozumienia, że żywi wielką urazę do Ardeny. Pragnął uniknąć jej zainteresowania.

Jego obowiązkiem jako jeńca wojennego było chronić swoich ludzi i uciekać, o ile to możliwe.

Uratowała mu życie – już dwa razy. Dlaczego? Najbardziej obawiał się tego, że zamierza go wykorzystać w sposób, który okryłby hańbą jego nazwisko. Czy północne wiedźmy zechcą zamienić go w broń do użycia przeciwko jego ojczyźnie? Ta myśl przyprawiała go o dreszcze.

Zabiję się, jeśli miałbym zdradzić swoich, postanowił. Kościół nie pochwalał samobójstw, ale Hal i tak nigdy nie był zbyt religijny. Kościół, który palił ludzi, by uratować ich dusze, na pewno zrozumiałby złożoność takiej decyzji.

W porównaniu z czystym i rześkim powietrzem na dziedzińcu wewnątrz rezydencji zdawało się przytłaczające, atmosfera ciężka od gorąca i magii. Gray, idąc, zdejmowała ubrania – rękawiczki, czapkę, szalik i w końcu gruby płaszcz, który przewiesiła sobie przez ramię. Na kamienną podłogę kapiała woda z kolejnych warstw tkanin.

Pod spodem miała strój klanowy – skórzane obcisłe spodnie i luźną koszulę z haftowanej wełny. Podobały mu się jej ruchy, długie kroki, które dorównywały jego krokom i pozwalały mu utrzymywać równe tempo marszu.

Pomyślał, że może pójść do wielkiej sali, gdzie Północni ulokowali sztab wojskowy. Kapitan zatrzymała się na chwilę, zamieniła kilka słów z żołnierzami trzymającymi wartę przy drzwiach, lecz potem poszła dalej, korytarzem biegnącym na tył budynku. Za nimi podążała jej zwyczajowa eskorta. Hal obejrzał się na tych ludzi. Ich obecność raczej dodawała mu otuchy, niż go przerażała.

Wtedy zorientował się, że zmierzają do biblioteki, w której spędził wiele czasu, kiedy tutaj mieszkał. Dużo czytał, próbując się więcej dowiedzieć o wydobywaniu węgla i produkcji stali, żeby podczas podejmowania decyzji nie musieć polegać na skorumpowanych urzędnikach odpowiedzialnych za produkcję.

Nawet gdy przydzielone zadanie ci nie odpowiada, Matelon zawsze robi, co do niego należy. Ojciec wbijał mu to do głowy od najmłodszych lat.

Biblioteka była pusta; jedyne źródło światła stanowiły szczeliny w ciężkich okiennicach. Gray obeszła pomieszczenie, otworzyła okiennice, by wpuścić światło i świeże powietrze.

Hal stał jak kołek pośrodku, z zaciśniętymi pięściami. Po co mnie tu sprowadziłaś? – myślał. Choć na ardeńskim dworze posmakował bezwzględnej polityki, w głębi duszy tak jak jego ojciec był żołnierzem.

Kiedy kapitan już wpuściła tyle światła, ile uznała za stosowne, skinęła na strażników, by przeszli na drugą stronę, i wskazała dwa krzesła przy oknie.

– Siadajcie, kapitanie.

– Jeśli pozwolicie, wolałbym...

– Ja zamierzam usiąść, a nie będziecie nade mną stać. – Przysunęła sobie krzesło bliżej okna, tak że weszła w strumień światła. Zamknęła oczy i wystawiła twarz do słońca niczym wygrzewający się kot. Nie otwierając oczu, powiedziała: – Wasz pieprzony król nauczył mnie bać się ciemnych dni w środku zimy.

O co jej chodzi? My nigdy nie maszerujemy na Północ w środku zimy.

Hal nie przypominał też sobie, by kiedykolwiek słyszał kobietę używającą słowa „pieprzony”.

Usiadł na drugim krześle i skorzystał z okazji, by się jej przyjrzeć. W jej płowych włosach widniały pasemka rozjaśnione słońcem po długich dniach spędzonych na świeżym powietrzu. Teraz były uczesane w stylu miedzianolichych, w liczne warkoczyki zdobione piórami i koralikami. Jeden warkoczek za każdego zabitego – nie tak?

Nie mógł się powstrzymać. Zaczął liczyć.

W tym momencie otworzyła oczy i przyłapała go, jak pochylony na krzesło się w nią wpatruje.

Szybko się wyprostował i odwrócił wzrok.

Święci i męczennicy, pomyślał.

– Napijcie się czegoś, kapitanie? Po tym pojedynku musicie być spragnieni.

Hal wiedział, że nie należy przyjmować takich propozycji.

– Wolę pić ze wspólnej studni – odparł. – Radzę swoim ludziom robić to samo.

Gray przez chwilę wyglądała na skonsternowaną, a potem najwyraźniej zrozumiała, bo jej twarz wykrzywił grymas.

Niech to! Powinien był powiedzieć, że nie chce mu się pić. Nie jest tu po to, żeby nadeptywać komuś na odcisk, zwłaszcza jeśli chce przeżyć.

– Naprawdę sądzicie, że karmilibyśmy was i poili przez cały tydzień, żeby *potem* was otruć? To by dopiero było nieefektywne działanie.

Hal nie patrzył na nią – bał się, że wyjawi za dużo, gdyby ich spojrzenia się spotkały.

– Może nie otruć, ale... zamienić w coś, czym nie jesteśmy.

– Chodzi o coś... jak ropucha albo... kozioł? – Wargi jej drgały, jakby z trudem hamowała wybuch śmiechu. – Już wiem! Stado kur. Przydałyby nam się tu świeże jajka.

Hal wbił w nią wzrok. Czy naprawdę nie rozumiała, o czym mówił?

– Słyszeliśmy opowieści o czarach i eliksirach, które odbierają człowiekowi odwagę i siłę. Które każą mu zwracać się przeciwko towarzyszom broni i ich zabijać. Które wywołują takie swędzenie, że...

– Wierzcie mi, kapitanie, gdybym miała taką moc, już dawno wysłałabym was wszystkich ze świerzbem do domu – powiedziała Gray, ocierając oczy. Po tych słowach zmieniła temat. – A teraz opowiedzcie mi, co was łączy z Bosleyem. – Odchyliła głowę i spoglądała na niego uważnie.

Hal westchnął. Nie miał ochoty brać w tym udziału. Słyszał, jak Bosley chwalił się żołnierzom, że on i Gray są kochankami. Ze szczegółami opisywał ich niedawne schadzki. Może na Północy mieli inne zwyczaje, ale mówienie o tym wydawało się Matelonowi prostackie i niehonorowe.

Nie rozumiał, co ona mogła widzieć w Bosleyu, ale to w końcu nie była jego sprawa.

Czemu w takim razie tyle o tym myślał?

– Kapitanie? – głos Gray sprowadził go z alkowy z powrotem do biblioteki.

Chrząknął.

– Zorganizowałem zawody dla swoich ludzi, żeby dać im zajęcie i cel – powiedział. – Zaczęło się od ćwiczebnych mieczy i pałek, ale potem dodaliśmy biegi i zapasy, strzelanie z procy... co tylko chcieli, z wykorzystaniem tego, czym dysponujemy. – Wytarł wilgotne dłonie w spodnie. – Ja prowadziłem tablicę wyników i przypinałem wstążki zwycięzcom. Pierwszego dnia była ich garstka, ale następnego zgłosiło się więcej, a potem jeszcze więcej. Później sami zaczęli organizować rozgrywki i proponować nagrody, które... – Urwał, nabrał powietrza. Był dumny z tego, co osiągnął, ale jej to nie musiało interesować.

Ona jednak kiwała głową w zamyśleniu.

– A więc zarówno podnieśliście morale, jak i poprawiliście kondycję fizyczną swoich żołnierzy – stwierdziła. – Sprytne.

– Potem, któregoś dnia podczas zawodów, podeszli jacyś Północni i spytali, czy mogę ich włączyć do rozgrywek. Nie byłem zachwycony tym pomysłem, ale nalegali, mówili, że... yyy... że potrzebują więcej szkolenia, niż dostają. Jak się okazało, to byli podkomendni Bosleya. – Podniósł wzrok na Gray. – Nie zrozumcie mnie źle, ja nikogo nie krytykuję, tylko...

– Odnutowano. – Oparła się wygodniej i ułożyła ręce na podłokietnikach. Chcąc nie chcąc, zauważył, jak stwardniałe miała dłonie od używania broni. Nigdy jeszcze nie spotkał wysoko urodzonej kobiety z takimi dłońmi. Zaczął się zastanawiać, jak by to było zetknąć się z nią na placu ćwiczeń... – Odnutowałam, kapitanie. Kontynuujcie.

Podniósł głowę, zamrugał i wtedy zdał sobie sprawę, że się zamyślił.

– Żołnierze Bosleya zaczęli uczestniczyć w niektórych naszych turniejach. Większa grupa była dobra, bo mogłem zmieniać przeciwników i...

– Jak widzę, sypianie z wrogiem nie jest dla was problemem.

Poczuł falę gorąca na twarzy i suchość w ustach. Poruszył się niespokojnie na krześle.

– Pani? – powiedział chrapliwie.

– Wiecie, co mam na myśli. Co by powiedział wasz ojciec, gdyby widział, że szkolicie fellsjańskich żołnierzy?

Celowo tak dobrała słowa. Drażniła się z nim. Starał się panować nad sobą.

– Mój ojciec pochwalałby to, że dowiaduję się więcej o fellsjańskich metodach szkolenia i sposobach prowadzenia walki. Byłby zadowolony, że nie siedzę na tyłku i nie flaczeję. Podsumowując, nie miałby z tym problemu, ale porucznik Bosley najwyraźniej miał.

– Skąd ta myśl?

Znowu! Zamierzał przedstawić to w sposób całkowicie neutralny. Jeżeli Bosley sypiał ze swoją dowódczynią, to ostatnią rzeczą, jakiej Hal potrzebował, było dostać się pod ten obstrzał.

Za późno. Zaszedł już za daleko, by móc się wycofać, ale mógł jeszcze próbować odzyskać część utraconego terenu.

– W jakiś sposób porucznik dowiedział się o naszych treningach. Przyszedł dzisiaj rano i zaproponował, żebyśmy my obaj... odbyli pokaz walki.

– Hmm. – Wsunęła jeden paznokieć między zęby. – Dlaczego myślicie, że porucznik Bosley nie pochwalał tych waszych sesji z jego żołnierzami?

Hal się zawahał.

– Może powinniście zapytać...

– Pytam was.

Hal próbował wymyślić sposób, by przedstawić to w bardziej pozytywnym świetle.

– Chyba myślał, że wtrącam się do jego działań albo wtykam nos w nie swoje sprawy.

– Czy rzeczywiście zgodziliście się na ten... pokaz?

– Słucham?

– Czy Bosley dał wam wybór?

Hal poczuł strużkę potu między łopatkami. Kapitan Gray potrafiła z wszystkiego wyciągnąć samo sedno.

– Możecie powiedzieć prawdę, kapitanie – rzekła cicho, patrząc mu prosto w oczy. – To pozostanie między nami.

Nie wiedzieć czemu zaczął mówić.

– Nie uważałem, że to dobry pomysł. Powiedziałem mu, że jeżeli nie chce, to nie będę już angażował jego żołnierzy. Próbowałem się wycofać, ale porucznik był... nalegał.

– Chciał was wydać?

– Powinniście zapytać... – Widząc jej spojrzenie, zamilkł na chwilę. – Chyba tak. Gdybym był sprytniejszy, znalazłbym sposób, żeby z nim przegrać. – Po chwili dodał: – Nie lubię przegrywać.

– Ja także, kapitanie. Ale powinniście się zacząć do tego przyzwyczajać.

– Nie rozumiem.

– Zamierzam odepchnąć waszą armię do morza. – Poczul się, jakby ćwiczyli i nagle ona skoczyła mu do gardła.

– Jak to? Bo macie po swojej stronie więcej magii? – zapytał wbrew swojemu postanowieniu o panowaniu nad sobą. – Gdyby to ode mnie zależało, walka byłaby czysta, mężczyźni przeciw mężczyznom, bez... – Wykonał gest rzucania uroku.

– Mężczyźni przeciwko mężczyznom? Ach tak, zapomniałam. W waszej armii nie ma kobiet.

Wyglądało na to, że ilekroć otworzył usta, trafiał w czuły punkt.

– Racja. Nie ma. – Próbował coś dodać, żeby to wyjaśnić: – Nasze kobiety nie są takie jak wy. Nie nadają się do walki.

– Moglibyście odkryć, że mają więcej talentów, niż myślicie.

– Nie twierdzę, że kobiety nie mają talentów, tylko że ich talenty są... do innych rzeczy.

Kapitan Gray parsknęła.

– Nic dziwnego, że przegrywacie.

Hal czuł, jak krew się w nim gotuje. Dobrze wiedziała, gdzie zaatakować, żeby zabolalo.

– Przegraliśmy bitwę, bo nas oszukano. Nie przegraliśmy wojny. Wasi żołnierze, zarówno miedzianolicy...

– Klany – poprawiła go.

– ...zarówno klany, jak i regularna armia wojują zażarcie i wykazują się niespotykaną odwagą. Każda pięć ziemi jest okupiona ciężką walką. Ale spójrzmy na fakty. Głodujecie. Na początku myślałem, że moi ludzie dostają skromne racje wojskowe. Potem zrozumiałem, że otrzymują to samo co wasi żołnierze.

– Dajemy radę – odparła. – Może nie jest to wyszukane, ale...

– Nie możecie wyhodować dość jedzenia, żeby się wyżywić, a teraz, kiedy my rozłokowaliśmy okręty, nie będziecie w stanie sprowadzać pożywienia morzem. My ściągamy żołnierzy z wszystkich części imperium...

– Żołnierzy, którym w ogóle nie zależy na waszej wygranej. Którzy chcą tylko przeżyć wojnę i wrócić do domu. Wielu z nich zostało zaciągniętych wbrew ich woli. Czy dlatego wasi magowie próbowali was zabić? Czy wy chcielibyście iść na wojnę z czarodziejską obręczą na szyi?

To trochę bardziej skomplikowane, pomyślał Hal. Nie zamierzał jednak mówić tej kapitan z Północy, że stał się celem własnego króla.

– A jednak zdobyliśmy kontrolę nad całym kontynentem z wyjątkiem kilku terenów na obrzeżach – zauważył. – Nasze spichlerze pękają w szwach, kontrolujemy źródła żelaza, stali i prochu strzelniczego. A wy czym macie zamiar walczyć?

– Ostatnio zdobyliśmy parę kopalń i hut żelaza – odparowała. – Czyżbyście tego nie zauważyli, kapitanie?

– Racja. Ale nie utrzymacie ich długo. Otaczają was wrogowie, a odwaga nie jest czymś, co wystarcza na długo. Przegracie, pani kapitan. Czas... i wszystko inne... działa na naszą korzyść. Powinniście się z tym liczyć.

Teraz wstała i zaczęła się przechadzać. Gdy mówiła, zaznaczała swoje argumenty uderzeniami pięści w dłoń.

– Co według was powinniśmy zrobić? Ugiąć kolana po dwudziestu pięciu latach walki? Patrzyć, jak wyrzynają Klany Duchów i pałą naszych czarowników albo zakładają im obroże? Zamieniają nasze rzeki w ścieki i pośrodku Doliny budują jakieś

nowe Delphi? – Obróciła się, powiewając przy tym warkoczykami, i podeszła do niego z gniewnym spojrzeniem.

Próbował powiedzieć coś dodającego otuchy.

– Jesteśmy żołnierzami, wy i ja. Żołnierze zawsze są potrzebni. Może nasze życie niewiele by się zmieniło, gdyby ktoś inny siedział na tronie. – Sam nie wierzył w słowa, które właśnie wypowiedział.

Jej mina świadczyła o tym, że był okropnie naiwny.

– W oczach waszego króla, waszego Kościoła i waszych dowódców nie jestem żołnierzem. Naprawdę myślicie, że moje życie się nie zmieni, jeżeli Arden wygra tę wojnę? Co waszym zdaniem stanie się z naszą królową i księżniczką następczynią tronu? Od lat je demonizujecie, nazywacie wiedźmami, ladacznicami, wszetecznicami i oskarżacie o najróżniejsze potworne czyny. Czy wasi umęczeni wojną mieszkańcy i żądny krwi Kościół pozwolą im żyć?

Naprawdę jej na nich zależy, pomyślał. Ona kocha swoją królową – to widać. Dla niej to nie tylko zawód. Hał zawsze był lojalnym żołnierzem, lecz jego stosunek do króla Gerarda nie miał nic wspólnego z miłością. On tylko wykonywał swój obowiązek. Nigdy nie wierzył w głoszoną przez Kościół wersję, że król jest pomazańcem bogów.

Szukał w myślach jakiejś odpowiedzi. Jak to się stało, że ich rozmowa zeszała na politykę i religię – tematy, w których nigdy nie czuł się dobrze?

Prawdę mówiąc, nie miał pojęcia, co stałoby się z rodziną królewską z Fells, ale doświadczenia z przeszłości nie wróżyły jej najlepiej. Miał obowiązek namawiać Północnych do poddania się, lecz nie potrafił się zmusić, by dawać im jakieś gwarancje bezpieczeństwa.

– Kościół nie wyraża opinii każdego Ardeńczyka – powiedział. Było to najbardziej optymistyczne stwierdzenie, jakie był w stanie wymyślić. – Po wojnie król Gerard będzie chciał jak najszybciej zaprowadzić pokój w północnych królestwach. Tanowie... w tym mój ojciec... również są

zmęczeni wojną i coraz mniej chętnie poświęcają pieniądze i ludzi dla sprawy.

Kapitan Gray z aprobatą kiwała głową. Hal nagle zamilkł, uświadomiwszy sobie, że wyjawiał zbyt dużo.

Północni nie musieli wiedzieć, jakie naciski na zakończenie tej wojny istniały na Południu. Jednak ciągle musiał sobie przypominać, że ona jest jego wrogiem, a nie tylko odważną dziewczyną... żołnierką... która miała przed sobą wybór nie do pozazdroszczenia.

– A więc możliwe, że doszłoby do zorganizowania jakiegoś mariażu, który sprowadziłby królestwo Fells na właściwą drogę.

Jej wyraz twarzy mówił dobitnie, że równie dobrze mógł jej zaproponować wgrzyzenie się w skałę.

– U nas rządzą królowe, kapitanie – wycedziła. – Wasz król złożył naszej królowej tę propozycję już ponad dwadzieścia pięć lat temu. Odrzuciła go, a wtedy dokonał inwazji, rozpoczynając wojnę. Od tamtej pory Arden zamordował jej męża, córkę i... – zająknęła się – i próbował zabić jej syna.

– To jest wojna – oznajmił Hal. – Ludzie giną... także niewinni, niestety. – Zabrzmiało to nieprzekonująco również dla niego, nawet jeśli to była prawda.

– Nie mówię o zabijaniu wrogich żołnierzy podczas bitwy – odpowiedziała Gray. – Ani nawet o cywilach, których dosięgają strzały. Mówię o skrytobójcach z Ardeny, którzy potajemnie wdzierają się do naszych miast i organizują zasadzki na ulicach i w naszych domach.

Nie miał pojęcia, o co jej chodzi, chociaż nie zdziwiłby się, gdyby Gerard stosował za granicami takie same metody jak w kraju. W końcu był to król, który zdobył tron, zabijając swoich starszych braci. Był to król, który posłał Hala i jego batalion młodzików na samobójczą misję.

Hal zobowiązał się do walki jako żołnierz, ale nie do obrony Gerarda Montaigne'a. Nagle zaczął się jąkać.

– Nie wiem, o czym... czy na pewno to byli agenci Ardeny? Może...?

– Kiedy zamordowano księżniczkę Hanaleę, wasz król przysłał naszej królowej jej głowę w złotej szkatule z odpowiednią notatką, żeby przypadkiem nie przypisała tej zasługi komu innemu – powiedziała Gray. – Ta kampania zamachów trwa już od ponad czterech lat. – Wbiła w niego wzrok brązowych oczu, które przypominały twarde agaty. – Szczerze mówiąc, kapitanie, wolałabym umrzeć, niż poślubić jakiegokolwiek syna Ardeny.



PRZESŁUCHANIE

Zabrali Breonowi dzafasę, ziele i pasterskie ubrania, a dali spodnie i koszulę w kolorze błota. Luźno skrępowali mu ręce i nogi, tak by mógł się poruszać po swojej małej celi. Przynieśli mu nawet kilka książek o statkach, kiedy o nie poprosił. Zachęcony zapytał jeszcze o drewno i narzędzia do rzeźbienia, ale na to już nie poszli.

Jeżeli miał przetrwać te ostatnie komplikacje, jeżeli miał się z tego wywinąć, potrzebował instrumentu, który przekazywałby jego urok. Sam jego głos to za mało, by wpłynąć na tych niewzruszonych porywaczy. W dodatku nie usłyszał od nich nic, co mógłby wykorzystać do stworzenia odpowiedniej muzyki.

Właściwie areszt w twierdzy Kredowych Klifów nie był taki zły. Breon nie miał w tej kwestii dużego doświadczenia, bo zwykle przestrzegał prawa, ale był już w więzieniu w Ardenie, w Bruinswallow i w Tamronie – w tym ostatnim dwa razy – i w porównaniu z nimi tutaj warunki były o niebo lepsze. Przede wszystkim cela znajdowała się nie w lochach, tylko w wieży, i przez maleńkie okratowane okienko słyszał szum morza. Wiatr od Indio był zimny, ale Breon nie zamykał okiennic, bo chciał czuć zapach oceanu i słyszeć jego fale w dniach, które mogły się okazać jego ostatnimi.

Nawet jedzenie było przyzwoite tego pierwszego wieczoru – duszona ryba z chlebem i resztki ciasta przesileniowego. Breon zjadł wszystko, bo nie wiedział, co go czeka, i liczył się z tym, że może to być jego ostatni posiłek. A także dlatego że był bardzo głodny. I dlatego że uwielbiał ciasto.

Wyglądało na to, że mieli problemy ze znalezieniem odpowiednich osób do przesłuchania go – w każdym razie takich, które wzbudzałyby zaufanie. Może wszyscy byli akurat na jakimś zlocie błękitnokrwistych. Mimo to ciągle ktoś do niego przychodził. Najpierw cała grupa niebieskich do opróżnienia nocnika; przyglądali się mu, jakby w każdej chwili mógł na nich skoczyć.

Ilu niebieskich potrzeba do opróżnienia nocnika? – miał ochotę zapytać.

Miedzianolica uzdrowicielka przybyła z własną eskortą niebieskich, by opatrzyć mu podbite oko i sińce na policzkach. Breon zapytał, czy nie myślała o stosowaniu brzytwicy do łagodzenia bólu, na co ona odparła, że nie.

W końcu Rogan „Kapuś” Tancerz Cieni wtargnął wraz ze swoją kumpelą Sekwoją Talbot i przystojnym młodym magiem ze srebrzystymi włosami, lodowatymi niebieskimi oczami i charakterystyczną magiczną aurą.

Breon nerwowo obserwował tego nowego maga. Po co tu przyszedł?

Siedział akurat ze skrzyżowanymi nogami na czymś, co służyło mu za łóżko, i za pomocą łyżeczki próbował zrobić gwizdek z kawałka korka.

– Co robisz? – zapytał Cień.

– Zabijam czas – odparł Breon jak jakiś przygłup, który traciłby czas na ociosywanie korka.

– Daj to. – Cień wyciągnął rękę.

Breon podał mu korek, a Rogan włożył go do kieszeni.

Breon przewrócił oczami.

– Zostaw człowiekowi korek, a może cię nim dźgnąć.

Talbot położyła dłoń na rękojeści miecza.

– Dźgnij mnie, a ja ci oddam, ty szemrana, szmatława szumowino.

Breon przechylił głowę i pokiwał nią z uznaniem.

– Jestem pod wrażeniem.

– Co?

– Użycia aliteracji. Możesz to powtórzyć? To o szmatławej szumowinie.

– O co, u licha...?

– Nie, nie. – Breon pokręcił głową. – Chodzi mi o te słowa na „sz”. – Otworzył zeszyt i udawał, że czyta jakiś spis. – Mam tu „szczynossący szubrawiec” i „szujowata szczeżuja”. – Podniósł wzrok. – Które lepsze?

Talbot rzuciła się na niego, ale Cień jakimś cudem wcisnął się między nich, zanim zdążyła zadać cios. Po cichu coś jej wytłumaczył, prawdopodobnie: „Pohamuj się, póki nie wyciśniemy z niego, co się da”.

Breon sam nie wiedział, czemu ją prowokował. Zachowywał się jak dziecko, które coś podpala, żeby patrzeć na ogień.

W końcu Talbot się uspokoiła. Chwyliła jednak Breona za przód koszuli i podciągnęła go na nogi, tak że niemal stykali się nosami.

– Nie podobasz mi się – burknęła.

– A ty mi tak – odparł, choć wiedział, że to może być odebrane jako krok za daleko. I znowu...

– Wyjaśnijmy coś sobie, nizinny – powiedział Cień głosem zimnym jak północne morze. – Od lat tacy jak ty wślizgują się do mojej ojczyzny i mordują ludzi, na których mi zależy. Walka z wrogiem na polu bitwy to jedno, ale napadać ludzi na ulicach i w ich własnych łóżkach, zwabiać ich w pułapkę swoją ładną buźką i uwodzicielską muzyką, to co innego. Dlatego zanim ta noc się skończy, dowiem się, kto cię wynajął, żebyś wciągnął księżniczkę następczynię tronu w zasadzkę. Od tego, jak szybko mi to powiesz, zależy, w jakim będziesz stanie, kiedy skończymy.

W podróży Cień nie był tak przekonujący, ale teraz zrzucił tę maskę uprzejmości, pod którą wcześniej skrywał prawdziwe

oblicze.

Stracił kogoś w tej wojnie, kogoś szczególnego, pomyślał Breon. A ty jesteś wygodnym celem, który może skończyć martwy, jeśli nie będziesz trzymał gęby na kłódkę. Trudno jednak było odpowiadać na pytania i jednocześnie uważać, żeby nie zdradzić tego, czego nie powinien.

Talbot wepchnęła Breona na krzesło i przywiązała mu dłonie do podłokietników.

Breon potrafił wyczuwać nastroje publiczności i zaczynał rozumieć, że w tym wypadku zgrywanie cwaniaka nie popłacało. Zaczynał rozumieć, że to może być najważniejszy występ w jego życiu.

– Powiem wam, co wiem – oświadczył. – Nie mam nic do ukrycia ani nikogo nie chcę chronić. Ale co będzie, jak powiem prawdę, a wy uznacie, że kłamię?

– Nie dojdzie do tego – rzekł nowy mag, patrząc na Breona, jakby był przykrym problemem do rozwiązania. – Użyję perswazji, żeby tego dopilnować.

Zimny pot popłynął strużką między łopatkami Breona. O co chodziło z tą *perswazją*? Magia? Tortury? Hipnoza? Czy ten mag naprawdę może go zmusić do mówienia prawdy? Ile jej będzie musiał wyjawić? Nie wiedzieć czemu prawda zawsze przedstawiała go w złym świetle. Czasem lekkie podkoloryzowanie pomagało...

– Chyba się nie znamy – zwrócił się do maga.

– Jestem Finn sul'Mander – przedstawił się chłopak. – A ty, grajku?

– Breon, ale czasem mówią mi Bree.

– Breon jaki? – Talbot się nachyliła, zapała o podłogę, jakby szykowała się do ciosu, gdyby Breon się wywinął.

– Breon d'Tarvos – odparł.

– Czy to znaczy, że pochodzisz z Tarvos? – zapytał Cień.

Breon nie miał zamiaru im tłumaczyć, że nie ma pojęcia, skąd pochodzi. Powiedział więc:

– Tak, to znaczy... tak myślę. Stąd nazwisko.

– Gdzie jest Tarvos? – pytał dalej Cień.

Na krew i kości. Kto się spodziewał pytań z geografii?

– Na wybrzeżu. Niewiele stamtąd pamiętam.

Ciepły brązowy piasek. Niebo tak niebieskie, że raziło w oczy. Jasny blask słońca i chłodny cień.

– Pokaż mi ten magiczny znak, o którym słyszałem – powiedział sul'Mander i przysunął swój stołek do przesłuchiwanego.

Breon pochylił głowę, okazując chęć współpracy. Mag gładził magiczny znak palcami, ale nie próbował go wyrywać tak jak wcześniej Talbot.

– Co o nim wiesz? – Stuknął palcem w znamię. – Czy ktoś ci to tu umieścił?

– To znamię. Mam je, odkąd pamiętam. Wiem, że jest niepodobne do większości innych.

– Czy jeszcze ktoś z twojej rodziny ma coś takiego?

– Nie wiem. Chyba jestem... zakładam, że jestem sierotą. Pierwsze moje wspomnienia to ucieczki po ulicach w Zatoce Bastońskiej, żeby jakoś przeżyć.

– Spotkałeś kiedyś kogoś z takim znakiem? W Ardenie albo gdzie indziej?

– Nic mi o tym nie wiadomo. To znaczy ludzie zazwyczaj nie pokazują mi swoich karków.

– Czy to może być jakiś wbudowany amulet?

– Nie wiem. Bez względu na to, ile razy o to zapytasz, cały czas mówię prawdę.

Nagle Breon poczuł pieczenie, jakby sul'Mander podgrzał metal.

– Auć! – Odsunął się. – Próbujesz to roztopić czy co?

– Finn? – odezwał się Cień. – Czy możemy przejść do ataku na księżniczkę Alysę?

Ten nazwany Finnem wyciągnął prawą rękę i przyłożył ją do Breona, jednocześnie lewą obejmując swój amulet. Przez palce maga przepłynęło ciepło, które wtargnęło w aresztowanego niczym okowita, ale gdy to minęło, wszystko wróciło do normy. Jakby magia weszła i wyszła, nic po sobie nie pozostawiając.

To nie było takie straszne, pomyślał Breon. Może magia jest przeceniana, jak wiele innych rzeczy.

Finn zmarszczył czoło, jakby zdezorientowany.

– No i? – zainteresowała się Talbot.

– Nie działa – odparł. – On się opiera.

– Niczemu się nie opieram – wtrącił urażony Breon. – Jestem otwartą księgą. Zapytaj o coś. – Obrócił głowę w prawo i w lewo, by zademonstrować gotowość do wymiany pytań i odpowiedzi.

– Powiedz nam, co się stało tej nocy, kiedy księżniczka została zaatakowana.

– Z przyjemnością, Wasza Czcigodność. Byłem...

– Nie muszę ci zadawać pytania, żeby wiedzieć, że to nie działa – stwierdził Finn. – A twoje odpowiedzi nie mają znaczenia, jeśli nie wiemy, czy mówisz prawdę.

Jedyną rzeczą gorszą od bycia przyłapanym na kłamstwie było mówić prawdę i zostać uznanym za kłamcę.

– Przeszukałaś go? – zwrócił się do Talbot Finn. – Może nosi jakiś talizman przeciwko wysokiej magii?

– Zabraliśmy mu wisiołek – odparła. – Nic więcej nie miał. – Jeszcze raz dla pewności oklepała go od góry do dołu. – Chyba że ta rzecz na szyi zakłóca działanie magii. – Zabrzmiało to tak, jakby magiczny znak był paskudnym czyrakiem czy guzem. Wyciągnęła nóż i powiedziała: – Mogę jeszcze raz spróbować to wydłubać.

Breon wyciągnął głowę jak żółw i szarpnął więzami, które pętały mu nadgarstki.

– Mówiłem już, że to nie schodzi.

– Za duże ryzyko – stwierdził Cień. – Nie chcemy go zabić, póki się czegoś nie dowiemy.

A co potem? – pomyślał Breon, gdy Talbot odsuwała nóż od jego szyi.

– Spróbuję jeszcze raz – postanowił Finn i ponownie uruchomił magię. – Postaram się przedostać przez bariery, ale nie chcę go skrzywdzić.

Owszem, pomyślał Breon. Nie chcesz.

Znowu poczuł to ciepło, które przepływało przez jego wnętrzności tak jak przy paskudnej bieguncie. Jednak pod koniec nie czuł się bardziej skłonny do mówienia prawdy niż zwykle.

Finn usiadł i zmarszczył czoło, pocierając podbródek.

– Dziwne.

– Co jest dziwne? – Talbot obserwowała więźnia, jakby rzeczywiście był jakimś dziwolągiem.

– Zdaje się, że w ogóle nie mam z nim połączenia.

Dopiero się poznaliśmy, pomyślał Breon. Takie rzeczy wymagają czasu.

Jednak szczerze mówiąc, nie miał pojęcia, dlaczego ta magia na niego nie działała. I dlaczego Finn nie próbował przynajmniej zadać jakiegoś pytania.

– Jeśli nie masz połączenia, to skąd wiesz, że kłamię? – zapytał.

– Zamknij się, grajku – przerwała mu Talbot.

– Zdecydujcie się. Chcecie, żebym się zamknął czy żebym mówił? – powiedział Breon. Od razu jednak tego pożałował, kiedy uderzyła go w twarz.

– Sasha! – Cień spojrział na nią z wyrzutem.

Talbot zwiesiła głowę.

– Przepraszam – wymamrotała, patrząc na swoje buty. – Nie powinnam była. Ale on mnie wnerwia.

Breon poczuł krew ciekącą z rozciętej wargi. Ziele cię rozzuchwała, pomyślał. Teraz nie możesz sobie na to pozwolić. Zaczynał pragnąć, żeby ten magiczny urok prawdy zadziałał – wtedy by mu uwierzyli. Ale może połączenie i perswazja to droga dwukierunkowa. Odruchowo się pochylił, spojrział Finnowi w oczy i spróbował pochwycić nić jego muzyki. Nawet gdyby nie mógł mu jej zwrócić, miałyby więcej informacji niż wcześniej.

Jednak oczy maga były jak pokryte lodem stawy, których Breon nie umiał zbadać. Nie słyszał żadnej pieśni.

Czy to dlatego, że Finn był czarownikiem? Czy Breon kiedykolwiek próbował zauroczyć maga? Chyba nie.

W tym momencie jego krzesło się zapaliło. Breon zaczął wrzeszczeć, wierząc się i nie mogąc się uwolnić. Talbot w jednej chwili ściągnęła koc z łóżka i próbowała nim ugasić ogień, ale bez skutku. W końcu przecięła więzy Breona i podniosła go z krzesła. Wtedy Finn zgasił płomień jakimś czarem.

– Co to było? – zapytał, kopiąc w stertę zwęglonego drewna. – Czemu to miało służyć? Jeśli próbowałeś się zabić, to są łatwiejsze sposoby.

– Ja? – wysapał Breon. Z oczu ciekły mu łzy. Rękę miał po łokieć w pęcherzach. – Nie wiem, co to, u licha, było, ale nie ja to zrobiłem. Myślicie, że jestem tak gg... głupi, żeby się podpalić?

– Nie mamy pojęcia, jaki jesteś głupi – odparł Finn.

Breon nawet nie próbował odpowiadać. Tonął w morzu straszliwego bólu, który zalewał go silnymi falami. Nic nie mogło się z tym równać, nawet gdyby połączył wszystkie bolesne doświadczenia swojego życia. Jeżeli kiedykolwiek myślał o podpaleniu się, to doświadczenie stanowczo wybiło mu ten pomysł z głowy. Po prostu mnie zabij, myślał. Albo odetnij mi rękę. To na pewno będzie mniej bolesne niż to, co teraz czuję.

Finn popatrzył na Cienia i Talbot.

– Mam kontynuować...?

– Nie! – zaprotestowała Talbot. To było tak niespodziewane, że wszyscy zwrócili się w jej stronę. – Nie widzicie, jak on cierpi? – Wyglądała na wstrząśniętą. – Musimy opatrzeć mu rękę.

– Słuchajcie, może ja potem wrócę i spróbuję sam – zaproponował Finn. – Jak on już poczuje się lepiej.

– Na razie się wstrzymajmy – powiedział Cień. – Wysłaliśmy wiadomość do kapitana Byrne'a i królowej. Jestem pewien, że księżniczka Alyssa będzie chciała osobiście go przesłuchać.

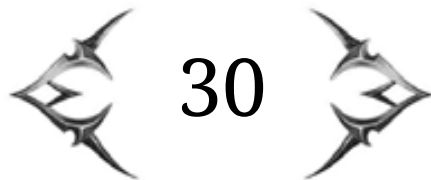
W tym otumanieniu mózg Breona potrzebował chwili, by przetworzyć to, co właśnie usłyszał.

– Zaraz... co? To ona żyje? – Patrzył kolejno na ich twarze, pewien, że to jakiś podstęp, sztuczka czy okrutny żart. –

Księżniczka żyje?

– Tak. Żyje – odparła Talbot. – Masz szczęście. Ale dwie osoby z jej eskorty zostały zabite w tym zamachu. Samo to powinno wystarczyć, żeby cię powiesić.

Z dobrej samarytanki w mgnieniu oka przekształciła się w złą policjantkę, ale Breon się tym nie przejmował. Ledwie zauważył, kiedy zjawiała się uzdrowicielka. Zdjęcie z jego barków ciężaru winy z powodu zamordowania dziewczki niemal rekompensowało odczuwany w tym momencie ból.



DOBRA I ZŁA WIADOMOŚĆ

Po tej nieszczęsnej rozmowie z kapitanem Grayem Hal nadal organizował zawody, ale teraz dopuszczał do udziału tylko własnych żołnierzy. Dwa dni z rzędu Gray przychodziła oglądać ich treningi. Hal zakładał, że chciała się upewnić, czy nie magazynują broni, nie planują ucieczki albo nie grają z drużyną wrogów. Trzeciego dnia wezwała go po zakończeniu zawodów i zaproponowała, by zorganizowali cykl spotkań między ochotnikami z obu armii.

Doszukiwał się w tym pułapki. Czy chcą wykorzystać rywalizację sportową, żeby ich wykończyć? Ostatecznie nie zbywa im jedzenia. Wyżywienie resztek jego szwadronu musi ich sporo kosztować.

– Nie obawiacie się, że każda ze stron może zapomnieć, że to tylko gra? – powiedział.

– Będziemy używać tężej i drewnianej broni – stwierdziła Gray. – Moglibyśmy stworzyć mieszane drużyny, oznaczone jakimś kolorem, żeby nie było tak, że Południowcy walczą przeciwko Północnym. Zaczniemy od konkurencji, w których nie ma rywalizacji jeden na jednego.

– Bez magów?

– Bez magów – zgodziła się chętnie.

– A co z kobietami?

– Co z kobietami?

- Też będą brać w tym udział?
 - Jeśli się zgłoszą. – Uniosła podbródek i w jej oczach pojawił się ten znajomy ostrzegawczy błysk. – Czemu pytacie?
 - Tak tylko... się zastanawiałem – odparł, przestępując z nogi na nogę.
 - Jeżeli wasi żołnierze będą znać ryzyko i jeśli się zgłoszą, nie widzę problemu – odpowiedziała, wsuwając dłonie do kieszeni.
- Jej mina mówiła, że zdobyła punkt, lecz Hal potrzebował czasu, by zareagować. Jego wychowanie nie przygotowało go do takich sytuacji.
- Dlaczego to robicie? – wybuchnął.
- Spojrzała na niego, jakby to było oczywiste.
- Jestem pod wrażeniem waszego programu szkoleń, kapitanie. Mam nadzieję, że wszyscy się czegoś nauczymy.

Po ostatnich zdarzeniach niektórzy ludzie Hala mieli wątpliwości co do tych rozgrywek, inni jednak nie mogli się doczekać, by zademonstrować swoje umiejętności.

Ogólnie rzecz biorąc, Północni niezbyt wprawnie posługiwali się mieczem długim, który stanowił podstawę szkolenia Hala. To miało sens, ponieważ na ogół walczyli z ukrycia i konno, w szybkich potyczkach. Kiedy musieli walczyć na miecze, wynik nie zawsze zależał od samego ostrza. Potrafili umiejętnie łączyć walkę wręcz i pracę nóg z fechtunkiem, co pozwalało im zyskać przewagę nad silniejszym przeciwnikiem.

Nazywano to „północnymi zasadami”, które wyrównywały szanse kobiet i mężczyzn bardziej, niż Hal się spodziewał. Mężczyźni zwykle byli silniejsi i wyżsi, przez co mogli osiągnąć dalej, ale to nie znaczyło, że za każdym razem wygrywali.

Musiał przyznać, że w prawdziwej walce *nie było* żadnych zasad.

Klanowcy nie zamierzali brać udziału w większości zawodów, bo używana przez nich broń zwykle różniła się od tej stosowanej przez żołnierzy Hala. Wyjątkiem było rzucanie nożem i zapasy, w których to umiejętnościach brylowali. Raz po raz Hal kończył walkę przygwożdżony do ziemi. Niektórzy

z jego żołnierzy wyrażali niezadowolenie, ale w końcu te pojedynki były dobrowolne.

Pewnego popołudnia przeciwnikiem Hala w walce na miecze okazała się kapitan Gray. Już wcześniej dwukrotnie ze sobą walczyli. Wygrał oba te pojedynki, ale nie przyszło mu to łatwo. Kapitan była wysoka i silna jak na kobietę i miała daleki zasięg ramion. W dodatku najwyraźniej oglądała wszystkie jego dotychczasowe walki.

Stanęli na wprost siebie i ukłonili się.

– Zasady północne? – zapytała.

Zdaniem Hala to znaczyło brak wszelkich zasad.

– Zasady północne – zgodził się, wzruszając ramionami.

– Naprzód – zakomenderował sędzia.

Widać było, że Gray sporo się nauczyła, obserwując jego poprzednie walki. Prawie natychmiast przybliżyła się do niego, tak że niemal stykali się nosami. Hal nie pamiętał, by wcześniej walczył z tak małej odległości, gdzie jego wzrost i zasięg ramion nie na wiele się zdawały.

Poza tym czuł w nozdrzach jej zapach – piżmową mieszankę potu, słońca na skórze i lanoliny. Wysunęła stopę, podcięła mu nogi i uderzył plecami w ziemię z taką siłą, że z płuc uszło mu całe powietrze. Śmiech gruchnął na niego ze wszystkich stron, śmiali się nawet jego żołnierze.

– Punkt dla kapitan Gray! – ogłosił sędzia.

Ona spędza dużo czasu z wojownikami Demonai, pomyślał Hal ze złością, gdy wyciągnęła rękę, by pomóc mu się podnieść.

Następna potyczka skończyła się mniej więcej tak samo, chociaż trwała trochę dłużej.

– Kapitan Gray wygrywa! – krzyknęli chórem obserwatorzy. Potem nastąpiło wilcze wycie.

Jej taktyka nie miała w sobie nic wiedźmiego – liczyły się szybkość, zwinność i koncentracja, jak u każdego żołnierza.

Ona jednak nie była jak każdy żołnierz. Nie przypominała żadnego z tych, z którymi Hal miał do czynienia.

Pomimo zimna zdjęła kurtkę i podwinęła rękawy, odsłaniając lśniące od potu bicepsy i wypukłą bliznę biegnącą wzdłuż

lewego przedramienia.

Dwa górne guziki koszuli miała rozpięte i Hal zauważył błyszczący wisior oraz tatuaż na jej obojczyku – szarego wilka.

Nie rozpraszaaj się, pomyślał. Skup się. W następnej walce prześlizgnęła się obok jego miecza i zadała mu niski cios w tułów, lecz tym razem pochwycił ją i oboje się przewrócili, przy czym Hal wylądował na górze. Płasko przylegał do jej ciała od piersi do kolan, ich twarze znowu były oddalone zaledwie o centymetry. Jakiś diabeł go kusił i Hal musiał użyć całej siły woli, by nie zakończyć tej walki pocałunkiem.

Domyślał się, jak by to zostało przyjęte.

Usłyszał nad sobą głos sędziego:

– Wygrywa kapitan Matelon!

Niewiele go to jednak obchodziło.

Gray wiała się pod nim, próbując go z siebie zepchnąć, a – ku jego przerażeniu – jego zdradzieckie ciało reagowało na to z wielkim i widocznym entuzjazmem.

Ona oczywiście także to zauważyła. Nie udawała, że jest inaczej, jak zrobiłaby dama z Południa. Wcale jej to nie zawstydziło. Uniosła głowę, tak że jej ciepły oddech ogrzał mu ucho, i powiedziała:

– Miecz w kieszeni, kapitanie?

Hal zsunął się na bok i wylądował twarzą w śniegu. Bał się obrócić na plecy. Na szczęście topniejący pod nim śnieg dość szybko rozwiązał jego problem. Kiedy uznał, że może bezpiecznie wstać, podparł się dłońmi i kolanami i podniósł głowę. Gray wyciągnęła do niego rękę, szczerząc zęby w uśmiechu.

Przyjął jej pomoc, bo odrzucenie jej byłoby dziecinadą, ale gdy już stał, od razu puścił jej rękę.

– To nic takiego – powiedziała z rozbawieniem. – Dobra walka, kapitanie. – Rozejrzała się. – Zdaje się, że publiczność już się rozeszła.

Jakieś poruszenie na dziedzińcu przyciągnęło uwagę gapiów, którzy ustawili się wzdłuż muru i wpatrywali w tłum przybyszów zgromadzonych przed wejściem. Hal słyszał

okrzyki, wiwaty i ogólne odgłosy radości. Potem rozbrzmiały dzwony w kaplicy – nie w znajomy, rytmiczny sposób kojarzony z żałobą, lecz donośnym dźwiękiem obwieszczającym dobrą nowinę.

Miejsce jego aktualnych obaw zajęły nowe. Dobra wiadomość dla Fells to prawdopodobnie zła wiadomość dla jego ojczyzny. Kiedy pojawiły się fajerwerki, był już tego pewien.

Złe czy dobre wieści to kwestia perspektywy, pomyślał.

– No, no – powiedziała Gray. – Albo ktoś wziął ślub, albo królowa urodziła demony bliźniaki, albo wygraliśmy wojnę.

Zdawało się, że czeka na jego reakcję, na tę ostatnią ewentualność, lecz Hal odmówił udziału w tej grze. Miał już dość nauczek na dzisiaj.

– Która z tych możliwości jest waszym zdaniem najbardziej prawdopodobna? – zapytał sztywno.

Jej uśmiech zbladł.

– Chyba powinniśmy sprawdzić, co się dzieje. – Podniosła swoją kurtkę i zarzuciła na siebie, po czym obiema dłońmi wygładziła włosy.

Matelon rozprostował koszulę i bluzę. Jego mundur był w złym stanie, potargany w kilku miejscach, ubrudzony krwią i ziemią. Próbował sprać te plamy i zaszyć rozdarcia, ale niewiele to dało. Gdyby był w domu, już dawno wymieniłby go na nowy.

Obrzuciła go krytycznym wzrokiem, gdy szli w kierunku zgromadzonego tłumu.

– Wasz mundur nie wygląda najlepiej. Może uda się zdobyć dla was jakiś inny strój.

– Ten wystarczy – odparł szorstko. – Przypomina mi, kim jestem.

Przy drzwiach rezydencji zastali szczupłą ciemnowłosą kobietę w stroju podróżnym – wełnianych spodniach, ciężkiej wełnianej pelerynie i wysokich butach. Obok niej stali wysoki ogorzały gwardzista z niezwykłym mieczem i dwie kobiety. Jedna z nich miała na sobie mundur piechoty górskiej. Drugą była lady

Barrett, która przesłuchiwała Hala kilka razy, odkąd trafił do niewoli. Tydzień temu pojechała do stolicy. Teraz wróciła w towarzystwie paru osób.

Kapitan Gray wydawała się bardzo uradowana ich widokiem, bo rzuciła się naprzód, zostawiając Hala z tyłu. Zanim do nich doszła, wyraźnie trochę ochłonęła, zatrzymała się i zaszalutowała, przykładając pięść do piersi.

– Wasza Królewska Mość! – powiedziała do kobiety w stroju podróżnym. – Witamy w Delphi.

– Dziękuję, kapitan Gray – odparła przybyszka z ciepłym uśmiechem.

Wasza Królewska Mość! Hal wpatrywał się w nią, próbując połączyć tę kobietę z wizją krwiożerczej, ujeżdżającej demony wiedźmy, którą całe życie przed nim rysowano. Jego pierwszą myślą było, że jest szczupła i wygląda na zmęczoną, a jednak tryska radością z powodu dobrej nowiny.

– Generał Dunedain. – Gray zaszalutowała drugiej kobiecie, która odpowiedziała jej tym samym.

Teraz Hal był już na tyle blisko, by zauważyć na szyi przybyłej zielony szalik oficerski. To musi być kolor generałów.

– Witamy z powrotem, Julianno – kapitan zwróciła się do lady Barrett. – Tak się cieszę, że cię widzę... że widzę was wszystkich. Czemu nikt mnie nie uprzedził o waszym przybyciu?

– Ja sama nie wiedziałam aż do przedwczoraj – stwierdziła królowa. – Wtedy usłyszałam dobre wieści, którymi musiałam się z wami podzielić osobiście.

– Arden skapitulował? – zapytała Gray.

– Prawie – odparła królowa. – Ten potwór nie żyje.

Gray zmarszczyła czoło, zdumiona.

– Potwór?

– Gerard Montaigne. Właśnie dotarły do nas wieści od naszych agentów na Południu. On nie żyje.

Kapitan zrobiła krok naprzód, wpatrzona w królową, której twarz jaśniała radością wymieszaną z niedowierzaniem.

– Nie żyje? – szepnęła, jakby ta wiadomość była niespodziewanym prezentem, błyszczącą paczuszką, którą obawiała się otworzyć.

Nie żyje? Te słowa kołatały się po głowie Hala. Król Gerard nie żyje? Co to oznacza dla rodziny Matelon? Czy w tej sytuacji będzie mógł wreszcie wrócić do domu?

Hm. Rozejrzył się po otaczających go gwardzistach i żołnierzach. To nie będzie takie proste.

– Nie wiemy dokładnie, jak i kiedy to się stało – mówiła królowa. – Przypuszczamy, że zaraz po Przesileniu. Zdaje się, że doszło do jakiegoś ataku na pałac w Ardencourt... o który obwinia się mnie. – Wzruszyła ramionami, jakby to oskarżenie niezbyt jej ciążyło.

– Coś zburzyło wieżę pałacową – powiedziała lady Barrett. – Twierdzą, że to był demon... którego teraz nikt nie może znaleźć. – Przewróciła oczami. – Zawsze kiedy Południowcy przegrywają, zwalają winę na jakieś demony. Podobno Montaigne nie zginął w tym ataku, ale potem był tak zrozpaczony, że rzucił się z wieży. – Pokręciła głową. – Nie znam nikogo, kto by dawał temu wiarę. Zawsze kiedy Montaigne miał zły humor, po prostu mordował parę osób i od razu mu się poprawiało.

To prawda, pomyślał Hal. Ale skoro doszło do ataku... kto jeszcze ucierpiał? W końcu była zima i jego rodzina prawdopodobnie przebywała na królewskim dworze. Wystąpił naprzód, nie mogąc się pohamować.

– Czy są inni zabici albo ranni?

Wszyscy obrócili się w jego stronę.

– Czy nas sobie przedstawiono? – zapytała królowa, przechylając głowę. Wbiła w niego wzrok zielonych oczu, które zdawały się przewiercać go na wylot.

Gray pospieszyła z wyjaśnieniem:

– Wasza Królewska Mość, to jest kapitan Halston Matelon, były dowódca sił Ardeny tutaj w Delphi. Kapitanie Matelon, poznajcie królową Raisę ana'Marianę.

– Kapitanie Matelon – powiedziała królowa Raisa – spotkałam waszego ojca raz czy dwa, kiedy byłam dziewczynką. Imponujący mężczyzna i o wiele za dobry żołnierz, by walczyć po złej stronie. Słyszałam, że wy także nieźle radzicie sobie na polu bitwy.

– Dziękuję, pani – odparł Hal, nie podnosząc wzroku. – Ale gdybym tak nieźle sobie radził, nie stałbym tu teraz jako jeniec. Zwyciężyłbym.

– Nie bądźcie dla siebie zbyt surowi. Gray jest jednym z naszych najbardziej szanowanych dowódców. – Mrugnęła do Gray, która wyglądała, jakby otrzymała od królowej wspaniałą bukiet.

Królowa Raisa położyła dłoń na ramieniu lady Barrett.

– Może lady Barrett będzie w stanie odpowiedzieć na wasze pytania dotyczące ofiar. Przeczytała wszystkie depesze.

Barrett skinęła głową.

– Było kilka ofiar, ale nie znamy nazwisk. Z raportów wynika, że królowa Marina i dzieci przeżyły. Księżę Jarat został koronowany.

Hal spotkał księcia kilka razy. Chłopak nie wywarł na nim wrażenia, ale jakimkolwiek królem by się okazał, trudno było sobie wyobrazić, żeby mógł być gorszy niż jego ojciec.

Królowa obserwowała Hala, jakby chciała dociec, jakiego pokroju jest człowiekiem.

– Kapitanie Matelon, lady Barrett ma jeszcze jedną wiadomość, która dotyczy was w szczególności – powiedziała.

Barrett spojrzała uważniej na władczynię, szukając potwierdzenia, czy naprawdę może udzielić Halowi jakichś informacji. Potem wzruszyła ramionami.

– Wszystko wskazuje na to, że po utracie Delphi wśród tanów panuje znaczne niezadowolenie. Część z nich odmówiła przekazywania dalszych pieniędzy i ludzi na cele wojenne.

– Rozumiem – skwitował Hal tonem, który miał zabrzmieć obojętnie. To nie było nic nowego. Przypomniał sobie rozmowę z ojcem po tym, jak skierowano go do Delphi. Lord Matelon obarczał winą swój własny krytyczny stosunek do wojny.

Matelonowie od dawna sprzeciwiali się finansowaniu obsesji króla Gerarda na punkcie zimnej Północy.

– Teraz dochodzą mnie słuchy, że kilku najpotężniejszych tanów, w tym wasz ojciec, publicznie przestało popierać króla w tej sprawie. Zanim król... zmarł, oczywiście.

Hal wyprostował się, poczuł ucisk w żołądku. Czy po dwudziestu pięciu latach znowu rozpoczyna się wojna domowa? Czy zbuntowani tanowie mogli być odpowiedzialni za śmierć króla?

Kiedy Gerard walczył z braćmi o tron, liczba ofiar cywilnych była zatrważająca. *W wojnie domowej nie ma zwycięzców, są tylko przegrani, trzeba jej więc unikać za wszelką cenę.* To była kolejna zasada, którą wpajano mu od małego.

– Jeśli to prawda, to przykro mi, że moja porażka odegrała w tym jakąś rolę.

– Nie traktujcie tego jako waszą porażkę, tylko jako nasz sukces – wtrąciła Gray, na co Dunedain się uśmiechnęła.

– W odpowiedzi Montaigne uwięził rodziny członków Rady Tanów, w tym waszą matkę i siostrę. Widocznie zamierzał przetrzymywać te osoby jako zakładników, żeby móc szantażować tanów.

Robiło się coraz gorzej. Ojciec ostrzegwał Hala, żeby za wszelką cenę unikał królewskiego więzienia. Teraz zamiast niego trafiły tam jego matka i siostra. Harper odziedziczyła po ojcu temperament i upór. Kto wie, jak się zachowa w tej sytuacji.

Chrząknął.

– Trudno w to uwierzyć – skłamał. – Król musiał wiedzieć, że mój ojciec nigdy się nie ugnie przed taką presją.

– Niestety nie mam jak zweryfikować prawdziwości tych informacji – stwierdziła Barrett. – Podobno przed śmiercią zachowanie króla było... niewytłumaczalne. Thanelee Matelon i jej córki nie widziano nigdzie od upadku Delphi, ale możliwe, że się ukrywają. Jednak z wiarygodnego źródła wiem, że wasz ojciec zebrał swoje chorągwie.

Hal poczuł się przytłoczony tymi złymi wiadomościami, przewagą liczebną otaczających go wrogów, bez możliwości

potwierdzenia lub wykluczenia tego, co słyszy. Musiał jednak zapytać:

– Czy... są jakieś wieści o moim bracie Robercie?

– Sądźmy, że jest w Białych Dębach z waszym ojcem – odpowiedziała generał Dunedain.

To przynajmniej była dobra wiadomość. Białe Dęby to siedziba Matelonów, a tamtejszą twierdzę niełatwo było zdobyć.

– Możemy się mylić co do waszej rodziny – dodała Barrett. – Możliwe też, że nowy król zarządzi powszechną amnestię.

– Zastanawiam się, kapitanie, czy śmierć waszego króla może zwiastować nowe stosunki między naszymi krajami – zauważyła królowa. – Jak myślicie?

– Przepraszam, pani – powiedział Hal, ogarnięty niepokojem. – Nie znam się na polityce.

– Prawdziwy żołnierz – stwierdziła królowa i spojrzała na Gray. – Mimo wszystko chciałabym usłyszeć wasze zdanie.

Coś się tu dzieje, pomyślał Hal, przerzucając wzrok z Barrett na królową. Coś, o czym nie wiem, a co sprawiło, że pozwolili mi się przysłuchiwać tej rozmowie o sytuacji w Ardenie. Ile z tego jest prawdą? Czego się po mnie spodziewają?

Wreszcie rozmowa dobiegła końca. Kapitan Byrne przywołał gestem swoich niebieskich.

– Teraz spędzimy trochę czasu na omawianiu sytuacji z kapitanem Gray. Odprowadzić kapitana Matelona do jego kwatery.



ZŁA I DOBRA WIADOMOŚĆ

Kiedy Matelon odszedł, Lyss poprowadziła gości do biblioteki. Tam jej matka rozłożyła ramiona i Lyss zatonęła w nich na chwilę, by zaraz oderwać królową od podłogi w dzikim tańcu zwycięstwa.

Z waszych kości usypiemy
Górę, jakiej jeszcze nie ma

– Żałuję tylko, że nie zabiłam tego łajdaka własnymi rękami! – zawołała Lyss. – Ale i tak mnie to urządza. – Nalała każdemu parujący kubek grzanego wina i usiedli wokół paleniska.

– Och, kochanie – mruknęła jej matka. – Tak długo czekałam na ten dzień. Żałuję, że nie możemy być wszyscy razem, żeby to należycie uczcić.

Lyss wiedziała, że królowa ma na myśli jej dziadka, ojca, siostrę i Adriana.

– Są tu z nami duchem, mamó. A Adrian niedługo będzie też z nami ciałem. – Zamilkła, pragnąc poczuć atmosferę świąt, choćby za pośrednictwem cudzych opowieści. – Czy w Górach Duchów płoną ogniska?

– Tak – odpowiedziała jej matka z uśmiechem. Rozejrzała się. – Widzę, że się tu zadomowiłaś.

– Mamy więcej dobrych wiadomości, Wasza Wysokość – odezwał się kapitan Byrne. – Sądzimy, że schwytaliśmy tego grajka, który wciągnął was w zasadzkę.

Ta informacja sprawiła, że Lyss zapomniała o wszystkim innym.

– Tak? To na pewno on?

Byrne skinął głową.

– Miał przy sobie szczątki tego... narysowanego przez was instrumentu. Twierdzi, że jest wędrownym grajkiem. Przyznał, że został najęty, żeby dla was zagrać, ale zaprzecza, by wiedział, co planowali.

– Jak się nazywa?

– Mówi, że Breon d'Tarvos – odparł.

– Gdzie jest Tarvos?

– To port w Kartezji. Nie znam nikogo, kto tam był, ale uważa się, że to gniazdo piratów. On twierdzi, że nie posiada w sobie magii, ale ma jakiś dziwny znak na karku.

Lyss odruchowo dotknęła własnej szyi.

– Znak?

– Jest wypukły, z metalu, ale osadzony w skórze i niemożliwy do usunięcia – powiedział Byrne. – Przypomina białe złoto albo platynę z oszlifowanym niebieskim kamieniem. Cień nigdy wcześniej nie widział czegoś takiego, a on zna się na magii i magicznych artefaktach. Finn też nie wie, co to takiego. Może jakaś piracka odznaka.

– A może Arden panuje nad swoimi magami za pomocą takich amuletów zamiast obręczy – rzekła Lyss.

– Jest jeszcze coś – dodała Julianna. – Jakiś rok temu otrzymaliśmy wiadomość z Kartezji od osoby, która się podawała za Cesarzową Wschodu. Proponowała nagrodę za każdego z odznaką czy broszą osadzoną w skórze. Ta wiadomość dotarła przez jakiegoś pirata, a my nigdy nie słyszeliśmy o tej cesarzowej ani nigdy nie widzieliśmy niczego takiego, więc zignorowaliśmy to. Teraz myślę, że powinniśmy się skontaktować z tą cesarzową i przekonać się, co ona ma do powiedzenia.

Lyss przytaknęła.

– Tego grajka schwytaliście w Fellsmarchu czy...?

Byrne zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie, został złapany w Kredowych Klifach i jest przetrzymywany w tamtejszej strażnicy. Wydaje się, że miał zamiar złapać statek do Ardeny, co przemawia przeciwko niemu. Cień, Talbot i sul'Mander przesłuchiwali go, ale trzyma się swojej wersji.

– Chcę pojechać do Kredowych Klifów i z nim porozmawiać – oświadczyła Lyss, przypomniawszy sobie tego chłopca z nawiedzonymi oczyma i jego nieziemską muzykę. – Może przyłapię go na kłamstwie albo przekonam, żeby się przyznał. Poza tym muszę się dowiedzieć, co pomogło mu tak mnie omamić. – I odebrać życie dwóm porządnym Szarym Wilkom.

Jej matka kiwała głową, jakby się tego spodziewała.

– Zgadzam się. Nie dziwię się, że chcesz to zbadać. Chociaż mam nadzieję, że wraz z Montaigne'em odeszła jego niechęć do nas. Może wreszcie skończą się te morderstwa.

Lyss zapało dech. Że też jej to nie przyszło do głowy. Czy to możliwe? Czy teraz mogła liczyć na to, że nie będzie już musiała się bać za każdym razem, gdy jej mama wychodzi z zamku? Czy Lyss naprawdę będzie mogła chodzić ulicami stolicy i nie nasłuchiwać odgłosów kusz?

– Zabierz ze sobą szwadron żołnierzy – powiedziała królowa. – Kapitan Byrne wyśle dwie trójki Szarych Wilków. Chcę użyć dużej liczby ludzi, zwłaszcza jeśli mają sprowadzić chłopaka z powrotem do Fellsmarchu. Nie chcę, żeby ta ryba przepłynęła nam między palcami.

Dobrze będzie wyjechać z Delphi, choćby na krótko, znowu zobaczyć Sashę i Cienia... i Finna.

– Interesuje mnie ten kapitan Matelon. – Generał Dunedain obracała kubek w dłoniach. – Ma wspaniałą reputację dowódcy polowego, a jednak pokonałaś go na polu bitwy, i to dwa razy z rzędu. Co możesz o nim powiedzieć teraz, gdy od kilku tygodni jest twoim więźniem?

– Matelon? – Lyss się zastanowiła. – Jest oficerem oddanym swoim żołnierzom. Jego ludzie są wobec niego lojalni, i nie bez powodu. Jeśli chodzi o nasze starcia, to wiesz już, że Matelona wpakowano na minę w Dolinie Królowych.

– Ciekawe, że Karn postawił takiego oficera w tej sytuacji – zauważyła Julianna. – Czy on coś o tym mówił? Skarżył się?

Lyss pokręciła głową.

– Jak już może zauważyliście, niechętnie wygłasza opinie. Nie ufa nam.

– Byłabym zdumiona, gdyby komuś ufał po tym, jak wychowywano go w Ardenie – stwierdziła Raisa.

– A tutaj, w Delphi? – dopytywała Dunedain. – Jak się tu zachowywał?

– Tutaj, w Delphi, Matelon popełnił błędy – odparła Lyss. – Pozwolił się wciągnąć w bitwę na naszym terenie, na naszych warunkach. Został wystawiony do wiatru. Zdarza się. – Przerwała na chwilę. – A skoro o nim mowa, co to był za spektakl na dziedzińcu?

– Spektakl? – zdziwiła się Julianna.

– Miałam wrażenie, że sobie z nim pogrywacie – wyjaśniła Lyss. – Że wyjawianie tych wszystkich informacji ma jakiś cel.

– Bo ma. – Kuzynka spojrzała na Lyss ponad krawędzią kubka.

– Julianna chce powiedzieć, że wciąż próbujemy się zorientować, czy śmierć Montaigne’a to dla nas dobra czy zła wiadomość – wyjaśniła królowa.

– Jak mogłaby to być zła wiadomość? – Lyss wpatrywała się w matkę ze zdumieniem. – Przecież mówiłaś...

– Niewiele wiemy o księciu – oświadczyła Julianna. – Do tej pory to Gerard podejmował wszystkie decyzje. Jak pokazał przykład jego braci, krewni, którzy się z nim nie zgadzali, płacili za to krwią. Teraz książę Jarat będzie kształtował politykę. Ma tylko szesnaście lat i trudno przewidzieć jego zachowanie. Królowa Marina jest regentką, ale nigdy nie miała dużego wpływu na decyzje polityczne, o ile nam wiadomo.

– Może racja – mruknęła królowa, lecz wyglądała na nieprzekonaną. – Ale jakkolwiek patrzeć, ona jest z rodu Tomlinów. Jeszcze nas może zaskoczyć.

– Przed śmiercią Gerarda krążyły pogłoski o jakimś tajemniczym nowym sprzymierzeńcu, który miał pomóc Ardenowi wygrać wojnę raz na zawsze – ciągnęła Julianna. – Nie wiemy, czy mylił tropy, czy ten układ nadal jest aktualny. Tymczasem tanowie prawdopodobnie dostrzegą w tym szansę na odzyskanie części władzy, jakiej pozbawił ich król Gerard. Odkąd objął tron, systematycznie odbierał im ziemie i dochody. No i każdy z nich... na przykład Matelon senior... może uznać, że sam chce zostać królem.

– Prawdziwy polityczny bałagan – mruknęła Lyss.

– Właśnie – przyznała Julianna z dziwnym zadowoleniem. W przeciwieństwie do Lyss ona rozkwitała w takim politycznym bałaganie. – Możemy tu siedzieć i obserwować *albo* próbować wpływać na rozwój wypadków na naszą korzyść.

– Jak mielibyśmy to robić? – zapytała zaintrygowana Lyss.

– Jest kilka możliwości – wtrąciła jej matka. – Jeśli wojna domowa będzie się przedłużała, poprzemy tę stronę, która zechce zawrzeć z nami pokój.

– Tanowie prawdopodobnie będą go chcieli – powiedziała Julianna – bo to oni płacą za wojnę w ludziach i majątku. Od lat się na to uskarżają. To właśnie był powód sporu między tanem Matelonem a Gerardem.

– Jeśli tanowie będą chcieli pokoju, a król Jarat wojny – dodała królowa – zawrzemy umowę z tanami i odeślemy kapitana Matelona, żeby walczył u boku ojca.

– A inne możliwości? – zapytała ostrożnie Lyss.

– Możliwe, że król Jarat i tanowie szybko się pogodzą, teraz, gdy Gerard już nie stoi im na przeszkodzie – odpowiedziała Julianna. – Jeżeli tak, to pojawia się pytanie, czy będą chcieli kontynuować wojnę, czy poproszą o pokój.

– Innymi słowy, czy w tej przeklętej wojnie naprawdę chodziło o urażone uczucia króla Gerarda, czy popiera ją więcej

osób, niż myślimy – podsumowała Lyss.

Wszyscy wokół niej zgodnie pokiwali głowami.

– Kościół Malthusa może zachęcać do kontynuowania wojny, bo kapłani przedstawiali ją jako walkę dobra ze złem – zauważyła Julianna. – Ale z drugiej strony w konfrontacji z władzą królów i książąt oni zwykle okazują uległość.

– Jeśli Arden wybierze pokój, odeślemy jeńców – oznajmiła królowa. – Matelon wróci do domu.

Julianna i królowa widocznie omówiły to już między sobą przed przyjazdem, pomyślała z lekką irytacją Lyss.

Kuzynka była w tym dobra, była w tym tak dobra, a jednak...

– A jeśli wybierze wojnę...?

– Jeśli opowiedzą się po stronie wojny, wtedy nie odeślemy im młodego Matelona – powiedziała królowa. – Nie tylko dlatego, że jest zdolnym strategiem i dowódcą, ale też dlatego, że stracilibyśmy cenną kartę przetargową.

– Słyszałaś, co mówił o swoim ojcu – rzekła Lyss. – Że nigdy by...

– Tak, słyszałam. Z tego, co wiem o Matelonie seniorze, kapitan może mieć rację. Ale czasami, kiedy chodzi o pieniądze, dokonujemy niespodziewanych wyborów.

Kiedy chodzi o pieniądze? Co to miało znaczyć? Lyss czuła, jak narasta w niej złość.

– A jeśli nie zechcą się z nami układać? Odetniemy mu głowę i wyślemy jego ojcu w szkatule?

Te słowa spotkały się z martwą ciszą.

– Nie, Alysso – odpowiedziała po chwili jej matka głosem pełnym dezaprobaty. – Ani nie wtrącimy go do lochu. Powinnaś to wiedzieć. Będzie przetrzymywany w wygodnej kwaterze, odpowiednio do swojego stopnia wojskowego. W końcu jest jeńcem wojennym.

– A jeśli nie zgodzi się na udział w waszym planie? – Lyss przerzucała wzrok między Julianną a matką. – Jeśli spróbuje uciec? – Objęła gestem otoczenie. – To miejsce nigdy nie miało być więzieniem. Leży na samej granicy i nie jest odpowiednio strzeżone.

– Wiemy – powiedziała królowa. – Dlatego przeniesiemy go w bezpieczniejsze miejsce. – Po chwili dodała: – Chcę, żebyś zabrała go do Kredowych Klifów.

Umysł Lyss pracował już na pełnych obrotach, rozważając plany podróży i jednocześnie śledząc tę rozmowę. Teraz nagle gwałtownie się zatrzymał.

– Matelona? Po co miałabym to robić?

– Chciałabym go wywieźć z Delphi do Fells. Jak sama mówisz, to miejsce nie jest odpowiednio zabezpieczone. W Kredowych Klifach znajduje się twierdza, która się do tego nadaje.

Sama zatem strzeliłam sobie w stopę, pomyślała Lyss. Nie podobał jej się żaden plan z wykorzystaniem Matelona jako pionka w grze, a teraz miała wziąć udział w realizacji takiego pomysłu. Poza tym niańczenie jakiegoś jeńca w drodze na wybrzeże było ostatnią rzeczą, o jakiej marzyła.

Niech Julianna eskortuje go do więzienia, skoro tak podoba jej się ten plan.

– To nie jest dobry pomysł – powiedziała, odrzuciwszy stwierdzenia „To okropny pomysł” i „Co za głupi pomysł”.

– Czemu?

– On spróbuje uciec przy pierwszej okazji, a w podróży jeszcze trudniej będzie temu zapobiec. Będzie chciał wrócić do Ardeny, żeby się dowiedzieć, co z jego rodziną.

Jej matka masowała sobie kark.

– Trudno go o to winić.

– Jeśli spróbuje ucieczki, zastrzelimy go? – Lyss podniosła głos, co wywołało zdumienie na twarzy zarówno jej kuzynki, jak i matki.

– Musisz dopilnować, żeby do tego nie doszło – oznajmiła królowa.

Lyss sama była trochę zdziwiona. Dlatego tak mocno broniła Matelona? Co właściwie chciała z nim zrobić? Czy traktowała go jak własność, bo uratowała mu życie?

Czy to znaczy, że zaczynasz coś do niego czuć?

Nie. Starasz się dopilnować, żeby dostał to, co mu się należy.

Nie podobał jej się ten pomysł z wtrącaniem się w sprawy Ardeny i wykorzystywaniem Matelona do zdobycia informacji lub przedstawienia swoich argumentów. To za bardzo przypominało jej taktykę Południowców z przeszłości. *Czym się od nich różnimy?*

Królowa się pochyliła.

– Postaraj się go przekonać, Alysso. Wydaje mi się, że macie ze sobą dużo wspólnego. Mam nadzieję, że jeśli zrozumie, że nie jesteśmy wiedźmami i demonami, po powrocie do domu będzie naszym ambasadorem.

– *Jeśli* wróci do domu – zauważyła Lyss. – Jeżeli chcecie go trzymać jako zakładnika, to chyba mądrzej by było zabrać go do Fellsmarchu, gdzie twierdza jest lepiej strzeżona.

– Jeżeli zawrzemy umowę z tanami, łatwiej będzie odesłać go do ojca statkiem – wtrąciła Julianna. – Wyprawianie go drogą lądową przez Arden jest zbyt ryzykowne.

Matelon jest żołnierzem, pomyślała Lyss. Dobrym żołnierzem. Nie zrobił nic złego. Zostawcie go w spokoju.

– Wiem, że to ci się nie podoba, Alysso – powiedziała królowa, obracając swój wilczy pierścień na palcu – ale stawka jest wysoka. To wojna i musimy ją toczyć na wszystkich polach. Jak wiesz, jest nam trudno. Zajęcie przez was Delphi i śmierć Montaigne’a to pierwsze dobre wiadomości od dawna. Jeśli dobrze zagramy w Ardenie, może uda się zakończyć tę krwawą wojnę i po raz pierwszy w moim życiu mieć na Południu sprzymierzeńców. Moglibyśmy nawet odzyskać wpływy w pozostałych królestwach. Jeśli poprzemy konia, który przegra, może trzeba będzie za to płacić wiele lat. – Kiedy Lyss nic nie odpowiadała, matka dorzuciła: – To nie są negocjacje. Takie są moje warunki. Jeżeli ich nie akceptujesz, możesz zostać tutaj albo wrócić ze mną do Fellsmarchu.

– Skoro tak stawiasz sprawę, to przyjmuję twoje warunki – oświadczyła Lyss, patrząc jej w oczy.

– Dobrze. A teraz wzniesmy toast za najjaśniejsze od bardzo dawna przesilenie zimowe – powiedziała królowa, podnosząc

kielich. – Słońce znowu się pojawiło, dzięki Stworzycielowi. Może nasza klątwa przesileniowa w końcu została złamana.

Wszyscy wypili do dna i Byrne nalał następną kolejkę. Lyss nie mogła się oprzeć wrażeniu, że los się temu przysłuchuje. I kreśli własne plany.



W DRODZE DO KREDOWYCH KLIFÓW

Już następnego dnia po przybyciu królowej Hal grał w karby i kości przy kominku z Bernardem i Littlefieldem. W brzydką pogodę, czyli prawie cały czas, spędzali w ten sposób popołudnia.

Bernard był jednym z żołnierzy pozostałych z ardeńskiego garnizonu. Littlefield dowodził fellsjańskim szwadronem i podlegał bezpośrednio kapitan Gray. Pozostali gracze często byli przypadkowi. Hal postawił sobie za cel poznać jak najwięcej Północnych. Liczył na to, że każdy taki znajomy może mu się przydać.

W drzwiach strażnicy pojawiła się kapitan Gray z grymasem na twarzy.

– Matelon. Pakujcie swoje rzeczy i bądźcie gotowi do wyjazdu jutro rano.

Niewiele miał do pakowania, tylko to, co na sobie, grube ubrania i dwie zmiany bielizny.

– Dokąd jadę? – zapytał.

– Dowiedzie się.

Gdy Gray zaczęła się odwracać, Matelon dopytał:

– Pani kapitan? Czy mam kazać swoim żołnierzom się pakować?

– Nie – odparła. – Tylko wy.

Po tych słowach wyszła.

Hal zwrócił się do swoich kompanów:

– Czy któryś z was wie, o co chodzi? – Skierował to pytanie przede wszystkim do Littlefielda, który był w końcu bezpośrednim podkomendnym Gray.

Ten pokręcił głową.

– Może uda mi się czegoś dowiedzieć.

Wieczorem Littlefield odnalazł Hala na placu ćwiczeń.

– To wszystko ściśle tajne, ale słyszałem, że jeden ze szwadronów kapitana Byrne’a także jutro wyrusza. – Wzruszył ramionami. – Nie sądzę, żeby przekazanie tej informacji wyrządziło armii jakąś szkodę.

To dobra czy zła wiadomość?

– Dzięki, Littlefield – odparł pogodnie. – Doceniam to. I jeśli się już nie zobaczymy, daruję ci te pięć koron, które mi wiesz.

– A ja zapomnę o siedemnastu koronach, które ty mi wiesz – odpowiedział Littlefield. Potem spoważniał i uściśnął Matelonowi dłoń. – Powodzenia.

Gdy Littlefield odszedł, Hal oparł się o palisadę i zamyślił. Nie podobało mu się to, że zostanie oddzielony od swojego oddziału. Nie łudził się, że jest w stanie go ochronić przed wszelkim złem, ale przynajmniej wspierałby go swoją obecnością. To była jedna z przyczyn, dla której zwlekał z ucieczką. A teraz mogło już być za późno.

Jakikolwiek był plan, kapitan Gray nie wydawała się nim zachwycona.

Co to oznaczało? Czy królowa i jej eskorta chcą go odstawić do Fellsmarchu? Czy Gray pojedzie z nimi? Z nadzieją pomyślał, że tak. W czasie, który spędzili razem, przekonał się, że ona nie jest wiedźmą, tylko takim samym żołnierzem jak on. Rozumieli się i wzajemnie szanowali. Wiele się od niej nauczył i zdał sobie sprawę, że może się nauczyć jeszcze więcej. Miał nadzieję, że ona także uczyła się czegoś od niego.

Fascynowała go, stanowiła wyzwanie, czasem wprawiała go w złość – ale nigdy się przy niej nie nudził.

Nie trać głowy, Matelon. Nie pozwól, żeby odwiodła cię od twojej misji.

Nie miało znaczenia, dokąd go zabierają. Miał swoje plany.

Okazało się, że kapitan Gray wchodziła w skład grupy, która następnego dnia przed świtem opuściła kwaterę główną armii w Delphi. Ku przerażeniu Hala jechał z nimi także porucznik Bosley. Wyglądało na to, że to on był dowódcą szwadronu piechoty górskiej, o którym wspominał Littlefield. Towarzyszyli im też niebiescy, którzy widocznie mieli za zadanie pilnować Hala. Widział ich mundury wyzierające spod białych wełnianych peleryn.

Hal jechał na jednym z tych długowłosych górskich kuców, które upodobali sobie Północni, i z tego wnioskował, że kierują się na północ. Był wdzięczny za grubą wełnianą pelerynę, namiot i posłanie, które otrzymał od kwatermistrza. Przydadzą się, kiedy się od nich odłączy.

Mniej wdzięczny natomiast był za okowy, które przyniósł Bosley.

– Co to? – zapytał, patrząc na nie z niezadowoleniem. To komplikowało mu plany.

– Rozkaz pani kapitan – oznajmił z chytrym uśmiechem Bosley. – Dawaj nadgarstki, nizinny.

Hal wyciągnął ręce.

– Naprawdę myślisz, że jestem tak głupi, żeby próbować uciekać w góry zimą?

– Nie ma znaczenia, co ja myślę. Ważne, co myśli kapitan Gray.

Bosley zawsze mówił „kapitan Gray”, jakby to był jakiś ich prywatny żart. Co, u licha, pomyślał Hal. Czy według niego takie formalne wyrażanie się o swojej ukochanej jest zabawne? Ciekawe, jak się do niej zwraca, kiedy są sami.

Nie twoja sprawa, Matelon.

Dobrze chociaż, że łatwo było dosiąść kuca nawet ze skrępowanymi rękami. Mimo to Hal czuł się niepewnie, siedząc na jego grzbiecie.

Tak jak się spodziewał, obrócili się tyłem do Ardeny i ruszyli w góry. Po analizie mapy, którą wyjął z szuflady w dyżurce, uznał, że pojedą główną drogą na północ przez dwie kolonie klanów do stolicy Fells. Oni natomiast wybrali ścieżkę niewiele większą od szlaku myśliwskiego, która biegła na północny wschód.

Miejscami śnieg tworzył tak wysokie zaspę, że koń wraz z jeźdźcą mogli całkiem się w nich zagłębić. Ogromne połacie terenu, przez który podróżowali, wydawały się zupełnie pozbawione dróg i szlaków. Hal zaczynał wątpić, czy potrafi odnaleźć drogę powrotną. Jeśli miał zamiar uciec, powinien to zrobić raczej wcześniej niż później, żeby zminimalizować ryzyko zablądzenia i mieć mniejszą odległość do pokonania w drodze na południe.

W miarę wędrówki coraz bardziej doceniał zalety tych długowłosych, krępych koni. Były silne, o mocnych nogach, co na oblodzonym terenie dawało im przewagę nad długonogimi wierzchowcami, narażonymi na częste poślizgi i łamanie kości. Cechowała je niewiarygodna wytrzymałość – całodzienna wspinaczka jakby w ogóle ich nie męczyła.

Może powinien wprowadzić hodowlę takich kuców w stajniach imperium. Jednak trudno byłoby przekonać oficerów, żeby na nich jeździli.

Miał nadzieję, że porozmawia z Gray w ciągu dnia i wydobędzie z niej więcej informacji, ale nie nadarzyła się taka okazja. Szlak był tak wąski, że posuwali się niemal gęsiego. Jego otaczali niebiescy, podczas gdy ona jechała z tyłu z żołnierzami. Z Bosleyem. Hal starał się odsuwać od siebie tę myśl, lecz doskwierała mu nieustannie niczym kamyczek w bucie.

Zatrzymali się na noc w miejscu osłoniętym od wiatru przez masywną skałę. Gdy Hal zszedł z konia, od razu zjawił się przy nim Bosley i zdjął mu z rąk łańcuchy. Teraz Hal mógł zająć się swoim wierzchowcem.

– Zachowuj się – powiedział porucznik, kładąc dłoń na rękojeści miecza i uśmiechając się przebiegle.

On liczy na to, że zdecyduję się na ucieczkę, pomyślał Hal. A to znaczy, że muszę to zrobić porządnie.

Jego niebiescy stróże wybrali mu miejsce obozowania i ustawili swoje namioty dookoła. Hal starannie rozbił swój i rozłożył sobie posłanie. Widział, jak Bosley instaluje w pobliżu duży, dość ozdobny namiot – czyżby należał do kapitan Gray? – a obok niego mniejszy i skromniejszy.

Ku rozczarowaniu Hala jego strażnicy przywiązali wszystkie konie razem i ustawili przy nich wartownika. Zjadł twardy chleb i ser w towarzystwie niebieskich – żadnego z nich wcześniej nie spotkał. Kiedy próbował z nimi rozmawiać, nie mieli wiele do powiedzenia. Wiedźmia królowa pilnowała, żeby jej zdobycz się nie wyślizgnęła.

Żołnierze gromadzili się wokół kilku ognisk. Gray siedziała z nimi. Słyszał, jak rozmawiali, śmiali się i popisywali tak, jak to robią mężczyźni – i najwyraźniej kobiety – przy ognisku. Raz po raz słyszał głos Bosleya. To mu nie poprawiało nastroju.

Zupełnie jakby kapitan go unikała.

O co mi chodzi? – myślał ze złością. Jestem więźniem królowej Północy. Gray nie ma powodu mnie unikać ani spędzać ze mną czasu, ani w ogóle o mnie myśleć.

To było silniejsze od niego. Ona nie przypominała żadnej znanej mu kobiety. Co prawda nigdy nie spędzał wiele czasu z kobietami spoza rodziny, bo odkąd skończył jedenaście lat, był żołnierzem, a – czego kapitan nie omieszkała mu wytykać przy każdej okazji – w armii ardeńskiej nie było kobiet.

W zimowym sezonie towarzyskim brał udział w przyjęciach, tańczył z dziewczętami ze swojej sfery i całował te, które tego chciały. Tańce i pocałunki sprawiały mu przyjemność, ale kiedy trzeba było rozmawiać, nie miał wiele do powiedzenia. One nie podzielały jego zainteresowań, więc gdy tylko nie naruszało to zasad uprzejmości, wymykał się do sali bilardowej lub karcianej. Tak samo jak jego ojciec.

Nigdy specjalnie nie zabiegał o względy kobiet, bo wiedział, że i tak nie będzie miał w tej sprawie wiele do powiedzenia.

Ta decyzja będzie zależała od rodziny, polityki, spadków i majątków. Gdy już do tego dojdzie, zadba o to, żeby się udało.

Nawet gdy przydzielone zadanie ci nie odpowiada, Matelon zawsze robi, co do niego należy.

Gray była inna. Interesowało ją to samo co jego, chociaż w zasadzie w niczym się nie zgadzali. Potrafiła uzasadniać swoje racje, nie uznając kompromisów – nawet nie dopuszczając zgody na to, czego nie pochwała. Prawdę mówiąc, wolałyby spierać się z nią, niż prowadzić grzecznościowe rozmowy z kimkolwiek innym.

Czy przyciągała go dlatego, że bardziej przypominała mężczyznę niż kobiety, które znał? Czy dlatego, że czuł się pewniej w towarzystwie osób podobnych do niego?

Nie. Pod wieloma względami czuł się przy niej skrzępowany.

Wczołgał się do namiotu, uświadomiwszy sobie, że nigdzie nie odejdzie – w każdym razie nie tej nocy.

W pewnym momencie obudziły go podniesione głosy, jakaś kłótnia. Uniósł klapę, wyrzwał i zobaczył Gray i Bosleya przed tymi dwoma namiotami, które porucznik wcześniej rozbijał. Ona stała naprzeciwko niego i machała rękami w typowy dla siebie sposób. Bosley uniósł obie dłonie, jakby się przed nią bronił, i z przekonaniem coś do niej mówił. Chwilę potem Gray podsunęła porucznikowi sztylet pod nos.

Następnie obróciła się i weszła do mniejszego namiotu. Bosley stał z zaciśniętymi pięściami i spoglądał za nią rozgniewanym wzrokiem. W końcu rozejrzał się i wpełzł do większego namiotu.

Kłótnia kochanków? *To nie twoja sprawa, Matelon.* A jednak zasypiając, uśmiechał się.



W RUINACH

Dwa dni później wciąż wędrowali na północ, a Hal nadal nie wykonał ruchu. W dobrą pogodę widział po prawej szczyt Nierządnicy, stąd wiedział, że już dotarli dość daleko na wschód. Koło południa weszli do szerokiej płaskiej doliny i zorientował się, że są przy zachodnim końcu Doliny Królowych, gdzie pod koniec lata doznał upokorzenia z rąk kapitan Gray.

Szukaj dobrych stron, Halstonie. Przynajmniej mógł zobaczyć dolinę, którą miał za zadanie zdobyć. Podczas wcześniejszej wizyty nie dotarł tak daleko.

Chociaż byli otoczeni górami i pola pokryte były śniegiem, ta żyzna dolina z gospodarstwami i żywopłotami przypominała mu dom. Tu i ówdzie smugi pary sygnalizowały, w których miejscach gorąca krew tych wyżyn przebijała się przez cienką skórę skał i ziemi. To tutaj mieliśmy palić i niszczyć, gdybyśmy przedarli się przez przełęcz, pomyślał. Cieszę się, że to się nie udało.

Niestety rzadziej widywał kapitan Gray niż Bosleya. Codziennie, zanim wsiedli na konie, mężczyzna krępował mu ręce, a robił to powoli, wyraźnie napawając się chwilą. Wieczorem zaś, gdy się zatrzymywali, zdejmował mu kajdany, podpuszczając go do podjęcia próby ucieczki. Hal miał wielką

ochotę owinąć tym łańcuchem szyję porucznika i zaciskać, póki ten jego uśmiezek nie zniknie. A potem uciec.

Co kapitan Gray mogła w nim widzieć? Sposób wyrażania się i zachowania Bosleya świadczył, że był wysoko urodzony. Gray jednak nie wyglądała na najemnika ani osobę, która wyszłaby za mąż dla pieniędzy.

Skąd wiesz? Co ty w ogóle o niej wiesz? Skąd pochodzi? Czy zawsze chciała być żołnierzem? Co lubi robić, kiedy nie jest na polu bitwy? Czy tak jak ty nie lubi wędzonych ślimaków?

To nie twoja sprawa, Matelon. Ta myśl stawała się już jego nową dewizą. Musiał uciec, i to szybko.

Rozbili obóz w pobliżu ruin twierdzy w Dolinie Królowych. Hal zawsze interesował się architekturą zamków, gdyż miało to związek zarówno z obronnością, jak i z ofensywnością. Zanim zapadł zmierzch, obszedł cały teren, oceniając mocne i słabe strony tej lokalizacji.

Jego strażnik nawet za nim nie poszedł. Bez konia w tym górskim terenie i tak daleko by nie uciekł.

Twierdza nie miała grubej kamiennej osłony, jaką Hal kojarzył z północnymi zamkami. Nawet świeżo po zbudowaniu nietrudno byłoby ją zdobyć.

Gdyby jednak już ją zająć, jak ją utrzymać? Aby okazać szacunek tym kruszącym się murom, przeszedł przez ruiny starej bramy, zamiast się wspinać po kamieniach.

Za murami nie zachowało się wiele budynków. Wyglądało na to, że pierwotna budowla była wzniesiona w dużej części z drewna i wieki niesprzyjających warunków atmosferycznych przywróciły ją ziemi. Ogólnie rzecz biorąc, nazwa „twierdza” była przesadą. Bardziej przypominało mu to posiadłości i domki myśliwskie w łagodnym klimacie Ardeny, budowane dla ozdoby, a nie dla demonstracji siły.

Stał podparty pod boki, obserwując ruiny. Najlepszym sposobem obrony tego miejsca byłoby niedopuszczenie wroga do murów. Wyciąłby drzewa, które zarosły teren dookoła, potem umieściłby łuczników w rogach...

– Ja wykopałabym fosę i zapełniła ją wodogatorami. – Usłyszał głos obok siebie.

Obrócił się, odruchowo sięgając po miecz, którego nie miał. Zobaczył kapitan Gray. Siedziała we wnęce muru, jedną nogę miała ugiętą w kolanie, drugą wyprostowaną, a na jej udach leżał szkicownik.

– To już jakiś początek – powiedział. – Ale to by ich nie zatrzymało na długo.

– Przynajmniej zobaczyłabym, jak część z nich znika w paszczach bestii – odparła Gray z tym swoim wilczym uśmiechem.

– Zastanawia mnie – Hal podniósł kamień i rzucił nim ponad murem – jak w ogóle spodziewali się, że to obronią.

– To miejsce nigdy nie musiało być bronione. To pozostałość z innych czasów. Niegdyś zbierała się tu rada przedstawicieli z wszystkich Siedmiu Królestw. Raz w roku, podczas przesilenia letniego, królowa z linii Szarych Wilków zwoływała ich tutaj. Cała dolina pokrywała się wtedy namiotami ze sztandarami z różnych królestw. To było coś w rodzaju wielkiego jarmarku, ludzie nosili swoje ceremonialne stroje. Organizowali turnieje... – Głos jej się załamał.

– Nigdy o tym nie słyszałem – przyznał szczerze. Trudno było sobie wyobrazić czasy, w których Arden i Fells miały wspólną historię. – To musiało być dawno temu.

– Tak. Przed Wojnami Czarowników. Przed Rozłamem. Przed nową linią królowych. Na pewno uczeni na terenie imperium lubią umniejszać znaczenie tej historii. Ale założę się, że Gerard o tym wiedział. Dlatego przysłał was tutaj latem, żeby zniszczyć to miejsce. – Przesuwając dłoń po kamieniach, powiedziała tęsknie: – Według starych manuskryptów wewnątrz wyglądało jak drewniana katedra. Podczas przesilenia letniego słońce nie zniknęło całkowicie za horyzontem, więc przez całą noc tańczono w blasku.

– Znacie swoją historię – zauważył Hal.

– Klany górskie mówią, że to bardzo ważne, aby pamiętać dawne opowieści – odparła Gray. – Gdy zapomina się o czymś,

to coś wraca i trzeba to przeżywać jeszcze raz.

Najwyraźniej była dumna ze wspaniałej historii swojej ojczyzny. Hal poczuł lekkie ukłucie winy z powodu roli Ardena w upadku Fells.

Imperia pojawiają się i znikają, pomyślał. Dynastie rosną w siłę i upadają. Taki jest świat. To niczyja wina.

Jego ojciec twierdził, że ta niekończąca się wojna przeciwko Północy miała źródło w osobistej urazie króla Gerarda do wiedźmier królowej. Kapitan Gray mówiła, że stało się tak, ponieważ Raisa odrzuciła propozycję małżeństwa ze strony Gerarda.

Nie warto, myślał. Z tego, co widział, nic nie usprawiedliwiało dalszych strat w ludziach i majątku. Powinniśmy zostawić Północ w spokoju, umocnić się i zająć tymi terenami, które mamy. Niech tanowie dbają o swoje gospodarstwa i odbudują inwentarz. Gdybyśmy odnowili handel z Północą, wszyscy by na tym skorzystali, i Północ, i Południe.

Miał nadzieję, że ta zmiana nastawienia nie wynikała z faktu, że zaczynał tracić głowę dla swojej strażniczki.

Tłumaczył sobie, że to tylko wyraz uznania dla jej naturalnego talentu przywódczego. Cieszyła się szacunkiem swoich żołnierzy i dbała o nich. Co więcej, wydawało się, że polityka i życie towarzyskie interesowały ją jeszcze mniej niż jego. Podobało mu się, że na placu ćwiczebnym nie miała dla nikogo litości, każdy pojedynek toczyła z taką determinacją, jakby to była walka na śmierć i życie.

Uwielbiał sposób, w jaki odrzucała głowę i śmiała się, aż łzy ciekły jej z oczu. Sposób, w jaki traktowała Bosleya i stawiała mu czoło, kiedy odnosił się do niej gorzej niż do zwykłego szeregowego.

Uwielbiał te długie nogi i mocno umięśnione...

Nie.

Jest wrogiem żołnierzem, powtórzył sobie po raz tysięczny. Może i go pociągała, ale nie była nim zainteresowana, chyba że jako partnerem do ćwiczeń. Bywała szorstka, obcesowa, czasem otwarcie wroga. Zdarzało się, że rozmawiali i wszystko niby

szło dobrze, a tu nagle jakby sobie przypomniała, kim on jest, i to był koniec zawieszenia broni.

Podniósł głowę i zauważył, że Gray – z dłońmi na kolanach – przygląda mu się tak samo intensywnie, jak wykonywała każde zadanie. Zdał sobie sprawę, że zbyt długo milczał.

– Co rysujecie? – zapytał, żeby zmienić temat. Przy niej zawsze potrzebował zmiany tematu.

Wyciągnęła szkicownik w jego stronę. Odebrał go od niej i zaczął oglądać, co narysowała. To był zaledwie szkic, ale zachwycał dokładnością. Pokazała ruiny takie, jakie były, a jednocześnie przedłużyła je cienistymi liniami, tworząc rozmazany obraz budynków, które niegdyś tu stały.

– Jesteście... jestem... nie miałem pojęcia, że macie taki talent – powiedział Hal.

– Nie macie powodów do zdumienia, kapitanie – odparła. – Zresztą skąd mielibyście wiedzieć? Ostatnio nie mam czasu na sztukę. Myślę, że moje dziedzictwo będzie zapisane krwią, a nie olejem i akwarelami.

– Ta wojna nie będzie trwała wiecznie – zauważył.

– Pytanie, czy dożyję pokoju. – Zerknęła na niego ukradkiem. – Może należałoby żyć chwilą. Chyba i tak nie mamy wpływu na przyszłość.

Jeszcze rok temu by się z tym nie zgodził. Wychowywano go w przekonaniu, że jeśli człowiek ciężko pracuje, przestrzega zasad i dotrzymuje słowa, może stworzyć dla siebie dobre życie. Takie myślenie sprowadziło go tutaj.

Arden zawsze będzie potrzebował dobrych oficerów. Rekrutowano zdolnych ludzi z każdego podporządkowanego królestwa. Gray była oddana swojej ojczyźnie, ale sprawiała wrażenie osoby praktycznej. Może po zakończeniu wojny mógłby wstawić się za nią i znaleźć dla niej jakiś odpowiedni oddział, może w którymś z królestw.

Gray zaczęła zbierać swoje przybory i wkładać je do torby.

– Sporo myślicie, kapitanie Matelon – powiedziała. – To niezwykle jak na Południowca.

– Nie przerywajcie sobie – poprosił Hal. – Nie chciałem wam przeszkadzać. Pójdę już sobie.

– I tak robi się ciemno.

Zwinnie zeskoczyła z wnęki i położyła torbę u stóp. Oparła się o mur obok Hala. Wyglądało na to, że nie spieszy się z powrotem. Omiatany śniegiem, który wiatr zwiewał z murów, Hal nagle uświadomił sobie, jacy oboje są samotni w tych ruinach dawnej sali zgromadzeń u schyłku dnia. Choć wciąż słyszał przytłumione głosy dobiegające z obozowiska, miał wrażenie, jakby był od nich oddalony o setki kilometrów. Poczul się rozdarty, nie wiedział, jak się zachować.

Miał ochotę pocałować tę dziewczynę z Północy, a nawet posunąć się dalej. Pragnął jej bardziej niż jakiegokolwiek innej kobiety. To się zaczęło już w Delphi, a potem stale się pogłębiało. Jednocześnie całe jego wychowanie, każda racjonalna część jego ciała – wszystko mówiło mu, że to byłby wielki błąd. Prawdopodobnie błąd życia.

To było do niego niepodobne – zupełnie niepodobne. Może działało na niego górskie powietrze albo jakieś czary, ale wiedział, że musi stąd odejść, zanim zrobi lub powie coś niegodnego, niewybaczalnego czy samobójczego.

Nie potrafił stwierdzić, czemu kapitan Gray tak na niego działała. Silna, dobrze zbudowana, nie była piękną w porównaniu z kobietami, które spotykał na salonach. A jednak w jej obecności nie interesowało go nic innego.

– Matelon?

Obserwowała go tymi swoimi bursztynowymi oczami. Czy wiedziała, jaki ma na niego wpływ? Modlił się w duchu do wszystkich bogów, żeby się nie zorientowała.

– Czy chcielibyście mnie pocałować?

To tak go zaskoczyło – jak prawdziwa zasadzka – że potrzebował chwili, by odpowiedzieć. Nie pomagało mu też to, że krew odpłynęła mu od mózgu w inne okolice.

Czy to podchwytliwe pytanie? Najlepszą odpowiedzią, jaka przyszła mu do głowy, było chrapliwe:

– Czemu pytacie?

– Bo wpatrujecie się w moje usta – wyszeptała.

Policzki mu zapłonęły.

– Aha. Przepraszam, jeśli odnieśliście wrażenie, że...

– To znaczy, że się mylę, tak?

Otworzył usta, żeby skłamać, ale powstrzymał się i pokręcił głową.

– Nie, nie mylicie się.

– Aha.

Inne znane mu dziewczyny pewnie by się zarumieniły, ale nie Gray. Spodziewał się, że go uderzy albo parsknie śmiechem, albo powie, że jest bezczelny. Ona natomiast powiedziała:

– W takim razie proszę bardzo. Nie mam nic przeciwko.

– Nie macie nic przeciwko? – To całkowicie wykraczało poza ograniczone co prawda doświadczenia Hala.

– Nie, nie mam – odparła, wzruszając ramionami.

– Aha. Ale... czy tego *chcecie*?

– Nieważne – mruknęła, a jej policzki się zaróżowiły. – Wracajmy. Mniej czasu zajmuje mi targowanie się o konia.

Ojciec Hala mawiał, że dobry żołnierz przystosowuje się do zmieniającej się sytuacji.

– Zaraz.

Kiedy się obróciła, dłonią w rękawiczce chwycił jej podbródek i pocałował ją. Jej wargi były ciepłe, szorstkie, idealne. Zachęcony, objął ją i przyciągnął do siebie. Byli mniej więcej tego samego wzrostu i przylegali do siebie jak dwie połówki... czegoś dobrego. Nawet przez kilka grubych warstw odzieży poczuł, jak jej piersi na niego napierają – pomyślał, że cała zbudowana jest z mięśni – i jak delikatnie wygięła się w talii. Pachniała świeżym powietrzem i potem, metalem i koniem – idealnie.

Gdy wreszcie odsunęli się od siebie, przyglądała mu się przez chwilę, a potem ujęła jego twarz w ciepłe dłonie i pocałowała go ponownie, długo i namiętnie, w rytm zgodnie bijących serc.

Hal jęknął cicho i docisnął ją do muru, odpowiadając jeszcze dłuższym i bardziej namiętnym pocałunkiem. Potem jakby ogarnęło ich jakieś szaleństwo, gorączka pocałunków, nagła

frustracja z powodu warstw grubych ubrań, które ich oddzielały.

Hal nie był całkiem zielony, ale nie miał też dużego doświadczenia. Powinien lepiej sobie radzić, bo ona była przecież w męskim stroju. W końcu udało mu się wyciągnąć jej koszulę ze spodni i wsunąć pod nią rękę. Jego stwardniałe dłonie musiały być zimne, lecz najwyraźniej jej to nie przeszkadzało. Osunęła się po murze, przyciągnęła go do siebie, a potem siadła na nim okrakiem i zaczęła gorączkowo gmerać przy jego guzikach, próbując przedrzeć się przez tę przeszkodę. Kiedy wreszcie rozpięła mu koszulę, usłyszał, jak wokół nich strzelają lecące w śnieg guziki. A potem całowała i delikatnie podskubywała każdy skrawek jego gołego ciała, do jakiego była w stanie dosięgnąć. Wciąż w pełni ubrani, jakimś sposobem stykali się nagimi brzuchami.

Hal zaczynał żałować, że nie jest typem, który nosi przy sobie prezerwatywy. Zresztą jak miałby zapytać, czy może ona chciałaby...?

– Kapitan Gray! – krzyknął ktoś zaskakująco blisko. – Gdzie jesteście?

– Matelon! – krzyknął ktoś inny.

Odkoczyli od siebie jak bełty wystrzelone z kuszy. Gray miała zaróżowione policzki, jej warkocz był prawie rozplątany. Nastąpiło niespokojne zapinanie, związywanie, ogarnianie. Hal zapiął płaszcz na pozbawionej guzików koszuli akurat w chwili, gdy w bramie pojawiła się grupa niebieskich z Bosleyem na czele.

– Tu jesteście! – Porucznik omiół wzrokiem całą scenę. Teraz było już prawie zupełnie ciemno. Na szczęście, bo dzięki temu miejsce z ubitym śniegiem nie rzucało się w oczy. Hal postawił stopę na dwóch ciemnych punktach w śniegu. Guziki.

Bosley wbił w niego wściekły wzrok.

– Co wy dwoje robicie tu po ciemku? – zapytał. Przypominał bardziej rozgniewanego ojca niż zdradzonego kochanka.

Hal uznał, że lepiej będzie, jeśli kapitan Gray sama odpowie na to pytanie. Milczał więc, a wtedy Bosley zwrócił się do

dziewczyny:

– Nie powinniście być tu z nim sama! Co z wami? Gdyby królowa was tu zobaczyła... – Zamilkł, jakby nie chciał nawet myśleć, co by się wtedy stało.

Gray powoli obróciła głowę, jakby nie wierzyła własnym uszom.

– Czy zwracacie się *do mnie*, poruczniku?

– Ktoś musi to powiedzieć, ze względów bezpieczeństwa – zawołał Bosley, szukając wzrokiem wsparcia u gwardzistów, którego jednak nie uzyskał.

– I uważacie, że ten ktoś to wy? – Kapitan Gray przechyliła głowę, jakby właśnie na to wpadła. – Wasze zachowanie przekracza wszelkie granice, poruczniku. To, gdzie i w jaki sposób przesłuchuję jeńca korony, to nie wasza sprawa.

W różnych przerażających opowieściach, które Hal słyszał o metodach tortur stosowanych na Północy, tej konkretnej metody nie wymieniano.

– Oczekujecie, że uwierzymy, że to było *przesłuchanie*?

– Niczego od was nie oczekuję, Bosley, poza tym, że wróćcie do swojego namiotu i tam zostaniecie. A potem proponuję się zaznajomić z zasadami oficcerskiego zachowania. Ze szczególnym uwzględnieniem rozdziału o hierarchii wojskowej. – Machnęła ręką, by odszedł.

Bosley stał nieruchomo przez dłuższą chwilę, zaciskając pięści. Następnie zasalutował i odszedł. Mijając Hala, rzucił mu tak jadowite spojrzenie, że Hal omal nie wykonał znaku Malthusa.

Bosley ma zamiar mnie zabić, zanim dotrzemy tam, dokąd jedziemy, pomyślał. Muszę uciec, nim to zrobi.



KONFLIKT INTERESÓW

Lyss wsunęła się do namiotu. Serce wciąż biło jej mocno, krew szalała w żyłach. Usta miała lekko poturbowane od całowania, skórę otartą i podrażnioną od dotyku Matelona. Pożądanie wciąż płonęło w niej z taką siłą, jakby nigdy nie miało zgasnąć.

Czy mam wyjść i wytarzać się w śniegu? Czy to by pomogło?

Jej myśli toczyły zażartą walkę – wspomnienie zszokowanych i zmartwionych twarzy gwardzistów, zażenowanie z powodu tej krępującej sytuacji, dziwaczne poczucie, że opętała ją jakaś rozwiązła ladacznica, pragnąca wykorzystać jeńca wojennego. Miała ochotę robić z Matelonem rzeczy, które nigdy wcześniej nie przychodziły jej do głowy.

To wszystko mieszało się z silnym pragnieniem zepchnięcia Bosleya z klifu.

Kiedy mama sugerowała, żebym oczarowała Matelona, raczej nie o to jej chodziło, pomyślała. Jednak to zadanie – traktować go jako jeńca, a jednocześnie się z nim zaprzyjaźnić – było prawie niewykonalne.

Co on sobie myśli? Czy znalazł potwierdzenie wszystkiego, co słyszał o kobietach z Północy? Wydawał się pełen uniesienia, ale może po prostu starał się do niej dostosować. Obawiał się tego, co może się zdarzyć, czy też cynicznie na to czekał?

Odpowiedź otrzymała dwa dni później, kiedy uciekł. Lyss zarządziła postój w południe, a wtedy on oddalił się za potrzebą

i nie wrócił. Ponieważ jego koń nie był przywiązany razem z innymi, dopiero po jakimś czasie zauważono jego zniknięcie. Ręce miał skrępowane, ale to go nie powstrzymało.

Wyśledzenie go zajęło im większość dnia. Był sprytny. Nie poszedł z powrotem na południe, lecz dalej na wschód – widocznie zamierzał okrążyć szczyt Alyssy i przejść przez płaskowyż do Bramy Duchów. Znał ten teren – przyszedł tą drogą jesienią z armią Karna. Samotnego jeźdźca łatwo zauważyć na zaśnieżonej równinie. Kiedy go dogonili, trzeba było aż czterech żołnierzy, by go schwytać, i wszyscy oni wyszli z tego posiniaczeni i pokrwawieni. W końcu Lyss musiała osobiście interweniować, żeby Bosley nie zrobił z Matelona miazgi.

Gdy już uzdrowiciele go opatrzyli, weszła do namiotu wzniesionego naprędce w tym celu. Siedział na pniu, skrępowane dłonie oparł na kolanach. Rozebrano go do pasa, żeby owinąć mu połamane żebra i opatrzyć liczne rany i siniaki. Na łańcuszku na szyi miał zawieszony srebrny napastrzek – dziwna ozdoba jak na żołnierza.

Jego umięśnione barki i ręce nosiły ślady dawnych bitew wymieszane ze świeżymi ranami. Lyss aż kusilo, żeby prześledzić tę historię opuszkami palców i w ten sposób poznać ukrytego pod bliznami człowieka.

Mało szkód już wyrządziłaś?

Hal podniósł głowę i zauważył, że ona mu się przygląda.

– Mój nauczyciel szermierki mawiał, że blizny są dowodem na to, że dopuściliśmy kogoś zbyt blisko.

– Miał rację – stwierdziła Lyss. – Ale tak właśnie walczyliśmy na Północy... z bliska. – Odczekała chwilę, a gdy się nie odzywał, dodała: – Nie trzeba było uciekać.

– Trzeba było mnie wypuścić. – Odwrócił wzrok.

– Nie mogę. Królowa zabroniła mi... Królowa dała mi jasno do zrozumienia, jak ważne jest nie pozwolić wam uciec.

– Co zamierzacie... co królowa zamierza ze mną zrobić?

– Chyba sama nie wie. To zależy od tego, jak ułożą się stosunki między waszym ojcem a nowym królem.

– A więc mam być więźniem, dopóki to się nie okaże? To może potrwać wiele lat.

– Ta wojna nie będzie trwać wiecznie – powtórzyła słowa, które on wypowiedział w ruinach. Po chwili milczenia powiedziała szybko: – Kapitanie, przepraszam za tamten wieczór. Żałuję, że do tego doszło.

Popatrzył jej w oczy. Jego spokojne, szczerze spojrzenie sprawiło, że poczuła się paskudnie.

– A ja nie.

– Nie powinno było do tego dojść. Błędem było stawiać was w takiej pozycji.

– Całkiem podobała mi się ta pozycja, kiedy w niej byłem – odrzekł poważnym tonem. Gdyby choć spróbował się uśmiechnąć, musiałyby go zabić. – Nie uciekłem z powodu tego, co wydarzyło się w ruinach. W zasadzie to było jedyne, co mogło mnie przekonać do pozostania.

– Nie powinnam was wprowadzać w błąd w kwestii tego, co może między nami zajść – oznajmiła Lyss, a każde słowo ledwo przechodziło jej przez gardło. Dlaczego tak trudno było postępować słusznie?

– Nie mówiliście, że trzeba żyć chwilą? – zauważył Matelon.

– To jest wymówka, która służy ludziom do usprawiedliwiania nieodpowiedzialnych zachowań.

– Nie jestem nieodpowiedzialny – odparł, co zabrzmiało tak nedorzecznie, że Lyss pewnie parsknęłaby śmiechem, gdyby nie ta przepastna, bolesna dziura w jej duszy. – Tylko nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak wy. Mamy tyle wspólnego, a mimo to sprawiacie, że zaczynam wątpić we wszystko, w co do tej pory wierzyłem. To... – opuścił wzrok na swoje dłonie – ...to bolesne, ale chciałbym to kontynuować. Chcę się uczyć i chyba moglibyśmy być razem w jakiejś akceptowalnej dla was formie.

Matelon nie był poetą, ale wyraził to, co czuł.

– I mimo to uciekliście?

– Tak. Moja rodzina jest w niebezpieczeństwie. Moja siostra... ona ma tylko trzynaście lat. Jeśli wierzyć waszej królowej,

przebywa teraz w lochach w Ardencourt. Wiem, co to znaczy. – Jego twarz wyrażała szczerzy niepokój.

– Nasze losy są w konflikcie interesów – zauważyła Lyss. – Czas to przyznać. Mam jednak nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi. – Tym razem nie dało jej satysfakcji to, że dopiekła Matelonowi.

– Tak na Północy traktujecie przyjaciół?

– To jest wojna – odparła. – Jesteśmy żołnierzami. Żałuję, że wszystko nie może być inaczej. – Poczuli świeży ból gdzieś w głębi i pomyślała, że to serce jej pęka.

Chwycił ją za obie dłonie.

– Owszem, jesteśmy żołnierzami – powiedział. – Nie jesteśmy pionkami na szachownicy. Nie pozwólcie, żeby nami grano. Daj szansę temu, co jest między nami.

Lyss delikatnie uwolniła dłonie.

– Mylicie się, kapitanie. Nigdy nie mieliśmy szans. W ostatecznym rozrachunku jesteśmy tylko pionkami. Jeżeli jeszcze tego nie wiecie, to wkrótce się przekonacie.

Na dalszą drogę do Kredowych Klifów Lyss kazała przywiązać kuca Matelona do liny, którą trzymała grupa Wilków. Wieczorami przypinano go kajdanami do drzewa. Postanowiła już, że nie będą rozmawiali na osobności. Zawsze można było w niej czytać jak w otwartej książce, a nie chciała w żaden sposób dawać mu nadziei. Jej sytuacja już i tak była dostatecznie skomplikowana.

Dlaczego miała takie silne poczucie straty?

Zabroniła też Bosleyowi bezpośrednich kontaktów z Matelonem. Nie przyjął tego dobrze.

– Jak to żadnych kontaktów? Jestem dowódcą tego szwadronu i jako taki...

– I jako taki odpowiadacie przede mną – dokończyła Lyss. – Żałuję tylko, że wcześniej tego nie egzekwowałam.

– Czy chodzi o to, jak musieliśmy go spacyfikować po schwytaniu? Czy złożył jakąś skargę? Jeśli tak, to...

– Mam oczy, Bosley. Jako jeniec korony kapitan Matelon pozostaje pod opieką Gwardii Królewskiej. Rozmawiałam już z kapral Greenholt i wydałam odpowiednie dyspozycje.

– Ale...

– Ponadto, jeżeli cokolwiek stanie się mojemu więźniowi, zanim dotrzemy do Kredowych Klifów... jeżeli spadnie ze skały, umrze we śnie albo zniknie w tajemniczych okolicznościach... dopilnuję, żeby postawiono wam zarzuty.

– Jak mam...?

– Skończyliśmy, poruczniku. Możecie odejść.

Przez resztę drogi Lyss czuła na sobie wzrok kapitana. Prawdopodobnie jednak był to ten cholerny Bosley. Jeśli nie przestanie, to w końcu *on* spadnie ze skały, pomyślała.

Ogólnie rzecz biorąc, poczuła ulgę, kiedy zaczęli schodzić po długim zboczu ku białym klifom północnego wybrzeża i gdy ujrzała wzburzone szare wody Indio. Nie mogła się już doczekać spotkania z Sashą, z którą dało się szczerze porozmawiać.

Plan polegał na tym, żeby umieścić Matelona w twierdzy i przekazać informację o tym przez agentów Julianny na Południu, a potem czekać, czy jego ojciec nawiąże jakiś kontakt. Miejsce jego pobytu zamierzali utrzymywać w tajemnicy, aby zapobiec ewentualnym atakom na miasto w celu uwolnienia więźnia. Tak działa dyplomacja – mieszanka przyjaznych twarzy i zawołowanych gróźb.

Lyss odwiedziła Kredowe Klify kilka razy w przeszłości. Niegdyś to miasto było świetnie prosperującym, pełnym życia portem – teraz jednak po tamtych czasach niewiele pozostało. Blokady stosowane przez ardeńskie okręty wojskowe oraz ataki kartezyjskich piratów sprawiły, że przepływ towarów zmniejszył się do maleńkiej strużki. Magazyny stały puste, bo niewiele statków wpływało do portu, a rzemieślnicy klanowi i rolnicy z dolin zostali zmuszeni do znalezienia innych dróg sprzedaży swoich produktów. Przy głównej ulicy znajdowały się tawerny, domy uciech i niewiele więcej.

Twierdza wznosiła się na urwisku wysuniętym w głąb oceanu. Odgłosy fal uderzających z trzech stron sprawiały, że Lyss nigdy nie mogła tam zasnąć. Jednak mimo że twierdza znajdowała się na brzegu, co narażało ją na atak od strony morza, było to miejsce tak samo bezpieczne jak każde inne na terenie królestwa. W związku z zagrożeniem od strony oceanu na szczytach nad przystanią umieszczono wielkie działa.

Lyss wiedziała, że Matelon przy pierwszej nadarzącej się okazji znowu spróbuje uciec. Rozumiała go – znała sytuację jego rodziny – ale nie mogła na to pozwolić, zwłaszcza po rozmowie z matką.

Nie chciała go też wtrącać do lochów. Gdy wyjaśniła sytuację oficerowi dyżurnemu, ten zaproponował, by umieścić ardeńskiego kapitana w odosobnionych apartamentach od strony morza.

– Jeśli nie chcecie wtrącać go do celi, to będzie najlepsze miejsce – powiedział. – Ustawcie gwardzistów przed drzwiami, a nigdzie nie wyjdzie ani nikt nie wejdzie do niego.

Lyss nakazała rozpalić w palenisku, nalać oleju do lamp i przynieść trochę książek. Na łóżku ułożono ciepłe koce klanowej roboty. Były tam biurko z przyborami do pisania i stolik do samotnego spożywania posiłków. Oszklone drzwi prowadziły na balkon z widokiem na morze.

Myślisz, że Matelon będzie szczęśliwszy, gdy się go zamknie w złotej klatce?

Czy ona byłaby zadowolona w ardeńskim więzieniu, nawet gdyby było luksusowe?

Czy raczej ma to stłumić twoje wyrzuty sumienia?

Kiedy wprowadziła kapitana do jego nowej kwatery, zatrzymał się zaraz za drzwiami i uważnie się rozejrzał. Robi to samo co w Dolinie Królowych, pomyślała Lyss. To samo, co i ja bym robiła – ocenia system obrony i zastanawia się, jak go złamać. Od czasu próby ucieczki niewiele mówił, ona jednak nie łudziła się, że zrezygnował.

Wszedł dalej do komnaty i położył torbę ze swoimi rzeczami. Po nieudanej ucieczce musiał zrezygnować z noszenia

zniszczonego płaszcza mundurowego. Żeby nie ubierać go w niebieski mundur Gwardii Królewskiej ani nakrapiany strój piechoty górskiej, Lyss znalazła dla niego ciepły kożuch i lnianą koszulę – jedno i drugie klanowej roboty.

To mogło dać pożywkę plotkom.

Podawała mu ubrania.

– Skoro to, co macie na sobie, ma dobry rozmiar, przyniosłam jeszcze dwie koszule i parę spodni. Może zechcecie się wykąpać przed kolacją.

– Kolacją? – Spojrzał na stół i krzesła.

– Będzie o siódmej w jadalni – oznajmiła. – W odpowiednim czasie każę was odeskortować.

W pierwszej chwili wyglądał, jakby miał zamiar odmówić, ale zaraz skinął głową.

– Dobrze – powiedział.

– Teraz mam sprawy do załatwienia. Czy potrzebujecie jeszcze czegoś, kapitanie?

Gdy na nią spojrział, poczuła, jakby wbito jej sztylet w brzuch.

– Nie, pani.

– Kiedy będziecie gotowi na kąpiel, zapukajcie w drzwi. Strażnicy są na zewnątrz.

Zostawiła go samego z ubraniami w rękach pośrodku komnaty, do której ze wszystkich stron dobiegały dźwięki napierających fal.



ULICZNY GRAJEK

Lyss zastała Saszę w koszarach, gdzie ta pomagała się zadomowić nowym przybyszom. Większość żołnierzy, którzy tu stacjonowali, została odesłana, by pomóc w ataku na Delphi. Teraz szwadron Bosleya miał wzmocnić tutejszy garnizon.

Przyjaciółki objęły się – Lyss poczuła, że stoi na solidnym gruncie pośród ruchomych piasków swojego życia.

– Co słyszeć? – zapytała. – Wycisnęliście z tego grajka coś więcej?

Sasha pokręciła głową.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, to strata czasu przyjeżdżać tu taki kawał drogi – powiedziała. – Finn używał magicznej perswazji, żeby wydobyć z niego prawdę, ale to nie działało. Wtedy on się podpalił i...

– Finn?

– Nie, ten grajek.

– Co? – Lyss nie wierzyła własnym uszom. – W jakim jest stanie?

– Zanim go zgasiliśmy, mocno poparzyło mu rękę. Teraz już wygląda dużo lepiej.

– Próbował się zabić?

– Nie wiem, co sobie myślał. Ale zabraliśmy z jego celi wszystko, co naszym zdaniem mógłby wykorzystać, żeby coś sobie zrobić, i to się już więcej nie powtórzyło. Może więc coś

zrozumiał. Cały czas błaga o drumlę, bęben, piszczałki... cokolwiek, na czym mógłby grać. Jakby potrzebował tego do życia.

Był taki czas, kiedy brak muzyki omal nie złamał ducha Lyss. To było jednak dawno temu.

– Albo z tobą pogrywa – stwierdziła. – Chyba mu nic nie dałaś? To znaczy nic do grania?

Sasha pokręciła głową.

– Pamiętałam, co się stało w Łachmantargu. On uważa się za uwodziciela, ale to jedno wielkie udawanie. Teraz udaje chorego – parsknęła z pogardą.

Lyss ścisnęła ją za ramię. Wiedziała, że duża część gniewu Sashy wynikała z tego, że nie potrafiła zapobiec zdarzeniom tamtej nocy, kiedy ona ledwie uszła z życiem, i że nikt nie odpowiedział za śmierć Stauntona i Carew. Jeszcze.

Mimo wszystko można było odnieść wrażenie, że tymi słowami Sasha próbowała przekonać samą siebie.

– Miałaś jakieś wieści z Ardeny? Coś, co by świadczyło, że mogą szukać tego grajka?

Sasha się zawahała.

– Ze strony Ardeny cisza. Za to tutaj, w mieście, ludzie się niepokoją. Mówią, że widują dużo obcych. Ja tam sobie myślę: przecież to port, to czego się spodziewać?

Lyss roześmiała się, ale mimo wszystko ogarnęły ją złe przeczucia. Do Kredowych Klifów nie zawijało teraz tyle statków co kiedyś. Skąd w takim razie nagły przypływ obcych?

Strażnica nie była tak chroniona jak zamkowe lochy, ale stosunkowo bezpieczna, bo zbudowana z kamienia i otoczona murami twierdzy.

Może powinniśmy przenieść grajka do tej wieży, w której jest Matelon, pomyślała, bo to najtrudniejsza do zdobycia część budowli. Większość cel, które mijały, była pusta – tylko w kilku siedzieli miejscowi złodzieje i uliczne opryszki. Przez zmniejszony ruch w porcie mniej żeglarzy wdawało się w typowe w portowych miastach burdy.

Kiedy zbliżały się do końca korytarza, Lyss usłyszała cichy dźwięk – podobny do jęku – który stawał się coraz głośniejszy.

Wreszcie stanęły przed ciężkimi drzwiami celi.

– Znowu to samo – westchnęła Sasha. Mocno popchnęła drzwi. – Hej! Obudź się! Masz gościa!

Lyss weszła za przyjaciółką do wnętrza i się rozejrzała. Miska na stojaku, nocnik, wąska prycza, a na nim owinięta kocami postać. To wszystko.

Sasha podeszła do posłania i mocno potrząsnęła śpiącym.

– Powiedziałam: wstawaj!

– Już, już – mruknął więzień. – Jeszcze minuta. Tu jest tak cholernie zimno, że trudno wyjść spod koca.

Usiadł, skulony, trzęsąc się z zimna. To był ten sam uliczny muzyk, lecz od tamtej chwili, gdy oczarował ją na ulicy, bardzo się zmienił. Delikatne rysy zniknęły, jego twarz była teraz wychudzona, z zapadniętymi policzkami. Chociaż twierdził, że mu zimno, był zlany potem, wilgotne włosy oblepiały mu czoło. Podrapał się po intymnym miejscu.

– A która godzina?

– Czas wstawać.

– Czyli czas się odlać. – Przesuwając się na kolanach do krawędzi pryczy, grzebał przy guzikach spodni. Podniósł głowę i wtedy zauważył Lyss. Zaklął i natychmiast zanurkował z powrotem pod koc. – Trzeba mnie było uprzedzić, że ktoś tu jest – dobiegł spod koca jego stłumiony głos.

– A ja to kto, nikt? – Sasha z obrzydzeniem pokręciła głową, posyłając Lyss spojrzenie typu: „A nie mówiłam?”.

– Słuchaj, grajku! – powiedziała ostro Lyss. – Nie marnuj więcej naszego czasu. Wysikaj się, jeśli musisz, i porozmawiajmy.

Usiadł ponownie, z głową okrytą kocem niczym kapturem Wagabundy, i patrzył na nią, mrużąc oczy jak sowa w blasku dnia. Potem nagle ześlizgnął się z posłania, przykląkł na jedno kolano i z gracją rozłożywszy ramiona, pochylił się w ukłonie godnym ambitnego dworzanina.

– Wasza Magnificencjo – powiedział. – Proszę mi wybaczyć. Mój m... mocz i ja czekamy na rozkazy.

Lyss próbowała pojąć, jaki rozkaz powinna wydać jego moczowi.

Zaraz jednak uważniej przyjrzała się chłopakowi. Był straszliwie chudy, jego rozłożone ręce drżały, a kiedy spojrzała mu w oczy, zobaczyła w nich bezgraniczny głód, od którego ścisnęło jej się serce.

Sasha nie widziała w jego zachowaniu nic zabawnego. Chwyciła go za ręce, wykręciła je za plecy i rzuciła go twarzą do podłogi. Docisnęła kolano do jego kręgosłupa i warknęła:

– Myślisz, że to zabawne? Księżniczka nie ma czasu na te twoje bzdury.

– Poczekaj – wtrąciła Lyss. – Sasha, puść go.

Przyjaciółka spojrzała na nią ostrzegawczo.

– To kameleon, Wasza Wysokość. Dobrze wie, jak was rozegrać.

– Wiem. I może masz rację, ale mimo wszystko...

Sasha niechętnie puściła grajka i oparłszy pośladki na piętach, czekała z dłońmi na udach.

Błady jak ściana chłopak leżał na podłodze, łykając powietrze. Obrócił się, spróbował usiąść i znowu zgiął się wpół.

Lyss uklękła obok niego.

Sasha położyła jej dłoń na ramieniu.

– Wasza Wysokość, nie zbliżajcie się za bardzo. Jeśli naprawdę jest chory, to może być zaraźliwe. A jeśli nie, może rzucić jakiś urok. Poczekajmy przynajmniej na któregoś z czarowników.

Lyss nie potrafiła uzdrawiać ani stawiać diagnoz, ale coś jej mówiło, że on nie udaje. W każdym razie nie całkowicie.

– Co ci dolega? – zapytała.

Tym razem chłopak ukląkł na oba kolana.

– Przepraszam, Wasza Wysokość, za mój stan. Ja... – Beknął i zwymiotował na kamienną podłogę, brudząc przy tym kolana Lyss. – Prze... przepraszam. – Rąbkiem koszuli próbował wytrzeć wymiociny z jej spodni.

– Zostaw – burknęła Sasha. – Nie dotykaj jej, ty paskudny, pieprzony...

– Nic mi nie jest – przerwała Lyss. – Bywałam umazana gorszymi rzeczami. Nic się nie stało.

Chłopak oblizwał spierzchnięte wargi.

– Przepraszam za ten bałagan. Rano nie jestem w najlepszej formie. Może, gdybyście... przyszli później...

Sasha parsknęła drwiąco za plecami Lyss.

– Można by pomyśleć, że wrócił z ostrej popijawy, ale zapewniam, że on tu nic nie pił.

Lyss wpatrywała się w grajka, który leżał i płytko oddychał.

– Ile to już trwa?

– Kiedy tu przybył, wyglądał całkiem dobrze. Dopiero dzisiaj zaczął narzekać, że źle się czuje. Może usłyszał o waszym przybyciu i wiedział, że wszystko się wyda.

– Wezwij uzdrowiciela – rozkazała.

– Z całym szacunkiem, ale...

– Zrób to – powiedziała Lyss ze znużeniem. – Może udaje, ale nie będziemy ryzykować. To może być coś poważnego albo zaraźliwego, a on musi przeżyć.

Uzdrowicielka o imieniu Grace wyglądała na zbyt młodą, by mieć jakieś doświadczenie, ale praktykowała u Iwy Pieśni Wody w kolonii Sosen Marisy, musiała więc znać się na rzeczy.

Zbadała grajka i zmrużyła oczy. Sprawdziła mu tętno, przesunęła palcami po spoconej skórze i uniosła mu powiekę, żeby zajrzeć do oka, nie zważając na jego słabe protesty i wiązkę przekleństw, po których następowała zwyczajowa litania przeprosin.

Pochyliła się nad nim i powiedziała:

– Zażywałeś coś?

– Nie – zaprzeczył szybko, jakby spodziewał się tego pytania.

– Nie? – Uniosła brew.

– No... od dłuższego czasu.

– Co nazywasz dłuższym czasem?

Chłopak – obraz nędzy i rozpaczy – nie odpowiedział.

– Nie będziemy mogli ci pomóc, jeśli nie powiesz prawdy – odezwała się Lyss.

- Nie jesteście tu... żeby mi pomóc – odparł.
- Może pomożemy sobie nawzajem – zauważyła.

Grajek obrócił się na plecy i przedramieniem osłonił oczy przed światłem.

– Niech będzie. Od czasu do czasu palę ziele – przyznał – ale panuję nad tym.

– Kiedy ostatni raz? – zapytała uzdrowicielka.

– Dziś rano.

– Dziś rano?! – Sasha chciała jeszcze coś dodać, ale Grace uniosła rękę, by ją uciszyć.

– To znaczy, że zażywałeś je tutaj?

Skinął głową. Zaraz potem przeszedł go dreszcz.

– Niemożliwe, żebyś mógł tu coś przemycić – powiedziała Talbot. Wyglądała na osobiście urażoną. – Ani żebyś palił. Nie wierzę ci.

Chłopak uśmiechnął się szelmowsko.

– Może byłem sprytniejszy. Może niektórzy nie są tak zatwardziali. – Nabrał powietrza i zgiął się w pół, trzymając się za brzuch. – Tylko że to wydaje się... nadzwyczaj... – Chyba nie wiedział, jak zakończyć zdanie.

Sasha zaczęła przeszukiwać celę i rzeczy chłopaka.

– Gdzie to masz? Gdzie schowałeś resztę?

– Nie było tego dużo – powiedział. – Wszystko zużyłem. Nie... auaaaa! – Jego twarz wykrzywił grymas, z oczu popłynęły łzy, a ciało zwinęło się w kulkę.

– Wygląda na to, że paliłeś jakieś szkodliwe ziele – oznajmiła Grace. – Dobrze by było, gdybym mogła zobaczyć to, co ci zostało.

Grajek bardzo długo milczał. W końcu sięgnął do spodni i wyjął mały woreczek.

– Tu. – Z trudem przełknął ślinę. – Ale mam nadzieję, że... dostanę to z powrotem... jak już obejrzysz.

Grace nie odpowiedziała. Otworzyła sacek i wysypała na dłoń ciemne liście. Potarła je między palcami i powąchała. Oczy jej się rozszerzyły i spróbowała jeszcze raz. W końcu wrzuciła

wszystko do woreczka, podeszła do miski i dokładnie umyła ręce.

– Ktokolwiek ci to sprzedał, nie był przyjacielem –
oznajmiła. – To jest nasączone olejem z kwiatu księżycowego.

– Nigdy... o tym nie słyszałem – jęknął chłopak.

– Bo to trucizna – stwierdziła Grace.

Wszyscy zaniemówili. Szczególnie Sasha wyglądała, jakby przejechał ją wóz konny.

– No... – powiedział wreszcie grajek, robiąc dobrą minę do złej gry – to wiele wyjaśnia.

Lyss uklękła obok niego.

– Słuchaj, to ważne. Skąd masz tę brzytwicę?

Spojrzał na nią mętными oczami. Potem znowu się wzdrygnął i zaczął atakować coś niewidzialnego.

– Wynocha!

Lyss odchyliła się, by uniknąć jego ciosów. Sasha podeszła z drugiej strony i próbowała złapać go za rękę.

Trochę się uspokoił. Spojrzał bardziej przytomnie i wbił wzrok w Lyss.

– Ja... nie wiedziałem. Wasza Wysokość, musicie mi uwierzyć. Nie wiedziałem, że chcieli was zabić.

– Wierzę ci. – Lyss chwyciła go za rękę. – A teraz powiedz, skąd wzięłeś to ziele.

– Ktoś musiał je wsunąć przez kraty w nocy, kiedy spałem. Obudziłem się i je znalazłem. Myślałem, że to... jakiś dobry samarytanin.

Wyprężył się i jego ciało zaczęło dygotać.

– Ma atak – stwierdziła Grace. – Obróćcie go na lewy bok, podłóżcie mu poduszkę pod plecy i pilnujcie, żeby się nie udusił. Ty – wskazała na Saszę – uważaj na niego. Jeśli będzie wymiotował, wygarnij wymiociny, żeby się nie dostały do płuc. Usta ma różowe, paznokcie też, czyli oddycha. Miejmy nadzieję, że płuca nie są mocno uszkodzone.

– Można mu dać jakiś lek?

– Tylko wsparcie. Gdyby to *połknął*, można by rozrzedzić truciznę w wodzie, użyć węgla albo wymusić wymioty, ale on to

palił i trucizna już jest w jego krwi.

– To moja wina – powiedziała Sasha, blada jak trup. – Powinnam wiedzieć, że nie utrzymam tego w tajemnicy. I teraz na mojej warcie ktoś się do niego dostał.

– Grace, jakie on ma szanse? – zapytała Lyss, sfrustrowana i zła.

Uzdrowicielka machnęła dłonią w sposób wyrażający niepewność.

– Miałby większe, gdyby był zdrowy. Z tego, co widzę, pali sporo ziela. Przez to spała własne ciało, a im niższa masa ciała, tym większa siła trucizny.

Lyss spojrzała na Sashę.

– Kto ma dostęp do tej celi?

– Tylko... Gwardia Królewska. Kilka osób z piechoty górskiej. Nikt z zewnątrz.

Lyss się podniosła.

– On musi przeżyć, żebyśmy mogli go przesłuchać. Najwyraźniej ktoś nie chce do tego dopuścić. Od teraz żadnych wizyt bez mojej zgody i żadnych niesprawdzonych strażników. Wy dwie będziecie się nim zajmować. Macie go nie odstępować przez całą dobę, dopóki nie wydobrzeje.

– Ja? – Sasha wyglądała na oburzoną. – Myślałam, że jak już wrócisz, zostanę przydzielona do...

– To jest teraz najważniejsze, co możesz zrobić dla mojego bezpieczeństwa. Jeśli on umrze, stracimy jedyną więź, jaką mamy z tym, kto zlecił ten atak.

Z miejsca, w którym stała, Lyss słyszała charczący oddech chłopaka. *Nie waż się umrzeć, grajku. Jeśli to zrobisz, wybiorę się po ciebie do samego piekła.*



LĄDEM I MORZEM

Od chwili, kiedy Jenna odebrała swój skórzany kostium od Wróblicy, minęły już dwa tygodnie, jednak ona i Ognik nie dotarli daleko. Doszli do wniosku, że Forteczne Skały to dobre miejsce, żeby poćwiczyć latanie. Było na tyle odosobnione, że mogli pokonywać duże odległości i nikogo nie spotkać, w dodatku otoczone zróżnicowanym terenem – urwiste góry, płaskowyże i linia brzegowa znajdowały się w zasięgu kilku godzin lotu smoka.

Nie chciała się za bardzo oddalać od wybrzeża, póki nie ustaliła z Ognikiem paru rzeczy. Jak choćby różnic między ludźmi a smokami – ich priorytetów i fizycznych ograniczeń. Zaklinacz Ognia miał żywy temperament, był uparty i rósł w niewiarygodnym tempie.

Strój i zbroja, które zrobiła dla niej Wróblica, były w sam raz i Jenna wyglądała w nich jak prawdziwa wojowniczka – co nie znaczyło, że tak się czuła. Brakowało jej umiejętności potrzebnych do konfrontacji ze Strangwardem czy cesarzową. Nie wiedziała dokładnie, z czym będzie się mierzyć, lecz coś jej mówiło, że bystry wzrok, ostry słuch i warstwa łusek nie wystarczą.

Jako dziewczyna z klasy robotniczej nigdy nie miała powodu, by uczyć się strzelania z łuku, nawet do polowań. Nie ćwiczyła się też w walce mieczem. Najbliższe temu doświadczenie

zdobyła, zabijając Marca sztyletem matki. Potrafiła podpalać i wysadzać różne obiekty. Podejrzewała, że mogłaby zrzucić na wroga bomby czy kamienie. Mimo to uważała się za nieprzygotowaną do konfrontacji.

Ognik był przez naturę wyposażony w zbroję i broń. Chyba widział w Jennie małego, słabowitego smoka, który jakimś cudem pozbawił się skrzydeł, a nowe nie chciały mu wyrosnąć. Ćwiczyli podpalanie suchych drzew i trafianie do celu podczas szybkiego lotu, a także latanie slalomem, co mogło się przydać podczas uchylania się przed ogniem przeciwnika. Czasami bawili się w powietrzu – wypisywali różne słowa dymem i płomieniami, bo to wymagało precyzji latania. Zdarzało im się też wdawać w udawane walki powietrzne z orłami i jastrzębiami.

Uprząż zrobiona przez Wróblicę sprawowała się nadzwyczajnie, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że rymarka nigdy nie widziała smoka. Jenna musiała tylko wprowadzić drobne poprawki, żeby ją dopasować, a potem stale odpowiednio regulować do rozmiarów Ognika. Zawsze miała zdolności manualne.

Zaklinacz Ognia jakby w ogóle nie zauważał upręży i siodła, kiedy Jenna mu je nałożyła, ale ona czuła się dużo pewniej podczas powietrznych akrobacji. Teraz przywierała do jego grzbietu jak rzep do wełny niezależnie od liczby wykonywanych skrętów i obrotów.

Na razie najlepszą strategią wydawało się unikanie ludzi. Nagłe zjawienie się smoka na zamieszkanym terenie mogłoby źle się skończyć dla niego, ludzi albo i dla niego, i dla nich. Po wylądowaniu Jenna nie miałaby dużych szans w walce, chyba że jej przeciwnik czekałby na tyle długo, że zdążyłaby użyć materiałów wybuchowych. Była zdecydowana to zmienić.

Nie mogę wiecznie się ukrywać, myślała. Wcześniej czy później będę musiała zapolować na większą zwierzynę.

Niewiele też wiedziała o karmieniu smoka. Zaklinacz Ognia regularnie polował na świeże mięso, Jenna natomiast zrobiła sobie wędkę i łowiła ryby, znajdowała też małże

w strumieniach, zbierała rukiew, pędy pałki wodnej i zmrożone owoce żurawiny. Inne rośliny w większości jeszcze były pokryte śniegiem, a jeśli nawet nie, to bała się ich próbować.

Ognik nie ukrywał swojej pogardy dla roślin (*nie jedzenie; jedzenie dla jedzenia*), chociaż te słodkie mu smakowały. Tyle że nawet gdyby Jenna cały dzień zbierała jagody, dla smoka nie wystarczyłoby to nawet na jeden kęs.

Chciała poznać przystanie i zatoczki wzdłuż brzegu – miejsca, w których mogli ukrywać się piraci. Obiecała też Ognikowi, że zapolują na ryby. Pewnego ranka skierowali się więc ku wybrzeżu. Wyruszyli, zanim słońce załśniło nad horyzontem, licząc na to, że gdy zrobi się jasno, będą już daleko na północy, gdzie teren był słabiej zaludniony i istniało mniejsze prawdopodobieństwo, że ktoś ich zauważy.

Lecieli ponad ośnieżonymi szczytami, potem skręcili na północ w kierunku zatoki oznaczonej na mapie jako Zatoka Najeźdźców. Po lewej mieli ciemną ścianę gór, a po prawej, gdzieś w ciemnościach, rozciągał się Indio.

Półwysep, nad którym lecieli, był stosunkowo płaski i pokryty śniegiem. Pośrodku jego powierzchni Jenna zobaczyła duży ciemny zarys, poruszający się na południe, czyli w ich kierunku.

– Co to takiego? – mruknęła.

Stado jeleni? – powiedział Zaklinacz Ognia z nadzieją w głosie. – *Tłusta owca?*

– Nie w nocy – odparła Jenna. – Sprawdźmy to.

Gdy się zbliżyli, zauważyła, że to grupa jeźdźców. Raz na jakiś czas roztaczał się błysk, gdy zachodzący księżyc odbijał się w niesionej przez nich broni. Armia.

Kiedy nad nimi przelatywali, Ognik trzymał się wysoko, jak zwykle gdy podczas lotu napotykali przypadkową osobę. Na szczęście w kraju, gdzie nie znano smoków, brano ich za jakiegoś dużego ptaka.

Czy to była armia północnej piechoty górskiej zmierzająca na spotkanie z zagrożeniem z Południa? Jeżeli tak, to mieli nietypowe stroje – nie charakterystyczny zielono-brązowy leśny

kamuflaż ani białe zimowe ubrania. Czy możliwe, że to Arden zamierzał odbić Delphi albo znowu zaatakować Forteczne Skały? Nie mieli wszakże na sobie ardeńskich mundurów barwy błota. W zasadzie ich ubrania były różnorodne – tak bardzo, że w ogóle nie wyglądali jak wojsko. Posuwali się jednak jak armia podczas forsownego marszu. Czy to mogła być grupa najemników wynajętych przez Arden?

A może to ludzie Strangwarda? Jak nazwał ich król Gerard? Dzikusy? Przybyli z Kartezji, żeby zamknąć pułapkę wokół niej z innego kierunku?

Nie zawsze chodzi o ciebie, tłumaczyła sobie. Musiała się jednak upewnić.

– Ogniku! Możesz zejść trochę niżej? – Księżyc zniknął już za chmurami, które osnuwały zachodnie szczyty, więc lecący smok nie rzucał cienia na ziemię. Jenna musiała liczyć na to, że widzi lepiej niż konni jeźdźcy.

Zaklinacz Ognia zawrócił i znowu przeleciał nad półwyspem, dużo niżej niż zwykle, by umożliwić jej obserwację z bliska. Chociaż jeźdźcy byli grubo ubrani, coś w ich strojach i wyglądzie przypominało Jennie drużynę Strangwarda – nazywał ich zaprzysiężonymi burzy. Nagle dech jej zapało. To byli magowie! – w większości. Mieli niezwykłą, lekko zabarwioną aurę, jak ta, która towarzyszyła kompanom Strangwarda. Jego magowie błyszczeli czerwono. Czarownicy, których widywała w Delphi – jedyni, jakich spotykała do niedawna – roztaczali błękitnobiały blask.

Ci tutaj lśnili fioletowo, jak cień albo dojrzały siniak. Jakby raczej pochłaniali światło, niż je wydzielali.

Po co mieliby wysłać tak liczną grupę do schwytania jednej dziewczyny? Chyba nie wiedzieli o Ogniku? A może mieli jakąś inną misję?

Czy powinna kogoś ostrzec? Kogo? Jeśli to ona była ich celem, to powinna przede wszystkim unikać zwracania na siebie uwagi. A lot na smoku mógł odnieść odwrotny skutek. Wiedziała za mało, żeby coś postanowić. Zresztą może magowie z Północy mieli różne barwy.

W tej północnej krainie, która sprawiała wrażenie bezludnej, robiło się coraz bardziej tłoczno.

– Wynośmy się stąd – powiedziała, ściskając smoka kolanami. – Spróbujmy szczęścia dalej na południu.

Ognik zawrócił szerokim łukiem w kierunku gór, oferujących schronienie.

Znowu polecili w stronę wybrzeża, tym razem między Kredowe Klify a graniczny port o nazwie Brama Duchów. Im bliżej oceanu, tym bardziej teren się wypłaszczał, aż w końcu dolecieli do białych klifów nad wodą. Łatwo je było zauważyć, nawet o świcie, z powodu obecności drapieżnych ptaków. Na szczytach tych skał wznosiło się portowe miasto. To musiały być Kredowe Klify.

Ryby? Zaklinacz Ognia przypomniał jej o celu ich wyprawy, na wypadek gdyby zapomniała.

– Nie pamiętasz? Najpierw lecimy wzdłuż brzegu i wypatrujemy statków. Potem łowimy ryby.

Łowienie ryb było tą marchewką, dla której Ognik zgodził się na ten plan. Po tym, co przeszedł ze Stangwardem, wciąż bał się statków.

Smok gwałtownie się wzbił, gdy przelatywali nad przystanią i przycumowanymi tam kilkoma statkami. Wznosili się coraz wyżej i Jenna wiedziała, że Ognik zamierza za chwilę zanurkować w sposób, od którego żołądek podchodził jej do gardła. Kiedy jednak znaleźli się w najwyższym punkcie, spojrzęła na morze – daleko w dal – i na tle rozjaśniającego się horyzontu zobaczyła sylwetki trzech wysokich okrętów zakotwiczonych parę kilometrów od brzegu.

Co one tam robią? – pomyślała.

Zaklinacz Ognia dostrzegł je mniej więcej w tej samej chwili co ona i zatrzymał się tak gwałtownie, że gdyby nie nowe siodło, Jenna przeleciałaby nad jego głową.

Ciemne miejsce. Łańcuchy. Obroża boli.

Wykonał ostry skręt i ruszył zygzakiem w stronę lądu, wyciągając szyję przed siebie, jakby dzięki temu mógł dotrzeć tam szybciej.

– Czekaj! Nie bój się. Nie pozwolę, żeby to cię znowu spotkało.

To w niczym nie pomogło. Smok nie zwolnił, póki nie znaleźli się znowu nad lądem. Jenna czuła, jak serce podeszło mu do gardła, i słyszała jego żalosne skomlenie.

To dało jej do myślenia. Nie miała okazji przyjrzeć się statkowi Strangwarda. Widziała go tylko przez chwilę, kiedy przelatywali nad nim przed samą eksplozją. Jej wzrok był dobry, ale smoczy jeszcze lepszy.

– Czy te statki wyglądają jak tamten, na którym tu przybyłeś?

Możliwe. Jego skóra zadrżała pod jej palcami. *Dzisiaj bez ryb.*

Czyżby Strangward wrócił tak szybko, tym razem z trzema statkami, żeby znowu spróbować szczęścia? Czy cesarzowa dołączyła do tych poszukiwań? Skąd wiedzieli, że Jenna jest tutaj, na Północy?

Mogły to być statki ardeńskie, przyczajone z zamiarem ataku na wszystko, co wpływa do portu bądź z niego wypływa. Albo piraci szukający czegoś, co nie miało z nią nic wspólnego.

Góry? Ognik lekko zmieniał kurs i kierował się coraz bardziej na zachód, z dala od wybrzeża. Jenna rozumiała jego pragnienie powrotu. Jednak jeżeli zamierzali ścigać Strangwarda albo cesarzową, Ognik wcześniej czy później musiał oswoić się ze statkami.

Oboje mieli własne demony do pokonania. Może wspólnie byli w stanie to zrobić.

– Nie każdy statek nas ściga – powiedziała, przytulając policzek do barku Ognika i głaszcząc go między tępymi kolcami. – Złówny jakieś ryby.

Uczyła go rozpoznawać kierunki i teraz świadomie skręcił na południe i leciał przy samym brzegu. Kiedy pokonali niewielki odcinek, wyczuła jego kolejne drżenie.

Więcej statków. Smok próbował zachować spokój. *Nie po nas. Może.*

Spojrzała w dół i zobaczyła coś, co wyglądało na wyścig. Dwa statki płynęły na północ równolegle do klifów, obracając się tak, by złapać wiatr w żagle. Prowadził mniejszy, ale szeroki,

z dwoma masztami. Kołysał się na falach, ociężale wykonując manewry.

Drugi statek był elegancki, wysoki, z wieloma masztami. Bardzo przypominał ten, który ona i Adam Wilk zniszczyli w Ardencourt, oraz te, które przed chwilą widzieli ukryte w pobliżu przystani. Jenna nie знаła się na statkach, ale nawet ona była w stanie stwierdzić, że ten większy jest szybszy. Wyglądało na to, że jego wygrana w tym wyścigu to tylko kwestia czasu.

Czy ten mniejszy należał do Fells i był atakowany przez Arden albo cesarzową? Jeżeli tak, to czy ona i Ognik powinni im pomóc?

To nie twoja walka, tłumaczyła sobie.

Skoro tak, to jak poznasz, kiedy zacznie się twoja walka?

Przypomniał się jej ojciec proszący ją, żeby przestała zajmować się współpracą z ruchem oporu.

Chciałbym, żebyś nie robiła... tego, co robisz. To zajęcie dla kogoś innego. Nikt nie ryzykuje tak jak ty.

I jej odpowiedź:

Nie mam zamiaru siedzieć bezpiecznie w kącie, kiedy inni za mnie walczą.

Jeżeli to jest statek Strangwarda albo jego sojuszników, to to jest moja walka.

Jenna westchnęła.

– Ogniku, możesz trochę obniżyć lot, żebym mogła zobaczyć bandery?

Smok zawrócił i znowu przeleciał nad dwoma statkami. Nad mniejszym powiewała żółta gwiazda na niebieskim tle. Czy to flaga Fells? Nie miała pojęcia. Na większym była czarna flaga, co sugerowało, że ma złe zamiary.

Jakby na potwierdzenie tej myśli większy statek wystrzelił kulę ognia w kierunku statku z przodu. Wylądowała niedaleko dzioba. Nie był to strzał armatni, lecz jakiś rodzaj magii.

Piraci chybiają. Ognik pogardliwie wyduł wargi, odsłaniając ostre jak miecze zęby. *Niedobrze.*

– Myślę, że celowo – powiedziała Jenna. – Nie chcą ich zatopić. Chcą, żeby się poddali.

Teraz większy statek wciągnął na maszt inną flagę. Purpurową czaszkę na czarnym tle. Pod tą samą banderą pływał statek Strangwarda. Symbol piratów. Czy to znaczyło, że on tu jest? Jak zdołał tak szybko znaleźć nowy statek?

Czy to sama cesarzowa?

Nagle Ognik zachwiał się i przechylił na bok, rozpaczliwie machając skrzydłami, żeby odzyskać równowagę i nie rozbić się o skały. Kiedy powrócił do stabilnej pozycji, byli już w głębi ładu. Jenna przez chwilę miała wrażenie, że zaraz wyrzuci z siebie wszystko, co zjadła na śniadanie.

Jennie niedobrze? Smok wydawał się zaniepokojony. Nie mogła go winić. Już się zdarzało, że na niego zwymiotowała.

– To tylko... chyba się tego nie spodziewałam – odparła. – Co się stało?

Wiatr się zmienił.

To obudziło jakieś wspomnienie, ale Jenna nie potrafiła go skonkretyzować.

Kiedy wrócili na wybrzeże, mniejszy statek czał się przy brzegu, a większy blokował mu wyjście w morze. Widzieli ludzi na pokładach i Jenna słyszała okrzyki przerzucane między statkami. Piraci żądali, żeby mniejszy statek się poddał, a załoga tego ostatniego odmawiała.

Wreszcie mały statek wciągnął inną flagę, stylizowanego smoka (a więc nie Fells), i odpowiedział ogniem, niszcząc najwyższy maszt piratów. Potem znowu popłynął na północ, trzymając się blisko brzegu. Po chwilowym zaskoczeniu piraci ruszyli w pościg. Strzelali do przeciwnika płonącymi strzałami, które nie trafiały, choć upadały blisko celu. Ognik leciał za nimi, niemal ocierając się o szczyty skał, żeby go nie zobaczono.

Czy powinni się wtrącić? Podpalić piracki statek? Zrzucić granitowy głaz na ich pokład i wybić w nim dziurę? Łatwiej byłoby podjąć decyzję, gdyby wiedzieli na pewno, kto jest w dole. Ponieważ tego nie wiedzieli, trudno było uzasadnić ryzykowanie własnego życia.

Czy on naprawdę myśli, że jest taki przebiegły? – pomyślała.

Nie przebiegły. Odpowiedział Zaklinacz Ognia. *Nie biega.*

Przewróciła oczami. Te smocze żarciki.

Jak się okazało, mały statek nie potrzebował pomocy. W chwili gdy ten większy zamierzał go wyprzedzić, natknął się na jakąś niewidzialną barierę. Ze straszliwym trzaskiem i hukem dziób pirackiego statku odrobinę się uniósł, a potem opadł i niebezpiecznie się przechylił. Mniejszy popłynął dalej. Jenna słyszała radosne okrzyki dobiegające z pokładu. Dopiero teraz zauważyła cieniste kształty pod wodą, ciągnące się od brzegu. Rafa.

Dopiero po chwili zrozumiała, co się stało. Ten mniejszy, płynący wzdłuż brzegu, miał mniejsze zanurzenie niż statek piratów. Mógł przepłynąć nad przeszkodą, która dla jednostki przygotowanej do rejsów na dalekich morzach okazała się nie do przebycia.

Innymi słowy załoga mniejszego statku przechytrzyła piratów.

Piraci także zdali sobie z tego sprawę i teraz z dużego statku posypał się grad płomieni, które z sykiem wpadały do wody wokół szybko oddalającej się jednostki. W końcu któryś ze strzałów trafił w maszt i przełamał go na pół. Mały statek jednak płynął dalej, jego załoga manipulowała dwoma niewielkimi żaglami, póki nie znaleźli się poza zasięgiem ognia piratów.

Jenna nie wiedziała, czy lecieć za mniejszym statkiem, czy bliżej się przyjrzeć piratom, którzy biegali w popłochu po pokładzie, gasząc płonący maszt i ożaglowanie. Zobaczyła kogoś, kto z małego podwyższenia za najwyższym masztem wykrzykiwał rozkazy. Błyszczał tak jasno, że Jenna musiała zmrużyć oczy.

– Możesz jeszcze troszkę obniżyć lot? – Na pewno tak brzmiały czyjeś ostatnie słowa, pomyślała.

Czuła przerażenie smoka. *Nie nas ścigają.* *Nie nas.* Powoli i spiralnie opadał ku powierzchni wody, mięśnie miał napięte do granic możliwości.

Jego strach chyba był zaraźliwy, bo w miarę jak się zbliżali do statku, Jenna odczuwała coraz większą trwogę. Magiczny znak na jej szyi zaczął syczeć i piec, jakby za chwilę miał wybuchnąć. Każda jej cząstka ostrzegała o niebezpieczeństwie.

Jenna? Ognik przywrócił ją do rzeczywistości.

– Jeden szybki rzut okiem i wracamy – powiedziała.

Pierwszym zaskoczeniem było to, że postać na pokładzie okazała się młodą kobietą, niewiele starszą od Jenny. Pukle okalających jej głowę włosów o metalicznym odcieniu wyglądały jak gniazdo węży z przerażającej opowieści. Była w skórzanej kamizelce nałożonej na białą lnianą koszulę i w spodniach z szerokimi nogawkami. U jej boku wisiał sztylet...

Serce Jenny podskoczyło i omal się nie zatrzymało. To był wysadzany klejnotami, wygięty sztylet... taki jak ten, który miała po matce. Ten, który ojciec przechowywał dla niej w szkatułce pod łóżkiem, póki po nią nie przyszli.

To musi być ta cesarzowa, przed którą ją ostrzegano. Która ją ścigała. Którą teraz ścigała Jenna. *Celestyna*. Tyle że chyba była za młoda na cesarżową.

Cesarzowa jakby usłyszała swoje imię. Wyprostowała się, uniosła głowę i zobaczyła ich dwoje na niebie.

Fala jej uczuć omal ich nie zmiotła.

Wy!

Jenna nie była pewna, czy cesarzowa mówi na głos czy w myślach, ale jej emocje były wyraźne – mieszanka triumfu, radości i nieposkromionej żądz. Zachłannie wyciągnęła ręce w ich stronę.

Ogniku!

Smok już się wzbijał – szyję wyciągnął przed siebie i przecinał powietrze, napinając i rozluźniając mięśnie. Jenna przywarła do jego grzbietu, roztrzęsiona, niezdolna do jakiegokolwiek działania.

Już w powietrzu obejrzała się za siebie. Cesarzowa wciąż stała na pokładzie, podparta pod boki, i obserwowała ich, nie

zwracając uwagi na marynarzy, którzy nadal w popłochu gasili pożar.

Kiedy wreszcie oddalili się na bezpieczną odległość, Ognik zmniejszył tempo rozpaczliwych uderzeń skrzydłami i ustawił się poziomo.

Co teraz? Nawet nie wspomniał o rybach, co świadczyło o jego niepokoju.

– Musimy znaleźć ten mniejszy statek, atakowany przez piratów – stwierdziła Jenna. – Wygląda na to, że oni mogą mieć odpowiedzi na nasze pytania.



DRUGIE PRZESŁUCHANIE

Breon niewiele pamiętał z okresu zaraz po wypaleniu ziela z trucizną. Większości *nie chciał* pamiętać – był osobą, która stara się zostawiać nieszczęścia za sobą. Nie wiedział, jaką część pamięci wymazało mu ziele, a jakiej sam się wyparł, ale nie chciałby tego przeżyć ponownie.

Było jednak kilka przyjemnych momentów. Na przykład gdy Talbot zeskrobywała z niego brud tym szorstkim gorącym ręcznikiem, od którego czuł cudowne mrowienie na skórze. I kiedy karmiła go gęstymi zupami i pożywnymi puddingami, po tym jak przeszły mu drgawki. Może nawet masowała mu plecy, gdy było mu ciężko, ale nie był pewien, czy sobie tego nie wyobraził.

Do tego dochodziło jeszcze coś, co prawdopodobnie było snem, ale jemu i tak sprawiało przyjemność. Słyszał tę wspaniałą muzykę i myślał, że to chór anielski, co nie miało sensu, biorąc pod uwagę to, jak żył do tej pory. Okazało się, że to księżniczka grała dla niego na bazilce.

Teraz mogę umrzeć szczęśliwy, pomyślał. Żywił nadzieję, że to się stanie, zanim wykonają na nim egzekucję. Prawdopodobnie mają jakieś specjalne metody dla tych, którzy próbują zabić następczynię tronu, i on niebawem się o tym przekona.

W tym momencie jednak czuł się lepiej, musiał więc działać szybko. Śmierć wydawała się łatwiejsza niż ucieczka. Zamknął

oczy, skrzyżował ręce na piersi i próbował opuścić swoje ciało, lecz cały czas oddychał i wkrótce zachciało mu się jeść, pić i sikać. Jak to jest, że człowiek zawsze umiera wtedy, kiedy tego nie planuje, a gdy tego chce, śmierć jakoś nie przychodzi.

Kiedy zjawiała się Talbot, poprosił ją o papier i pióro, a ona mu je przyniosła.

– Mam nadzieję, że chcesz spisać swoje zeznania, kanalio – powiedziała, ale on wyczuł, że mówi to bez przekonania.

Był niemal pewien, że zaczęła zmieniać swoje nastawienie do niego. Z upływem czasu miała coraz mniejszą ochotę na odcinanie mu części ciała. Taki był jego cel – przetrwać uwięzienie w nienaruszonym stanie. Człowiek musi mieć jakieś cele, a teraz, bez dostępu do ziela, łatwiej mu było o nich pamiętać.

Poza tym nie przywykł do tego, żeby go nienawidzono. Nie podobało mu się, że wsadza się go do jednego worka z takimi, co wyglądają, jakby chcieli wypruć mu flaki i złoić skórę. Obić całe ciało. Nie tylko sempiternę.

Kolejne dobre słowo: „sempiterna”. Zastanawiał się, skąd je zna. Słowa są jak wysypka – pojawiają się nagle i nie wiadomo skąd.

– No to jak? – ponagliła Talbot. – Co zamierzasz pisać?

Dopiero teraz Breon się zorientował, że ona naprawdę spodziewa się odpowiedzi.

– Napiszę laudację.

– Co to takiego? – zapytała podejrzliwie.

– Przemówienie, które kogoś wychwala, w moim wypadku to hołd osobie zmarłej – odpowiedział.

– Do czego ci to? – Talbot szybko się rozejrzała. – Chyba nie zamierzasz...?

– To ty mówiłaś, że zawisnę za tych dwóch zabitych w Łachmantargu.

– Ach. No tak. Zawisniesz. – Tym razem jednak nie powiedziała tego triumfalnie jak wcześniej. – Chcesz pisać o samym sobie?

– Nikt inny tego nie robi.

– Racja – parsknęła. Nie odchodziła jednak i masowała sobie kark, patrząc na niego z niepokojem. – Nikogo nie masz? Nie ma nikogo, kogo moglibyśmy powiadomić?

– Nie ma.

Aubrey na nim zależało – tego był pewien. Ale nie zamierzał ich na nią nasyłać. Wyobraził sobie, jak wchodzi na szafot, a ona stoi wśród gapiów w długim czarnym welonie. Podobało mu się wszystko w tej wizji z wyjątkiem wchodzenia na szafot.

Nagle coś przyszło mu do głowy. Podniósł wzrok na Talbot i powiedział:

– Jeśli coś napiszę, czy ty przeczytasz?

– Ja? – Zrobiła dwa kroki w tył. – Chyba nie chcesz, żebym to czytała. – Po chwili dodała: – Chcesz?

– Tak – oznajmił. – Czuję, że jesteś ważną częścią tej historii o końcu mojego życia. Prawdopodobnie spędziłem więcej czasu z tobą niż z kimkolwiek innym, kto mógłby to zrobić.

– Co napiszesz? – zapytała podejrzliwie.

– Zobaczysz. Jeśli to przejrzysz i nie będziesz chciała czytać, nie musisz. I tak już będę martwy.

– W porządku. – Odchrząknęła. – Mam na imię Sasha.

– A ja Breon. Jeśli chcesz mi mówić po imieniu.

Nie było łatwo zacząć. Połowy życia nie pamiętał, a o drugiej właściwie nie chciał pisać. Teraz, gdy umysł mu się rozjaśnił, przypominał sobie rzeczy, których najchętniej nie odgrzebywałyby z pamięci. Czuł się jak ktoś, kto znajduje na ulicy ciekawy przedmiot, myje go i widzi, że to tylko odłamek szkła.

Cała sztuka polega na odpowiedniej prezentacji, myślał, patrząc na leżącą przed nim kartkę w kratkę.

Próbował szukać przyjaciół.

Potrafił się bawić.

Opowiadał historie.

Kochał wschody słońca, szczeniaki i spacerowanie nad oceanem.

Czasami pomagał ludziom na chwilę zapomnieć o ich troskach.

W zasadzie mniej więcej to samo można było powiedzieć o zielu. A skoro o tym mowa... zastanawiał się, czy będzie miał prawo do ostatniego życzenia.

Kiedy nie próbował pisać, czytał, spał i jadł.

To nie był zły sposób spędzania ostatnich dni życia. Czuł wdzięczność wobec losu, że się nie pocił, nie miał drgawek, skurczów ani wymiotów. Wstydził się tego, jak się zachował, kiedy odwiedziła go księżniczka. Chciałby ją przeprosić, gdyby tylko miał okazję, co prawdopodobnie było niemożliwe. Zasłużenie.

Kilka dni później siedział pod oknem, gdzie światło było najlepsze, i usiłował pisać swoją mowę pogrzebową. Sasha mówiła o nim „zaklinacz”, ale to nie do końca oddawało prawdę. Uznał, że powinien użyć bardziej dramatycznego opisu. Jak Zaklinacz Cieni.

Nazywali go Zaklinaczem Cieni, bo wyłaniał się z cienia i kradł ludzkie umysły i serca.

Nazywali go Zaklinaczem Cieni, bo rzucał ogromny cień na zdarzenia całego dnia. Ludzie zwali go mordercą, ale to nie była prawda.

Nazywali go Zaklinaczem Cieni, bo jego muzyka była niczym strumień światła wśród cieni.

Nie. Właściwie było odwrotnie.

Na tym polegał jego problem. Próbował napisać opowieść o bohaterze, ale ciągle przeszkadzała mu prawda. *Ta historia nie jest o tobie. To opowieść o kimś, kim chciałbyś być.*

Nagle ktoś energicznie popchnął drzwi i weszli Jej Wysokość, Sasha Talbot, grupka niebieskich i – ku zdumieniu Breona – Rogan Tancerz Cieni, na północy nazywany Cieniem. Widocznie wrócił skądś, dokąd pojechał. Breon z ulgą zauważył, że tym razem nie było z nimi tego młodego maga o imieniu Finn. Przesunął palcami po świeżo wyleczonej ręce. Wciąż nie bardzo wiedział, co właściwie się stało. Nie chciał jednak, by to się powtórzyło.

Księżniczka wróciła z orszakiem.
„Orszak”. To odpowiednie słowo.

Zaklinacz Cieni zawsze podróżował z orszakiem. Przyjaciół miał wielu, a wrogów nielicznych.

Może w następnym życiu.

Breon napisał tę linijkę i odłożył pisaninę. Podniósł się i podszedł do przybyłych. Niebiescy natychmiast wkroczyli między niego a księżniczkę.

Wykonał coś, co w jego mniemaniu miało być zgrabnym ukłonem.

– Wasza Wysokość – powiedział. – Przepraszam za swój wygląd i zachowanie podczas naszego ostatniego spotkania.

– Mówisz o tym, jak wciągnąłeś mnie w zasadzkę, czy o tym, jak na mnie zwymiotowałeś? – zapytała.

– Przepraszam za oba zdarzenia – stwierdził, pogłębiając ukłon. Kiedy się wyprostował, okazało się, że księżniczka patrzy na niego z przechyloną głową i zmrużonymi oczami.

W tej sytuacji on też zaczął się jej przyglądać. Tamtego wieczoru widział ją na scenie w eleganckiej sukni i potem na ulicy w stroju klanowym. Teraz była ubrana jak żołnierz, w nakrapiany mundur noszony przez Północnych. Zupełnie jakby była trzema osobami naraz. Częściowo wyczuł to już w jej pieśni.

Nie jesteś jedynym kameleonem, pomyślał. Tylko że w moim przypadku to raczej wynika z tego, że właściwie nie wiem, kim jestem.

– Wyglądasz nadspodziewanie dobrze – zauważyła księżniczka. – Aż trudno uwierzyć, że to ta sama osoba.

Breon zajął się mankietami więziennej koszuli. Podwinął je trochę i wygiął kołnierzyk, żeby nie wyglądać na spiętego.

– Nie jestem tą samą osobą, Wasza Wysokość – odparł. – Przeszedłem przemianę, dzięki obecnej tu kapral Talbot, dzięki Grace i waszemu zespołowi uzdrowicieli. Z radością

odpowiem na wszelkie pytania. Nie umiem wyrazić, jaką ulgę poczułem, kiedy się dowiedziałem, że przeżyliście ten atak w noc koncertu.

– Zwłaszcza że zostałeś schwytany – skomentowała Sasha.

Księżniczka obrzuciła wzrokiem jego sylwetkę.

– Czy dostajesz dość jedzenia?

– Tak – odpowiedział zażenowany. Wiedział, że wygląda jak głodujące dziecko ulicy. Poklepał się po brzuchu. Czy też po miejscu, gdzie powinien mieć brzuch. – Jedzenie jest dobre i dają mi go dużo. Chyba już przytyłem parę kilo.

– Przydałoby ci się jeszcze kilka – stwierdziła księżniczka. Skinęła na strażników, żeby przynieśli krzesła. Ustawili trzy naprzeciwko jednego. – Usiądź.

Spoczął na odosobnionym krześle, a księżniczka na wprost niego. Sasha zajęła miejsce po jej lewej, a Cień po prawej stronie. Wtedy Breon zauważył, że Rogan ma jego dżafasę. W dodatku została naprawiona. Wyglądała zupełnie jak nowa.

Cień postawił dżafasę na podłodze. Oparł ją o udo i przytrzymał jedną ręką.

Breon wpatrywał się w swój instrument ze zdumieniem. Ten widok wyparł z jego myśli wszystko inne. Po raz pierwszy od dawna poczuł przeszywające go do szpiku kości pragnienie czegoś innego niż ziele.

– Jak chcesz, żeby się do ciebie zwracać, grajku? – spytała księżniczka.

– Breonie – odparł. Obliznął wargi i zaryzykował: – Widzę, że naprawiliście moją dżafasę.

Cień skinął głową.

– Chyba udało mi się przywrócić twój instrument do stanu używalności.

– Mogę spróbować? – Breon wyciągnął rękę.

Cień przyciągnął dżafasę do siebie.

– Na razie musisz mi wierzyć na słowo.

Na razie. Czy to znaczyło, że później...?

– Nie wiedziałem, że jesteś lutnikiem.

– Robię czaromioty.

Breon przeniósł pożądlivy wzrok z dżafasy na kupca.

– Czaromioty? To znaczy?

– Zakładamy, że w tym instrumencie jest magia, że on przewodzi moc jak amulet – odpowiedziała mu księżniczka. – Dlatego postanowiliśmy go naprawić, żeby sprawdzić, czy to nam pomoże zrozumieć twoją magię.

– I udało się?

Kupiec wzruszył ramionami.

– Z niecierpliwością czekamy na to, co ty masz do powiedzenia.

Czasy, kiedy Breon myślał o innych rzeczach, niż tylko jak przetrwać do następnej działki, były bardzo odległe. Nigdy nie uważał, że jego talent do nawiązywania kontaktów to magiczna moc. To byłoby niebezpieczne na terenie Ardeny i podległych mu królestw.

– Nie wiem, ja tylko... jestem muzykiem. Nie wiem, jak to działa. To znaczy umiem na tym grać, i tyle. – Po chwili milczenia dodał: – Umieję też grać na flecie, na bazilce i na klawesynie, jeśli trzeba.

– Czy wszystkie te instrumenty... urzekają ludzi... tak jak dżafasa? – Cięń delikatnie gładził gryf. Jakby chciał sprowokować Breona.

– To tylko narzędzia, które w rękach odpowiedniej osoby pozwalają w subtelny sposób wyrazić emocje.

Wszyscy wpatrywali się w niego oniemiałi.

Sam się trochę zdziwił. Teraz, kiedy rzucił ziele, nagle odkrywał niezwykły zasób słów.

– Magiczny znak na twojej szyi mówi, że jesteś kimś więcej niż zwykłym muzykiem.

– Powiedziałem, że jestem muzykiem. Nie powiedziałem, że zwykłym. – Zastanawiał się chwilę. – Jak już mówiłem, każdy instrument pomaga, nawet mój głos. Ale dżafasa, albo bazilka... w zasadzie każdy instrument strunowy... potrafi oddać złożoność, której nie odda mój głos. Ludzie to akordy, nie pojedyncze nuty. Więc o ile ktoś nie jest bardzo

nieskomplikowaną osobą, sam mój głos nie przedstawi go dokładnie.

Jej Wysokość potaknęła.

– Kiedy słyszałam twoją grę, to było, jak... jakbym *znała* tę melodię, zanim ją usłyszałam.

– Ja sam nigdy nie byłem odbiorcą takiego seansu, więc mogę wam jedynie powiedzieć, jak to jest z mojej strony – wyznał. – Czytam ich i słucham ich muzyki, a potem ją dla nich odtwarzam. Każdy jest inny. Każdy ma inną melodię.

– Nie rozumiem – odezwał się Cień.

– Właśnie to jest takie uwodzicielskie – tłumaczył Breon. Wszyscy skrzywili się na dźwięk słowa „uwodzicielskie”, ale on ciągnął: – Przychodzimy na ten świat sami i odchodzimy z niego w taki sam sposób. Nawet nasz partner, kochanek, przyjaciel... oni mogą poznać tylko cząstkę nas, i ta wiedza i tak jest niedoskonała. Wyobraźcie sobie, że słyszycie waszą pieśń, waszą prawdę, która do was wraca. To się odzywa tutaj. – Przyłożył pięść do serca.

– Ja nie muszę sobie tego wyobrażać – szepnęła księżniczka, kładąc dłoń na piersi.

– Chcesz powiedzieć, że czytasz w myślach? – Sasha wyglądała na zaniepokojoną, jakby miała ochotę wybiec z tej celi. Jakby bała się, że ktoś pozna jej myśli.

Breon pokręcił głową.

– To bardziej przypomina strumień przepływający między mną a słuchaczem. Jakbyś całe życie szukała kogoś, kto cię rozumie, i w końcu go odnajdujesz.

– Zdaje się, że jednocześnie odcinasz wszystko inne – zauważyła księżniczka. – Czułam się, jakby wszystko usunęło się w cień.

Właśnie tak, pomyślał Breon z satysfakcją. Zaklinacz Cieni.

– Pytanie brzmi, grajku, czy sprowadzasz światło czy cień – oznajmił Rogan.

To było bardzo dobre pytanie. Breon chciałby znać na nie równie dobrą odpowiedź. Wzruszył ramionami.

– Kto cię wynajął, żebyś się zaczął na księżniczkę następczynię tronu i odwiódł ją od przyjaciół? – zapytała Sasha, jakby chciała wejść na bardziej stabilny grunt.

– Nie ja zawierałem umowę, tylko mój impresario.

– Twój impresario? – Księżniczka nachyliła się ku niemu. – Kto to taki?

– Wszyscy mówili na niego Fancierz, ale zdaje się, że miał na imię Crosby albo Crowley, chyba.

– Fancierz? – wtrąciła Talbot.

– Tak. No wiecie. – Ich skonsternowane spojrzenia mówiły, że nie rozumieją. – Jak łupy, fanty do podziału. Każdy dostaje swój kawałek tortu. Ale Fancierz zawsze zgarniał największą część.

– Gdzie go znajdziemy? – zapytał Cień.

– Nie żyje. Zamordowano go w magazynie w Fellsmarchu razem z jednym z moich... kumpli.

Księżniczka Alyssa zmrużyła oczy i Breon pomyślał, że ona już wie o ciałach w Południomości.

– Byłem... myślę, że to się stało, kiedy ja... podczas tamtego występu na ulicy – powiedział. Gdybym tam był, też już bym nie żył. – Szukał współczucia na ich twarzach, ale go nie znalazł.

– I tylko tobie udało się uciec? – Cień nie kupował tej historii.

– I jeszcze Aubrey – wyznał. – No wiesz, tej, która z nami jechała.

– Czyli ona też brała w tym udział? – Cień pochylił się, jakby chciał wessać te nowe wiadomości.

– Co to znaczy „brała udział”? – Breon zaczął się oburzać. – Wiedziała o moim występie, to wszystko. Jesteśmy muzykami. Było nas czworo i trzymaliśmy się razem, wliczając Fancierza.

– Gdzie ona teraz jest? – dopytywał Cień.

Co prawda on i Aubrey ostatnio się nie zgadzali, ale nie miał zamiaru jej wydać.

– Już mówiłem, że nie wiem. Domyślam się, że się skapnęła, co się święci, i uciekła. – Nagle coś przyszło mu do głowy. – Zaraz. To nie ona mnie wydała?

– Nie – odparł Cień. – Sam na to wpadłem. A więc ten Fancierz przekazał ci instrukcje? Twierdzisz, że nigdy nie

spotkałeś tego klienta?

Wszyscy troje słuchali w napięciu.

– Właściwie spotkałem się z nim na ulicy przed koncertem. – Breon opowiedział o swoim spotkaniu z rzekomym nieszczęśliwie zakochanym i o zaleceniach, które wtedy otrzymał. – To on dał mi medalion i kwiaty.

– On dał ci te kwiaty? – Cień spojrzał na Talbot, jakby to była najważniejsza wskazówka.

– Tak, on. Wtedy pomyślałem, że to dziwne, że nie chce dać ich jej osobiście. Każdy by chciał osobiście wręczyć bukiet wybrance.

Sasha wyciągnęła medalion księżniczki, otworzyła go i przyglądała się portretom wewnątrz.

– Po co dał ci ten medalion? Tu nie ma jej zdjęcia.

– Po co miałyby nosić swoje zdjęcie, jak zawsze może spojrzeć w lustro – odparł i zaraz zganił się w duchu za to, że się wymądrza.

– Talbot chciała zapytać, jakie znaczenie ma ten medalion – wyjaśnił Cień.

– Czasem... czasami łatwiej mi nawiązać kontakt, jeśli mam coś, co należy do danej osoby – wyjaśnił Breon. – To pomaga mi lepiej ją poznać.

– Wiedziałam! – zawołała Talbot, klepiąc się w udo, jakby Breon właśnie podpisał przyznanie się do winy. – Może nie jesteś typowym czarownikiem, ale i tak jesteś jakimś rodzajem miotacza uroków.

„Miotacz uroków” zabrzmiało w jej ustach, jakby to było coś obrzydliwego.

– Jestem muzykiem – powtórzył z uporem. – To miał być występ uliczny. Nie miałem pojęcia, co się stanie.

– Nie widziałeś w tym zleceniu nic podejrzanego?

Breon nie wiedział, co powiedzieć. W końcu postanowił dalej mówić prawdę, skoro do tej pory nic go to nie kosztowało.

– Owszem, uznałem to za dziwne zlecenie, ale nie bardziej niż inne, jakie wykonywałem. Gdy ludzie słyszą o „prywatnym

zleceniu”, myślą sobie różne rzeczy. Ale ja jestem muzykiem i tyle. Nie zabójcą.

Chociaż klient rzeczywiście chciał, żeby poprowadził dziewczynę wzdłuż rzeki w ustronne miejsce, gdzie będzie na nią czekał. I Breon rzeczywiście cały czas miał wątpliwości, ale mimo wszystko to zrobił.

Każdy, kto ma choć trochę oleju w głowie, zorientowałby się, że tu się dzieje coś złego, mówił ten denerwujący głos w jego głowie.

– Jaka była zapłata? – zapytał Cień.

Gdy Breon nie odpowiadał, wtrąciła się Sasha:

– Ile dostałeś za wprowadzenie dziewczyny w łapska asasynów?

– Ile *ja* dostałem? Nic. Owszem, dostałem ubranie i kąpiel, ale...

– Życie jest ostatnio tanie, nie?

– Nie! – zaprzeczył. – Fanciarz mówił, że klient proponował czterdzieści panienek. Miałem dostać kasę po uwiedzeniu.

– ...Uwiedzenie? Tak to nazywasz? – Księżniczka chciała zabić go wzrokiem.

Breon poczerwieniał.

– Klient powiedział, że jest... zalotnikiem, więc użyłem muzyki, żeby wprawić... – nie chciał użyć słowa „cel”, bo już i tak był w kłopotach – ...słuchaczkę w odpowiedni nastrój.

– Odpowiedni do... czego? – Spojrzenie Sashy mówiło, że w jednej chwili mogłaby przedrzeć się przez dzielący ich stół.

Breon rozpaczliwie szukał słów, które nie pogorszyłyby jego sytuacji.

– Do... yyy... wysłuchania, co mój klient miał do powiedzenia. To wszystko.

Talbot kręciła głową, jej twarz wyrażała obrzydzenie.

Breon westchnął. Kolejny raz tracę grunt, pomyślał. Niedługo znowu mnie znienawidzi.

– Jak on wyglądał? – zapytała księżniczka Alyssa.

– Nie przyjrzałem mu się. Był cały owinięty peleryną, z twarzą osłoniętą szalikiem. – Po chwili namysłu dodał: – Był

wysoki... wyższy ode mnie. I... nie jestem pewien, ale chyba był magiem.

– Czemu tak myślisz? – zainteresował się Cień.

– Miał ten magiczny blask.

– W końcu coś mamy – stwierdziła Sasha z udawanym entuzjazmem. – Przesłuchamy wszystkich czarowników w królestwie i może coś znajdziemy.

– A jednak to przydatna informacja – zauważyła księżniczka. – To nam zawęży krąg poszukiwań. Pamiętasz coś jeszcze? Nawet jakiś drobiazg.

– Hmm... on pobrzękiwał.

– Pobrzękiwał? – zapytała zdziwiona Alyssa.

– Aha. Jakby coś dzwoniło, kiedy się ruszał.

– Brzęczał, dzwonił i świecił. Na pewno go przydybiemy – skwitowała Sasha sarkastycznie.

– Czy ten klient ci się przedstawił? – zapytał Cień bez nadziei na pozytywną odpowiedź.

Przedstawił się? Breon usiłował sobie przypomnieć.

– Chyba nie – odparł powoli. Wtedy jak słońce zza chmur pojawiła się ta myśl. – To był Darian. Mówił, że nazywa się Darian. Jego ludzie też tak o nim mówili.

– Jego ludzie? – Jej Wysokość przechyliła głowę. – Słyszałeś ich rozmowę? Jak to dokładnie było?

Wydawało się, że każde pytanie, na które odpowiadał, prowadziło do następnego. Uznał jednak, że jeśli powie prawdę, nie będzie musiał później pamiętać, w jakiej sprawie skłamał.

– Kilka dni po koncercie wróciłem do magazynu, gdzie mieliśmy metę. Jak tam wszedłem... – Głos mu zadrżał. – Jak tam wszedłem, Fancierz i Gąsior byli martwi. Zamordowani.

– Jak ich zabito? – zapytała Sasha. Breon znowu miał wrażenie, że ona zna odpowiedź, tylko go sprawdza.

– Mieli poderżnięte gardła. Kiedy tam byłem, usłyszałem, że ktoś się zbliża, i okazało się, że to ludzie Dariana wrócili, żeby sprawdzić, czy nie zostawili śladów. Wtedy słyszałem ich rozmowę.

– I znowu udało ci się uciec – zauważył Cię, podnosząc brew.

Breon spojrzał mu prosto w oczy.

– Tak.

– Co jeszcze mówili o tym Darianie?

– Że wysłał ich tam, by sprawdzili, czy nic nie naprowadzi na ich ślad. Chyba strasznie się go bali.

Wszyscy spojrzeli po sobie.

– Czy wspominali coś o Ardenie, o wojnie albo o tym, dlaczego chcieli mnie zabić? – zapytała księżniczka Alyssa.

Breon zastanowił się i pokręcił głową.

– Oni wszyscy byli zbyt wystraszeni, żeby o cokolwiek pytać.

– Podobno dostałeś ten instrument od ojca – powiedziała Jej Wysokość. – Czy on też był muzykiem? To on nauczył cię grać?

– Może. Myślę, że tak. Nie jestem pewien. – Gdy Sasha parsknęła, dodał: – Słuchajcie, zawsze zakładacie, że kłamię, ale teraz mówię prawdę. Nie pamiętam nic z pierwszych dziesięciu lat życia. Tylko to, jak włóczyłem się po ulicach Zatoki Bastońskiej i ciągnąłem dzafasę za sobą. Zacząłem więc grać na ulicy już wtedy, bo dla dziesięciolatka to był jedyny sposób, żeby coś zarobić. I tak pewnie bym nie przeżył, gdyby Fancierz mnie nie przygarnął i nie wciągnął do swojej wędrownej trupy. – Breon przyglądał się ich twarzom. Starał się, jak mógł, a oni wciąż wyglądali na rozczarowanych.

– Muszę przyznać, Breonie, że zaczynam tracić cierpliwość – stwierdziła Jej Wysokość. – Jesteś jedyną nicią, po której możemy dotrzeć do osób odpowiedzialnych za serię podstępnych morderstw. Potrzebuję czegoś więcej.

– Powiedziałem prawdę, Wasza Wysokość. To taka rzadkość, że chyba nie powinienem się spodziewać, że wszyscy ją rozpoznają, gdy ją usłyszą.

Księżniczka, z dłońmi na kolanach, nachyliła się do niego.

– Potrzebuję jakiegoś tropu. Muszę się dowiedzieć, kto dostarcza informacji tym, którzy chcą naszej krzywdy. Potrzebuję czegoś użytecznego. – Wskazała pozostałych

w pomieszczeniu. – Każdy tutaj poniósł jakąś stratę... poważną stratę. Co mam im powiedzieć?

Nie miał na to odpowiedzi.

– Wiele osób na moim miejscu uznałoby, że mają prawo posunąć się do tortur – ciągnęła księżniczka Alyssa z przerażającą szczerością.

Bogowie i męczennicy, pomyślał Breon. Czemu nie mogłem trafić w niewolę do słodkiej jasnowłosej księżniczki zamiast do tej dzikiej, wojowniczej następczyni tronu?

– Jeśli będziecie mnie torturować – rzekł – będę mówił. Będę śpiewał jak ptak na gałęzi. Opowiem wam najwspanialsze historie z niezwykłymi szczegółami. Podam imiona osób na najwyższych szczeblach. Właściwie jeden z moich współników może się nawet znajdować w tym pomieszczeniu. – Zamilkł, pozwalając im zrozumieć znaczenie tych słów. – I to wszystko będzie kłamstwem. Bo już powiedziałem prawdę, a to wam nie wystarczyło.

Spojrzał księżniczce w oczy. Poszedł na całość, bo wiedział, że jego gra może się skończyć na dwa sposoby: albo sprowokuje ich do natychmiastowego wyciągnięcia narzędzi tortur, albo przekona, że tortury to strata czasu. Oczywiście liczył na to drugie.

Księżniczka Alyssa westchnęła.

– W tym wypadku od torturowania cię powstrzymuje mnie jedynie przekonanie, że informacje wyciągnięte za pomocą tortur nie nadają się do wykorzystania – oświadczyła.

Breon zrobił głęboki wydech, po którym aż zakręciło mu się w głowie.

– Jeśli mogę, Wasza Wysokość, naprawdę jesteście przykładem dla innych, jeśli chodzi o...

– Jednakże – ciągnęła, a serce znowu zabiło mu szybciej – mamy inne sposoby wywierania nacisku. – Jedną ręką podniosła dzafasę i podeszła do paleniska. Przytrzymała instrument nad ogniem. – Dam ci tydzień na zastanowienie. Potem to trafi w ogień. – Zwróciła dzafasę Cieniowi. – Zastanów

się, grajku. Może zechcesz zagrać na tym ostatni raz przed wykonaniem wyroku.

Naprawdę jesteście przykładem dla innych, jeśli chodzi o bezwzględność. To chciałem powiedzieć. Już pisał w myślach tragiczne zakończenie tej historii.

Kiedy ruszyła ku wyjściu, Breon powiedział:

– Jaki macie zwyczaj tu, na Północy? Powieszenie, ścięcie czy spalenie żywcem?

Odwróciła się w jego stronę i uśmiechnęła przebiegle.

– Mogą być wszystkie trzy.



PONOWNE SPOTKANIE

Jenna zauważyła, że dużo lepiej czuje się w roli myśliwego niż zwierzyny łownej. Jednak nawet z powietrza niełatwo było wypatrzeć statek uciekinierów. Słońce ponownie zachodziło, gdy wreszcie znaleźli go ukrytego w jednej z zatoczek przy brzegu. Tkwił pod wysokim klifem, osłonięty gałęziami i liśćmi. Gdyby nie dwie pary oczu o smoczym wzroku i stosunkowo niewielki teren do przeszukania, łatwo mogliby go przeoczyć. Załoga najwyraźniej miała doświadczenie w ukrywaniu się przy brzegu. Czy to z powodu wcześniejszych spotkań z cesarzową, czy dlatego że oni również mieli coś do ukrycia? To, że nie popłynęli do głównego portu, nasuwało kilka ważnych pytań.

Jak na przykład: Jeżeli to nie Północni, to kto? Czy Jenna i Ognik natknęli się na walczących między sobą piratów?

Wylądowali na szczycie skały ciągnącej się wzdłuż zatoki i podczołgali się do krawędzi, by spojrzeć w dół. Ujrzeni małe ognisko ukryte pod nawisem skalnym i doleciał ich kuszący zapach pieczonego mięsa.

Im bliżej byli statku, tym bardziej Ognik się niepokoił. *Zobaczyliśmy statek. Już lecieć.* Gdy Jenna nie odpowiadała, trącał ją tak energicznie, że prawie ją przewrócił. *Lecieć!*

– Muszę z nimi porozmawiać – oznajmiła stanowczo. – Ty tu zostań. Ja do nich zejdę.

Jeżeli można mówić o awanturowaniu się przez smoka, to Ognik był tego bliski, gotów nawet ziać ogniem. Stanął na tylnych łapach i Jenna aż się zdumiała, jak bardzo urósł. *Nie! Zły statek. Żli ludzie. Dość. Szukać owcy.*

– Óóó! Zobaczą cię.

Obroża. Ciemno. Łańcuchy.

– Wiem, że nie lubisz statków, ale...

Obroża. Ciemno. Łańcuchy.

– Muszę iść.

Zbroja smoka zaśniła, gdy przez jego ciało przebiegł dreszcz.

Ognik idzie z Jenną.

Wiedziała, że on się boi, i wzruszyło ją, że mimo to chce z nią iść.

– Jeśli pójdziesz ze mną, wystraszysz ich.

Tak.

– Chcę z nimi porozmawiać, nie walczyć. Zresztą na dole nie dasz rady się swobodnie poruszać. Tam jest za wąsko, a ty jesteś za duży. Nie chcę, żebyś się zranił.

Docisnął mocno skrzydła do tułowia i owinął ogon wokół łap. *Teraz mały.*

W końcu zeszła sama stromym, niebezpiecznym szlakiem wzdłuż skalistego koryta małego strumyka. Przez całą drogę myślała o proteście Ognika.

Obiecał zostać na górze, ale smocze obietnice są nietrwałe jak wiosenny śnieg.

Zrobiła w myślach przegląd broni. Miała łuk, lecz jeszcze nie strzelała celnie. Miała noże. Miała rozum. To musiało wystarczyć.

Gdy dotarła na dół, ruszyła wąską kamienistą plażą w kierunku głosów i światła ogniska. Załoga rozmawiała w nieznanym jej języku, lecz ze śmiechów i z żywiołowych okrzyków Jenna wywnioskowała, że świętują udaną ucieczkę.

Przysunęła się bliżej na czworakach i wyjrzała przez krawędź. W wąwozie było już ciemno. Siedem osób – mężczyzn i kobiet – siedziało ze skrzyżowanymi nogami wokół ogniska. Migoczące płomienie rozjaśniały im twarze. Wyglądało na to, że

właśnie skończyli posiłek. Jenna z góry przyjęła, że będą sobie przekazywać butelkę, ale oni zgromadzili się wokół małego żelaznego stojaka, na którym parzyła się... herbata?

Piraci pijący herbatę? Niemożliwe.

Wtedy mężczyzna obrócony do Jenny plecami wstał, a jego jasne włosy zaśniły w blasku ognia. Podciągnął rękaw, odsłaniając umięśnione ramię. Wyciągnął nóż i przesunął czubkiem po gołej skórze. Za ostrzem pojawiła się ciemna linia krwi. Podczas gdy pozostali obserwowali to jak urzeczeni, on wyciągnął rękę nad parujący nad ogniem kociołek, by jego krew kapłała do przyrządzanego napoju. Potem wrzucił do niego jeszcze garść liści.

Wywar gotował się powoli kilka minut, po czym mężczyzna zaczął go rozlewać do małych czarek, które podawał zebrany. Każda z osób coś mruzczała i wypijała sporządzony napój.

Czy to jakaś piracka religia? Dziwaczny rytuał krwi? Ten jasnowłosy mężczyzna jest kapłanem czy ofiarą? Gdy próbowała się skupić i wytworzyć wizję, by dotrzeć do prawdy o tym człowieku, żaden obraz w jej głowie nie chciał się uformować. Natomiast coś w jego postawie, w sprężystości ruchów, nawet jego ubranie, wydało jej się znajome.

Wtedy ją olśniło. To było jak cios w brzuch. Przed nią stał Strangward. On i jego banda wciąż trzymali się wybrzeży Indio.

Dlaczego w takim razie cesarzowa do niego strzelała? Był przecież jej emisariuszem. Może Jenna powinna była go wcześniej rozpoznać, ale nie przyszło jej do głowy, że Celestyna mogłaby strzelać do swoich ludzi.

A jednak nie wykonał powierzonej mu misji sprowadzenia Jenny. Czy za to płacił krwią? Każdą cząstką swojej duszy miała nadzieję, że tak. Ten człowiek i jego mocodawcy zniszczyli jej życie.

Nie przypuszczała, że tak szybko go odnajdzie, i nie była zachwycona tym zbiegiem okoliczności. Jeszcze nie czuła się gotowa. Uniosła tułów i pozostając w przysiadzie, zaczęła się wycofywać. Wtem usłyszała za sobą szelest. Chwyliła za nóż i gdy próbowała się obrócić, czyjeś silne ręce podniosły ją tak

wysoko, że przestała czuć ziemię pod stopami. Wyrywała się, lecz bezskutecznie – ten ktoś tak mocno ścisnął ją za przedramiona, że zaczynały drętwieć. Porywacz niósł ją w stronę ogniska.

Na ich widok zgromadzeni przy ogniu poderwali się i każdy sięgnął po jakąś broń. Każdy, tylko nie Strangward. Lekko się kołysząc, z amuletem w jednym ręku, z przechyloną głową, przyglądał się Jennie i temu, kto ją przyniósł. W jego oczach pojawiły się iskry świadczące o tym, że ją rozpoznał, a brwi uniosły się w wyrazie zdumienia.

– Witaj, Jenno – powiedział w mowie powszechnej, jakby przypadkiem wpadł na nią na targu. – Co za... niespodzianka. – Członkowie jego załogi zaczęli coś szeptać między sobą, wyraźnie ożywieni, lecz cały czas trzymali broń w pogotowiu.

Przebiegła w myślach przez kilka możliwych odpowiedzi. Ostatecznie się nie odezwała, pozwalając mówić swojej mimice.

Strangward spojrział ponad jej ramieniem.

– Postaw ją, Teza. I zabierz jej broń, żebyśmy mogli odbyć cywilizowaną rozmowę.

Ucisk na jej rękach się rozluźnił i Jenna poczuła mrowienie w dłoniach, kiedy wróciło do nich krążenie. Teza ostrożnie postawił ją na ziemi, odebrał jej nóż i zaczął sprawdzać, czy nie ukrywa gdzieś innej broni. Skóra Jenny dziwnie zdrętwiała, a to znaczyło, że zaraz pojawią się na niej łuski, jak zawsze w chwilach zagrożenia.

Teza już prawie skończył ją przeszukiwać, gdy nagle przerwał i popatrzył na nią zaskoczony – jego zdumiona twarz wyglądała niemal komicznie. Potem brudnym palcem przesunął po jej policzku.

– Lordzie Strangwardzie! – zawołał. Odsunął się na bok i pokazał swemu panu, co odkrył. Dodał jeszcze coś w ich języku.

Strangward przyjrzał się jej uważnie, potem delikatnie przesunął palcami po jej twarzy i po skórze na ręce. Nie wyglądał na tak zaskoczonego jak Teza.

– Imponujące – mruknął. Zrobił krok w tył i zlustrował ją wzrokiem: jej nowy strój i całą resztę. – Widzę, że zaszła w tobie przemiana.

– Widzę, że ty i twoja cesarzowa nie bardzo się zgadzacie – zauważyła. – Czemuż to?

Na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie. Chwycił ją za łokieć i podprowadził do ogniska.

– Proszę, usiądź – powiedział.

Przecież chciałaś porozmawiać z kimś, kto może ci powiedzieć coś więcej o cesarzowej, pomyślała Jenna. Usiadła i skrzyżowała nogi w taki sam sposób jak inni.

Strangward wskazał dzbanek z herbatą.

– Chciałabyś...?

– Nie – przerwała mu natychmiast.

Uśmiechnął się szeroko.

– To trzeba lubić. Ale mogę ci zrobić świeżą, bez... dodatków.

– Nie, dziękuję.

Usiadł na wprost niej.

– Mamy trochę pieczonego indyka i podplomyki, jeśli chcesz.

Jenna zawahała się. Od dawna nie miała w ustach nic, co przypominałoby chleb. A indyk zawsze należał do jej ulubionych potraw. Poza tym musiała zbierać siły.

– Jak piekliście tego indyka? – zapytała.

Strangward roześmiał się szczerym, serdecznym śmiechem, który zdawał się wydostawać z głębi jego trzewi.

– Wymagający z ciebie gość – powiedział. – Czy kiedy częstują cię ciastem, dźgasz w nie, żeby sprawdzić, co jest w środku?

– Mogłabym, gdybym myślała, że w środku może być krew.

Znowu się roześmiał.

– Obiecuję, że jeśli zobaczysz jakąś krew, to tylko indyczą. – Odkroił nożem kawałek mięsa, włożył go w chleb i podał jej.

Ugryzła duży kęs i poczuła, jak sok płynie jej po brodzie. To było pyszne. Ugryzła jeszcze raz.

– Chyba ostatnio nie najlepiej zaczęliśmy – powiedział Strangward. – Zamierzałem przybyć ci z pomocą, ale król

Gerard pomieszał nam szyki.

– To miała być pomoc? – zdumiała się Jenna. – Jeśli tak, to była marna.

Skrzywił się.

– Nie udało się. Racja. To było zaplanowane w pośpiechu i niestarannie wykonane, ale kiedy się dowiedziałem, że cesarzowa znalazła dziewczynę z magicznym znakiem, musiałem działać szybko, zanim cię dopadnie.

– To znaczy, że nie pracujesz dla niej?

– Nie. Nie pracuję dla niej.

– Czemu interesujesz się tym, co dzieje się między mną a cesarzową? Nie znaliśmy się, zanim wkroczyłeś niczym paw do Ardencourt.

– Bo ona poluje także na mnie. – Odczekał chwilę, by jego słowa odniosły pożądany efekt, po czym dodał: – Pokażę ci. – Pochylił głowę, wziął jej rękę i przyłożył do swojego karku. Jenna poczuła metalową pajęczynę i chłodne klejnoty umieszczone w jego ciele.

Przesunęła się na kolana, odgarnęła mu włosy, by móc lepiej się przyjrzeć. Domyśliła się, że to musi przypominać jej własny znak, którego nigdy nie widziała. To był skomplikowany wzór z falami, błyskawicami i burzowymi chmurami.

– Co to symbolizuje? Jaką mocą jesteś obdarzony?

– Mam wiele mocy – odparł, stukając palcem w podbródek. – Jedna z nich to zdolność wpływania na wiatr i pogodę. – Wsunął dłoń pod koszulę i wyciągnął przedmiot na łańcuszku. – Czy to ci coś przypomina?

Jenna wpatrywała się chwilę zdumiona, a potem sięgnęła palcem, by tego dotknąć. To był fragment złamanego wisiorka, marynarskiego kompasu takiego jak jej własny. Skinęła głową.

– Ja też taki miałam i założę się, że pasuje do twojego. Ale nigdy się nie dowiemy, bo nie widziałam mojego, odkąd opuściłam Ardencourt.

Strangward posmutniał.

– A ja miałem nadzieję, że to może nam coś podpowiedzieć.

Jenna poczuła łzy w oczach. Nie była jedyna. Ostatecznie nie była sama. Ale... ale...

– Co to znaczy? Dlaczego mamy te znaki? I dlaczego... czego ona od nas chce? – Mimowolnie spojrzała w stronę morza.

Strangward pokręcił głową.

– Nie wiem. Chciałbym wiedzieć. Może wtedy bym wymyślił, co z tym zrobić.

Przypomniała sobie, że tamtej nocy w wieży Strangward uparcie wypytywał, dlaczego cesarzowa ją ściga. Wtedy uznała to pytanie za dziwaczne, bo kto jak kto, ale on powinien to wiedzieć.

– A ile masz lat? – zapytała.

– Chyba koło siedemnastu – odparł. – Czyli jesteśmy w podobnym wieku, ale żadne z nas nie wie nic pewnego.

– Znasz innych podobnych do nas?

– Było jeszcze dwoje, o których wiem. Oni...

– ...byli mniej więcej w naszym wieku, jak się domyślam.

Potaknął.

– Cele wysledziła ich i zabrała do siebie na Wyspy Północne. Od tamtej pory nikt ich nie widział. – Wzruszył ramionami. – *Możliwe*, że żyją sobie wygodnie na dworze cesarzowej, ale...

– Ty w to nie wierzysz.

Pokręcił głową.

– Nie. Za każdym razem, kiedy znajduje kogoś z nas, staje się dużo silniejsza. Właśnie po tym, jak zwabiła jednego z nas na Wyspy Północne, zyskała tyle sił, by się stamtąd wydostać. Nie możemy pozwolić, żeby stała się jeszcze potężniejsza. – Strangward mówił swobodnie, lecz Jenna wyczuwała w nim głęboki strach. Czowała również, że wiedział dużo więcej, niż mówił.

– Czy to dlatego chciałeś mnie zabić? – zapytała. Jej głos odbił się echem od skał.

Pirat skrzywił się i wymienił spojrzenia z Tezą.

Nie wie, że słyszałam ich rozmowę, pomyślała. Teza chciał mnie zabić, żeby Strangward nie musiał tego robić. Strangward wtedy odmówił, twierdząc, że sam się tym zajmie.

O ile wiem, nie zmienił planów.

– Panie – wtrącił szybko Teza – nie musicie...

– Nie – powiedział Strangward. – Nie możesz za każdym razem mnie ratować. – Spojrzał prosto na Jennę. – Cesarzowa miała kilka okazji, by mnie zabić, ale tego nie zrobiła. Podejrzewam, że niezależnie od swojego celu potrzebuje nas żywych. Dlatego zamierzałem cię zgładzić, w razie gdybym nie mógł cię uratować. Czasami zdesperowany człowiek wykonuje desperackie kroki.

Racja. Oczywiście. Jenna wstała i otrzepała spódnicę z piasku.

– Dziękuję, Strangwardzie. Dużo się dowiedziałam. Życzę ci powodzenia w uciekaniu przed cesarzową.

Patrzył na nią, jakby nie rozumiał.

– Dokąd idziesz?

– Mam sprawy do załatwienia – odparła.

– Ale... musisz... musimy się trzymać razem, żeby wymyślić sposób na pokonanie Celestyny. Musimy współpracować.

– Może nie chcę z tobą współpracować – odpowiedziała. – Może ci nie ufam.

– Myliłem się... teraz to wiem. Przepraszam. Rozumiem, dlaczego możesz uważać moje zachowanie za... odpychające.

– Kiedy ktoś niszczy mi życie, a potem próbuje mnie zabić, owszem, uważam to za odpychające.

– Nie rozumiesz? Jeśli nie będziemy działać wspólnie, Cele wygra – przekonywał Strangward.

– Chyba wolę takie ryzyko, niż zaryzykować współpracę z tobą.

– Nie mogę ryzykować, że wpadniesz w jej łapy.

– To nie twoje ryzyko – upierała się – tylko moje. I ja zdecyduję, czy je podjąć.

Twarz chłopaka przybrała surowy wyraz.

– Przykro mi, Jenno, ale nie mogę cię wypuścić. – Skinieniem głowy dał znak swoim ludziom, którzy natychmiast ją otoczyli i zablokowali drogę odwrotu. – Mam nadzieję, że po jakimś czasie zrozumiesz, że...

Jenna spojrzała w dal, w stronę zatoki.

– Tutaj jesteś – powiedziała wesoło, wskazując coś ręką. – Czy znasz już mojego przyjaciela Ognika?

Strangward pokręcił głową, jakby zniecierpliwiony jej unikami.

– Obiecuję, że nie chcę ci wyrządzić krzywdy.

– Na twoim miejscu nie martwiłabym się o *mnie*. Spróbuj przekonać *jego* – odparła, wskazując ręką coś za jego plecami.

Szeroko otwarte oczy jego ludzi kazały Strangwardowi się obrócić.

Cały wąwóz od jednej ściany do drugiej zajmował ogromny rozwścieczony smok. Po jego skórze pełzały płomienie, a w bursztynowych oczach błyszczała złość. Wyszczrzył ostre zębiska.

Reakcja Strangwarda, choć spóźniona, jednak nastąpiła. Oczy mu się rozszerzyły, a on sam chwycił amulet i cofnął się o dwa kroki.

– Radziłabym ci opuścić rękę – powiedziała Jenna. – Ognik żywi do ciebie silną urazę i nie chcesz dać mu pretekstu, żeby uległ jej podszeptom.

Pirat powoli opuścił dłoń. Jego twarz wyrażała niedowierzanie wymieszane z podziwem.

– Czy to... czy to ten smok słońca, którego ja...? – Znowu odskoczył, gdy liście u jego stóp zapłonęły.

– Naprawdę nie mam zamiaru wyrządzić ci krzywdy, ale okazuje się, że smoki nie zawsze działają logicznie. – Dumnie podeszła do Ognika. Piraci rozstępowali się przed nią w milczeniu. Z niedowierzaniem patrzyli, jak czule głaszcząc smoka po boku.

– Zdaje się, że cię nie doceniłem – powiedział Strangward.

– Wiem.

– Stanowilibyśmy potężny duet.

– Gdyby nie to, że musiałabym się stale oglądać przez ramię. – Wsunęła stopę w strzemień, zwinnie wskoczyła na siodło i spojrzała z góry na ich zaskoczone twarze. – A teraz, jak już mówiłam...

– Jenno, proszę. – Strangward nie dawał za wygraną. – Daj mi dwie minuty. To ważne.

– W porządku. Mów.

– Pozostaje faktem, że Celestyna jest tutaj. Wierz mi, przybyła tu po nas i innych takich jak my. Pomyśl, ile trudu sobie zadała, żeby wysledzić cię w Delphi. Ona nigdy nie przestanie nas ścigać. Kiedy my tu rozmawiamy, jej statki stoją przy brzegu, a armia maszeruje w stronę Kredowych Klifów. Ma zamiar podbić te królestwa, żeby zniszczyć nasze ostatnie miejsce schronienia. Tak bardzo jej na tym zależy.

Jenna pomyślała o żołnierzach, których widziała na płaskowyżu, i przeszył ją dreszcz.

– Jej żołnierze to zaprzysiężeni krwią niewolnicy... o zwiększonych możliwościach fizycznych i niemal nie do zabicia. – Zamilkł, a wśród członków jego załogi rozległy się niespokojne pomruki. – Będziemy musieli pomóc mieszkańcom się bronić.

– *My?*

– I to już. Garnizon w Kredowych Klifach na pewno nie spodziewa się ataku od strony lądu. Musimy ich ostrzec. Właśnie tam płynąłem, kiedy Cele zagnała mnie do kryjówki. Teraz nie dam rady tam dotrzeć na czas. Za to ty... – wskazał Ognika – ...tobie się uda. Owszem, nie będzie to równa walka, ale może dzięki ostrzeżeniu...

Mówi prawdę, pomyślała Jenna. Tym razem.

– Dobrze – zgodziła się. – Zobaczymy, co da się zrobić.

Zaklinacz Ognia wciąż pożądliwie obserwował piratów.

Upiec drani?

– Nie.

Proszę?

– Nie, Ogniku.

Spalić statek?

– Skoro nalegasz. – Uśmiechnęła się do Strangwarda i jego ludzi, po czym powiedziała: – Lepiej się odsuńcie. Musimy się rozpędzić.

Piraci przywarli do klifu pod nawisem skalnym, robiąc miejsce dla smoka, który rozpędził się po piachu i wzleciał w powietrze. Gdy przelatywał nad osłoniętymi gałęziami statkiem, omiół go wiązką ognia od dzioba po rufę.

Ups.

Gałęzie natychmiast się zapaliły. Niebawem płomienie strzelały wysoko w górę.

Wygląda na to, że będziesz potrzebował innego statku, pomyślała Jenna.

Ognik wykonał dwa obroty, nim skierowali się na południe i odlecieli ku Kredowym Klifom.



ŻYCIE NA KRAWĘDZI

Lyss szła pod górę skalistą ścieżką, unikając wilgotnych i śliskich miejsc, w których mokra mgiełka znad Indio utrudniała marsz. Za nią w odpowiedniej odległości podążał Matelon, a za nimi czworo Wilków. Obeszli już zatokę i teraz wspinali się na szczyt klifów, skąd rozciągał się widok na cieśniny.

W dniach, które nastąpiły po przesłuchaniu grajka, Lyss prawie codziennie zabierała Hala na spacer. Wiedziała, że zależy mu na utrzymaniu formy, i zasługiwał na to, by zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Oboje musieli spalić rozsadzającą ich energię. W dodatku było to coś, co mogli robić wspólnie bez najmniejszego ryzyka pocałunku.

Nie obawiała się tego, co *on* mógłby zrobić. Był na to zbyt honorowy. Martwiła się raczej, że to *ona* ulegnie pokusie i w ten sposób tylko potwierdzi panujące na Południu przekonanie, że kobiety Północy to wiedźmy i nierządnice.

Nie zależało jej na tym, co myślą Południowcy, ale coraz częściej przejmowała się opinią tego konkretnego Południowca.

Nie mogła zapomnieć tamtych pocałunków i wciąż od nowa przeżywała to zdarzenie. *Nie mówiliście, że trzeba żyć chwilą?*

To jest wymówka, która służy ludziom do usprawiedliwiania nieodpowiedzialnych zachowań.

To nie był dobry dzień na spacer. Gdy szli wokół zatoki, wiatr zacinał im w twarz deszczem ze śniegiem. Teraz Matelon już

nie próbował chwytać jej za łokieć, by pomóc przejść po nierównym terenie, ani oferować jej swojej peleryny, gdy deszcz, śnieg i wiatr groziły zakończeniem spaceru.

– Jeśli jestem za głupia, żeby zabrać ze sobą pelerynę, to zasługuję na to, by zmoknąć – powiedziała mu kiedyś. – W ten sposób uczymy się, jak nie robić głupich rzeczy.

– To także dobry sposób, by się przeziębic – zauważył.

– Czy chcielibyście, żebym oddała wam swoją pelerynę, gdybyście zapomnieli własnej? – zapytała.

To załatwiło sprawę. Szybko się uczył.

Lyss narzuciła zabójcze tempo, lecz Ardeńczyk nie miał ani śladu zadyszki. W końcu weszli na szczyt i spacerowali wzdłuż krawędzi. Daleko w dole ocean silnymi falami uderzał o skały.

Twierdza znajdowała się na skalnym cyplu wysuniętym daleko w morze i strzegła przesmyku, który prowadził do przystani. Klify po drugiej stronie tej cieśniny były ufortyfikowane i uzbrojone w armaty, gotowe strzelać do każdego statku, który chciałby wtargnąć tu nieproszony.

Na końcu cypla nad przystanią wzdłuż krawędzi klifu biegł kamienny mur. Lyss wskazała przeciwną stronę wąskiego przesmyku.

– Widzicie? Właśnie o tym mówię.

Matelon aż zagwizdał z wrażenia.

– Czy to comptonny?

Lyss pokręciła głową.

– Demisy. Szybciej można je przeładować. Są skuteczniejsze od waszych, bo przez zastosowanie mniejszej tolerancji ograniczamy wpływ powietrza na tor lotu.

– Czy to nie jest ryzykowne?

– Nie, jeśli się wie, co się robi. A my wiemy.

Matelon długo wpatrywał się w działa, jakby je podziwiał albo zapamiętywał ich pozycje. Potem obrócił się i oparł o mur. Jego włosy wyglądały jak kępki sopli, policzki zaróżowiły mu się z zimna.

– Po co mi to pokazujecie? Nie boicie się wyjawic mi tajnych informacji?

– Och, jestem pewna, że generał Karn o nich wie – odparła Lyss. – Prawdopodobnie ma szkice powieszono na ścianie. Zapewne dlatego wasza marynarka wojenna nie próbowała ataku przez cieśninę. Poza tym wiedziałam, że to was zainteresuje. I przekonacie się, że znamy się na tym, co robimy... a to ma znaczenie niezależnie od tego, czy ostatecznie będziemy wrogami czy sojusznikami.

– Dziękuję, że mi to pokazaliście. – Zgarbił się i otarł pot z szyi. – Co robicie, żeby proch nie zamókł?

Lyss się roześmiała.

– Nie zdradzę wam wszystkich naszych sekretów, nizinny. Powiem, że to wymaga czarnej magii.

Matelon spoglądał na morze, trzymając rękę na murku i mrużąc oczy przed zacinającym śniegiem. Potem się wyprostował, obrócił plecami do wiatru i popatrzył na południe.

– Miedziaka za wasze myśli – powiedziała. Kiedy się skrzywił, zorientowała się, że rozmyśla o domu i o tym, jak się tam dostać.

– Myślałem o tym, że to nie jest dobry dzień na pobyt na statku – stwierdził, wciąż wpatrzony w dal, gdzie musiała znajdować się Brama Duchów.

– Nigdy nie ma dobrego dnia na pobyt na statku – odparła z takim żarem, że Ardeńczyk aż się obrócił w jej stronę i uniósł brew. – Nie lubię statków ani oceanu – wyjaśniła. Gdy milczał, dodała: – Mam nadzieję, że wkrótce przyjdzie wiadomość od waszego ojca.

Chrząknął, zamiast odpowiedzieć. Cisza rosła, ciężka, gęsta, nasycona zażenowaniem – wspomnienie wydarzeń w Dolinie Królowych wisiało między nimi jak przejrzały owoc. Lyss słyszała ciche głosy Wilków dobiegające zza pawilonu. Kątem oka zauważyła cień zarostu na szczęce Matelona, siniec na jego kości policzkowej, wąski pasek skóry między kołnierzykiem a uchem. Wszystko to – każdy skrawek odsłoniętego ciała – jakby dopominało się pocałunków. Wsunęła palce w lód i próbowała myśleć o artylerii.

Hal poruszał ramionami, dreptał w miejscu, wsunął dłonie do kieszeni kożucha, oblizywał wargi i patrzył wszędzie, tylko nie na nią.

– Chyba powinniśmy...

– Zaraz. – Lyss zauważyła jakiś ruch. Na północnym wschodzie, nad samym horyzontem, coś się wznosiło. Wyglądało jak ptak. Bardzo duży ptak, który to znikał w chmurach, to się z nich wyłaniał. Zdawał się prawie... podświetlony.

Matelon spojrział w tym kierunku.

– Co to jest?

Lyss wyjęła swoją lunetę i popatrzyła przez nią na horyzont.

– Nie wiem – mruknęła i podała mu lunetę. – Może macie lepszy wzrok niż ja?

Stworzenie zanurkowało w kierunku oceanu jak pikujący ptak, musnęło fale i poderwało się ku niebu z bardzo dużą rybą w szponach. Zalśniło w słońcu, po czym zniknęło pośród chmur.

Matelon zwrócił jej lunetę.

– Wy chyba szybciej to rozpoznacie, pani. Cokolwiek to jest, w Ardenie takich nie ma.

– Tutaj też nie. – Lyss jeszcze raz spojrzała przez lunetę, lecz skrzydlate stworzenie, czymkolwiek było, już zniknęło.

– To coś odbijało światło, jakby było pokryte klejnotami albo zbroją czy czymś takim – zauważył. – Czy to przydatne spostrzeżenie?

Pokręciła głową. Kiedy wkładała lunetę do kieszeni, usłyszała głośny gong sygnalizujący przybycie statku.

Popatrzyła na morze, które rozciągało się, szare i wzburzone, aż po horyzont. Puste. Gdy znowu spojrzała na przystań, zobaczyła statek, który już przepłynął cieśninę i opuścił żagle, kierując się do doków.

– To jeden z waszych – stwierdził Hal z lekkim rozczarowaniem w głosie. – Szary wilk na białym tle.

Czyżby Hadley wracała z Adrianem? Serce Lyss zabiło mocniej.

– Idziemy – powiedziała.

Wybrała krętą ścieżkę w dół i pędziła nią na złamanie karku, ledwo wyrabiając na zakrętach, tak że Matelon z trudem za nią nadązał. Właściwie nie miała powodu tak się spieszyć. Wiedziała, że statek potrzebuje czasu, by zacumować i wyładować pasażerów i przewożone towary.

Na dole przekazała więźnia strażnikom i pobiegła w kierunku statku. Był to trójmasztowiec z figurą warczącego wilka jako galionem. To w połączeniu z banderą mówiło jej wszystko, co chciała wiedzieć. Statek Hadley nazywał się Wilk Morski.

Teraz jej serce biło jak oszalałe. Oblał ją zimny pot. Spojrzała na swoje ubranie, na zimową pelerynę, pokrytą szronem i pachnącą wilgocią. Wetknęła kosmyki włosów za uszy. W dzieciństwie bardzo zależało jej na akceptacji brata. Co teraz o niej pomyśli? Czy w ogóle ją rozpozna?

Co ona pomyśli o nim? Matka sugerowała, że był tak wstrząśnięty tym, co zobaczył i przeżył, że musiał uciec. Że obawiała się, by nie targnął się na swoje życie.

To wszystko nie miało teraz znaczenia. Zawsze byli sobie bliscy. Znajdą sposób, by to naprawić.

Wypatrywała jego głowy, tej czupryny rudych włosów, która zawsze wyróżniała go z tłumu. Nigdzie go nie widziała. Ruszyła powoli w stronę statku, wyławiając wzrokiem znajome osoby. Była wśród nich Hadley, nadzorująca wyładunek niewielkiej ilości towarów i bagaży. Był Garret Fry, pułkownik piechoty górskiej, i Talia Abbott, jedna z Szarych Wilków. Oboje od dawna przyjaźnili się z jej rodzicami. Towarzyszyło im jeszcze kilka osób, których Lyss nie rozpoznawała.

Czy Adrian mógł aż tak się zmienić? Wyjęła portret otrzymany od matki i przyjrzała się mu uważnie. Nie. Rozpoznałaby go.

Może nadal był na statku? Może miał dużo rzeczy i jeszcze się zbierał. Czy nikt nie mógł mu pomóc? Po chwili załoga zaczęła schodzić po trapie.

Żołądek Lyss skurczył się z przerażenia. Gdzie jest Adrian? Czyżby ostatecznie zrezygnował z przyjazdu? A może go nie

znaleźli? Ruszyła biegiem w ich stronę.

Wtedy Hadley ją zauważyła. Jej oczy zrobiły się wielkie, twarz biała jak spieniona woda na rzece, usta się zacisnęły. Wyglądała, jakby chciała się odwrócić i uciec, żeby nie musieć spotkać się z Lyss.

Nie zrobiła tego. Stała w rozkroku, wyprostowała się i czekała, aż przyjaciółka zatrzyma się na wprost niej.

– Lyss – powiedziała. – Nie wiedziałam, że tu będziesz.

– Gdzie Adrian? Nie wrócił z wami? – Lyss rozglądała się po twarzach przybyszów. Wszyscy sprawiali wrażenie przygnębionych.

Hadley chwyciła ją za obie dłonie.

– Lyss – powiedziała, z trudem powstrzymując grymas twarzy. – Wejźmy gdzieś, gdzie możemy spokojnie porozmawiać.

– Dlaczego? Po prostu mi odpowiedz.

Nikt nic nie mówił, w każdym razie nie na głos.

– Coś się stało Adrianowi – stwierdziła Lyss. Chociaż oddychała głęboko, brakowało jej powietrza.

– Powiemy ci, co wiemy. – Hadley ścisnęła jej dłonie. – Ale nie będę ci tego opowiadać, stojąc w doku. Usiądźmy w jakimś spokojnym miejscu.

Lyss wyrwała ręce z jej uścisku, obróciła się i ruszyła w głąb łądu. Cokolwiek się stało, to nie wina Hadley, myślała. Nie zabija się posłańca.

Twierdza była surową budowlą, w której trudno o prywatność. Lyss poszła do zbrojowni, bo o tej porze zwykle nikogo tam nie było z wyjątkiem zbrojmistrza, którego teraz odesłała. Usiadła na ławce i położyła dłonie na kolanach. Serce podeszło jej do gardła.

Hadley, Abbott i Fry spoczęli obok siebie na ławce na wprost niej jak studenci, którzy stawili się na zaliczenie.

– No i? – zachęciła ich Lyss, jako że nikt się nie odzywał.

– A więc – powiedziała Hadley – popłynęliśmy wzdłuż wybrzeża do Zatoki Bastońskiej, a stamtąd ruszyliśmy w głąb łądu. Ale kiedy dotarliśmy do Oden's Ford, dowiedzieliśmy się,

że kilka miesięcy temu był atak na dormitorium Adriana. Zginęło wtedy parę osób: dwóch kapłanów, dwóch członków gwardii rektorskiej i dwóch dozorców. – Zamilkła, głos uwiązł jej w gardle.

– Zniknęło dwoje studentów – dokończył za nią Fry. – Jednym z nich był Adrian.

– Wydaje się, że celem tego ataku był jego pokój – oświadczyła Hadley, jakby chciała zabić w Lyss najmniejszą iskrę nadziei. – Rozmawialiśmy z Joniahem Balthusem, dziekanem Mystwerku. Powiedział, że łóżko Adriana było przesiąknięte krwią. W jego pokoju znaleziono dwóch martwych kapłanów.

Ta informacja gwałtownie wdarła się w chaotyczne myśli Lyss.

– Kapłani? Czemu kapłani?

– Balthus twierdzi, że to radykalny odłam Kościoła Malthusa, który zajmuje się zabijaniem czarowników i... i... – Głos Hadley zadrzał i ucichł.

Wszyscy czekali, jakby Lyss mogła coś odpowiedzieć. Ona jednak milczała. Gdyby otworzyła usta, gdyby poruszyła jakimś mięśniem, gdyby wydostała się z tego stanu odrętwienia mogłaby zacząć wrzeszczeć i wymachiwać rękami. A tego nie chciała.

Oczywiście, że Adrian nie wróci. Jasne. Była jak młody kadet, który po raz kolejny dał się nabrać na ten sam żart.

W końcu spojrzała na Frya.

– Nie znaleziono jego ciała?

Szary Wilk pokręcił głową.

– Przykro mi, Wasza Wysokość.

– Kapitan Gray – poprawiła go odruchowo Lyss. – Kim był ten drugi student?

– Nazywała się Lila Byrne – odparła Hadley. – Córka kapitana Byrne'a.

– Aha, oczywiście. – Zaczęła rozdrapywać strup na rękę, aż puściła się spod niego krew. Obserwowała płynącą po ramieniu strużkę.

Ból brzucha mówił jej, że Adrian nie żyje – że na pewno nie żyje – ale może wynikało to z tego, że nie zniosłaby kolejnej fali niepewności, czekania i nadziei. Wypatrywania jego twarzy w każdym tłumie, nasłuchiwanie, czy za rogiem nie zabrzmiał jego głos, układania sobie w myślach wszystkiego, co mu powie, kiedy się znowu zobaczą.

Już przez to przechodziłam, pomyślała. Drugi raz nie będę.

Nie potrafiła uciszyć głosu w głowie, który powtarzał: *Mogliśmy być razem. Mogliśmy mieć te cztery lata, a teraz go nie ma, bo nasza własna matka cały czas wiedziała, gdzie on jest, i zostawiła go tam, aż wreszcie nasi wrogowie wysłedzili go i zabili.*

Właśnie dlatego mama chciała utrzymać to w sekrecie, póki Adrian nie wróci do domu. Jakimś sposobem wiedziała, że może do tego dojść.

Lyss czuła się, jakby Gerard Montaigne wyciągnął z grobu martwą rękę, żeby jeszcze raz złamać jej serce.

– Jedno trzeba powiedzieć o kapitanie Byrne – odezwała się w końcu – nie waha się poświęcić dla sprawy nawet własnej córki. Powinien mieć więcej dzieci. Moja matka też.

– Przykro mi, Wasza... pani kapitan – powiedział łagodnie Fry. – Nie tak wyobrażaliśmy sobie koniec tej operacji.

Hadley odchrząknęła.

– Jedziemy teraz do stolicy poinformować królową i kapitana Byrne’a, co... czego się dowiedzieliśmy. Powinnaś jechać z nami. Być teraz z matką.

– Nie – odparła Lyss. – Opłakałam brata cztery lata temu. Nie będę przez to przechodzić od nowa. Postaram się zapomnieć, że... że to się stało. Wrócę do Delphi, kiedy skończę tutaj.

– Proszę – nalegała Hadley. – Powinnaś z nią porozmawiać. Jestem pewna, że ona i kapitan Byrne będą w stanie odpowiedzieć na wiele pytań...

– Nie. – Energicznie pokręciła głową. – Wolę udawać, że Adrian zmarł w swoim rodzinnym mieście, a nie daleko od domu, pośród obcych.

– Przed wyjazdem do stolicy zostaniemy tu dzień czy dwa – powiedziała Abbott. – Możesz jeszcze zmienić zdanie. A tymczasem... przywieźliśmy małą skrzynkę z rzeczami osobistymi Adriana. Może chciałabyś je przejrzeć.

– Dziękuję. Z chęcią – odparła Lyss.

Hadley objęła ją ramieniem.

– Chodźmy poszukać Sashy.



POJEDYNEK

Hal leżał na wznak z rękami splecionymi za głową, błędząc myślami od jednej sprawy do drugiej. Minęło sporo czasu, odkąd dzwon na wieży wybił pierwszą, on jednak nie mógł zasnąć pomimo zmęczenia po długim spacerze na wietrze i mżawce z kapitan Gray.

Nie mógł narzekać na to, jak go traktowano. Jeśli był jeńcem, to kołysanym delikatnie na otwartej dłoni. Wiedział, że po kolejnej próbie ucieczki ta dłoń zaciśnie się w pięść. Nie wystarczało więc wydostać się z twierdzy. W Delphi przynajmniej miał blisko do granicy. Tutaj musiał przebyć dużą połąć otwartej przestrzeni, nim dotrze na bardziej przyjazne tereny.

O ile nadal były przyjazne dla Matelonów.

Opuszczał zamkniętą komnatę tylko na posiłki i na spacer z kapitan, które były swoistą męczarnią. Skoro już o niej pomyślał, zaczął się zastanawiać, kogo lub czego spodziewała się na tym statku. Czemu gnała na dół, jakby ścigały ją demony?

Powinien mieć jakiś plan. Czas mijał, a na Południu zdarzenia następowały bez jego udziału. Jego ojciec mógł już maszerować na stolicę. Matka i siostra mogły już nie żyć. Albo gorzej. Miał tyle powodów, by chcieć wrócić do domu. I jeden szczególny powód, by tu zostać.

Przypomniał sobie, co powiedział do kapitan Gray po walce z Bosleyem. *Nasze kobiety nie są takie jak wy.*

Nikt nie był taki jak ona. I możliwe, że teraz on już nie będzie się nadawał dla nikogo innego. Tymczasem ona powiedziała mu wyraźnie, że nie ma przed nimi przyszłości.

Jego król wysłał go na Północ na śmierć. Na razie udawało mu się przeżyć, lecz to doświadczenie go odmieniło. Czy po powrocie do domu będzie się tam czuł jak dawniej?

Muszę się wydostać z tej wiedźmiej Północy, pomyślał, zanim przestanę być sobą. O ile już nie jest za późno.

Hałas za drzwiami sprawił, że gwałtownie usiadł. Strażnicy na zewnątrz z kimś się spierali. Wreszcie zdecydowany głos zamknął dyskusję:

– Zobaczę się z nim. Nie obchodzi mnie, która jest godzina. A teraz odsuńcie się!

To była kapitan Gray.

Hal skoczył po spodnie i włożył je w pośpiechu. Właśnie je zapinał, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich ona, z butelką w jednej ręce, drugą opierając się o framugę. Koszula wyciągnięta ze spodni sięgała jej do połowy ud, długie kosmyki włosów przysłaniały twarz, stopy miała nieobute.

– Kapitan Gray – powiedział Hal ostrożnie. – Jest późno.

– Jest późno – potwierdziła głosem przypominającym warczenie. – Jest późno. Jest już, cholera, za późno. – Przesunęła wzrokiem po jego klatce piersiowej i ramionach, przez chwilę jej spojrzenie jakby błędziło, a potem nagle się skoncentrowała. – Gdzie twoja koszula?

– Oj, przepraszam. – Szybko chwycił koszulę i wciągnął ją przez głowę, nawet nie rozpinając. Za plecami kapitan zobaczył niebieskich, którzy stali w korytarzu, nie wiedząc, co robić.

Gray z przesadną ostrożnością postawiła butelkę w rogu. Potem obróciła się i barkiem zatrzasnęła drzwi przed nosami gwardzistów. Hal przyglądał się zdumiony, jak przesuwiała solidną szafkę, by zablokować wejście. Podparta pod boki obserwowała przez chwilę rezultat swoich działań, po czym obróciła się twarzą do niego.

– A teraz – powiedziała, podnosząc butelkę – zagramy. – Skierowała butelkę w jego stronę.

– Zagramy?

– W zagadki.

Hal popatrzył na butelkę, potem na Gray, i po jej powolnym, ostrożnym sposobie mówienia poznał, że piła. I to dużo.

– Właśnie kładłem się spać – odparł. – Nie możemy zagrać jutro?

Pomachała mu butelką przed oczami.

– Zrobimy to teraz.

Cofnął się.

– Poczekajmy do jutra.

– O co chodzi? Boisz się?

– Tak – odpowiedział szczerze. – Przerażacie mnie. – Odebrał jej butelkę, przyłożył sobie do ust, odchylił głowę i ostrożnie się napił. Okowita. Otrzeпаło go.

– Hej! Jeszcze nie gramy. – Wyrwała mu trunek z ręki i napiła się, gulgocząc głośno przy każdym łyku. Z hukiem postawiła butelkę na stole i osunęła się na jedno z krzeseł. – Siadaj! – rozkazała, wskazując drugie.

Usiadł na wprost niej i położył dłonie na blacie.

– Oto zasady. Będę ci mówić zagadki, a jeśli ich nie rozwiążesz, musisz się napić.

– Ale, pani kapitan, ja naprawdę nie...

– I za każde „pani kapitan” musisz się napić.

Hal zacisnął usta i czekał.

– Zatem – ciągnęła Gray – pierwsze pytanie: Dlaczego Południowcy to takie dupki?

– To nie jest zagadka – powiedział Hal.

– Odpowiedz!

– Dlaczego szukacie ze mną zaczepki?

– Jesteś jedynym nizinnym, jakiego mam pod ręką.

Hal obserwował jej umęczoną twarz. Wyglądała, jakby stratowało ją stado koni. Widział już ten wyraz twarzy u niektórych swoich podkomendnych. Ogarnięci smutkiem, sięgali po alkohol, by topić w nim udręki.

To była twarz rozpacz. Czy miała coś wspólnego ze statkiem, który przybył po południu?

– Co się stało? – zapytał. – Powiedzcie mi, o co chodzi.

– To nie jest odpowiedź. – Pchnęła butelkę w jego stronę, a ta niebezpiecznie się zakołysała. – Pij!

– Nie będę tego robił – stwierdził, odsuwając krzesło. – Wezwę strażników. – Podeszedł do drzwi i złapał za szafkę, by ją przesunąć. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch, nim Gray się z nim zderzyła.

Tym razem uważał na stopy – odsunął je w ostatniej chwili, by go nie podcięła. Nawet tak pijana, omal nie przerzuciła go sobie przez bark. Owinął wokół niej ręce, wykonując coś w rodzaju niedźwiedziego uścisku, i przewrócił ją na podłogę, żeby przytrzymać jej wierzgające kończyny. Musiał naciskać całym swoim ciężarem, by mu się nie wyrwała. Krzyczała przy tym jak opętana.

– Czemu to zrobiliście?! Czemuście, łajdaki, zamordowali mojego brata? Był uzdrowicielem! Nigdy nikogo nie skrzywdził!

Hal, oszołomiony, próbował sobie przypomnieć, co mu mówiła o swojej rodzinie. Jeżeli dobrze pamiętał, jej brat zmarł już dawno.

Czasem alkohol wydobywa zadawnione rany, które wypływają jak martwe ciała na zalanym cmentarzu. Widywał to już w tawernach i gospodach, kiedy było późno, a piwo lało się obficie.

– Współczuję z powodu waszego brata. Wielu ludzi zginęło w tej wojnie... trudno znieść taką stratę.

– Współczucie go nie przywróci – odparła Gray łamiącym się głosem. Przestała się już wyrywać i teraz leżała na podłodze bezwładna, płacząc.

– Wiem – mruknął. – Wiem. – Właściwie nie wiedział, ale wyobrażał sobie, jak by się czuł, gdyby wojna zabrała Harper i Roberta. Chociaż w tym momencie wydawało się, że większym zagrożeniem jest dla nich własny król niż wróg, z którym mieli walczyć.

Powoli wsunął ręce pod jej tułów, oparł się plecami o ścianę i posadził ją sobie na kolanach. Docisnęła twarz do jego piersi i płakała, mnąc w garści materiał koszuli. Kołysał ją delikatnie, odgarniając jej włosy i całując po czole, a przy tym nucił, co tylko przyszło mu do głowy. W końcu zasnęła, z rozchyłonymi ustami, a spod powiek wciąż płynęły jej łzy.

Przypomniawszy sobie okrągłe słówka, którymi ją raczył, wymówki używane od wieków przez żołnierzy, by usprawiedliwić zabijanie.

To jest wojna. Ludzie giną – czasem nawet niewinni, niestety.

Pomyślał, żeby zanieść ją do łóżka, ale to pociągało za sobą różne rodzaje ryzyka. Siedział więc i tulił ją w ramionach, myśląc o tym, że najchętniej nigdy by jej nie wypuścił.

W końcu usłyszał głosy w korytarzu. Ktoś popchnął drzwi tak mocno, że aż szafka trochę się przesunęła. Jeszcze trzy mocne pchnięcia i drzwi uchyliły się na tyle, by dobijający się mogli wejść. Pierwsza przecisnęła się Talbot. Jeszcze masowała sobie bark. Zamarła, obejmując wzrokiem całą scenę: butelkę na stoliku, Hala opartego o ścianę z wtuloną w niego Gray, jej palce wplątane w jego włosy.

Gwardzistka rozłożyła obie ręce dłońmi w górę w uniwersalnym geście: *O co chodzi?*

Hal przywołał ją ruchem głowy, a kiedy przed nim kucnęła, przekazał jej śpiącą dziewczynę. Talbot podniosła się, kiwnęła głową do Matelona, jakby w podziękowaniu za współpracę, i wyniosła kapitan na zewnątrz. Pozostali niebiescy ustawili szafkę na miejscu i zamknęli za sobą drzwi.

Na szczęście zostawili butelkę okowity, a to pomogło Halowi zasnąć.



SMOK

Jako mieszkanka Delphi Jenna była oswojona z zimnem i surowymi warunkami pogodowymi. Jednak lot na północ wzdłuż zamrożonego wybrzeża stanowił nie lada wyzwanie. Od Indio wiał przesywający chłodem wiatr, a brzeg, w miejscach gdzie rozbijały się fale, pokrywały warstwy lodu.

Ich misja była pilna, lecieli więc szybko, a przy tej prędkości zimny wiatr przenikał nowe ubrania Jenny. Świadomość, że może się spóźnić z uratowaniem Kredowych Klifów, sprawiała, że krew w jej żyłach głośno tętniła.

Nie ufała Evanowi Strangwardowi, ale gdy zamykała oczy, miała wizję miasta w ruinach, napadniętego przez armię, którą widziała wcześniej na śniegu. Uwierzyła mu, kiedy mówił, że jeśli Celestyna zdobędzie te tereny, dla nich obojga źle się to skończy.

Ulgę przynosił jej żar, który stale kipiał pod łuskami Zaklinacza Ognia. Przejazdźka na Ogniku w tych warunkach była jak przytulanie się do pieca Brita Fletchera w samym środku zimy w Delphi – z przodu gorąco, z tyłu mróz.

Zwykle lubiła latać nocą – szybować nad śpiącymi, okrytymi śniegiem wioskami, których światła błyszcząły w ciemnościach jak małe latarnie morskie. Musieli uważać, żeby nie zbliżyć się za bardzo do sadyb klanowych. Psy zawsze wyczuwały ich obecność i biegały za nimi, szczekając.

Jedzenie?

– Niemożliwe, że jesteś głodny. Zjadłeś na śniadanie całą owcę.

Owca dużo wełny, mało mięsa.

Dzisiaj, żeby nikt ich nie zauważył, lecieli tak nisko, że chwilami jakby płynęli pośród wysokich spienionych fal. Kiedy uczyli się latać, Ognik czasami źle oceniał odległość i zanurzał się w lodowatej wodzie morskiej. Teraz zdarzało się to bardzo rzadko.

W pewnej chwili usłyszeli nieregularne huczące odgłosy. Zaklinacz Ognia zwolnił.

Strzelają. Wracać do domu, znaleźć owcę?

Jenna ścisnęła grzbiet smoka kolanami.

– Musimy ich ostrzec.

Kiedy sprzeczała się z Ognikiem, przypominało to debatę z samą sobą. Czasami trudno było rozpoznać, kto jest po czyjej stronie. Gdy byli zgodni, to całkowicie.

Teraz, kiedy zbliżyli się do białych klifów przystani, którą widzieli już wcześniej, zobaczyli na skarpie błyski światła. Przed samym wejściem do portu stała niewielka flotylla, która odpowiadała ogniem.

Wzbili się wyżej, tak by dla każdego z ziemi wyglądać jak kropka w ciemnościach, i kilka razy przelecieli nad miejscem walk w jedną i w drugą stronę. Statki nie robiły nic, co by wskazywało, że zamierzają wdrzeć się do portu, po prostu tkwiły w miejscu, tuż poza zasięgiem dział ulokowanych na szczycie. Jakby nie miały najmniejszego zamiaru atakować.

To odwrócenie uwagi, pomyślała Jenna. Żeby nie dostrzeżono kłopotów nadchodzących z przeciwnej strony.

– Lećmy na zachód.

Ognik przechylił się i zakręcił, po czym przemknęli nad linią wybrzeża i polecili wzdłuż drogi prowadzącej w głąb lądu. Widzieli poruszenie w dole, tu i ówdzie błysk światła odbijającego się od metalu, i słyszeli skrzypienie kopyt na śniegu, co znaczyło, że od strony lądu zbliżał się do miasta duży oddział jeźdźców, którzy trzymali się z dala od dróg i szukali

osłony w lasach. To muszą być ci, których widziała, jak wędrowali przez zamrożony półwysep. Teraz nie miała już wątpliwości, dokąd zmierzają.

Strangward mówił prawdę.

Co robić?

Musiała znaleźć sposób, by ostrzec Kredowe Klify o zbliżającej się armii. Nie mogła jednak wylądować na smoku w środku miasta. Zanim wszystko by się wyjaśniło, ktoś już by nie żył. Gdyby Ognik wylądował gdzieś dalej i Jenna próbowała dotrzeć do miasta pieszo, mogłaby się spóźnić albo jeszcze gorzej – zostać wciągnięta w walkę.

Jak w takim razie ostrzec mieszkańców, nie narażając siebie?



OD SNÓW DO KOSZMARÓW

Następnego ranka Hadley z załogą wyruszyła do Fellsmarchu. Lyss została, z okropnym kacem. Właśnie dlatego nie piję, myślała. W każdym razie niewiele. Od teraz będę piła tylko cydr. Może trochę ciemnego piwa. Chyba że nadarzy się specjalna okazja, jak zwycięski koniec wojny.

Miała wielką ochotę odesłać Matelona do Fellsmarchu wraz z załogą Hadley, ale oparła się tej pokusie. Niewiele pamiętała z tego, co działo się w jego kwaterze. Te strzępy, które wracały w pamięci, były przepełnione zawstydzeniem i nie wiedzieć czemu czułością.

Sposób, w jaki z nią rozmawiał, jego spokojny donośny głos. Pocałunki, które składał na jej czole wzdłuż linii włosów, każdy na swój sposób idealny. Bicie jego serca przy jej plecach. Jego oczy, barwy mchu po deszczu, z firaną rzęs pasujących do kruczoczarnych włosów.

Po raz pierwszy od dawna czuła się bezpiecznie, kołysana w jego ramionach. Nie szukała ochrony. Bardziej chodziło o to, że mogła zamknąć oczy, ufając, że będzie ją osłaniał. A gdyby zamienili się miejscami, ona ochraniałaby jego.

Jednak za każdym razem, gdy próbowała delektować się tymi chwilami sympatii i czułości, natykała się na coś zawstydzającego.

Jak wylądowała w ramionach Południowca, skoro poszła tam, żeby... jak on to powiedział? Szukać zaczepki? To był właśnie problem z Matelonem: wydawał się opanowany, spokojny, niemal nudny... i nagle nakłaniał ją do czegoś, czego nigdy nie zamierzała.

On cię do tego nakłonił? Kto kogo zaatakował? – mówił głos w jej głowie. *Założę się, że żadna z jego słabowitych południowych dam nie proponowała mu pijackiej zabawy.*

A jednak każdej nocy na terenie całego królestwa ktoś pił za dużo i mówił rzeczy, których następnego dnia żałował. Lyss chciałaby móc sobie na to pozwolić, a potem śmiać się z tego do rozpuku.

Ona nie pamiętała nawet, kiedy postanowiła pójść do jego komnaty. Hadley i Sasha siedziały z nią prawie cały dzień na swoistej trzyosobowej stypie. Przyjaciółki były przekonane, że poszła spać. Wiedziała, że obwiniały się teraz o jej nocną wyprawę.

Nie miała apetytu ani ochoty na nic bardziej skomplikowanego niż grzanka i miska owsianki – których zazwyczaj unikała.

Pod koniec dnia wreszcie zasnęła, w pełnym ubraniu, na przykrytym łóżku, ale obudziło ją natarczywe pukanie do drzwi.

– Odejdź! – wymruczała.

– Lyss! Otwórz! Atakują nas!

No to każ *im* odejść, pomyślała, zanim całkiem się obudziła. Zsunęła się z łóżka, podeszła do drzwi i gwałtownie je otworzyła.

To była Sasha, z potarganymi włosami, rozchełstaną bluzą munduru, spod której wystawały poły koszuli, jakby ona też dopiero co wyszła z łóżka.

– *Kto nas atakuje?* – Lyss oparła się o futrynę.

– Nie wiemy na pewno. Są trzy statki, zacumowane przed wejściem do portu, które strzelają do naszych stanowisk artyleryjskich.

– Zniszczyły coś?

– Nie wiem.

– Nie przyjdzie im to łatwo, chyba że ich działa są dużo lepsze od naszych. – Lyss już siedziała na łóżku i wciągała buty. Porządna bitwa mogła być lekiem na jej zawstydzenie i złamane serce.

Kiedy pośpiesznie szły korytarzem, nagle usłyszały huk armatniego wystrzału.

– Kto jest oficerem dyżurnym?

– Graves. Jest na górze, przy działach, kieruje ogniem.

Lyss weszła na strome schody prowadzące do baterii dział nad cieśniną. Sasha szła za nią. Zbliżając się do szczytu, czuły kwaśny zapach prochu i drzenie pod stopami.

Gdy wyłoniły się z klatki schodowej, w twarze uderzył je wiatr od Indio. Podmuchy ognia oświetlały twarze artylerzystów, którzy odpalali lonty. Po tej stronie cieśniny znajdowały się dwa dwudziestoczwartofuntowe działa morskie i po przeciwnej stronie dwa z kompletnymi załogami. To powinno wystarczyć, żeby powstrzymać trzy statki, pomyślała Lyss. Wychyliła się, by spojrzeć na morze, lecz zobaczenie czegokolwiek w tych warunkach było niemożliwe. Dopiero błysk ognia z dział pokładowych oświetlił atakujące okręty. Pociski przeleciały łukiem i wpadły do wody albo roztrzaskały się o klify daleko w dole.

Munroe Graves już ochrypł od wykrzykiwania rozkazów do artylerzystów po drugiej stronie cieśniny.

– Jakie wieści? – zapytała Lyss, próbując przekrzyczeć huk dział i ryk wiatru.

– Dość szybko się zorientowali, jaki mamy zasięg, i trzymają się poza nim – odpowiedział. – To znaczy, że nie mogą nas osiągnąć, a my nie dosiegamy ich. O co tu chodzi? Wszyscy powinniśmy jeszcze spać.

– Kto jest po drugiej stronie? – Lyss wskazała na baterię od południa.

– Bosley.

– Pokazali banderę?

Mężczyzna pokręcił głową.

- Nie. Nie bardzo ma to sens, bo są za daleko.
 - Ale po co to robią? Równie dobrze mogliby wrzucić swoje uzbrojenie do morza.
 - Ćwiczenia? – podsunął Graves.
 - Hmm. No cóż, powiedz naszym, że nie musimy odpowiadać na każdy ogień. Może oni mają amunicję na zbyciu, ale nam nigdy tego za wiele.
 - Będziemy ich utrzymywać na odległość, i tyle.
- Wtedy coś przyszło jej do głowy.
- Rozstawiliście strażników, żeby sprawdzić, czy gdzieś dalej nie zbliżają się inne statki, podczas gdy my jesteśmy zajęci tym tutaj?
 - Już załatwione, pani kapitan – odparł Graves.
- Lyss oparła ręce na balustradzie i obserwowała atak artyleryjski i niemrawe reakcje na niego. Coś ją w tym niepokoiło. Czego nie dostrzegali? Dobrze byłoby wiedzieć, z kim mają do czynienia.
- Macie coś, czym można by poświecić, żeby lepiej przyjrzeć się tym statkom?
 - Mamy bomby zapalające. Nawet jeśli statki są poza ich zasięgiem, gdy wystrzelimy je wysoko, rozjaśniłoby niebo na tyle, że je zobaczymy.
 - Zróbmy to. Ale czekajcie na mój znak.
- Lyss odnalazła Sashę wśród żołnierzy na klifie.
- Gdzie jest Matelon? U siebie?
 - O ile wiem – rzekła Sasha, patrząc na nią podejrzliwie. – Mam sprawdzić?
 - Weź ze sobą trójkę i przyprowadźcie go tutaj. Chcę, żeby przyjrzał się tym statkom.
 - Tak jest. – Sasha przyłożyła pięść do serca.

Halowi śniło się, że jakimś sposobem wrócił do Białych Dębów – tych ze swojego dzieciństwa, gdy była to bardziej posiadłość ziemską, a mniej forteca. Spacerował w ogrodzie z małą siostrzyczką i opowiadał jej o swoich przygodach na Północy.

– Czy to prawda, że więdźmy z Północy latają na demonach, wypatrując niegrzecznych dzieci? – spytała Harper.

– Jeśli nawet tak jest, to ja tego nie widziałem – odpowiedział. – Przede wszystkim wypatrują niegrzecznych dorosłych.

– Nieprawda. – Harper uniosła głowę. – Dorosłych nikt za nic nie karze.

– Czasami są karani.

– Czyli to tylko taka bajka, którą rodzice opowiadają dzieciom, żeby były grzeczne? – dopytywała, oglądając się przez ramię, żeby sprawdzić, czy w pobliżu nie ma lady Matelon.

– Może niektórzy, ale myślę, że inni naprawdę w to wierzą. Dużo łatwiej jest walczyć z potworami, niż z ludźmi z krwi i kości.

– Nieprawda – zaprzeczyła. – Wszyscy wiedzą, że potwory są większe i groźniejsze niż ludzie.

Hał się roześmiał.

– Wiesz, że na Północy są ludzie, którzy mówią, że to *my* jesteśmy potworami?

– Naprawdę? – Dziewczynka podniosła na niego zdumiony wzrok. – Ale się mylą!

– Może.

Chwyciła go za rękaw.

– Myślisz, że to możliwe, że my też się mylimy co do Północnych?

– Może.

Szczęk metalu wyrwał go ze snu.

– Niziny! – Ktoś gwałtownie nim potrząsał. – Wstawaj!

Próbował otworzyć oczy, lecz oślepiła go przystawiona do twarzy lampa. Nie widział tego, kto ją trzymał.

– Co jest?

– Kapitan Gray chce cię zobaczyć, zbieraj się raz-dwa.

Teraz rozpoznał ten głos. To była kapral Talbot, osobista eskorta Gray.

Usiadł.

– Która godzina?

Talbot rzuciła mu jego kożuch.

– Wkładaj to albo zostań półnagi, nie obchodzi mnie to.
Powiedziałam: raz-dwa.

Naciągnął koszulę i kożuch, który mu dała, a do tego czapkę i rękawiczki. Ona także była ciepło ubrana.

– Zakładam, że idziemy na zewnątrz.

Tylko mruknęła w odpowiedzi.

Ruszył za nią. Wyszli z wieży i szli przez most zwodzony w kierunku fortyfikacji na klifach, od których port wziął swoją nazwę.

– Jak ona się czuje? – zapytał Hal.

– Kto?

– Kapitan Gray.

Talbot obrzuciła go wzrokiem i pokręciła głową.

– Zobaczysz.

– Czy coś się stało jej bratu? – spytał, gdy wspinali się po stromych schodach.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparła, a potem spojrzała na niego w sposób, z którego jasno wynikało, że wie, ale nie ma zamiaru mu powiedzieć.

W końcu wdrapali się na szczyt klifu, akurat w chwili gdy rozległ się huk dwudziestoczwartofuntowego działka.

– Do kogo strzelacie? – zapytał, nadal słysząc dzwonięcie w uszach.

– Spytaj pani kapitan.

– Matelon! – Gray skinęła, by do niej podszedł. Jej ruchy były szybkie i stanowcze, wzrok skierowany ku morzu.

Kiedy stanął obok niej, zauważył oznaki zmęczenia na jej twarzy i sine kręgi pod oczami. Wyglądała jak ktoś zrozpaczony i skacowany, kto mimo wszystko wykonuje swoje zadanie.

Dla niego wyglądała jak bohaterka.

– Zaraz rozjaśnimy okolicę i chcę, żebyś przyjrzał się kilku statkom i powiedział mi, czy jesteś w stanie je zidentyfikować. – Dała znak załodze najbliższego działka, a oni odpalili lont.

Bum! Pocisk wzbił się wysoko i eksplodował z dala od brzegu, zalewając ocean jasnym światłem.

Choć wiatr wiał mu w oczy, Hal obserwował trzy statki widoczne na tle horyzontu.

– No i? – ponaglała Gray, uprzejma jak zawsze. – To wasze?

Hal wpatrywał się uważnie, póki blask nie zgasł i statki ponownie nie skryły się w mroku.

– Są za daleko, żebym miał pewność, ale powiedziałbym, że to nie są okręty imperium. W każdym razie nie należą do regularnej marynarki wojennej. – Coś innego przykuło jego uwagę, gdy wpatrywał się w ciemność: jakiś jasny punkt na niebie. Kolejny pocisk? Spadająca gwiazda? – A to co? – zapytał, wskazując w górę.

– Na krew męczenników – mruknęła Gray i natychmiast znalazła się przy murze obok niego. – Nie mam pojęcia.

To coś leciało w dół niczym płonąca strzała, po czym najwyraźniej przemknęło między masztami tajemniczych statków. Nad wodą poniósł się trzask, jakby to coś uderzyło w jeden z masztów. Obiekt zmienił kurs i robił się coraz większy, aż Hal zrozumiał, że leci prosto na nich.

– Kryć się! – krzyknął i przyciągnął Gray do ziemi, osłaniając ją własnym ciałem. Czuł wzbierający żar i woń palonego drewna, gdy coś wielkiego przeleciało nad ich głowami, a potem z głośnym „bach!” upadło na bruk.

Demony, pomyślał, a po plecach, pomimo chłodu, spłynęła mu strużka potu. Latające demony. Wiedziałem. W zasadzie w to nie wierzył, ale nie potrafił znaleźć innego wytłumaczenia.

Oślonił głowę rękami i czekał na wybuch, zastanawiając się, czy zakończy życie tutaj, w Kredowych Klifach, jako karma dla rekinów. Nic się jednak nie wydarzyło, więc po chwili ostrożnie się podparł i odszukał wzrokiem to, co spadło z nieba.

Wyglądało jak maszt statku, oderwany wraz z częścią ożaglowania.

Hal podniósł się i skoczył do tego, ale kapitan Gray była szybsza. Rozgrzebała szczątki i wydobyła banderę z trupa czaszką.

– Piraci? – zapytała Talbot, dotykając sukna.

– To wraca! – krzyknął ktoś.

Hal obrócił się i zobaczył latające stworzenie, które tym razem kierowało się ku nim od lądu, niosąc coś w szponach. Kiedy przeleciało nad działami, puściło zdobycz, a ta uderzyła o ziemię z ogłuszającym hukiem.

Zgromadzili się wokół zrzuconego ciała. Wyglądało na żołnierza, naszpikowanego bronią, ubranego odpowiednio do niskich temperatur. Talbot wyciągnęła wygięty sztylet z pochwy przy pasie mężczyzny i uniosła, by wszyscy zobaczyli.

– Pirat? – zapytała jeszcze raz.

Hal ukląkł obok ciała i zauważył, że buty żołnierza były wyposażone w ostrogi, a on sam roztaczał silną woń konia i zaschniętego potu.

– Ktokolwiek to jest, przybył tu konno – oświadczył. – Ale skąd? I czy ta latająca bestia jest po ich stronie czy po naszej?

– Patrzcie! – Gray wskazała na niebo. Skrzydlate stworzenie wykonywało w powietrzu jakieś zwroty, plując ogniem i dymem, które pozostawiały widoczny ślad. Jakiś symbol...

– To strzała – zauważyła Talbot.

– Wskazuje zachód – dodała Gray i obróciła się gwałtownie w tamtym kierunku. Wzrok Hala podążył za jej spojrzeniem, ponad miastem, ku zachodnim murom. Dalej była ciemność. – Graves! – krzyknęła Lyss. – Bijcie na alarm! Skierować jak najwięcej żołnierzy na mury od strony lądu! Myślę, że ta strzelanina ma odwrócić naszą uwagę od prawdziwego ataku.

– Tak jest, kapitanie. – Graves oddalił się w pośpiechu.

Gdzieś w dole zabrzmiały dzwony. Gdy Hal spojrzał na niebo, latającego stwora już tam nie było.

Gray obróciła się w stronę Talbot i Hala.

– Talbot, zabierz Matelona do wieży! Postaw przy nim potrójną straż. Jeśli się okaże, że nasi goście przybyli po niego, nie ułatwię im zadania.

– Ale, pani kapitan... mógłbym pomóc – odezwał się Hal, czując przypływ frustracji. – Już wam mówiłem, że to nie są statki imperium. Dajcie mi broń, a ja...

– Nie tym razem, kapitanie – odparła i odwróciła się.



ZA MAŁO, ZA PÓŹNO

Od początku było jasne, że ta walka będzie się różniła od wszystkich, jakie do tej pory przyszło Lyss toczyć. Zawsze wojowała na terenie, który działał na jej korzyść, i dużą rolę w jej strategii odgrywała mobilność. Natarcia, odwroty, manewry okrążające, zasadzki – to były stosowane przez nią taktyki. Choć doceniała osłonę, jaką dawała jej twierdza, czuła się w niej jak w pułapce. Tu natarcia były niemożliwe – pozostawały tylko odwroty.

Ten wróg także był inny. Lyss przywykła do najemników Ardeny i rekrutów z przymusowego poboru, którzy na ogół trzęśli się ze strachu przed demonami i wiedźmami. Ci tutaj to zażarci, twardzi wojownicy z zakrzywionymi nożami, którzy bez mrugnięcia okiem byli w stanie zabić człowieka. Kiedy jednego z nich Lyss pozbawiła głowy, on szedł dalej, aż musiała podciąć mu jeszcze nogi. Zupełnie jakby byli opętani – jakby nie czuli bólu i z własnej woli przyjmowali śmierć.

Ci żołnierze nie byli Ardeńczykami, choć niewykluczone, że Arden wynajął ich jako najemników. Nie walczyli jednak jak najemnicy.

Jeżeli byli piratami, to takimi, o jakich nigdy nie słyszała. Uważała piratów za mistrzów wojny podjazdowej, którzy szukają łatwych celów. Hadley wspominała, że nie lubią atakować tych, którzy mogą się bronić.

Kredowe Klify nie były łatwym celem, a mimo to piratów wciąż przybywało. Cokolwiek ich napędzało, było przerażające.

Dzięki ostrzeżeniu obrońcy zyskali czas, by zamknąć i zabezpieczyć bramę, nim do twierdzy dotarła pierwsza fala jeźdźców. Wkrótce się okazało, że część wrogów była już wewnątrz murów – może to ci przybysze, którzy wcześniej niepokoiłi stacjonujących w twierdzy. Wyskakiwali z ukrycia i często zabijali tuziny ludzi, zanim zostali pokonani.

Najsilniejsze umocnienia znajdowały się od strony morza, nie lądu, a górskie tereny na zachodzie pozwalały najeźdźcom zasypywać głowy obłożonych strzałami i bombami zapalającymi. Lyss nakazała mieszkańcom gasić pożary i polewać budynki wodą.

Duże działa twierdzy były ustawione tak, by strzelać do statków atakujących z morza. Jednak okręty wroga pozostawały daleko poza przystanią, bez wątpienia czekając, aż atak lądowy złagodzi obronę i unieruchomi armaty.

Ostatecznie żołnierzom udało się obrócić działo i zacząć strzelać w stronę miasta, co pozwoliło nieco osłabić siłę wroga.

Może skuteczny byłby wobec nich czarodziejski ogień, lecz nie było jak tego sprawdzić, bo obdarzeni mocą znajdowali się w innych miejscach, głównie w Delphi. Lyss bardzo żałowała, że nie może ich tu sprowadzić.

Rozkazała wysłać ptaki do Fortecznych Skał i Fellsmarchu, chociaż wiedziała, że jakakolwiek pomoc nadejdzie zbyt późno, by uratować miasto. Sasha wychodziła z siebie, bo nie była w stanie odciągnąć Lyss od murów i od walki, a także dlatego że nie umiała opracować realnego planu ucieczki.

Gdy na ulicach pośród płonących budynków toczyły się zażarte walki, Sasha w końcu zdołała zaciągnąć księżniczkę do twierdzy.

– Musisz się stąd wydostać, Wasza Wysokość – powiedziała. – Musisz uciekać, póki jeszcze się da.

– Nie sądzę, by to w ogóle było możliwe – odparła Lyss. – Kiedy dowiedzieliśmy się o ataku, już byliśmy otoczeni.

– Czemu tak ci zależy na ochronie kapitana Matelona, a sama się narażasz? Jak myślisz, kto jest ważniejszy dla przyszłości królestwa, on czy ty?

– Wolę zginąć w walce, niż zostać zabita podczas ucieczki tylną bramą.

– A frontową? – zapytała Sasha. – Odpłynąć łodzią.

Nie. Niemożliwe. W żadnym wypadku.

– Widziałas te statki? Jak daleko według ciebie byśmy dotarły?

– One są poza zasięgiem naszych dział – zauważyła Sasha. – Jest ciemno i pochmurno. Weź małą łódkę, przepłynij cieśninę, przytul się do brzegu i płyn, aż dotrzesz w bezpieczne miejsce, gdzie da się wyjść na ląd.

– Nie – zaprotestowała szybko Lyss. – Nie, jeśli nie ma innego sposobu, wolę...

– Wiem, że nie lubisz wody, ale...

– Zginę na lądzie, dzięki – oświadczyła. Już miała wrażenie, że wnętrzości się w niej rozplývają, a na języku czuła metaliczny smak paniki. Znowu zobaczyła tafłę wody zamykającą się jej nad głową, czuła jej nacisk, gdy płuca domagały się powietrza.

– Co byłoby gorsze: wypłynięcie łodzią czy wpadnięcie w łapska Ardeńczyków?

– Nie mam zamiaru wpaść w ich łapska – stwierdziła ponuro Lyss.

– Musisz przeżyć, jesteś to winna swojej matce królowej! – wrzasnęła na nią Sasha.

Myślisz o matce, która mnie okłamała? Która mnie zdradziła? Która pozwoliła mi myśleć, że mój brat nie żyje, przez te wszystkie lata, kiedy mogłam być z nim albo przynajmniej się z nim pożegnać?

Lyss pomyślała to wszystko, ale nie wymówiła tego na głos, w głębi duszy czuła bowiem, że nie było to uczciwe postawienie sprawy. Powiedziała więc tylko:

– Nie. – Na szczęście udało jej się opanować drżenie głosu.

Sasha chwyciła ją za barki i potrząsnęła.

– A twój ojciec? Co on by chciał, żebyś zrobiła? Czy chciałby, żebyś się poświęciła i zostawiła matkę całkiem samą? Czy raczej wolałby chronić linię Szarych Wilków? Chcesz, żeby śmierć jego, twojej siostry i brata poszła na marne?

– To nie fair – mruknęła Lyss. – To naprawdę nie fair.

– Pamiętasz stare powiedzenie o wojnie i miłości? W miłości i na wojnie wszystkie chwytaki dozwolone. Jeśli ciebie nie będzie, wymrze jego linia rodu. A teraz chodź. Zejdziemy do piwnicznego doku. Możesz się wydostać z twierdzy i odpłynąć, tak by nikt się o tym nie dowiedział.

– Nie.

– Nie zmuszaj mnie, żebym dała ci w łeb i wpakowała do łodzi jak beczkę ryb – ostrzegła ją Sasha.

Lyss nie miała wątpliwości, że przyjaciółka zrobiłaby to, gdyby mogła. Westchnęła ciężko, z rezygnacją.

– Wygrałaś – powiedziała. – Spróbuję, ale idziesz ze mną.

– Nie! – zawołała Talbot. – To znaczy ty płyn pierwsza, a ja popłynę trochę później. Muszę jeszcze zabić kilku błotnistych czy kim tam oni są, a potem...

– Bez ciebie nigdzie się nie ruszam. Będę potrzebowała twojej pomocy. Zabieramy Matelona i grajka.

– Co? Zwariowałaś? – Mina Sashy mówiła, że ta diagnoza wydaje jej się bardzo możliwa. – Ci dwaj podetną nam gardła i wyrzucą nas za burtę.

– Liczę, że do tego nie dopuścisz – odparła Lyss. – Wciąż mam nadzieję, że grajek może nam pomóc się dowiedzieć, kto stoi za tymi zabójstwami. I nie zostawię Matelona, bo może być przydatny w przecignięciu na naszą stronę tanów z Południa. – Po chwili milczenia dodała: – Skoro tak lubisz cytować mojego tatę, oto inne jego ulubione powiedzenie: wóz albo przewóz.

Breon nie był pewien, jak długo słyszał odgłosy strzałów armatnich. Przez chwilę zrobiły się bardziej intensywne i szybsze, ale potem ich częstotliwość zmalała i odczuwał je już tylko jako okazjonalne wibracje w mostku. Może na zewnątrz

walka wciąż trwała, ale trudno było to stwierdzić, będąc zamkniętym w lochach.

Nigdy wcześniej nie brał udziału w bitwie, było to więc ciekawe doświadczenie. Zwłaszcza że jak na razie pozostawał poza linią ognia.

A jednak tu, w tej celi, gdzie nie było żadnych innych więźniów i nawet strażnicy nie kwapili się do rozmów, czuł się bardzo samotny. Dostarczali mu jedzenie i picie, opróżniali jego nocnik, ale nic ponadto.

Potrzebował czegoś, co odwróciłoby jego uwagę od własnych zmartwień. A w zamartwianiu się był bardzo kreatywny. Jeżeli to nie Aubrey sprowadziła mu armię na pomoc, nie miało dla niego znaczenia, kto wygrywa. Sytuacja więźniów podczas wojen zwykle się jeszcze pogarszała. Byli nikomu niepotrzebnym ciężarem.

Próbował zasnąć, ale nie mógł przy tym huku dział, odległych krzykach, niespokojnych myślach i delikatnie dającym o sobie znać głodzie ziela.

Nie. Jeśli o to chodzi, miał zamiar umrzeć czysty.

To więzienie przynajmniej różniło się od innych, w jakich bywał. Nie był oczywiście ekspertem w tej dziedzinie. Na ogół cele przypominały zimne, wilgotne, ciemne szafy z grubymi drewnianymi drzwiami i małymi wizjerami. Te tutaj były z kamienia, ale z frontu miały żelazne kraty, które wpuszczały do wnętrza światło i powietrze. Gdy wysunął głowę, widział cały korytarz. Od dłuższego czasu nie było tam nic do oglądania.

Wtem usłyszał czyjeś kroki i brzęk kluczy. Usiadł. W korytarzu pojawiły się długie cienie poprzedzające przybyszów. Nadchodzące osoby najwyraźniej się spierały.

– Dajcie mi miecz i pozwólcie walczyć – mówił jeden z nich. – Każdy zdrowy mężczyzna przyda się teraz na murach. Tu, na dole, żaden ze mnie pożytek.

– Bez urazy, ale nikt nie chce walczyć u boku zafajdanego Południowca.

Bez urazy? – pomyślał Breon. Nawet najbardziej gruboskórna osoba mogłaby...

– Nieważne, kim oni są – nalegał pierwszy głos. – To nie są moi przyjaciele. Mogę pomóc.

Pozwól mu pomóc, myślał Breon. Jeśli jest na tyle głupi, że tego chce.

– Daruj sobie – odparł jeden ze strażników. – Ja bym na to poszedł, ale kapitan Gray rozkazała cię tu zamknąć i właśnie to zrobimy.

Otworzyli celę naprzeciwko Breona, wepchnęli do niej więźnia i zamknęli za nim kratę.

– Mam nadzieję, że tu zgnijesz – powiedział ten rozmowniejszy strażnik.

Potem obaj oddalili się korytarzem i weszli na schody.

Nowy sąsiad Breona rzucił za nimi kilka obelg i zaczął się przechadzać po celi, jakby liczył na to, że znajdzie jakiś tunel albo dodatkowe klucze.

– Hej! – zawołał Breon. Mężczyzna obrócił się i odruchowo sięgnął do biodra w poszukiwaniu miecza. – Gdyby to ode mnie zależało, pozwoliłbym ci walczyć. Zdaje się, że jesteś w tym dobry.

Nieznajomy chwycił za kraty i spojrzał na Breona. Był wysoki, umięśniony – w typie kogoś, kto ma związek z wojskiem.

– Nazywam się Breon d'Tarvos. Jestem muzykiem niesłusznie uwięzionym za przestępstwo, którego nie popełniłem. – Może za wcześniej było o tym mówić, ale nie chciał, żeby jego sąsiad odniósł mylne wrażenie... że jest jakimś przestępcą czy coś w tym rodzaju. – Mów mi Breon.

Żołnierz przyglądał mu się, jakby próbował dociec, o jakie przestępstwo został oskarżony.

– Halston Matelon, jeniec wojenny. Mówią mi Hal.

– Co tam się dzieje? – spytał Breon. – Z kim walczymy? I wygrywamy czy przegrywamy?

Mięśnie szczęki Hala napięły się.

– Napastnicy nie noszą mundurów ani żadnych insygniów, ale ich statki mają banderę z trupią czaszką.

– Czyli piraci – stwierdził Breon, czując dziwne ukłucie w żołądku.

– Albo żołnierze udający piratów.

Breon zmusił się do zadania kolejnego pytania.

– No więc... jak idzie?

Hal pokręcił głową.

– Jeśli nie zdarzy się cud, powiedziałbym, że już po nas. Już drugi raz w tym miesiącu będę po stronie przegranych.

– Skoro nie pozwolą ci walczyć, to nie mogą cię obwiniać, co nie? – Breon uważał to za logiczne, ale Hal tylko pokręcił głową i wrócił do krążenia po celi. Oglądał miejsca, gdzie pręty stykały się z kamieniem, może licząc na jakieś przerwy, przez które mógłby się przecisnąć. Ale z jego barkami...

– Są dość porządnie zrobione – zauważył Breon, uderzając dłonią w kratę. – Chociaż nie jestem ekspertem, bo przestrzegam prawa i w ogóle.

Hal jeszcze chwilę się pokręcił, pomruczał, aż w końcu usiadł pod ścianą.

– A o co to cię oskarżyli, chociaż tego nie zrobiłeś?

Breon domyślał się, że jego rozmówcy właściwie wcale to nie interesuje, tylko stara się być uprzejmy – ale i tak miło, że zapytał.

– Myślałem, że spiskowałem, żeby zabić księżniczkę Alysę – odpowiedział.

Hal obrócił głowę w jego stronę.

– Ty?

Breon potaknął, nie czując się urażony.

– Trudno uwierzyć, nie?

– Dlaczego myślałem, że to ty?

– No, owszem, byłem tam, kiedy to się wydarzyło – przyznał. – Ale nie miałem pojęcia, co się stanie. Księżniczka ciągle tu do mnie schodzi i próbuje ze mnie wyciągnąć informacje, kto za tym stał, ale ja nie mogę jej powiedzieć czegoś, czego sam nie wiem.

Nagle Hal się zainteresował.

– Księżniczka Alyssa... była *tutaj*?

– Jeszcze tu jest, o ile wiem.

– Nie mogła tu być – stwierdził z przekonaniem Hal. – To będzie rzeź nas wszystkich.

Breon dochodził do wniosku, że ten człowiek był pesymistą.

– To twarda sztuka, w typie żołnierza. Pewnie jest teraz tam, na zewnątrz, w samym środku walki. – Zamilkł, a gdy Hal rozważał coś w zamyśleniu, dodał: – To znaczy możliwe, że już wyjechała. Ostatnio widziałem ją wczoraj w porze kolacji.

– Wczoraj? Ale... to dlaczego *ja* jej nie widziałem?

Breon wzruszył ramionami.

– Nie martw się. Jest bardzo zajęta i chyba musi się zajmować tylko ważnymi więźniami. Może z ciebie nie chce niczego wyciągnąć.

Hal zastanawiał się chwilę, a potem się wyprostował i zapytał:

– Ta księżniczka... jak ona wygląda?

– Hmm, jest bardzo wysoka, ma długie nogi, włosy w kolorze jasnego karmelu. Ostatnio miała je splecione w gruby warkocz i...

– Święci i męczennicy! – zaklął Hal i wbił wzrok w sufit. – Czemu tego nie zauważyłem?

– To znaczy, że ją spotkałeś?

Skinął głową. Wyglądał jak ktoś, kto obejrzał się na drogę za sobą i nagle odkrył, że idzie po bardzo cienkim lodzie i nie ma jak zawrócić.

– Wiesz, co mi zawsze pomaga, kiedy... – Breon zamilkł, bo usłyszał głośnie kroki i podzwanianie kluczami. Wstał, wyciągnął szyję i zajrzał w głąb korytarza.

Zobaczył Jej Wysokość i Sashę, obie z poważnymi minami, z torbami przewieszonymi przez ramiona, uzbrojone po zęby.

Sasha otworzyła celę Breona i rzuciła klucze Alyssie, by ta uczyniła honory Halowi. Ten ostatni wpatrywał się w księżniczkę, jakby mogła zerwać z siebie maskę i na jego oczach zamienić się w kogoś innego.

– Idziemy, grajku – powiedziała Sasha, podając mu ciepłą nieprzemakalną pelerynę, jakie noszą rybacy i żeglarze. – Wkładaj to i zabieraj swoje rzeczy.

– Dokąd idziemy? – zapytał, wciągając pelerynę.

– Wrogowie są już w twierdzy, zrobimy więc sobie przejażdżkę łódką.



NOCNA PRZEPRAWA

Jesteś głupcem, Halstonie Matelonie, mówił sobie, kiedy „kapitan Gray” i kapral Talbot prowadziły jego i Breona po schodach. Powinieneś zajmować się tylko walką, na tym przynajmniej trochę się znasz.

Szary Wilk, tak ją nazywano. Hal od lat słyszał to przezwisko. Była legendą po obu stronach granicy, znana jako zażarty i sprytny wojownik.

Szary Wilk to kapitan Gray. Oczywiście. Szary Wilk to też Alyssa ana'Raisa, następczyni tronu Szarych Wilków. A także Lyss.

Kiedy o tym myślał, kiedy przypominał sobie fragmenty rozmów, czuł się coraz bardziej zażenowany. Jak niefrasobliwie ją zapewniał, że ich życie jako żołnierzy niewiele się zmieni, niezależnie od tego, kto będzie siedział na tronie. Jak sugerował, że królewskie małżeństwo mogłoby być wspaniałym zwieńczeniem umowy pokojowej.

Jak teraz spojrzy jej w oczy?

Ile z tego, co zaszło między nimi, było szczere? Czy w duchu, za fasadą gorących pocałunków i uścisków, śmiała się z niego?

Nie. Jak na kogoś, kto okłamywał go od samego początku, była najszczerzą osobą, jaką znał.

Zerkał na nią ukradkiem, szukając jakichś oznak królewskiego pochodzenia, które wcześniej przegapił. Teraz też

nic takiego nie zauważył. Właściwie wyglądała tak blado i mizernie jak nigdy. Jakby za chwilę miała zemdleć.

Jego serce wyrywało się do niej pomimo tego, że zrobiła z niego głupka.

– Dobrze się czujecie, pani kapitan? – zapytał, opierając się chęci chwycenia jej za rękę.

– Tak – szepnęła bez przekonania. – Ale mogłoby być lepiej.

Im niżej schodzili, tym wilgotniej się robiło. Hal czuł zapach morza, słyszał fale rozbijające się o mury twierdzy. Na najniższym poziomie znajdował się mały osłonięty dok, prawdopodobnie przeznaczony do rozładunku ludzi i towarów w sytuacji, gdy sztorm groził rozbiciem się o skały. Przycumowanych tu było kilka małych łodzi, kołyszących się na falach.

Talbot wrzuciła bagaże do największej, mniej więcej równomiernie rozkładając ich ciężar.

– Pani kapitan na dziób – powiedziała i wyciągnęła rękę, by pomóc Lyss wejść do łodzi.

– Czy mogę... czy mogłabym usiąść pośrodku?

– Myślałam, że na środku posadzimy tych dwóch, żeby wiosłowali. Ja siądę z tyłu i będę miała na nich oko. Pozostaje więc tylko dziób.

– Aha – westchnęła żałośnie Gray. Wsunęła stopę, by wejść do łodzi, lecz zaraz ją cofnęła. – A może byśmy zaryglowali drzwi i ukryli się tutaj? Jeśli to są piraci, najprawdopodobniej tylko ukradną, co się da, i odpłyną.

– Wchodź do łodzi, Lyss – warknęła Talbot. – Już.

Ona się boi, pomyślał Hal. Jest kompletnie przerażona. Wtedy przypomniał sobie, co mu powiedziała. *Nie lubię statków... ani oceanu.*

Gray znowu przesunęła się naprzód i tym razem Talbot niemal wepchnęła ją do łodzi. Lyss popęzła ku dziobowi i tam się skuliła. Za nią wszedł Hal, a potem Breon i obaj usiedli na ławce tyłem do dziobu, po czym chwycili za wiosła. Talbot odepchnęła łódź od brzegu i wsiadła jako ostatnia.

Niełatwo było przepłynąć przez zaporę – wiele wysiłku wymagało pokonanie jej w taki sposób, by nie rozbić się o klify, zanim w ogóle wyruszą. Ten brzeg był zdradziecki nawet w dobrą pogodę, a teraz z północnego wschodu nadchodził silny wicher. To, że łódka była taka mała, też im nie pomagało. Wpadali między fale i unosili się na ich grzbietach niczym korek. Na szczęście szanse, że zostaną zauważeni ze statków czyhających przy brzegu, były niewielkie.

Ku zdumieniu Hala Breon okazał się sprawnym wiosłarzem – lepszym niż Hal. Najwyraźniej już kiedyś wiosłował. Gdzie uliczny grajek mógł zdobyć doświadczenie tego rodzaju?

Breon cały czas oglądał się przez ramię na Gray. Kiedy Hal na nią zerknął, zobaczył, że opuściła głowę, zamknęła oczy i mocno zacisnęła dłonie na burtach, jakby to pomagało jej wyobrazić sobie, że jest gdzieś indziej.

– Myślisz, że będzie rzygać? – szepnął Breon, wskazując ją ruchem głowy. – Jeszcze nawet nie jesteśmy w zatoce.

Hal zdecydowanie pokręcił głową i bezgłośnie powiedział „nie”. Może będzie, może nie, ale nie chciał jej nic sugerować.

Na szczęście przypływ działał na ich korzyść i podczas przeprawy przez cieśninę nie musieli dużo wiosłować – tylko tyle, by utrzymać odległość od klifów po obu stronach. Hal wciąż słyszał huk działa ulokowanego na wybrzeżu i widział czerwone błyski na horyzoncie, które świadczyły o wystrzałach z wrogich statków. Próbował spojrzeć na szczyt skał – mrużąc oczy z powodu zacinającego śniegu z deszczem – by zobaczyć, czy tam jeszcze ktoś walczy. Nie umiał tego stwierdzić. Ramiona go strasznie bolały – buntowały się przeciwko niezwykłemu wysiłkowi po tygodniach bezczynności.

Byli już blisko wyjścia na otwarte wody zatoki i Hal słyszał odgłosy fal uderzających o skały. Talbot stała na rufie i ostrzegała ich krzykiem, kiedy za bardzo zbliżali się do klifów. W końcu wpłynęli do zatoki, skręcili i wiosłowali, wiosłowali, wiosłowali, zmagając się z siłą fal. Mała łódka kołysała się

gwałtownie i Hal słyszał, jak coś toczy się po dnie pod jego stopami i jak Gray za nim cicho kwili.

Kiedy cieśnina znalazła się już daleko za nimi, kołysanie osłabło. Wody wciąż były niespokojne, nawet w zatoce, lecz wiosłujący dawali sobie z tym radę. Płynęli wzdłuż brzegu na północny wschód z nadzieją, że wydostaną się z zatoki niezauważeni przez wroga.

Była to długa, ciężka noc. Gdy wypływali na otwarte morze, podczas skrętu omal nie wywrócili się do góry dnem, jednak szczęśliwie udało im się ominąć cypel i dalej już trzymali się blisko brzegu. Okropny ból mięśni Hala przekształcił się w swoiste odrętwienie – jego ciało reagowało automatycznie na wymagania wiosł, a umysł błąkał się, szukając możliwości ucieczki.

Gdyby nawet udało mu się oderwać od pozostałych, nadal byłby w Fells, lecz powinien zdołać wtopić się w tłum i w końcu przedostać się na Południe. O ile przybiją do brzegu w miejscu na tyle bliskim cywilizacji, że nie umrze z wyziębienia, nim znajdzie jakieś schronienie.

W pewnym momencie z wyczerpania osunął się na dno łodzi. Kapitan Gray doczołgała się do niego, chwyciła go za barki i podciągnęła na ławkę, żeby nie utopił się w wodzie zalewającej dno. Okryła go brezentem, a sama zajęła jego miejsce przy wiosłach.

Jak na księżniczkę nie jest roszczeniowa, pomyślał. W jakiś sposób krzepiąca była myśl, że ta zawzięta fellsjańska pani kapitan, dla której stracił głowę, wciąż tu jest.

Dzięki temu przynajmniej pobudzi krążenie i nie zamarznie.

W końcu, nad ranem sztorm ucichł, a oni znaleźli maleńką zatoczkę i ukryli się w niej. Wybrali z łodzi tyle wody, ile zdołali, a potem wszyscy zbili się w grupkę, by było im ciepłej, i okryli się żaglem. Pomimo zimna i bólu w całym ciele Hal spał jak zabity.



ROZBITKOWIE

Kiedy Hal się obudził, krótki zimowy dzień już trwał. Gray spała dociśnięta do niego, z twarzą wtuloną w jego klatkę piersiową, tak że jej oddech ogrzewał go przez wełnianą tunikę. Jedną długą nogę przerzuciła przez jego biodro i... nieważne. W każdym razie potem już nie mógł zasnąć.

Księżniczka spała niespokojnie, mruczając coś przez sen i gwałtownie poruszając kończynami, jakby wciąż toczyła swoją osobistą wojnę. Zdradzieckie ciało Hala reagowało na każdy jej ruch.

Gdy już dłużej nie był w stanie tego znieść, odsunął się od niej i usiadł. Teraz coś dźgało go w plecy. Wyciągnął rękę i znalazł długi przedmiot z kości słoniowej, ozdobiony potworami morskimi i smokami. Otwory na palce na całej długości wskazywały, że to żeglarski flet. Przepiękna robota. Ciekawe, skąd się tu wziął, pomyślał Hal. Wiedział, że jego siostra byłaby czymś takim zachwycona, o ile w ogóle będzie miał możliwość jej go podarować.

Nie myśl tak. Będziesz miał taką możliwość.

Włożył flet do kieszeni i wysunął głowę spod brezentu.

Talbot już była na brzegu, gdzie oczyściła z lodu skrawek ziemi i rozpałała ogień. Rozwiesiła na gałęziach mokre ubrania i piła z kubka parujący napój. Breon też był już na nogach.

Siedział na dużym kamieniu i kołysał coś na rękach, rozpaczając, jakby tulił martwe dziecko.

– Przystaniesz wreszcie, szarpidrucie? – burknęła Talbot. – Odłóż to albo urządz jej należyty pogrzeb. Ty przeżyłeś. Powinieneś dziękować Stworzycielowi, zamiast biadolić.

– Należała do mojego ojca – tłumaczył. – To wszystko, co mi po nim zostało. Dopiero co była naprawiona i znowu jest w drzazgach. Cała namokła i rozchodzi się na złączach.

– Daj już spokój – powiedziała Sasha szorstko. – Mamy nowy dzień. Napij się gorącej herbaty, możesz w niej maczać suchary, mam też trochę sera. Napracowałeś się wczoraj przy wiosłowaniu i musisz być głodny.

Breon pokręcił głową.

– Nie jestem. – Pomasował sobie szyję i nagle skrzywił się z bólu. – Nie czuję się najlepiej i kark mnie jakoś mocno boli.

– Pewnie naciągnąłeś sobie jakiś mięsień – stwierdziła Talbot.

– To raczej oparzenie – powiedział Breon. Dotknął tego miejsca jeszcze raz. – Coś jest nie tak. Czuję to.

Talbot się podniosła.

– Chcesz, żebym to obejrzała?

Breon obiema dłońmi osłonił sobie kark.

– Nie! To nic.

– Jak chcesz. – Wzruszyła ramionami. – Zaraz wracam.

– Dokąd idziesz?

– Za potrzebą, jak już musisz wiedzieć. – Zniknęła w lesie.

Hal wyszedł z łodzi.

– Co tak oplakujesz? – zapytał.

– Moją dżafasę – odpowiedział i delikatnie pogłaskał przedmiot na swoich kolanach. – Talbot zabrała ją do łodzi i teraz jest zniszczona.

Hal kucnął obok niego. Nie znał się na tym, ale instrument wyglądał na kompletnie zniszczony.

– Nigdy o niczym takim nie słyszałem... dżafasa.

– To instrument z Kartezji – wyjaśnił Breon, ocierając oczy rękawem. – Tata nauczył mnie na nim grać.

– Rozumiem, że twój ojciec nie żyje – powiedział Hal.

Breon potaknął ruchem głowy.

Talbot miała rację. Mimo wszystko rozpaczanie po instrumencie nie miało sensu. Jednak ból tego grajka najwyraźniej był szczerzy i głęboki. Hal chciał go w jakiś sposób pocieszyć, ale słowa nigdy nie były jego mocną stroną. Pogrzebał w kieszeni i wydobył rzeźbiony flet.

I tak chyba nigdy nie wrócę do domu, pomyślał.

– Masz. – Wyciągnął instrument w stronę Breona. – Wiem, że to nie to samo, ale może będzie ci chociaż przypominać naszą rozmowę o twoim ojcu.

Przez chwilę myślał, że grajek odmówi. Potem Breon wyciągnął rękę i odebrał flet od Hala.

– Dziękuję – powiedział, gładząc fantastyczne wzory. – Zawsze miałem słabość do fletu. Mój ojciec czasem grał na świstawce bosmańskiej. – W wyraźnie lepszym humorze wetknął instrument do pomiętej peleryny i ruszył w stronę lasu.

Chociaż szanse na naprawę dzafasy wydawały się nikłe, Hal owinął ją w kozuch i umieścił w łodzi. Nie chciał robić grajkowi nadziei, ale pomyślał, że może da się z nią coś zdziałać, kiedy dotrą w bezpieczne miejsce.

– Jest już późno! Dlaczego nikt mnie nie obudził? – Gray wygramoliła się z łodzi, omal jej nie wywracając, i doszła do brzegu. Rozejrzała się po plaży i widząc, że są sami, zapytała:

– A gdzie grajek? I Talbot?

– Jestem tutaj! – zawołała Sasha, wychodząc spośród drzew. Za nią zjawił się Breon. – Nikt stąd nie ucieknie. Nie da się ujść więcej niż sto kroków w każdą stronę, żeby nie natknąć się na skałę. Jedyna droga ucieczki to ta, którą przybyliśmy.

– W takim razie ruszajmy. – Gray rozglądała się po otaczających ich klifach. – Znajdziemy jakieś miejsce, z którego da się dotrzeć w głąb łądu. – Nie wyglądała na zadowoloną z tego, że musi znowu wypłynąć w morze, ale najwyraźniej już się z tym pogodziła.

Hal poruszył obolałymi ramionami. Miał nadzieję, że teraz trochę łatwiej będzie płynąć.

– Siadaj – powiedział Breon, wskazując kamień, który przed chwilą opuścił – a ja obejrzę łódź. Gdy znowu wypłyniemy na otwarte morze, będziemy płynąć szybciej, jeśli się dobrze ustawimy do wiatru. – Wszedł do łodzi i zaczął się mocować z linami.

– Pomóc ci w czymś? – zapytała Talbot.

Niespełna godzinę później znowu byli w drodze. Kiedy wypłynęli do zatoki, Breon podniósł żagle. Wsunąwszy stopy pod knagę, trzymał rumpel w jednej ręce, liny w drugiej i uchylał się przed bomem, jakby spędził całe życie przymocowany do masztu.

Jakim cudem uliczny grajek był tak obeznany z żeglugą?

Słońce wyszło zza chmur i z południa powiał rześki wiatr, dzięki któremu posuwali się szybko. Nawet Gray miała więcej koloru na policzkach. Breon jednak wciąż macał się po karku i z zatroskaną miną obserwował horyzont.

Płynęli już godzinę, kiedy Talbot oznajmiła:

– Mamy towarzystwo.

Był to statek pokaźnych rozmiarów, płynący równolegle do brzegu. Szybko zmniejszał odległość między nimi.

– Może to jeden z naszych – dodała Talbot. Nie brzmiało to jednak przekonująco.

Po wyglądzie tego statku Hal domyślał się, że jest on jednym z tych, które widzieli przy przystani w Kredowych Klifach.

– Jak tak szybko nas znaleźli? – mruknął. – To im powinno zająć co najmniej dzień czy dwa.

– Nie rozumiem, dlaczego odstąpili od zdobycia miasta, żeby nas ścigać – powiedziała Gray, przyglądając się podejrzliwie Breonowi, jakby mógł znać odpowiedź.

On zaś wpatrywał się w statek z pustym wyrazem twarzy jak ktoś, kto spogląda śmierci w oczy. Ten chłopak był zagadką, ale nie do Hala należało jej rozwiązanie. Wysokie klify pozostały już za nimi, więc teraz brzeg był łatwiej dostępny. Mimo to sytuacja nie wyglądała najlepiej. Nie mieli sprzętu, koni ani zapasów żywności. W dodatku całkiem prawdopodobne się wydawało, że zostaną schwytani, zanim zblizną się do brzegu.

– Znajdźmy miejsce na przycumowanie – powiedziała Talbot. – Na brzegu może uda nam się gdzieś ukryć i oni zrezygnują.

– Oni nie zrezygnują – stwierdził Breon, ustawiając żagiel w taki sposób, żeby chwycił więcej wiatru, i chwiejnym krokiem przeszedł z jednej strony na drugą, gdy zmienili kurs.

– Hej, to ty jesteś Panem Pogodnym, nie tak? – Kapral parsknęła wymuszonym śmiechem.

– Umiecie pływać? – zapytał nagle Breon.

Pokiwali głowami. Wszyscy z wyjątkiem Gray, która zrobiła się zielona na twarzy.

– Nie martwcie się – powiedział. – Nie trzeba będzie płynąć daleko. – Pochylił się i mówił szybko i konkretnie: – Jeśli dotrzemy do brzegu, będą dokładnie wiedzieli, gdzie jesteśmy. Dlatego zrobimy tak... Widzicie ten skalisty punkt tam, w górze? Podprowadzę nas, jak najbliżej dam radę. Na mój znak zsuniecie się z łodzi i popłyniecie do brzegu, a ja będę żeglował dalej i gdzieś wyskoczę. Miejmy nadzieję, że popłyną za mną.

– Ale wtedy oni złapią *ciebie* – powiedziała Talbot.

– Może on chce, żeby go złapali – zauważyła Gray.

Wszyscy obrócili głowy w jej stronę.

– Może ci piraci są w zмовie z naszym grajkiem – stwierdziła, wskazując głową wrogi statek. – Może ten atak na twierdzę był próbą uwolnienia go.

Breon wbił w nią zdumiony wzrok i utracił panowanie nad żaglami. Te wypuściły powietrze i zaczęły mocno łopotać. Chłopak wskazał na morze.

– Myślicie, że mam swoją armię i bandę piratów na zawołanie?

Kapitan przewróciła oczami.

– A czy to nie dziwne, że uliczny grajek wchodzi do szalupy i nagle przemienia się we wprawnego żeglarza?

Breon zaśmiał się gorzko.

– Mówię wam, że nikt za mną nie stoi. Przyjechałem do Fellsmarchu z trojgiem kumpli, a teraz dwóch z nich nie żyje,

a trzecia osoba zniknęła. Gdybym teraz zebrał wszystkich swoich przyjaciół, zmieściliby się w jednej wygodce.

– Co ty powiesz? Ja miałam kiedyś rodzinę, grajku, a teraz zostałyśmy tylko moja matka i ja.

– W porządku, niech wam będzie – odparł Breon. – To wszystko to skomplikowany plan ucieczki.

– Czy możemy pomówić o tym później? – wtrącił Hal. – Dopadną nas, zanim się zorientujemy. Jeżeli mamy zrobić coś innego, niż się poddać, lepiej zrobmy to czym prędzej.

Breon skoczył na drugą stronę łodzi, chwycił za liny i popchnął rumpel, tak że zmienili kurs i płynęli w stronę wyznaczonego punktu.

– Róbcie, co chcecie. Ja robię swoje, zanim zbliżą się na tyle, że nas policzą. Dam wam znak, jak już będziemy najbliżej, a wtedy skaczcie. – Znowu spojrzał na Gray. – Obiecuję, że jeśli przeżyję, zgłoszę się i oddam w ręce królewskiej sprawiedliwości.

– Matelon – powiedziała księżniczka.

Przysunął się do niej.

– O co chodzi?

Ku jego zdumieniu chwyciła go za barki i pocałowała mocno i długo na oczach pozostałych – oni gapili się z otwartymi ustami.

– Na wypadek gdyby to było pożegnanie – wyjaśniła. – Żałuję wielu rzeczy, ale nie tego, że się poznaliśmy. Dużo się nauczyłam i... i... – Głos uwiązł jej w krtani, łzy popłynęły po policzkach. – Żałuję tylko, że musieliśmy się spotkać jako wrogowie.

– To nie jest pożegnanie – powiedział z uporem.

W tym momencie wpłynęli już na taką płyciznę, że Hal widział skały pod poruszaną wiatrem taflą wody. Breon poluzował żagle, zmniejszając prędkość.

– Gotowi? – spytał. Kiedy zaledwie kilka metrów wzburzonej wody dzieliło ich od brzegu, krzyknął: – Teraz!

Hal przetoczył się przez burtę i wskoczył do nadszpiewanie zimnej wody. Z głową pod powierzchnią wykonał kilka

wymachów ramion i znalazł się na płyciźnie na wprost skał. Chociaż marzył jedynie o tym, by wydostać się na suchy ląd, nabrał powietrza i znowu się zanurzył, by nie zostać zauważonym, nim szalupa nie odpłynie.

W końcu wysunął głowę, zaczerpnął tchu i spojrzał na morze.

Łódka była już daleko na północy i na pełnych żaglach płynęła wzdłuż brzegu. Wrogi statek także skręcił na północ i sunął równolegle do szalupy, na głębszej wodzie.

Hal wygramolił się na brzeg, obcierając na kamieniach dłonie i kolana. Niedaleko zauważył Talbot na czworakach, wypluwającą wodę. Rozejrzał się.

– Gdzie kapitan Gray? – spytał.

– Nie widziałam jej od chwili skoku do wody – odparła. – Omal nie utopiłam się w tych prądach.

Gwardzistka podniosła się, osłoniła dłonią oczy i obserwowała wybrzeże. Potem przeniosła wzrok na fale rozbijające się o skały.

– Lyss! – krzyknęła. – Lyss! Gdzie jesteś? Odezwij się, żebym mogła cię znaleźć!

Nikt nie odpowiedział. Hal popatrzył wzdłuż brzegu w kierunku, z którego płynął prąd, lecz niczego nie zauważył. Breon d'Tarvos i ścigający go statek zniknęli za zakretem.

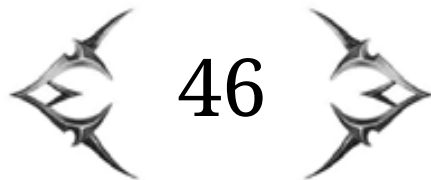
– Powinnam była ją trzymać – powiedziała Talbot drżącym głosem. – Albo trzeba było zostać na łodzi. To moja wina. Wiem przecież, że ona boi się wody.

– Może zmiotło ją gdzieś dalej. Chodźmy wzdłuż brzegu, może ją znajdziemy.

– A jeśli ona będzie nas tu szukać, a my akurat odejdziemy?

– Możemy się rozdzielić – zaproponował Hal. Gdy Talbot spojrzała na niego ze złością, dodał: – Uwierzysz, jeśli dam słowo honoru, że nie ucieknę?

– Trzymamy się razem – zdecydowała. – Chodźmy.



MUZYKA NA PLAŻY

– Mielście wyskoczyć! – Breon spojrział przez ramię na miejsce na rufie, gdzie Jej Wysokość kulila się ze strachu.

– Chciałam – powiedziała, szczękając zębami. – Naprawdę... ale zmieniłam zdanie. – Po tych słowach jakby się rozluźniła i w końcu zwymiotowała za burtę. Wisiała tam, z głową w dół i z rękami na dulkach.

Pędzili przed siebie, szybciej niż można by się spodziewać po takiej małej łódce. Breon powinien być spięty i skoncentrowany na żeglowaniu, by uniknąć błędnego ruchu, po którym zostałyby z nich tylko drzazgi na skałach. Tymczasem... w jakiś sposób, żeglowanie było dla niego jak oddychanie. Zapach soli morskiej upajał go... uderzał do głowy niczym działka ziele. Chłopak zaczął się zastanawiać, czy ziele nie było dla niego żalonym zastępnikiem... *tego*.

– Jesteś w tym naprawdę dobry – powiedziała Jej Wysokość, jakby czytała mu w myślach.

– Wiem – odparł. Nie przechwalał się, tylko stwierdzał fakt. To było najnowsze z długiej listy zaskoczeń, dobrych i złych. Na drugim biegunie znajdował się magiczny znak na jego karku. W tym momencie palił go jak diabli. Breon nie pamiętał, by kiedykolwiek czuł coś takiego.

– Jak nauczyłeś się żeglować?

– Nie wiem – przyznał. – Ale trzeba było wyskoczyć, kiedy mieliście okazję.

– Nie chciałam, żebyś uciekł. – Uśmiechnęła się blado.

Strach przybrał formę żółci, która zebrała mu się w gardle. Z trudem ją przełknął. Nigdy nie miał skłonności do wymiotów na statku i nie zamierzał teraz tego zmieniać.

– Owszem, *chcieliście*, żebym uciekł – powiedział. – Jak najdalej. Oni was zamordują. – Wskazał na statek.

– To twoi przyjaciele?

Wzdrygnął się.

– To nie są moi przyjaciele.

– A kim są?

– Nie wiem.

– Naprawdę powinieneś był rzucić ziele dawno temu – stwierdziła, wyraźnie odzyskując swoją złośliwość i pewność siebie.

– To nie tak. Nie straciłem pamięci przez zażywanie ziela. Zażywałem je z powodu rzeczy, których nie pamiętam.

Na przykład nie wiedział, dlaczego kobieta z tamtego statku go szuka, ale teraz wiedział już, że nie chce, by go znalazła.

Czarny statek już ich prześcignął i obrócił się w kierunku brzegu, tak że ustawił się wobec nich od zawietrznej. Breon zauważył, że od burt odpływa cała rzesza szalup.

– Nie powinniśmy się obrócić? – zapytała Jej Wysokość. Włożyła na siebie pas z bronią i metodycznie dokładała różne rodzaje uzbrojenia.

– To nic nie da przy tak silnym prądzie morskim. Pozostaje nam zejść na brzeg i mieć nadzieję, że uda się przed nimi uciec. Możecie znowu wiosłować?

Księżniczka bez najmniejszego protestu usiadła na tylnej ławce i zaczęła wiosłować. Jakby wszystko, co może ją sprowadzić na suchy ląd, było warte przelanego potu.

– A teraz – powiedział Breon – jak tylko dobijemy do brzegu, wyskakujcie i chodu, i nie oglądajcie się za siebie. Jeśli się rozdzielimy, może jednemu z nas uda się uciec.

Prychnęła i Breon pozostał w niepewności, czego może się po niej spodziewać.

Kiedy jednak wpłynęli na płyciznę, przeskoczyła burzę i biegiem rzuciła się przed siebie po kamieniach, które oddzielały plażę od gór.

Dobrze, pomyślał. Przynajmniej jedno zmartwienie mniej. Może ona go nienawidziła, ale on jej nie. Współczuł jej z powodu tego, co przeszła jej rodzina. Kto mógłby ją winić za to, że chciała sprawiedliwości?

Jestem kochasiem, nie nienawistnikiem, pomyślał.

Dwie szalupy płynęły szybko w stronę brzegu, próbując go otoczyć. Co teraz?

Ruszył w przeciwnym kierunku niż księżniczka, kryjąc się za skałami, by nie zauważono go od strony morza. Dotarł do punktu, w którym musiał zacząć wspinaczkę po klifie. Szukał szczelin, by zaczepić stopy, chwycił się rękami, podciągał. W końcu dostał się na skalny występ i nie był w stanie iść dalej. Usadowił się więc na tej półce, otulił się peleryną i czekał.

Wkrótce usłyszał głosy z plaży i wiedział, że łodzie dopłynęły do brzegu. Głosy przybliżały się, a znak na jego karku piekł coraz mocniej. Jakaś cecha ukształtowania terenu sprawiała, że dźwięki płynęły w jego stronę.

– Tędy. Już jesteśmy blisko – mówił żeński głos, ciepły i upojny niczym grzany rum. Breon usłyszał w nim nutę podniecenia.

Potem inny, tym razem znajomy, wysoki i niespokojny.

– Nie skrzywdzisz go, tak? Mówiłaś, że go nie skrzywdzisz. Tylko zabierzecie go z powrotem do domu.

To była Aubrey.

I wtedy ten pierwszy głos, naładowany magią:

– Oczywiście. Taki był układ, prawda? Dobrze zaopiekuję się twoim przyjacielem z magicznym znakiem.

Przez jedną pełną nadziei chwilę Breon myślał, że wymyślona przez niego historia okazała się prawdą – Aubrey sprowadziła mu armię na pomoc.

Ale nie. W głębi duszy wiedział, że to nie w jej stylu. Że ona nigdy by tego nie zrobiła.

Wtedy opuścił głowę i na moment poddał się rozpacz. „Damy sobie radę – powiedziała. – Jak tylko dotrzemy do zatoki, uruchomię swój plan”. Czy dlatego namawiała go na powrót do Zatoki Bastońskiej? Czy miał być nagrodą w tym jej nowym planie?

Byłem wobec ciebie lojalny, Aubrey. Nie wydałem cię Jej Wysokości i jej ludziom, nawet gdy grozili mi torturami.

Drobna poprawka, Wasza Wysokość – dodał. Właściwie nie mam żadnych przyjaciół.

Przysunął się do krawędzi, by móc wyjrzeć na drogę, którą przyszedł. W końcu ich zobaczył – grupę piratów albo wojowników z purpurowoniebieskimi aurami. Na czele tej bandy stała wysoka kobieta w błyszczącej zbroi, ze srebrnymi włosami płózącymi się wokół głowy. Jedną dłoń zaciskała na ręce Aubrey. Aura kobiety była błękitnobiała, tak jasna, że Breon musiał zmrużyć oczy. Była jednak młoda – młodsza, niż się spodziewał.

Aubrey nie należała do niskich, lecz w tym towarzystwie wydawała się bardzo drobna. Miała na sobie to samo ubranie, w którym widział ją ostatnio. Chyba więc jeszcze nie odebrała zapłaty.

Kiedy doszli do miejsca, w którym zaczynała się ostra wspinaczka po skałach, czarownica zadarła głowę i spojrzała dokładnie w miejsce, w którym leżał Breon. Jego magiczny znak rozgrzał się niczym ogień. Teraz, gdy była całkiem blisko, zauważył w jej srebrnych włosach dwa szerokie pasma – jedno złote, drugie niebieskie.

– Jest tam – zwróciła się do Aubrey. – Zawołaj go.

– Breonie! – krzyknęła dziewczyna, patrząc w górę i machając ręką. – Hej, Breonie! Tu Aubrey. Zejdź. Sprowadziłam pomoc.

Milczał. Może ta czarownica podejrzewała, że tu jest, ale on nie zamierzał dostarczać jej dowodów.

– Bardzo się martwiłam, jak cię złapali – powiedziała Aubrey. – Nie wiedziałam, jak cię wyciągnąć. A tu proszę, sam uciekłeś. Nie mogę się doczekać, jak mi wszystko opowiesz.

Wciąż się nie odzywał.

– Mówiłaś, że to twój przyjaciel – syknęła czarownica.

– Bo to prawda – odparła Aubrey. – Na pewno tam jest?

– Jest tam, na górze – stwierdziła kobieta. Przyciągnęła Aubrey do siebie i szepnęła jej coś do ucha, a potem popchnęła ją ku skale.

– Bree! – zawołała Aubrey, bledsza niż wcześniej. – Pewnie się zastanawiasz, kim oni są. To Celestyna, prawdziwa cesarzowa! Jest z... z tego miejsca, skąd ty pochodzisz. Mówi, że może ci opowiedzieć o twojej rodzinie, wie wszystko to, czego nie wiesz. Nie chcesz tego? – Wyciągnęła ręce w jego stronę, jakby chciała go złapać, w razie gdyby skoczył.

Breon objął kolana rękami. Wtedy wyczuł w kieszeni coś twardego. To był flet, który dostał od Hala. Trzymał go teraz w ręce i zastanawiał się, co robić. Celestyna wybrała czterech ze swoich magicznych piratów.

– Macie tam wejść i go tu sprowadzić. Pamiętajcie, co mówiłam: nie chcę, żeby chłopakowi coś się stało. Jeśli spadnie mu włos z głowy, pożałujecie, że się urodziliście.

Jej troska o niego powinna dodać mu otuchy, może nawet ucieszyć, ale tak nie było. Jest jak pogoda nad Indio, pomyślał. W mgnieniu oka zmienia się ze spokojnej w burzową.

Teraz słyszał, jak wojownicy wdrapują się do niego. Kiedy wyrztał przez krawędź, zobaczył ich. Byli już prawie w połowie drogi, ale dotarli do skalnego występu. Gdy ich obserwował, jeden z nich odpiął bosak od paska i rzucił nim, celując ponad kryjówkę Breona. Bosak uderzył o skałę, potem się zaczepił i pozostał w miejscu, a przywiązana do niego lina opadła poza zasięg wzroku Breona. Kilka chwil później lina się napięła. Wspinali się.

Ach tak. Piraci noszą przy sobie bosaki? Takie jego szczęście. Sięgnął ręką za siebie i próbował go podważyć. Bosak jednak był tak zaklinowany, że nie dał rady go poruszyć.

Istniała jeszcze inna możliwość.

Nie jesteś złoczyńcą, powiedział sobie.

Jesteś kochasiem, nie nienawistnikiem.

No i zawsze kochałeś flet.

Jeszcze raz wyciągnął rękę, chwycił bosak i szukał muzyki.

Bosak raczej nie jest przedmiotem, z którym ludzie wiążą emocje, więc muzyka nie zjawiała się tak wyraźnie, jak by chciał. Mimo to uchwycił jej wątek.

Przyłożył flet do ust i zaczął grać żwawą melodię, coś w rodzaju tańca ludowego. Wspinający się ku niemu wojownicy na moment znieruchomieli. Potem ten na przedzie – właściciel bosaka – uśmiechnął się. Zatrzymał się, wyprężył i zaczął tańczyć. Jego ruchy stawały się coraz szybsze. Wojownicy za nim poodsuwali się od niego, on mimo to o nich zawadził. Spadli, wymachując rękami, uderzyli o skały raz, drugi, i w końcu wylądowali na piasku.

Ich tańczący kolega podążył za nimi. Upadł i nie wstawał, a jego kończyny jeszcze podrygiwały w rytm melodii.

Trzej najwyraźniej byli martwi. Czwarty chyba żył, lecz był połamany.

Wszyscy wojownicy cesarzowej wyraźnie się zaniepokoiili, o czym świadczyły ich nerwowe ruchy i szuranie nogami. Nawet Aubrey, której z twarzy nie zniknęło przerażenie. Tylko Celestyna pozostała niewzruszona. Spoglądała w górę na Breona, jakby był kuszącym, soczystym jabłkiem wysoko na drzewie, poza jej zasięgiem.

Gdy ostatni wojownik spadł, Breon przestał grać. Wtedy, ku swemu ogromnemu przerażeniu, zauważył, że ten, który przeżył, ruszył znowu w kierunku klifu. Mimo roztrzaskanych kości nie rezygnował ze schwytania Breona.

Celestyna przyciągnęła do siebie Aubrey i wznieciła ogień na jej ręce.

Aubrey wrzeszczała wniebogłosy i uderzała ręką o bok, ale płomienie nie dawały się ugasić.

Breon przestał grać i obiema dłońmi zatkał sobie uszy, by nie słyszeć tych wrzasków. Nic to jednak nie pomogło. Nie mógł

zapomnieć, co czuł, kiedy podczas przesłuchania zapaliła się jego ręka.

– Zejdź tu, chłopcze, albo spalę twoją przyjaciółkę na popiół, kawałek po kawałku – warknęła Celestyna. – To będzie długo trwało.

– Obiecałaś – szlochała Aubrey. – Obiecałaś, że nas nie skrzywdzisz.

– Obiecałam, że nie skrzywdzę *jego* – odparła cesarzowa. – Nigdy nie obiecywałam niczego, co by dotyczyło ciebie. – Znowu podniosła wzrok na Breona. – Skoro najwyraźniej tak bardzo lubisz tańczyć, zobaczmy, czy twoja panna jest w tym dobra.

Teraz skierowała płomień w stopy Aubrey. Dziewczyna próbowała uciekać, ale ogień ją dogonił, a gdy chciała go ugasić, nic nie wskórała. Wbiegła więc do wody, ale to też nic nie dało.

Breon nie mógł tego dłużej znieść. Może i Aubrey go zdradziła, ale nie zasługiwała na coś takiego.

– Przestań! – krzyknął i stanął na skraju klifu, skąd spoglądał na czarownicę. – Przestań ją męczyć!

– Odezwał się – stwierdziła z ponurą satysfakcją Celestyna. – Jeśli chcesz, żebym przestała, zejdź.

– W porządku. – Wsunął flet do kieszeni. – Dobrze. Tylko... daj mi minutę.

Zszedł tą samą drogą, którą się wdrapał, lecz dużo szybciej. Stopy mu się przy tym ślizgały i zsuwały, tak że kilka razy omal nie spadł.

W końcu znalazł się na plaży. Aubrey wiła się z bólu na piasku, częściowo w wodzie, częściowo na brzegu. Podbiegł do niej, objął jej głowę i kołysał niczym małe dziecko, odgarniając piach z jej policzków.

– Przepraszam, Bree – powiedziała, sycząc z bólu. – Nie chciałam być złym człowiekiem, ale tak wyszło.

– To nic – odparł, próbując ją uspokoić. Wciąż myślał o ogniu wznieconym w lochach Kredowych Klifów i teraz nie był pewien, czy sam się nie podpalił.

W końcu podniósł wzrok na Celestynę.

– Jestem – burknął. – Tego chciałaś, prawda? Teraz jej pomóż. Kobieta pokręciła głową, udając żal.

– Przykro mi, chłopcze. Był czas, że mogłam ci pomóc. Teraz już nie mam mocy.

– Nie możesz przynajmniej jakoś złagodzić bólu? – Głos Breona drżał.

Znowu zaprzeczyła ruchem głowy.

– Twoja panna cię zdradziła. Nic nie jesteś jej winien. – Gdy Breon nie odpowiadał, wyciągnęła nóż, trzonkiem w jego stronę. – Możesz skończyć jej cierpienia, jeśli chcesz.

Stał nieruchomo, wpatrując się w nóż w dłoni czarownicy przez czerwoną mgiełkę łez i wściekłości. Jak przez sen usłyszał jakiś hałas, coś przypominającego świst. Powietrze wokół Celestyny zaczęło migotać i twardnieć. Wtem coś w nie uderzyło, odbiło się i upadło u jej stóp.

Strzała.

To wyrwało Breona z zamyślenia. Rzucił się naprzód, wyrwał cesarzowej nóż i spróbował wbić go w jej pierś. Nóż jednak uderzył w tę samą barierę co strzała i wypadł mu z ręki.

Natychmiast dwaj wojownicy Celestyny złapali go za ręce i odciągnęli od niej. Wtedy rozległy się dwa kolejne świsty, a po nich ci, którzy trzymali Breona, zachwiali się i opuścili wzrok na drzewce sterczące z ich piersi. Ich uścisk jednak nie zelżał, chociaż na piach kapała krew.

Breon widział, jak Aubrey za plecami Celestyny wychodzi z wody i chwiejnym krokiem idzie po piasku w kierunku cesarzowej. Widział, że ściska coś w dłoni, prawdopodobnie ostrą muszlę.

Celestyna tymczasem skupiła się na czymś innym.

– Co my tu mamy? – powiedziała, osłaniając oczy dłonią i spoglądając w stronę, z której nadleciały strzały. – Bohater?

– Zostaw ich! – krzyknął ktoś ze szczytu pobliskiego klifu. – Pozwól im odejść.

– A raczej bohaterka – poprawiła się Celestyna.

To była Jej Wysokość.

– Uciekaj stąd! – krzyknął Breon. – Nie bądź głupia!

– Może to silniejsze od niej, chłopcze – Celestyna parsknęła śmiechem. – W końcu potrafisz zauroczyć. Czy to jakiś miłosny trójkącik? – Obróciła się, by spojrzeć na Aubrey, która była w połowie drogi między wodą a celem ataku. – Wiecie, nienawidzę trójkątów miłosnych. – Chwyciła za amulet i uniosła dłoń, po czym strzeliła w Aubrey wiązką ognia.

Breon wrywał się strażnikom, oni jednak trzymali go mocno, chociaż powinni już leżeć martwi na ziemi.

Aubrey podniosła się, zrobiła jeszcze jeden krok, drugi. Zachwiała się, gdy trafiła w nią następna strzała Jej Wysokości, i wreszcie upadła, wciąż płonąc, lecz już niedostępna dla Celestyny.

Potem jeden po drugim nastąpiły jeszcze trzy świsty. Kolejna strzała odbiła się od bariery Celestyny. Dwie następne trafiły w jej żołnierzy.

– Brawo! – zawołała cesarzowa. – Przydałoby mi się więcej takich łuczników w armii. Może dołączyłabyś do mojej gwardii zaprzysiężonych krwią?

– Wsiadaj do swojej łodzi i zabieraj się stąd! – zawołała Jej Wysokość drżącym ze złości głosem.

– Mam zamiar to zrobić. Ale tylko z tym chłopakiem. Znalezienie go kosztowało mnie wiele trudu. Ale nie martw się. Możesz płynąć z nami.

To powiedziawszy, strzeliła płomieniem w klif pod księżniczką. Skała się obruszyła i cały fragment wybrzeża opadł – pozostała po nim tylko sterta gruzu.

Breon przerzucił wzrok z miejsca na klifie, gdzie stała księżniczka, na gruzowisko na dole. Nic się nie ruszało. Wydawało się niemożliwe, by ktoś przeżył taki upadek.

– Dużo łatwiej jest – powiedziała Celestyna, nie kierując swoich słów do nikogo konkretnego – kiedy nie trzeba ich zabierać żywych. – Skinęła głową na piratów, którzy trzymali Breona. – Bierzmy go na pokład, zanim pojawi się więcej bohaterów.



SZEROKIE WODY

Na ostatnich metrach dzielących go od plaży Halston Matelon zsuwał się z klifu na łeb na szyję to na nogach, to na czworakach, byle prędzej. Gdy się prostował, wiedział już, że się spóźnił, ale jeszcze rzucił się do brzegu i rozpędem wbiegł do wody.

Wszystko to na nic. Od szalupy oddzielało go dwieście metrów brązowawej wody i ta odległość z każdym ruchem wioseł coraz bardziej się zwiększała. Łódź była już w połowie drogi do statku, który czekał u wejścia do zatoczki.

Hal miał ochotę pomachać pięścią uciekającym piratom.

Talbot wyhamowała za jego plecami, rzucając wiązką przekleństw. Osłoniła oczy i spoglądała ze złością w ślad za łodzią, która już płynęła obok większego statku.

– To oni? Myślisz, że są na pokładzie? – spytała.

Hal pokręcił głową.

– Nie wiem. Domyślam się, że albo są na tym statku, albo nie żyją, chyba więc powinniśmy liczyć na to pierwsze. Czy są jakieś szanse, żeby wasza marynarka wojenna zatrzymała ich, zanim opuszczą wody przybrzeżne?

W oczach Talbot rozbłysła nadzieja, która jednak równie szybko zgasła.

– To mało prawdopodobne. Nie mamy wielu statków, zwłaszcza tak daleko na północ od Kredowych Klifów. Musimy

się skupiać na zapewnianiu bezpieczeństwa naszym portom na wschodzie i na ochronie dróg i miast. – Oddychała nierówno. – To moja wina. Ucieczka łodzią to był mój pomysł. Lyss śmiertelnie boi się wody. Trzeba było jej posłuchać.

Hal nie zwracał już uwagi na jej utyskiwania, zajęty obserwowaniem statku. Żałował, że nie ma lunety Lyss, żeby móc zobaczyć, co się tam dzieje. Wyglądało na to, że przenosili kogoś z szalupy na pokład. Kogoś, kto był martwy albo nieprzytomny. Potem wciągnęli szalupę i szybko podnieśli kotwicę.

Żagle najpierw luźno powiewały, ale wkrótce statek się obrócił i nabrał w nie wiatru, a wtedy od razu przyspieszył.

Hal nie miał w sobie nic magicznego, lecz intuicja podpowiadała mu, że Alyssa Szary Wilk jest na pokładzie i szybko się oddala.

Niewiele już widział, więc obrócił się w stronę plaży. Na piasku leżały ciała, wszystkie naszpikowane strzałami. Ich ubiór wskazywał, że były to osoby, które zeszły ze statku.

Talbot wyciągnęła jedną ze strzał i uważnie ją obejrzała.

– Tak czy owak, Lyss paru ustrzeliła. To strzały klanowej roboty, a grajek na pewno nie strzelał. – Rozejrzała się po plaży. – Pięciu trafionych.

– Sześciu – poprawił ją Hal. Na piasku przy brzegu leżało jedno zwęglone ciało ze strzałą w piersi. Chociaż niemal całe już spłonęło, wciąż się tliło.

Hal kucnął obok niego, dociskając rękaw do nosa, by nie czuć smrodu palonego mięsa. Ze szczątków ubrań domyślił się, że to była dziewczyna, w innym stroju niż pozostałe ofiary na plaży. Jednak nie w nakrapianym mundurze piechoty górskiej.

– Jeśli się nie mylę, to był czarodziejski ogień – powiedział, opierając pośladki na stopach. – Widywałem już takie ciała na polach bitew.

– To się nie trzyma kupy – mruknęła Talbot. – Piraci używający magii?

Hal podszedł do miejsca, w którym u podnóża klifu leżały zwalone głązy. Widać było, że świeżo odpadły – krawędzie

miały ostre, jeszcze nietknięte wiatrem i deszczem.

Obok zobaczył dwa na wpół pogrzebane w gruzach ciała. Wojownicy ze statku, prawdopodobnie przygnieceni spadającymi kamieniami.

– Ostrożnie! – zawołała Talbot. – To może się zawalić.

– To wygląda na jakiś wybuch czy coś. Albo znowu magia. – Zaczął dokładnie badać gruzy. Serce ścisnęło mu się ze strachu, co może tam znaleźć. Przy ścianie klifu, w miejscu gdzie dwa głazy stały oparte o siebie, na piasku widniały plamy krwi. Niewiele krwi, ale...

Coś zaśniło w szczelinie, prawie na wysokości oczu. Hal wydobył jakiś przedmiot. Wisiorek, właściwie złoty medalion z wyrytą różą. Zwrócił się do Talbot:

– Poznajesz to?

Oblizła spierzchnięte wargi i skinęła głową.

– To należało... należy do Lyss.

– Nosila to?

Talbot potaknęła.

– Nigdy nie widziałam jej bez niego, z wyjątkiem... tak, nosila go.

Hal podniósł wzrok na klif, a potem spojrział na miejsce, w którym leżały ciała. Zaklął cicho.

– Co jest? O co chodzi? – burknęła.

– Myślę, że kapitan Gray strzelała gdzieś stamtąd, z góry, i nastąpił wybuch... albo strzał czarodziejskim ogniem... i spadła.

Po tych słowach Talbot jak szalona rzuciła się do przekopywania gruzu. Kaleczyła sobie przy tym dłonie i po chwili na kamieniach pojawiły się krople jej krwi. Hal dołączył do niej. Wspólnie odsuwali kamień po kamieniu.

Zwalisko nie było zbyt duże i wkrótce Matelon zrozumiał, że ciała Lyss tu nie ma. Ogarnęło go poczucie ulgi.

– Talbot – powiedział łagodnie.

Zajęta grzebaniem w kamieniach uniosła głowę. Jej twarz była zalana łzami.

– Co?

– Jej tu nie ma. – Zamilkł, a kiedy patrzyła na niego ze złością, dodał: – Chcesz usłyszeć moją teorię?

Niechętnie pokiwała głową.

– Myślę, że Gray została ranna w tym upadku. Ale była świadoma, bo wetknęła medalion w szczelinę w skale, żebyśmy go znaleźli. Wiedziała, że go rozpoznasz i że to będzie znak, że ona żyje.

Widział po jej minie, że ta teoria bardzo jej się podoba.

– Zobaczmy, co jeszcze uda się tu znaleźć – powiedział.

Podzielili plażę na części i dokładnie ją przeszukiwali.

– Nie rozumiem tylko – rzuciła Talbot – jak nas tu wysłedzili. Zupełnie jakby szli po zapachu albo coś. I po co ścigać nas, skoro zdobyli już miasto? Tam mają sporo do złupienia.

– Czy ten grajek mógł być w zмовie z piratami? Może to on dał im cynk? Może zaatakowali twierdzę, żeby go uwolnić, i mieli się tam spotkać. To by wyjaśniało, dlaczego tak zawzięcie nas ścigali.

– Nie! – zaprzeczyła z takim przekonaniem, że aż zdumiała Hala.

– Wiem, że dobrze go pilnowałaś, ale czy nie jest możliwe, że jakoś udało mu się przesłać wiadomość, żeby...

– Nie. – Wyraźnie nie dopuszczała takiej możliwości. – Może faktycznie chodziło im o grajka – powiedziała – ale on nie chciał, żeby go znaleźli. Chcesz wiedzieć, co ja myślę?

– Słucham.

– Spędziłam z nim dwa tygodnie. Jest kłamcą i potrafi omotać każdego, a do tego za bardzo uzależnił się od ziela. Umiem poznać, kiedy się boi, a kiedy wciska kit.

Zamilkła, aż wreszcie Hal zapytał:

– No i?

– No i kiedy zobaczył ten statek, był naprawdę przerażony. Dałabym sobie rękę uciąć. Jak kazał nam skakać z łodzi, próbował nas uratować. I udałoby mu się, tylko że Lyss nie wyskoczyła.

– Chyba możesz mieć rację... – zaczął Hal, ale Talbot zatrzymała się gwałtownie i ścisnęła mu ramię.

– Patrz! – powiedziała, wskazując piasek.

Hal obszedł to miejsce dookoła, żeby spojrzeć na piach pod tym samym kątem co ona.

Górna część wyglądała jak inskrypcja zakochanych.

AG + BdT

A pod tym strzałką wskazująca morze.

– Co to, u licha, znaczy? – zapytał poirytowany.

Talbot wprost promieniała, przesuwając palcem po literach.

– Alyssa Gray plus Breon d'Tarvos. To znaczy, że zostali schwytani. To znaczy, że żyją. Teraz musimy tylko obmyślić, jak sprowadzić ich z powrotem.

Racja, stwierdził w duchu Hal, wpatrując się w miejsce na morzu, gdzie za horyzontem zniknął piracki statek. Jeśli Lyss Gray nie była żołnierzem, z którym mógłby planować przyszłość, może była królową, której pewnego dnia mógłby służyć. Gdy już zapewni bezpieczeństwo swojej rodzinie.

– To nie jest pożegnanie – powtórzył, tym razem tak cicho, że jego głos utonął pośród szumu fal i wiatru.

PODZIĘKOWANIA

Pisanie książki w dużej mierze przypomina sprowadzenie na świat dziecka. Zajmuje to mniej więcej tyle samo czasu i jego większość spędza się w samotności. Niektóre części tego procesu są bolesne i okropne – że aż człowiek się zastanawia, co go podkusiło, by wejść na tę ścieżkę. W końcu wiele osób cieszy się pełnią życia i czerpie z niego satysfakcję, choć nie napisało powieści fantasy, nie wspominając o całym cyklu.

Potem przychodzą inne momenty. Chwile, kiedy czuje się to drżenie w głębi lub gdy odzywa się struna możliwości, która mówi, że to początek czegoś dobrego i prawdziwego. Kiedy szybko i płynnie przychodzą odpowiedzi na pytania w rodzaju: „Co jeśli...?”. Te radosne zwiastuny pomagają przebrnąć przez wszystko inne.

A gdy już urodzi się to metaforyczne dziecko, czerwone i pomarszczone, wrzeszczące i niewychowane, okazuje się, że jest wiele rąk, które pragną je przyjąć i pokochać. Mądre kobiety (i niektórzy mężczyźni) z chęcią udzielają rad, jak pomóc temu dziecięciu w pełni wykorzystać swój potencjał.

Stale korzystam z mądrych rad mojego agenta, Christophera Schellinga, który po ucieczce z miasta dekady temu powrócił na wieś, gdzie zajmuje się pielęgnowaniem pisarzy i innych twórczych typów (a także pomidorów). Moi zagraniczni agenci, Chris Lotts i Lara Allen, sprzedali moje książki w wielu krajach, które teraz zamierzam odwiedzić osobiście.

Zespół wydawnictwa HarperCollins ciężko pracuje, by ten nowy cykl zdobywał świat. Abby Ranger, mądra kobieta i redaktorka, pomaga mi powściągać ręce konie i pilnuje, byśmy dotarły do celu, nie pozostawiając czytelnika samego. Emily Brenner, Kate Jackson i Suzanne Murphy wspomogły ten

projekt swoim rozsądkiem, podobnie jak Rose Pleurer, na której pomoc zawsze mogę liczyć.

Zespół redakcyjny i korektorski dba o to, by nie przegapić żadnego detalu. Emily Rader, Bethany Reis, Mark Rifkin i Josh Weiss – dziękuję wam.

Projektanci z wydawnictwa Harper – Erin Fitzsimmons, Amy Ryan i Barbara Fitzsimmons – oraz ilustratorzy – Sasha Vinogradova i Alessandro „Talexi” Taini – przeszli samych siebie, projektując okładki do tego cyklu. Projektanci, kierownicy artystyczni i ilustratorzy są portierami, którzy zapraszają czytelników do mojego świata. Ode mnie zależy, czy zechcą pozostać w tym niebezpiecznym miejscu.

Ogromną rolę w dotarciu do czytelników odgrywają promocja, sprzedaż i marketing. W przypadku „Starcia Królestw” odpowiedzialne za to osoby miały podwójne zadanie: dotrzeć do tych, którzy śledzili losy bohaterów Siedmiu Królestw, a także do tych, którzy nie znając wcześniejszego cyklu, są gotowi sięgnąć po cztery obszerne tomy o tym nieszczęsnym królestwie. Dział promocji w osobach Stephanie Hoover i Cindy Hamilton, dział marketingu, który reprezentują Julie Yeater, Bess Braswell i Nellie Kurtzman, a także dział sprzedaży, czyli Jennifer Wygand, Kathleen Faber i Andrea Pappenheimer – sprawiły, że ten cykl spotkał się z ciepłym przyjęciem.

Jak zawsze, dziękuję mojemu mężowi Rodowi – nieustraszonemu przewoźnikowi książek i najszybciej reagującemu webmasterowi, jakiego znam – moim synom i innym wczesnym czytelnikom, a także wszystkim pisarzom, którzy oferują swoje oceny, wsparcie, współczucie, mądre rady, a czasem także lampkę wina. Wznoszę toast za was wszystkich.